

MOJRA

WOJNA WILKÓW

HENRI LOEVENBURCK

PRZEKŁAD AGNIESZKA DYWAN

ROZDZIAŁ 1

LUGNASAD

Rozpoczął się piękny jesienny wieczór. Lato było już tylko wspomnieniem. Na drzewach kołysały się ostatnie liście, ostatnie zwierzęta robiły zapasy na zimę. Wiatr targał sosny okalające góry Gor-Draka. Niebo stawało się coraz ciemniejsze.

Nadszedł od strony południowo-zachodniej. Z okazałą sakwą na plecach, wyprostowany, zdecydowanym krokiem zmierzał na północ Gaelii. Daleko jeszcze miał do celu, do tej budowli na tajemniczym półwyspie. Do Sai-Miny. Pałacu druidów, świątyni wszelkiej mądrości, gdzie pragnął rozpocząć naukę.

Cathfad, syn Katubatuosa. Jego imię zawierało w sobie ciężar przeznaczenia. Pewnego dnia zostanie Wielkim Druidem i zacznie przemierzać świat, by przekazywać swą wiedzę.

Czy to przypadek skierował jego kroki w to właśnie miejsce owego jesiennego wieczoru? Czy była to raczej Mojra? Żaden szczegół otaczającego go pejzażu nie mógł zdradzić sekretu tego miejsca, a jednak to właśnie tu zdecydował się spędzić noc: u stóp góry, o kilka godzin marszu od Atarmai, pod olbrzymią skałą oddzielającą dwa światy.

Przed wejściem do Sidu.

Dopiero po zjedzeniu zajęczego combra i kilku owoców młody człowiek dostrzegł dziwny kształt skały, która górowała nad jego obozowiskiem. Wysoki dolmen o idealnie gładkiej powierzchni. Niczym kamienny olbrzym, który nad nim czuwał.

Powoli wstał i podszedł do wielkiego kamiennego bloku. Księżyc rzucał przed nim cień, a noc otaczała ów monument osobliwą ciszą. Ten, który wkrótce miał zostać druidem, wyciągnął dłonie w stronę kamienia, by go dotknąć. Skała miała w sobie coś niezwykłego, jakby jej doskonale proporcje były boskiego autorstwa.

Wstrzymując oddech, Cathfad delikatnie położył dłonie na gładkiej powierzchni. Zamiast chłodu, jakiego wędrowiec się spodziewał, kamień emanował ciepłem, można by powiedzieć: ciepłem istoty żywej. Zaskoczony cofnął dłonie i zrobił krok do tyłu. W tej samej chwili skała zaczęła zmieniać barwę. Cathfad podniósł głowę, by zobaczyć, czy to księżyc rzuca te dziwne refleksy. Ale księżyc pozostawał błądy, a kamień stawał się czerwony.

Młody człowiek cofnął się jeszcze bardziej. Przestraszył się, gdy nagle w ruchomych refleksach na skale zaczęły rysować się kształty. Kobięce kształty. Doskonałe kobiece kształty. Rysunek stawał się coraz wyraźniejszy, jakby obraz wolno się zbliżał, pozwalając na dostrzeżenie szczegółów sylwetki, twarzy, spojrzenia.

Strach zmienił się w zdumienie. Oniemiały Cathfad uczestniczył w magicznym spektaklu. Kobieta patrzyła na niego. Nie, uśmiechała się do niego. Czerwone, drżące płomienie wkrótce zniknęły za jej sylwetką i w końcu była tam, przed nim, całkowicie realna.

Była wspaniała i dzika. Miała czarne włosy, wielkie niebieskie oczy i śniadą cerę ludzi z południa. Była szczupła i delikatna.

Z wdziękiem tancerki otworzyła ramiona, zbliżyła się do młodego człowieka i ujęła jego dłonie w swoje, uśmiechając się czule.

Nie padło ani jedno słowo. Były tylko spojrzenia i oddechy. Obydwa ciała złączyły się w świetle księżyca, a noc towarzyszyła ich namiętności niczym dyskretny świadek. Nie istniało nic bardziej naturalnego.

Cathfad otworzył oczy późnym rankiem. Jesienne słońce nie obudziło go wcześniej. Rozejrzał się dookoła. Kobiety już nie było, a skała w świetle dnia wyglądała jak każda inna.

Młody człowiek wstał w milczeniu, nie chcąc uwierzyć, że nieznajoma piękność była tylko przywidzeniem. Nic wokół niego nie mogło potwierdzić jego przeżyć. Ale miał pewność, że to nie był sen. Czuł jeszcze drżenie na całym ciele.

Cathfad nigdy wcześniej nie zaznał smaku miłości. I nigdy więcej go nie zazna. To był ten jeden jedyny raz. Nigdy więcej nie ujrzy tej, która go kochała. Sid zamknął swe wrota.

*

W całej Gaelii nie było bielszej wilczycy niż ta. Bajarze nazywali ją Imała, co w języku elfów oznacza „biała jak śnieg”. Nie można jej było pomylić z żadnym innym wilkiem na wyspie, a ta cecha nie była jedyną, która wyróżniała ją wśród pobratymców. Imała się zmieniała. Miała w sobie coś więcej niż inne wilki, coś, co widać było w jej chodzie, w jej oczach, w szlachetnych ruchach białej głowy.

Imała spotkała dwunożnych.

Teraz wolno podążała na północ, korzystając z hojności lata, z zieleni traw, ze świeżości gleby, z obfitości lasu w pożywienie: sarny, zające, przepiórki. Lubiła kłaść się na boku i wygrzewać w promieniach słońca, ciesząc się upałem, od czasu do czasu podrywając głowę, by odpędzić zakłócające odpoczynek owady.

Jeszcze nie wyszła poza terytorium swego byłego stada, do którego jednak nie powinna była wracać. Nie wolno jej było o tym zapominać, a ślady na jej ciele pozostawione przez wilki z watahy jasno dawały do zrozumienia, że nie jest u siebie. Ale Imała wcale się tym nie przejmowała. Pokonała Ahenę, dominującą samicę, w długim pojedynku, który obserwowało całe stado. Zaznaczyła swoją przewagę. Ahena odeszła z podkulonym ogonem, a pozostałe wilki musiały się z tym pogodzić. Nie będą jej zagrażać. Przynajmniej przez jakiś czas.

Mogła zostać w sforze, zając miejsce Aheny. Byłaby wspaniałą wilczycą dominującą. Jeszcze młodą, a już silną i zdeterminowaną. Lecz Imała chciała czegoś innego. Czegoś, czego nie potrafiła zrozumieć. Nie było to dla niej jasne, ale instykt wzywał ją na północ i bez żalu pozostawiła stado za sobą. Ahena, była wilczyca dominująca, prawdopodobnie bardzo szybko zostanie wygnana przez swoich. Poddając się Imali, straciła przewagę. Wkrótce jakaś młoda samica wyzwie ją na pojedynek i pokona. Takie były odwieczne prawa natury. Bardzo rzadko jedna wilczyca przewodziła stadu przez całe życie. Ahena będzie musiała odejść. Ona, która kiedyś przepędziła Imałę i zabiła jej szczenięta.

Lecz tego Imała nie zobaczy. Miała lepsze rzeczy do roboty. Z wyprostowanym ogonem podążała na północ za dwunożną, która do niej przysła, zbliżyła się, pogłaskała... Bez wątpienia wilczyca nie zdawała sobie z tego jasno sprawy, ale tym, czego szukała, była młoda dziewczyna o ciemnych włosach.

Po kilku dniach wędrówki w palącym słońcu Imała zorientowała się, że opuściła terytorium stada. Jednak wcale jej to nie cieszyło. Nie czuła się już taka pewna, zatrzymywała się znacznie częściej, nasłuchując najmniejszego szmeru, biegnąc z brzuchem bliżej ziemi i ze stulonymi uszami.

Teraz musiała zdobyć pożywienie, gdyż głód coraz bardziej dawał się jej we znaki. Była sama, a gruba zwierzyna nie stanowiła łatwej zdobyczy dla samotnej wilczycy. Las obfitujący w drobne zwierzęta był już tylko wspomnieniem. Tu było zdecydowanie mniej zajęcy, te zaś, które zamieszkiwały ten teren, miały znacznie więcej możliwości ucieczki. Wilczyca parła na północ. Nie natrafiła dotąd na żaden ślad. Tuż przed wieczorem nagle zwolniła kroku. Poczwała znajomą woń. Wiedziona instynktem położyła się w wysokiej trawie porastającej równinę. O kilka staj od niej, nie dalej, była tego pewna, pomiędzy wzgórzami, które rysowały się na wschodzie, znajdowało się stado owiec. Łatwa, słaba, tchórzliwa i powolna zdobycz. Idealny posiłek dla samotnej wilczycy.

Imała się oblizwała. Wstała i potruciała na wschód. Nie zmierzała prosto do celu, lecz starała się zatoczyć duże koło, by znaleźć się z boku stada, od strony zawietrznej, tak by jej zapach i odgłos jej kroków uszły uwagi zwierząt. Wkrótce dostrzegła stado. Zaledwie dziesięć owiec. Jej wystarczy jedna.

Najpierw trzeba było dokonać wyboru. Poobserwować zwierzęta, by wybrać to najsłabsze. Owcę, za którą się zbytnio nie nabiega. Nie ma potrzeby się męczyć. Imała zatrzymywała się co chwila, obawiając się, że została odkryta, kiedy jakaś owca przestawała się paść, a potem znów podejmowała trucht, nie tracąc stada z oczu. Była już zaledwie kilka metrów od niego, wciąż niezauważona. A jednak owce zaczynały okazywać niepokój. Jedna z nich chyba wyczuła niebezpieczeństwo i zaczęła beczeć, pociągając za sobą resztę. To był moment do ataku, a Imała była gotowa. Wybrała ofiarę. Jagnię, które kulało i z którym z pewnością poradzi sobie bez trudu. Właśnie miała skoczyć, gdy niespodziewanie poczuła nowy zapach. Jakies inne zwierzę. To nie była owca. Nie była więc sama.

Natychmiast zatrzymała się i podjęła bieg po łuku, usiłując zlokalizować ten zapach. Tym razem owce ją dostrzegły. Zaskoczone, przez kilka sekund trwały w bezruchu, ale instynkt przeżycia zwyciężył i stado rzuciło się do ucieczki. Była to bezładna bieranina, kilka podskoków, kilka kroków to w jedną, to w drugą stronę. Było w tym coś nienormalnego. Jakiś nieznan element, który zmieniał bieg owiec, a którego Imała nie rozumiała. Jednak zdecydowała się przyspieszyć, mimo zagrożenia, jakie stanowiła owa nieznan woń. Zmniejszyła dystans, nie podejmując jeszcze ataku, kiedy nagle zrozumiała, co się dzieje. Owce nie były same: towarzyszył im pies.

Zobaczyła go po drugiej stronie stada. Mała szara plama, która na krótko pojawiła się pośrodku wełnianej bieli. Nie był to pies zbyt duży, ale za to szybki i bez wątpienia zdecydowany, by bronić stada. Zwykle nie trzeba wiele, by zniechęcić wilka, ale Imała była coraz głodniejsza, a kontakt z dwunożnymi i zwycięstwo nad Aheną dodały jej pewności siebie i w jakimś stopniu napełniły pychę, która popychała ją do walki z psem.

Wilczyca spróbowała zbliżyć się do stada od drugiej strony. Jagnię, które wybrała, nie było zbyt daleko i być może udałoby się je porwać, zanim pies zdążyłby tu dotrzeć. Jednym susem skoczyła przed siebie i nagle zmieniła kierunek, gnając ile sił w nogach w stronę przerażonych zwierząt.

Lecz pies przewidział atak i już biegł w jej kierunku, szczekając zajadle. Imała natychmiast się zatrzymała i odbiegła w drugą stronę, tym razem wolniej. W dalszym ciągu biegła wokół stada po okręgu. Ale tym razem pies już nie wyglądał na zainteresowanego jedynie ochroną stada - był gotów do ataku. Obnażał kły i stając na tylnych łapach, warczał groźnie w stronę wilczycy.

Imała się zawahała. Była nieco większa niż jej przeciwnik, ale ten był z pewnością syty i być może silniejszy. Stała naprzeciw niego, choć jeszcze nie w pozycji do ataku. Jej spojrzenie wędrowało od psa do jagnięcia, które znajdowało się kilka metrów od niej. Pies chciał odciągnąć jej uwagę od stada. Jego powarkiwania stały się głośniejsze, zrobił też kilka kroków w jej stronę. Owce beczwały rozdzierająco.

Imała obnażyła swe długie, ostre kły. W tej samej chwili pies rzucił się na wilczycę, wściekle warcząc. Imała również skoczyła w jego stronę i zwierzęta zwały się w locie, a każde próbowało dosięgnąć gardła przeciwnika. Zwały się na ziemię i przetoczyły kilka metrów szczipione w brutalnej walce. Za każdym razem, gdy jednemu z nich udawało się dosięgnąć gardła drugiego, zostawało odepchnięte tylnymi łapami. Wilczyca i pies usiłowali zakończyć walkę gwałtownym atakiem. Stali teraz, pysk w pysk, odzyskując oddech, wyczekując dogodnej chwili, by rzucić się na siebie nawzajem. Pojedynek był wyrównany. Wilczyca była szybsza, ale pies masywniejszy. Nie był to zwykły pies domowy, lecz agresywna bestia, hodowana po to, by zabijać. Lecz kły Imali były ostrzejsze, jej szyja silniejsza. Mogła, musiała go pokonać.

Pies obserwował rytm, w jakim poruszała się wilczyca, a potem, nie przestając warczeć, rzucił się na nią, tym razem z boku. Imała miała czas jedynie, by odskoczyć i uniknąć kłów wroga. Lecz nie była w stanie odskoczyć zbyt daleko i pies zdołał ugryźć ją w tylną łapę. Imała zaskowyczała i odsunęła się. Ból podwoił jej gniew. Instynkt nakazywał jej zabić przeciwnika, rzuciła się więc na niego. Lewą przednią łapą dosięgła psiego oka, a pazury zagłębiły się w ciele szklistym. Pies zawył i potoczył się w bok. Imała nie dała mu ani chwili wytchnienia. Rzuciła mu się do gardła i przycisnęła go do ziemi. Wycie psa ustało, gdy w furii przegryzła mu struny głosowe. Białe futro wilczycy było teraz szkarłatne od krwi.

Imała pochyliła głowę, by przetrącić kark osłabionemu psu. Kiedy zwolniła uścisk szczęk, ten już nie żył. Spostrzegła, że owce zniknęły bez śladu. Nie wahala się ani chwili i pobiegła za bezbronnym stadem, pozostawiając rozciągnięte na ziemi ciało swego dalekiego kuzyna.

*

To mogło być lato jak każde inne. W piaszczystej dolinie ziemia błyszczała jak kryształ. Niebo, nieskażone ani jedną chmurką, było niczym spokojny ocean. Jedynie kilka drapieżnych ptaków przemykało po niebieskim sklepieniu, kreśląc wielkie koła niczym delikatne fale rozchodzące się po wodzie. Nic nie rzucało cienia, prócz kilku kamieni, pod którymi spały skorpiony.

To mogło być lato jak każde inne, lecz na horyzoncie rysowały się pierwsze oznaki przewrotu. Początek nowej ery. Przedśpiew zbliżającej się wojny Za czerwonymi skałami na końcu doliny, tam, gdzie ziemia zdawała się kończyć, rozciągały się potężne olumny wolno zmierzające na północ. Niczym ogromne węże wzniesające tumany kurzu, sunące w ciężkim letnim powietrzu. Gorguny. Armie gorgunów. Szeregi lanc, zbroi, czerwonych, dzikich oczu, napiętych mięśni pod oślizgłą skórą. Szeregi wojowników, których nic nie mogło powstrzymać, a którzy dotarli wreszcie do miejsca rozświetlonego tysiącem promieni sierpniowego słońca. Do pałacu Shankha.

Maolmórdha wezwał do siebie gorguny z całej Gaelii. I od wielu dni całe ich armie pojawiały się przed jego obliczem. Był Niosącym Płomień. Był ich przewodnikiem. Ich zemstą. Przez niego i dla niego unicestwił druidów. Taki był przekaz krążący w ich żyłach.

Niewielu uczniów Maolmórdhy miało przerażający przywilej patrzenia swemu panu prosto w oczy. Mówiło się nawet, że była to zła wróżba. Że wszyscy ci, którzy musieli podnieść wzrok na Pana Gorgunów, tracili życie w ciągu kilku następnych godzin, dni lub tygodni. A ten posłaniec nie stanowił wyjątku. Wchodząc do sali tronowej, najciemniejszej komnaty w pałacu, szybko zrozumiał, że nie wyjdzie stąd żywy.

Maolmórdha siedział milczący na swym wysokim tronie zbudowanym z ludzkich kości. Czerwony blask lawy, która bulgotała w zbiornikach, był niczym upiorna zorza. W komnacie słychać było jedynie szcęk łańcuchów krępujących stopy okaleczonej niewolnicy oraz bulgot lawy. Pan rozkazał, by mu nie przeszkadzano pod żadnym pozorem. Wyjątkiem było przybycie tego posłańca. Opieszałość gorgunów już wywołała jego gniew. Nic nie mogło ocalić tego, który przyniósł złą nowinę.

Kiedy Maolmórdha dowiedział się o śmierci rycerzy Herilimów, wpadł w straszliwy gniew. Jego wrzask rozdarł lepką i duszną atmosferę sali tronowej. Władca zerwał się gwałtownie i schwycił twarz posłańca w swoje dłonie, by popatrzeć mu prosto w oczy. Czuwający zaczął drzeć na całym ciele. Nie czuł ani łez w oczach, ani nagłej suchości w gardle. Palce Maolmórdhy zaciskały się na twarzy posłańca. Coraz mocniej. Niczym kleszcze. Policzki Czuwającego spurpurowiały, a oczy nabiegły krwią. Krwia, która pulsowała mu w skroniach i szumiała w uszach. Maolmórdha ścisnął jeszcze mocniej i Czuwający zrozumiał, że to jego koniec. Kości ustąpiły pod naciskiem dłoni oprawcy. Kawałki czaszki zmieszały się z mózgiem i krwią, tworząc gęstą maź. Ciało posłańca rozciągnęło się na ziemi.

Wrzask wściekłości Maolmórdhy w końcu ucichł. Nawet echo jego głosu umilkło, jakby zgaszone jednym gestem. Jakby czas stanął w miejscu lub jakby przyspieszył i wykonał skok w przyszłość. I;ui Gorgunów cofnął się i znowu zasiadł na tronie.

Zatem ta mała zaraza pokonała Sulthora. Nie mógł w to uwierzyć. AynSulthor. Księżę Herilimów. Władca Ahrimana. Pokonany przez trzynastoletnią dziewczynę. Płonące oczy Maolmórdhy zniknęły pod opuszczonymi powiekami. Potrzebował nowego wojownika. Nowego kapitana. Kogoś, kto mógłby poprowadzić gorguny do zwycięstwa, zmieść tę dziewczynę i wszystkich druidów za jednym zamachem. Ale tutaj nikt nie zasługiwał na to stanowisko. Nie było żadnego wojownika godnego zastąpić

Sulthora. Trzeba będzie poszukać gdzie indziej. Nie miał wyboru. Gorguny potrzebowały przywódcy.

Niezwykłego przywódcy.

*

Finghin siedział sam w nasłonecznionej komnacie. Nie była to już kwadratowa, uboga izdebka ucznia ani nawet większy pokój druida. Ernan mianował go Wielkim Druidem i teraz Finghin cieszył się przywilejem mieszkania w jednej z trzynastu luksusowych komnat zarezerwowanych dla Wielkich Druidów.

Wszystko potoczyło się tak szybko! Zaledwie kilka dni po jego inicjacji wydarzenia następowały po sobie w zawrotnym tempie, a świat z każdym dniem wydawał się coraz bardziej szalony.

Śmierć Ailina, Aodha i Aldero, ucieczka Alei, dziewczyny, która utrzymywała, że jest Samildanachem, a po niej ucieczka Felima i Galiada... Finghin przypominał sobie, jak uczynił Erwana swoim magistrem, zanim ten wyruszył na ścieżki Gaelii, usiłując odnaleźć dziewczynę.

Erwan, jego najlepszy przyjaciel, jego powiernik, który tak jak on spędził ostatnich siedem lat w twierdzy Sai-Mina i z którym dzielił radości i obawy. Gdzie jest teraz? Czy odnalazł ojca? Ocalił dziewczynę? Finghin był pewien jednego: Erwan żył. Wiedział to, ponieważ więzi łączące druida z jego magistrem były tak silne, że śmierć jednego nie pozostałaby bez echa w duszy drugiego. Zatem Erwan żył. Ale gdzie się podziewał?

Finghin podszedł do wielkiego okna. Smok, symbol Mojry, był wyhaftowany na czerwonych aksamitnych kotarach. Na zewnątrz panował upał, co jednak nie przeszkadzało magistrom i ich uczniom w trenowaniu. W pałacu każdy znajdował się w stanie najwyższej gotowości. Wojna była blisko, nie tylko wojna zresztą, liczne konflikty mnożyły się każdego dnia. Powrót Tuathannów wstrząsnął całą Gaelią. A może chodziło o coś innego...

Najmłodszy spośród Wielkich Druidów otworzył okno, by wpuścić do komnaty trochę świeżego powietrza. Lato było w rozkwicie. Nazajutrz, mimo trosk Rady, miało się odbyć Lugnasad, święto króla. Uroczystości zaplanowano głównie w Providence, na dworze króla Eoghana z Galacji i królowej Aminy, ale w całym kraju zamierzano uczcić nadejście lata: miały się odbyć liczne zaślubiny, gry, śpiewy, recytacje poematów, jarmarki, a w Sai- -Minie rytuał Lugnasad miał zgromadzić druidów wokół starego dębu na głównym dziedzińcu. Zazwyczaj król był zapraszany do pałacu druidów i asystował w przebiegającej zgodnie z uświęconym zwyczajem ceremonii. Jednakże tego lata ślub władcy i konflikt z Harcourt nie pozwoliły zorganizować tradycyjnej uroczystości. Finghin się domyślał, że nie były to jedyne przyczyny i że za oficjalnymi powodami kryły się rozmaite konflikty interesów.

Druid westchnął. Na zewnątrz wszyscy mieszkańcy Sai-Miny byli zajęci przygotowaniem. Lecz on nie potrafił się skoncentrować. Nie mógł skupić uwagi na niczym konkretnym. Odczuwał dojmujący smutek. Gdyby Erwan był tu razem z nim...

*

Każdego wieczoru trójka towarzyszy zasiadała niedaleko drogi, rozpalala ognisko i przygotowywała posiłek. W dzień natura oddychała, napełniała się kolorami, zapachami i światłem, wieczorami lato ofiarowywało podróżnym przede wszystkim rozgwieżdżone niebo.

Pod koniec posiłku Faith, kobieta bard, brała w dłonie harfę, by nauczyć Mjollna nowej melodii, którą powtarzał na swych dudach. Uczyła go sekretnych nut Smutku. Nieprzeniknionych skarg zarezerwowanych dla ludzi z jej kasty. Krasnolud był wniebowzięty. Jego marzenie, by pewnego dnia stać się bardem, dziś już nie było nieziszczalne. Faith była dobrym nauczycielem. Nastrój, który stwarzali podczas tych godzin wspólnego muzykowania, odganiał precz złe wspomnienia.

Dźwięki dud wygrywających Smutek każdego wieczoru towarzyszyły zbolalej duszy Alei. Śmierć Felima nieustannie ciążyła jej na sercu. Każdego dnia coraz bardziej tęskniła za starcem, mimo jego surowego obejścia i srogości. Owszem, kiedy jeszcze był przy niej, zarzucała mu wiele, często gniewała się, gdy odmawiał odpowiedzi na jej pytania, ale przywiązała się do niego. Poza tym był jedynym druidem, który chciał ją chronić. Co więcej, wolał zostać wygnany przez Radę, niż zostawić ją samą. Chciałaby móc powiedzieć mu, że bardzo doceniała ten gest i że mimo wszystko mu ufała. Chciałaby mu podziękować. Ale Felima już nie było.

Dlatego Alea nie była zbyt rozmowna od czasu bitwy w Lesie Borceliańskim. W jej oczach można było wyczytać ogromne wyrzuty sumienia i niepewność. Mimo towarzystwa przyjaciół czuła się samotna. Faith i Mjolln na próżno próbowali ją rozweselić. W głębi duszy obydwójce wiedzieli, że ich towarzystwo jej nie wystarczy. Alea potrzebowała odpowiedzi. Widziała tyle rzeczy. Odkryła tyle tajemnic.

Dlatego jej twarz była zacięta. Milcząca. Czasem dziewczyna posyłała swym bezsilnym towarzyszom niepewny uśmiech. Mimo milczenia i smutku pozostawała piękna. Elfy ofiarowały jej nowe ubranie, a Faith obcięła jej włosy do ramion. Już nie wyglądała jak mała złodziejka, a szlachetne odzienie o wiele bardziej pasowało do głębokiego spojrzenia jej skośnych oczu. Elfy ubrały ją w złoto i błękit, a biała peleryna na jej plecach przywodziła na myśl strój druidów. Zatrzymała dębową laskę Felima i nosiła ją z sobą wszędzie. Tak jak broszka, którą przypięła na piersi, laska przypominała jej o druidzie. Nie przejmowała się tym, co Rada sobie pomyśli. Czasem przewieszała laskę na rzemieniu przez plecy, ale najczęściej wspierała się na niej podczas marszu, pozostając w kontakcie z jedynym w swoim rodzaju emanującym z niej ciepłem. Jak gdyby Saiman był ukryty w rzeźbionym kawałku drewna.

- Mjollnie, grasz coraz lepiej - powiedziała uprzejmie, gdy krasnolud skończył nową arię Smutku.

Krasnolud się zdziwił. Wypowiedzi Alei były teraz rzadkie, a komplementy jeszcze radsze.

- Dziękuję, miotaczko kamieni. Wszystko zawdzięczam Faith! Moja pani, jesteś wspaniałym nauczycielem, o tak...

- Dziękuję, panie Abbac.

Lecz Faith również nie była w najlepszym nastroju. W jej głosie przebijał smutek stu dni pełnych żalu. Stu dni bez niebieskiego stroju barda, za to pełnych niezaspokojonej żądzy zemsty. Faith lubiła te nocne koncerty, ale wiedziała, że stanowią one jedynie krótkie chwile wytchnienia w walce, którą poprzysięgła stoczyć aż do końca. Nie było ani jednego wieczoru, ani jednej

nocy, by wspomnienie Maolmórdhy nie mąciło jej snu, którego tak potrzebowała.

Podczas tej krótkiej chwili ciszy towarzysze patrzyli na siebie wzrokiem pełnym zrozumienia.

- Faith - zaczęła Alea - wiem, o czym myślisz.

Kobieta bard uniosła brwi. Wciąż nie mogła się przyzwycząić, że dziewczynka, którą poznała u Kerryego i Tary, jest teraz nad wiek dojrzałą młodą osobą.

- Maolmórdha - podjęła Alea. - Myślisz o nim, nieprawdaż? Myślisz o obietnicy, jaką złożyłaś, a ja wraz z tobą. Pomścić śmierć oberżystów. Pomścić śmierć Felima.

Faith powoli pokiwała głową.

- Nie możemy jej nie spełnić. Co do mnie, sądzę nawet, że nie liędę miała wyboru. Ale zanim tego dokonamy, mamy inne sprawy do załatwienia.

Krasnolud odłożył dudy i nadstawił ucha, unosząc brew. Powaga rozmowy wcale mu się nie podobała.

- Hem. Co ty sobie znowu wbiłaś do tej ślicznej główki, co? Pomysł, by nie oglądać Maol-coś-tam-jakoś-tam, naprawdę bardziej mi odpowiada, hem!

Alea posłała mu uśmiech, w jej mniemaniu uspokajający.

- Najpierw chciałabym odnaleźć Erwana i Galiada - powiedziała.

Kobieta bard i krasnolud spojrzeli na siebie z niepokojem. Przypomnieli sobie chaos, jakim zakończył się bój z Sulthorem. Magistel i jego syn zniknęli tak nagle.

- Oni żyją - rzekła z naciskiem dziewczyna. - Przysięgam. Nie potrafię wam powiedzieć, gdzie są, ale moje serce czuje, że żyją. A poza tym jest jeszcze jedna sprawa...

Alea przerwała i spojrzała kolejno na każdego z towarzyszy.

- Wiecie już, co przekazały mi elfy podczas tamtej spędzonej u nich nocy: powiedziały, że muszę wypełnić... trzy proroctwa.

Milczała chwilę, patrząc przed siebie niewidzącym spojrzeniem. Teraz nie zwracała się już do swych towarzyszy. Mówiła do siebie.

- Trzy proroctwa. To może być odpowiedź na pytania, które sobie zadaję. Być może to jest wyjaśnienie. Droga, którą muszę iść. Muszę zrozumieć. Muszę szukać. Trzy proroctwa.

Faith z zakłopotaniem wzruszyła ramionami.

- Chciałabym ci pomóc, Aleo, ale istnieje tyle legend, w których jest mowa o proroctwach, tyle różnych historii... Nie wiem, do których odwoływały się elfy. Prawdę mówiąc, nie znam żadnej, która mogłaby mieć bezpośredni związek z tobą. Czy raczej wszystkie, absolutnie wszystkie mogłyby mieć z tobą związek...

- He, he, Faith! Zaczynasz mówić jak druid - zaśmiał się Mjolln.

Alea przytaknęła, ale jej wzrok w dalszym ciągu błędził ponad głowami towarzyszy.

- Muszę się udać do Mont-Tombe - powiedziała cicho.

- Do Mont-Tombe!?! - wykrzyknął krasnolud. - Cóż za pomysł! Do hrabstwa Harcourt? Nie zostaniemy tam zbyt ciepło przyjęci... Co to, to nie! Nie krasnolud dudziarz, nie bard wędrujący z misją i z pewnością nie młoda dziewczyna, która mieni się największą druidką swych czasów!

- Pójdę sama.

Krasnolud prychnął w białą brodę.

- No, następny pomysł! Jeszcze głupszy niż poprzedni! Ani Faith, ani ja nie mamy zamiaru zostawiać cię samej, miotaczko kamieni! Czyżbyś oszalała?

Faith położyła dłoń na ramieniu krasnoluda w uspokajającym geście. Chcesz iść do Mont-Tombe? Tak, możliwe, że tam znajduje się odpowiedź na twoje pytanie o te tajemnicze proroctwa. Myślę, że masz rację. Ale my pójdziemy z tobą, Aleo. Od tej chwili Mjolln i ja będziemy ci wszędzie towarzyszyć i dobrze o tym wiesz. Wystarczy, że będziemy ostrożni. Byłam już w hrabstwie Harcourt i znam obyczaje jego mieszkańców. Pójdę z tobą, by pomóc ci odnaleźć to, czego szukasz. Poza tym nie umiesz czytać. Aleo, potrzebujesz mnie. Nas.

Dziewczyna uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Brr - wzdrygnął się Mjolln. - Początek wyprawy zapowia- ła się idiotycznie! Na moich niewielkich przodków, jesteście szalone, obydwie!

W tej samej chwili Faith zerwała się gwałtownie. Gestem uciszyła krasnoluda. Alea zmarszczyła brwi.

- Słyszałaś? - zapytała kobieta bard.

Alea przytaknęła. Rozglądała się wokoło, próbując dostrzec, co mogło spowodować hałas dobiegający zza drzew i skał. Krasnolud podszedł do Faith.

- Co się stało? - zapytał cicho.

- Może nic - szeptem odpowiedziała Faith. - Usłyszałam hałas, stamtąd. - Wskazała na wysokie jesiony. - Pójdę zobaczyć.

- Zaczekaj! - zatrzymała ją Alea.

Saiman napępiał jej ciało. Od jakiegoś czasu był obecny bez przerwy. Utajony. Gotowy, by zacząć krążyć w jej żyłach. Wzrastający w jej ciele w obliczu najmniejszego niebezpieczeństwa. Alea zamknęła oczy i spróbowała zrobić to samo co Felim w tunelu prowadzącym do Borcelii. Wypuścił energię na zewnątrz, przed siebie, by ta zbadła ciemności.

Alea się skoncentrowała. Spróbowała wypuścić Saimana ze swego ciała, powoli, niczym falę głaszczącą piasek. Energia wzrastała w jej ramionach i biegła aż do czubków palców. Prawie jej się udało.

Mjolln i Faith rzucili jej niespokojne spojrzenie. W oczach krasnoluda można było nawet dostrzec cień wyrzutu. Nie podobało im się to, co się działo z Aleą. Nie rozumieli tego. Widzieli tylko swą przyjaciółkę, dziewczynę z zamkniętymi oczami i zmarszczonymi brwiami, która toczyła wewnętrzną walkę. Lecz nie śmieli jej przeszkadzać. Alea może i była młodą dziewczyną, jednak kiedy używała swojej mocy, po prostu się jej bali. Widzieli już, do czego była zdolna. Wiedzieli też, że nie mają ani siły, ani prawa, by jej w tym przeszkodzić.

Nagle Saiman pojawił się na zewnątrz, dookoła niej. Był niczym lawa niewidzialnego wulkanu. Magiczne obłoki kłębiły się z każdej strony, wolno przenikając powietrze. A Alea ujrzała świat za pomocą umysłu. Ujrzała dwoje przyjaciół. Widziała drzewa i wszystko, co było za nimi.

Jej twarz była całkowicie nieprzenikniona. Dziewczyna nagle głęboko odetchnęła i szeroko otworzyła oczy. Krasnolud i kobieta bard podskoczyli.

- To nic groźnego, Faith. To tylko konie. Tam - powiedziała, idąc w stronę drzew. - Zastanawiam się nawet, czy...

- Czy co? - zapytał Mjolln, idąc za nią.

Aleo otrzymał odpowiedź, zanim jeszcze Alea otworzyła usta.

- Alragan! - wykrzyknął, widząc swojego kuca wyłaniającego się z półcienia.
- Tadam! Co za niespodzianka!

Faith westchnęła z ulgą. Zatem to były jedynie konie skrywające się za drzewami. Szły prosto w ich stronę, jakby wiedziały, gdzie szukać swych jeźdźców. Był tam nie tylko Alragan, ale również Dulia, kuc Alei, oraz trzy inne wierzchowce.

Alea pobiegła do swego kuca, tuż za nią podążył Mjolln, jednak konie przestraszyły się i trzeba było sporo wysiłku, by je obłaskawić.

Kiedy przyjaciele pojмали w końcu zwierzęta i nakarmili je, podziękowali Mojrze, że im je oddała.

- To dobry omen, nieprawdaż? - zapytał uradowany Mjolln.

- Bez wątpienia - odparła Alea.

Dziewczyna podeszła do wierzchowca Galiada. Tak jak pozostałe zwierzęta, również ten był osiodłany. Galiad nie zadał sobie trudu, by rozkulbaczyć konie, kiedy musieli je zostawić przy wejściu do lasu elfów. Przypomniała sobie o małej sakiewce przytroczonej do siodła Galiada i zobaczyła, że nadal tam jest. Zaciekawiona wspięła się na palce, by otworzyć skórzany woreczek. Wewnątrz znalazła chustę z niebieskiego materiału. Widziała wiele razy, jak Galiad owijał nią czoło w dni zbyt gorące, by nosić hełm. Musiał o niej zapomnieć i bez wątpienia była to dla niego ogromna strata. Alea wzięła chustę i wsadziła do swej sakwy. Pomyślała, że w ten sposób zawsze będzie pamiętała o człowieku, który był wobec niej tak szlachetny i prawy. I przyrzekła sobie, że wkrótce go odnajdzie, by mu ją zwrócić.

Gdy skończyli zajmować się końmi, wrócili do ogniska. Noc zapadła już na dobre i Mjolln nie mógł powstrzymać ziewania.

- Idźcie się położyć - powiedziała dziewczyna. - Ja się trochę przejdę.

Krasnolud rzucił kobiecie znaczące spojrzenie. Zastanawiał się, czy te nocne spacery również ją niepokoiły. Od ich wymarszu z Borcelii nie było wieczoru, by dziewczyna nie przepadła na kilka godzin, nie chcąc towarzystwa i nie przyznając się, czemu służą te samotne nocne wędrówki.

I tym razem Alea wstała, nie mówiąc ani słowa więcej, i odeszła, pomachawszy przyjaciółom na pożegnanie.

Mjolln patrzył, jak sylwetka dziewczyny znika między drzewami. Westchnął, a potem wślizgnął się pod koc, mając nadzieję, że sen przyniesie uspokojenie.

*

Na kilka godzin przed obiadem Finghin wyszedł zdecydowanym krokiem na dziedziniec Sai-Miny. Przechodził przez plac, próbując nie przyciągać uwagi służby ani nielicznych magisteli, którzy ćwiczyli nieopodal. Dotarł przed dom piekarza i zastukał do drzwi.

Piekarz otworzył prawie natychmiast. Był to młody człowiek, nieco grubszy od Finghina, o rumianych policzkach, błyszczących oczach i ustach skorych do uśmiechu. Wytarł o fartuch obsypane mąką ręce.

- Mistrz Finghin! - wykrzyknął, zapraszając do środka.

Finghin wślizgnął się do izby, pochylając głowę.

- Asdem, nie nazywaj mnie mistrzem! Zawsze zwracałeś się do mnie po imieniu, William lub Finghin, i nie widzę powodu, by to dzisiaj zmieniać.

- Ależ jesteś teraz Wielkim Druidem! - bronił się Asdem, podsuwając mu krzesło.

- Może i jestem Wielkim Druidem, ale przede wszystkim jestem twoim przyjacielem, zatem możesz mi mówić Finghin - nalegał druid, siadając za piekarskim stołem.

Uśmiechnęli się do siebie. Obydwaj byli zadowoleni ze spotkania. W tych niespokojnych dniach nieczęsto mieli taką sposobność.

Piekarz także usiadł. On i Erwan byli najlepszymi przyjaciółmi druida, we trzech przybyli w tym samym czasie do Sai-Miny i podczas siedmiu spędzonych tu lat nawiązała się między nimi szczerą i głęboką przyjaźń.

- Masz pewnie mnóstwo pracy w związku ze zbliżającym się Lugnasad - powiedział Finghin, spoglądając na liczne bochenki chleba porozkładane na łopatach.

- Nie przyszedłeś tu, by rozmawiać o Lugnasad. Co cię trapi? - zapytał Asdem, nalewając przyjacielowi wina.

- A jak myślisz?

- Erwan? - zgadł piekarz.

- Wiesz, gdzie on jest? - natychmiast zapytał Finghin.

-Nie.

- Ja też nie. Ja... Przyszedłem cię poprosić, byś skorzystał ze swych kontaktów i spróbował znaleźć Erwana. Znasz odpowiednich ludzi, rzemieślników z gildii, bardów, wędrownych aktorów... Myślę, że mogłoby ci się udać wpaść na jego trop.

Piekarz pokiwał głową.

- W każdym razie mogę spróbować. Sądziłem, że to wy macie takie kontakty. Myślisz, że grozi mu niebezpieczeństwo? - zapytał z niepokojem.

-Wiem, że żyje. Ale nie mam pojęcia, gdzie może być. Wyruszył na południe, z pewnością na poszukiwanie dziewczyny, która stąd zbiegła. Ale dokąd dokładnie?

Piekarz odstawił kubek i utkwiał wzrok w przyjacielu.

-Jest w niej zakochany? - zapytał w końcu, uśmiechając się.

Finghin nie odpowiedział, ale również się uśmiechnął, a to wystarczyło Asdemowi za odpowiedź.

- Miłość... - westchnął piekarz. Upił łyk wina. Jego policzki stawały się coraz czerwieniejsze. - Dlaczego go nie zatrzymałaś? - zapytał.

- Próbowałem...

- Jesteś druidem, trzeba mu było rozkazać, by został!

- Nie rozkazuję przyjaciołom, Asdem. Nie. Zapytałem go, czy chce zostać moim magistrem, a on zgodził się związać swój los z moim na chwilę przed odjazdem. W ten sposób mogę czuć jego obecność. To dlatego wiem, że nie umarł.

- I to dlatego jesteś teraz bez magistela i bez przyjaciela!

- Asdem, nie praw mi morałów! Pozwoliłem Erwanowi wyjechać, bo jest zakochany. Szczerze zakochany. A co więcej, w nie byle kim!

- Kim jest ta dziewczyna? - zapytał piekarz podejrzliwym tonem.

- Nie słyszałeś o niej? - zdziwił się druid.

- Słyszałem na jej temat tyle rozmaitych rzeczy, że sam już nie wiem, co o tym myśleć. Niektórzy mówią, że jest Samildanachem, inni twierdzą, że sądzi,

iż nim jest, ale nim nie jest... Niektórzy utrzymują, że jest na usługach Harcourt, inni, że przybyła razem z Tuathannami... Mówi się również, że jest najlepszą przyjaciółką królowej Galacji, ale także że jest jedynie małą złodziejką z hrabstwa Sarre...

- Coś jeszcze? - Finghin był zaintrygowany.

Umie rozmawiać ze zwierzętami, z elfami... Niektórzy myślą, że przysłał ją Maolmórdha, inni, że Samael... Krótko mówiąc, ta dziewczyna jest tematem wielu rozmów, choć nikt jej nie widział! A co ty o niej wiesz?

- Wiem, że Erwan ją kocha. Nie mogę więc źle o niej myśleć. Wiem również, że jest przedmiotem wielkiego zainteresowania Rady, ale Rada nie bardzo wie, z kim właściwie ma do czynienia. No i wiem, że odnalazła pierścień Samildanacha, a w związku z tym jest szansa, że...

-Tak?

Finghin się zawahał. Był bardzo zaskoczony, słysząc własne słowa:

- Szansa, że teraz ona stała się Samildanachem.

Piekarz rozdziawił usta. Finghin wstał.

- Już wychodzisz? - oburzył się Asdem.

- Tak - odparł druid. - Ja też muszę się przygotować do Lugnasad. Ale błagam cię, zrób, co tylko możesz, by się dowiedzieć, gdzie jest Erwan. Nie chciałbym... nie chciałbym, by przytrafiło mu się jakieś nieszczęście. Wszystko zaś, co powiedziałem ci o tej dziewczynie, na razie zachowaj dla siebie.

Piekarz pokiwał głową i odprowadził przyjaciela do drzwi. Finghin odszedł, kierując się ku drugiej stronie placu, nie oglądając się. Wydał westchnienie, w którym ulga mieszała się z niepokojem. Wiedział, że może zaufać przyjacielowi. Asdem z pewnością odnajdzie ślad Erwana. Ale czy nie będzie za późno?

*

Alea wiedziała, gdzie ma szukać. Od wielu dni był to stały rytuał. Pewien rodzaj spotkania. Musiała tylko iść na południe, oddalić się od obozowiska, tak by nie być widzianą przez przyjaciół. Siadała wówczas na zroszonej trawie i czekała między drzewami, trzymając na kolanach łaskę Felima. Wsłuchiwała się w szum wiatru, swego starego towarzysza. W dźwięki wydawane przez warchlaki, które ryły w poszukiwaniu pożywienia. I zatapiała dłonie w ziemi.

Także i tego wieczoru wilczyca pojawiła się nagle za grubym /walonym lipowym pniem.

Biała wilczyca. Taka piękna! Nocą jej oczy błyszczały niczym dwie pochodnie. Czasami wydawały się puste i czarne, lecz przy najmniejszym ruchu głową zaczynały płonąć jasnym, żółtym światłem przenikającym nocny mrok. Latem futro się jej przerzedziło i wydawała się teraz chudsza. Jednak jej sylwetka na tym nic ucierpiała. Szlachetna i dumna. Wysoka, na wyprostowanych łapach. Jej zaokrąglone uszy unosiły się z każdym nowym szmerem, a ogon przecinał powietrze nieregularnym rytmem.

Wilczyca nigdy nie czuła się swobodnie, widząc Aleę. Powarkiwiała od czasu do czasu, a w tych odgłosach dało się wyczuć zakłopotanie, nieśmiałość i zdenerwowanie. Zrobiła kilka kroków, ale cofnęła się, niezdecydowana. Zgięła łapy, jakby zapraszała dziewczynę do zabawy, a potem znowu się cofnęła, powarkując.

Suma nie wiesz, czego chcesz.

Alca dostrzegła na sierści zwierzęcia plamy krwi. Przez chwili; zastanawiała się, czy wilczyca nie jest ranna, ale ponieważ cały czas poruszała się zwinnie, dziewczyna doszła do wniosku, że musiała to być krew upolowanej zdobyczy.

Poznajesz mnie, prawda? Oczywiście, że tak, skoro za mną idziesz. Ale wciąż się mnie boisz.

Wilczyca nie była jeszcze gotowa. Jej pamięć pełna była złych wspomnień. Obrazów, w których dwunożni polowali na nią, uderzali, czyhali na jej życie. Nie wiedziała, jak będzie z tą dwunożną, ale nieodparcie coś ją ku niej ciągnęło. Miała dla niej jakiś wrodzony respekt. Jak wobec dominującej samicy Piękna. *Jesteś piękna. Zbliź się...*

Wilczyca zaczęła się kręcić w kółko. Była zaniepokojona i podniecona jednocześnie. Nie chciała podchodzić, a jednak ta młoda dwunożna ją intrygowała. Potrzebowała czasu. Obydwie o tym wiedziały. Musiały nawiązać więź. Każdy wieczór zbliżał je do siebie. Ale na głębszą zażyłość było jeszcze zbyt wcześnie.

Nie wiem, dlaczego za mną idziesz, moja wilczyco, nie wiem również, dlaczego sprawia mi to przyjemność. Ale między nami jest coś jeszcze. Ty również to czujesz, prawda?

Wilczyca uspokoiła się i usiadła, nie spuszczać wzroku z dziewczyny. Długą chwilę tak siedziały, patrząc na siebie i przyzwyczajając się do swojej obecności. Noc była ich jedynym towarzyszem. Obie wiedziały, że łączy je jakaś niewidzialna, dawna więź, mająca niczym mgliste wspomnienie. Siedziały po prostu naprzeciwko siebie i to im wystarczało.

Kiedy Alea w końcu odeszła, wilczyca zawyla, unosząc głowę, a w jej wyciu było słycać radość.

Dziewczyna w milczeniu wróciła do obozowiska. Wycie wilczycy nie obudziło jej przyjaciół. Uśmiechnęła się, słysząc pochrapywanie krasnoluda, i spoczęła na pościeli przygotowanym przez Faith.

Położyła się na plecach i zatopiła spojrzenie w gwiazdach. Bezkres nieba przyprawiał ją o zawrót głowy. Lecz było to uczucie, które potrafiła opanować. Docenić. Bo pomagało jej zanurzyć się w świetle Djar. W świetle, w którym pokonała Sulthora. W świetle, w którym zgubiła Galiada i Erwana.

Co jest za gwiazdami? Czy jeszcze inne gwiazdy? Czy na jednej z nich dziewczyna taka jak ja spogląda w bezkresne niebo? Gdzie w tym ogromie jest Mojra? Poza nim? Czy raczej pośrodku? Obecna w każdej rzeczy. I dlaczego tam jest? Czego chce, jeżeli czegoś chce? Gdybym tylko mogła zrozumieć. Wszystko jest z sobą powiązane, widziałam to w Drzewie Życia. Mojra, Saiman, elfy, ja... Gdybym tylko mogła zrozumieć. Być może Felim byłby w stanie mi pomóc. Ale już go nie ma. A pytania, które zadaję, przerastają moich towarzyszy. Muszę napawać ich lękiem. Ale trzeba mi wiedzieć. Kogo mogłabym zapytać? Kto umiałby mnie poprowadzić?

Gdzie jesteś, Erwanie, gdzie jest twój ojciec? Do jakiej krainy uciekliście? Czy pewnego dnia będę mogła was odnaleźć?

Jestem w świetle Djar. Czuję siłę umysłu, który mnie niesie, klwi v mnie pcha. A jeśli się wysiłem, mogę sama wybrać kierunek. Pokonałam Sulthora, w tym miejscu nic nie jest niemożliwe.

Przypominam sobie, że widziałam tu wilczycę, wtedy gdy jeszcze mc rozumiałam. Biała wilczyca. Dlaczego za mną idzie? Dlaczego mogę ją

zrozumieć? Mówić do niej? Mam wrażenie, że ją znam, a jednocześnie wiem, że ona tego nie pamięta. Boi się mnie w tym samym stopniu, w jakim jest mną zaintrygowana. Wie, że mamy

cos wspólnego, co nas łączy, ale nie wie, co to takiego. Może po prosi u zapomniała? Może ja też zapomniałam? Tak bardzo chciałabym zrozumieć...

Nie widziałam jej w Drzewie Życia. Mam jeszcze tyle pytań! Mojra. Zastanawiam się, czy to nie jest jedyne prawdziwe pytanie. Czyym jest Mojra? Dlaczego nie mogę jej poczuć?

Pu jest skała. Ogromna skała powyżej drogi. Niczym kamienny olbrzym. Niczym kamienny olbrzym.

*

Samael stał się prawdziwym mistrzem w sztuce kłamstwa. W jego enigmatycznych wypowiedziach trudno było odróżnić prawdę od fałszu. Tyle już lat przeżył, ukrywając się przed Radą I >iuidów, tyle lat spędził wśród możliwych tego świata, tyle lat wolno wspinał się po szczeblach władzy. Przybrał imię Natalien i stał się jednym z głównych biskupów Thomasa Aeditusa na dworze I erena AFRoega, hrabiego Harcourt.

Samael świetnie się czuł w skórze biskupa Nataliena. Wzbudzał respekt, a nawet strach. Jego pobożność wydawała się jeszcze większa niż Aeditusa, a Samael postawił sobie za punkt honoru, liy grać swą rolę z nadzwyczajną gorliwością. W czasie modlitw sprawiał wrażenie całkowicie w nich zatopionego, nie opuścił ani jednej mszy, karał grzeszników, nagradzał najsumienniejszych Rycerzy Płomienia, a w jego czystość nie wątpił nikt. Z elegancją nosił swe pontyfikalne insygnia, amarantową albę, mitrę biskupią. Dawny druid stał się doskonałym reprezentantem kleru z Harcourt.

Ale jego zamiary były o wiele bardziej nieczne, niż mógłby przypuszczać nawet sam Thomas Aeditus. Samael był renegatem, wykluczenie z Rady Druidów sprawiło, że stał się zgorzkniały, agresywny i zepsuty. Interesowała go tylko jedna rzecz: chciał skraść druidom, tym, którzy go wypędzili, ich największy skarb - wpływy polityczne. Aby tego dokonać, był gotów na wszystko, nawet na flirt z religią i przywdzianie biskupiej mitry. Poza tym dotąd nie spotkał ani jednego biskupa, w którego intencjach nie kryłaby się chęć załatwienia jakichś tajemnych interesów, a to bawiło go jeszcze bardziej.

Tak jak wszędzie indziej, również w Rii trwało poruszenie. Wojna była nieuchronna. Jedyłą niewiadomą stanowił wybór różnych hrabiów w kwestii zawieranych sojuszków. Wydawało się oczywiste, że Galacja oraz druidzi zrobią wszystko, by podburzyć resztę kraju przeciwko Harcourt, hrabstwu zamieszkanemu przez jedynych chrześcijan na wyspie. Była to zbyt piękna okazja dla tego szelmy króla i jego druidów manipulantów. Wysłanie przez Radę emisariusza, Wielkiego Druida Aodha, było jedynie formalnością dla zamydlenia oczu. Druidzi wiedzieli, że Harcourt nigdy nie zaakceptuje układu z nimi. Tak czy inaczej Samael zaskoczył Wielkiego Druida, zanim ów dotarł do zamku hrabiego. Tyle mocy, tyle lat spędzonych na zgłębianiu tajników Saimana, a biedny Aodh nie potrafił uniknąć zwykłej zatrutej strzały. Samael uśmiechnął się na wspomnienie spadającego z konia druida przeszyciego śmiertelnym ostrzem.

Zabicie Wielkiego Druida sprawiło mu pewną przyjemność, ale jego śmierć nie zmieniła niczego w kwestii nadciągającej wojny Galacja i druidzi bez trudu wciągną do niej Sarre i Bizanię, a może nawet Tuathannów. Harcourt pozostała zatem jedyna karta w tym rozdaniu: Ziemia Brunatna, której hrabia, Meriand Mor

Płękny, nienawidził swego królewskiego brata. Samael był pewien, że z łatwością mógłby przekonać Merianda do połączenia armii lii Byzańczyków z armią Harcourt, by pokonać Galację, druidów oraz Tualhannów. Z pewnością nie będzie to łatwa wojna, ale on Samuel Haskatan, Oskarżyciel, miał przewagę: nikt nie wiedział, Mo ukrywa się pod imieniem biskupa Nataliena.

Wszedł do gabinetu Thomasa Aeditusa, którego wcześniej poprosił o rozmowę.

-Rozgość się, Natalienie, skończę tylko ten list i będę do twojej dyspozycji.

Aeditus był stary, ale odznaczał się trzeźwością umysłu i żelazną wolą. Udało mu się w pojedynkę zaszcześcić religię chrześcijańską na terenie hrabstwa Harcourt. Niewielu ludzi w Gaelii znało historię tego tajemniczego człowieka, ale Samael, jak każdy Wielki Druid, owszem.

Aeditus pochodził z Brittii, ziemi położonej za Morzem Południowym. Kiedy miał szesnaście lat, został porwany przez Kilulyskich wojowników i stał się niewolnikiem w Gaelii. Irgenda głosiła, że wiara spłynęła na niego podczas niewoli, ale w końcu Samael wątpił. Po sześciu latach służby u jednego z galilyskich notabli młodemu Aeditusowi udało się zbiec i powrócić do Brittii, gdzie przez piętnaście lat studiował teologię. Tam, daleko od złych wspomnień z młodości, marzył, by zostać biskupem, jednak jego liczne prośby zawsze były odrzucane z powodu niejasnej przeszłości. Kiedy jednak zaproponował, że uda się na północ, by nawrócić na wiarę chrześcijańską wyspę Gaelię, wreszcie został podniesiony do godności biskupiej i mógł rozpocząć misję będącą rewanżem wobec tych, którzy uczynili z niego niewolnika. Ponieważ czuł nienawiść do Galacji, skierował swe kroki ku hrabstwu Harcourt. Po dziesięciu latach udało mu się nawrócić hrabiego Ferena AFRoega, a potem jego poddanych. Aeditus został mianowany przywódcą religijnym Harcourt oraz zwierzchnikiem Rycerzy Płomienia, którzy stali się zbrojnym ramieniem Kościoła. W ten sposób dał początek lokalnemu klerowi. Mianował biskupów, ustanawiał diecezje, a poprzez rozwój klasztorów przyczynił się do rozpropagowania słowa pisanego w całym hrabstwie. Z Mont-Tombe uczynił centrum uniwersyteckie oraz religijne i tu kształcili się przyszli adepci kapłaństwa.

Thomas Aeditus mieszkał w pałacu biskupim w Mont-Tombe, ale teraz hrabia wezwał go do siebie, by pomógł mu podczas nadchodzącego kryzysu.

Aeditus wolno złożył list i zapieczętował go gorącym woskiem.

- Czemu zawdzięczam twoją wizytę, Natalienie? - zapytał w końcu, uśmiechając się do gościa.

Samael odwzajemnił uśmiech. Tak bardzo bawiło go, że nazywają go Natalien, iż obawiał się, że pewnego dnia jego wesołość go zdradzi.

- Wasza Miłość, chciałbym się udać do Ziemi Brunatnej.

- Rozumiem. Do tego stopnia interesujesz się polityką? - zapytał biskup podejrzliwym tonem.

Samael wiedział, że Aeditus czegoś się domyśla. Ten jednak nigdy nie przeszkadzał mu w działaniu. Może starzec czerpał z czynów Samaela jakąś korzyść? Jak to sprawdzić? Każdy z nich miał na sumieniu tyle matactw, tyle

kłamstw i manipulacji. Jakby obydwaj szpiegowali się nawzajem, wiedzeni ciekawością większą nawet od nieufności. Jakby obaj czekali, dokąd ich to wszystko zaprowadzi.

- Wasza Miłość musi zostać przy hrabim Al'Roegu, a po Waszej Miłości ja jestem najodpowiedniejszym człowiekiem, który może przekonać Ziemię Brunatną, by zjednoczyła się z nami - odpowiedział Samael.

- By zjednoczyła się z nami w wojnie czy w wierze chrześcijańskiej? - zapytał Aeditus, choć z góry znał odpowiedź.

- Myślę, że jeśli teraz zaproponujemy im, by zjednoczyli się z nami na czas wojny, potem bez trudu ich nawrócimy.

- O ile nie przegramy tej wojny, Natalienie - przerwał starzec. - Nie atakujemy jedynie Galacji, ale również druidów, a może nawet Tuathannów.

Nasza armia jest teraz najsilniejsza w całym królestwie Gaelii. Jeżeli uda nam się pokonać Wielkiego Króla, będziemy mogli posadzić Merianda na tronie, a cała Gaelia przejdzie na chrześcijaństwo.

-Wiem, ale druidzi...

-Druidzi? - trochę za szybko odparł Samael. - Czy ich władza jest ważna przed obliczem Boga?

Były to zbyt śmiała uwaga. W tych okolicznościach Aeditus nie powinien wspominać o swoich obawach wobec druidów: przyznawał w ten sposób, że Mojra nie tylko istnieje, ale że jest silniejsza niż boska moc. Jednakże siła druidów była całkiem realna. Tak realna, że stanowiła prawdziwy problem dla Kościoła. Aeditus już dawno wiedział, że jego największymi wrogami byli druidzi. W rzeczywistości wiedział to od początku, ale nigdy jeszcze nie spotkał człowieka, któremu tak spieszo było położyć kres władzy Rady.

Wydaje mi się, że nienawidzisz druidów jeszcze bardziej niż ja - powiedział Aeditus, utkwivszy wzrok w Samaelu.

-Mam swoje powody - wyznał Samael.

-Wszyscy je mamy, Natalienie.

Zamilkli na długą chwilę. Aeditus wstał i podszedł do dużego, otwartego okna, które znajdowało się za jego szerokim biurkiem. Patrząc na ogromne ogrody zamku w Rii, odwrócony plecami do swego rozmówcy, podjął sztucznie uroczystym tonem:

Sądzę, że rzeczywiście w interesie zarówno hrabstwa, jak i Kościoła leży, byś udał się do Ziemi Brunatnej. Masz moje błogosławieństwo, Natalienie.

-Dziękuję, Wasza Miłość.

Samael wstał i wyszedł z komnaty, nie mówiąc już ani słowa.

*

Ceremonia Lugnasad trwała do późnej nocy. Wielki dziedziniec Sai-Miny pustoszał z wolna, pochodnie gasły jedna po drugiej, gdy druidzi i bardowie powracali do swych pokoi.

Przez cały dzień pałac pozostawał miejscem wystawnej fety. Sai-Mina gościła jak co roku rzemieślników z Sarre, rolników, hodowców, którzy przybyli tu, by kupować i sprzedawać swoje wyroby lub wymieniać się nimi pod życzliwym okiem druidów. Niektórzy mieszkańcy Sarre korzystali z Lugnasad, by prosić druidów o pomoc w rozstrzygnięciu sporów. Był to obowiązek ludzi w białych płaszczach. Tego dnia musieli łagodzić kłótnie, go-

dzić zwaśnionych, znajdować szczęśliwe rozwiązanie konfliktów okolicznych panów. Późnym popołudniem odbywała się ceremonia zaślubin. Ślubów również udzielali druidzi. Łączyli mężczyźni i kobiety znakiem Mojry w samym sercu Sai-Miny. Podczas uroczystego posiłku liczni bardowie mieli sposobność, by zaprezentować swe poematy i pieśni, podczas gdy biesiadnicy kosztowali wykwintnych dań przyrządzonych przez pałacowych kucharzy. Sarreńczycy nigdy nie jadali tak dobrze jak podczas Lugnasad. W każdej oberży próbowali lokalnych specjałów. W jednej przygotowywano cynaderki wołowe z liśćmi szczawiu i rzeżuchą, w innej można było spróbować przepysznej potrawy z królika podlanej białym winem i przyprawionej hojnie pieprzem i bazylią, w jeszcze innej klientom spieszo było zjeść comber zajęczy w cydrze, podawany z maślakami delikatnie podduszonymi w sosie. A wino wszędzie lało się strumieniami.

Po posiłku ludzie przeważnie wychodzili z pałacu i z oberż podchmieleni i szli na równiny Sarre, by uczestniczyć w grach i wyścigach organizowanych z okazji święta, podczas gdy druidzi i bardowie, zgromadzeni wokół prastarego dębu, rozpoczęli ceremonię Lugnasad. Bardowie akompaniowali procesji druidów pieśnią i dźwiękami instrumentów. Grali w sposób uduchowiony i tajemny. Na ogromnym okrągłym stole okalającym wielki dąb ustawiono płonące jasnym światłem świece oraz kwiaty, które przez cały dzień znosili mieszkańcy Sarre. Z najniższych gałęzi drzewa zwisały czerwone i białe wstążki. W wielkim kamiennym kręgu od strony północnej stało wielkie naczynie z krystalicznie czystą wodą, od południowej zaś długa świeca. Wielcy Druidzi powadzili procesję, wiodąc bardów, druidów, uzdrowicieli oraz uczniów ze wschodu na południe. Arcydruid wypowiadał słowa: „Powiedliśmy was od ciemności ku światłu, a jest to trudna podróż!” Potem Arcydruid szedł w kierunku północnym, zanurzał il li m u' w naczyniu z wodą i ciągnął: „Jednakże okazaliśmy się silni. A poprzez naszą siłę wzrosliśmy. Niech Mojra nie przestaje rozciągać światła tam, gdzie panują ciemności, niech przynosi nowe życie a my podążajmy jej ścieżkami”. I ceremonia trwała do chwili, y.ily wszyscy stawali naokoło dębu, kobiety ujmowały w dłonie i czerwone wstążki, a mężczyźni białe. Taki był rytuał Lugnasad.

O północy na podwórku Sai-Miny nie było już nikogo. Cała służba pałacowa dawno oddaliła się na spoczynek. Tylko Finghin siedział na jednym z trzynastu dużych kamiennych tronów. Był pogrążony w myślach. Jego niepokój narastał. Z oddali dobiegały odgłosy świętujących, którzy krzyczeli z radości, wyrывая z nocnych godzin ostatnie chwile przyjemności, rzadkie momenty zapomnienia w swym nędznym życiu.

-Chcielibyście być na zewnątrz?

Finghin się zerwał. Rozpoznał głos Arcydruida. Ernan podszedł bezszelestnie i być może obserwował go już od dłuższego i zasu. W normalnych okolicznościach Finghin usłyszałby jego k roki, ale był tak głęboko pogrążony w myślach, że ledwo zauważa!, co się działo dookoła. Z powrotem usiadł na tronie. Próbował nie dać po sobie poznać, że pytanie Arcydruida go poruszyło. I'ozą tym nie mógł się przyzwyczaić do tego, że starzec zwraca się do niego per „wy”, a tak było od chwili, gdy otrzymał tytuł Wielkiego Druida. „Domyśla się, że myślę o Erwanie. Uprowadził mnie. Uczynienie z niego magistela nie było dobrym pomysłem. Jak on to powiedział? »Szlachetne, ale głupie«. Kiedy zapytał, czy chciałbym być »na zewnątrz«, chciał powiedzieć

»daleko«, przy Erwanie... Muszę się do tego przyzwyczaić. Ludzie nie będą ze mną rozmawiali tak jak przedtem. Będę musiał się nauczyć czytać między wierszami. Każda najbliższa rozmowa staje się potyczką umysłową. Retoryka nie ogranicza się jedynie do komnaty Rady, jej zasady obowiązują również poza nią, w tej chwili... Ale skoro przyjąłem nominację na Wielkiego Druida..."

- Na zewnątrz? Nie, nigdy nie przepadałem za nocnymi zabawami. Ale bawi mnie słuchanie, jak świętują inni. Słyszycie ich? - zapytał Finghin z udawaną naiwnością. - Można by pomyśleć, że nie mogą przestać...

- Nie możemy kontrolować tego wszystkiego, co dzieje się poza pałacem - powiedział Arcydruid z uśmiechem.

„Wie, że zrozumiałem, co chciał powiedzieć. Dobrze. A więc grajmy dalej”.

- Nie jestem pewien, czy można by było to zrobić, nawet gdybyśmy opuścili Sai-Minę - odparł Finghin. - Kiedy ktoś wbije sobie coś do głowy, czasami trudno sprawić, by zmienił zdanie. A poza tym nie co dzień... ludzie mogą świętować Lughnasad.

Ernan się uśmiechnął. Wydawało się, że docenia finezję swego rozmówcy. Przywodziła mu na myśl owe długie wieczory, które spędzał na rozmowach z Ailinem. Poprzedni Arcydruid uczynił z nich codzienny rytuał.

- A wy, Finghinie? Nie macie czasem ochoty wbić sobie czegoś do głowy? Można być Wielkim Druidem, ale zawsze ma się na coś ochotę, nieprawdaż?

„Sprawdza mnie. Ale gra jest zbyt łatwa... I dlaczego porusza ten temat?”

- Największym pragnieniem, jakie miałem w całym swoim życiu, było stanie się Wielkim Druidem. Jest to życzenie, które dziś się spełniło. Dzięki wam. Zatem chciałbym tego stanu doświadczyć w pełni. Jest to najważniejsza rzecz ze wszystkich, które mogłyby pchnąć mnie do wyjścia na zewnątrz...

- Doprawdy? - zdziwił się Arcydruid, wspierając się na swej długiej białej lasce. - Byliście tam tego dnia, gdy Felim przeciwstawił się Ailinowi, prawda? Niczego wtedy nie poczuliście? Byliście wstrząśnięci postawą naszego brata Felima czy może zazdrościliście mu trochę?

„Tym razem nie wiem, czy mnie sprawdza, czy chce, bym wyjawiał, co naprawdę leży mi na sercu”.

-Czasami - podjął Ernan - wypadki są niezbędne, a czasami, wiecie o tym, nawet korzystne dla obu stron.

-Sądzicie, że odejście Felima było korzystne? - zapytał Finghin.

-Ach, mój bracie. Jak wam to powiedzieć? - Starzec usiadł na tronie po prawej stronie Finghina. - Weźcie na przykład stado wilków. Kiedy nadchodzi zima, czasami zdarza się, że terytorium zajmowane przez stado nie obfituje w zwierzynę. Stado jest zbyt liczne. A szczenięta z ostatniego miotu nie mają jeszcze roku. Są przyszłością stada.

-One... one zapewniają przeżycie, o to chodzi?

Tlak. A wilki wiedzą, że to, co liczy się ponad wszystko, to przeżycie klanu. Przyszłość. W takim wypadku zdarza się, że stado musi pozbyć się jednego ze swych dorosłych. Zatem rozpoczynają się konflikty i walki między dominującą parą i innym wilkiem z watahy. Często walki stają się tak gwałtowne, że zadręczony wilk ustępuje i opuszcza stado na zawsze. Rozstanie jest okropne. I dla tego nieszczęsnego osamotnionego wilka, i dla członków watahy. Ale przynajmniej równowaga w stadzie zostali' przywrócona. Ma ono większe szanse na przeżycie zimy. A samotny wilk może założyć nowe stado, gdzieś indziej, na innym terytorium łowieckim.

Arcydruid przerwał na chwilę, jakby chciał sprawdzić, jakie wrażenie wywarły na Finghinie jego słowa. Po chwili podjął wątek.

- To, co jest interesujące, Finghinie, to fakt, że wypędzony wilk nie zawsze jest tym najsłabszym w stadzie. Owszem, często jest to ten, który stoi niżej w hierarchii klanu, ale niekoniecznie jest najsłabszy fizycznie. Rozumiecie, co chcę powiedzieć?

- Nie jestem pewien - przyznał Finghin.

Kiedy potrzeba indywidualizmu staje się silniejsza niż instynkt stadny, lepiej, żeby indywidualność została wykluczona z grupy, choćby chwilowo, by zachować równowagę. To może okazać się bardzo korzystne dla pozostałych. Trzeba tylko potrafić się wykluczyć. Felim pokazał nam, co tak naprawdę się liczy: być wiernym samemu sobie. Nawet jeżeli to przeszkadza pozostać... w grupie.

Finghin przytaknął. Nie do końca pojmował, co Ernan chciał mu powiedzieć, ale wydawało mu się, że wychwytuje ogólny sens. Przynajmniej jeden z sensów. Czy była to obrona wyboru Felima, czy refleksje dotyczące Erwana, czy też ostrzeżenie dane samemu Finghinowi? Być może wszystko naraz. Młody człowiek westchnął i powiedział ironicznym tonem:

- Nie widzę w tym większego związku ze świętem Lugnasad!

Uśmiechnęli się do siebie. Arcydruid wstał.

- Nie wiem, jak powiedzieć to, co chcę ci przekazać...

„Dlaczego nagle przeszedł na »ty«? Bez wątpienia teraz mówi ze mną otwarcie. Bez zbędnych peryfraz”.

- Sądę, że Ailin umiałby to wyrazić w bardziej subtelny sposób, delikatniej. Tak, byś mógł to zrozumieć. Ja... Bardzo mi na tobie zależy, Finghinie, i myślę, że w Radzie jest więcej takich, którzy pokładają w tobie nadzieję. Saiman w tobie jest bardzo silny, a ty potrafisz słuchać. Ale ponieważ jesteś wspaniałym druidem, musisz podążać za swym instynktem. Tak jak Felim. Radą bez wątpienia niedługo wstrząśnie największy kryzys w jej historii. Jeżeli Alea jest rzeczywiście tą, którą obawiamy się, że jest, ów kryzys prawdopodobnie będzie nas kosztował wiele, może nawet nasze istnienie. Będę miał kłopot z utrzymaniem spójności Rady. Ailin umiałby zrobić to lepiej niż ja. Lecz jednego jestem pewien, Finghinie: nie jesteś tu przez przypadek. Masz w tym wszystkim do odegrania jakąś rolę. To Mojra umieściła cię tutaj. Nie wiem, czy będziesz mógł zwalczyć ten kryzys, czy tylko pomóc nam go przetrwać, ale musisz słuchać swego instynktu. Swych racji. Mojry.

Nie powiedział ani słowa więcej, odwrócił się i odszedł tak cicho, jak przyszedł.

PRZED WROTAMI SIDU

Z każdym dniem Filiden coraz bardziej przypominało miasta podziemnego świata Sid. Tuathannowie ozdabiali ulice i budynki barwami plemiennymi, przekształcając miasto niczym nowy dom, w którym mieli zamieszkać. Stawało się teraz niebieskie: ml dachów po flagi, od zasłon po kwiaty w pękatach donicach. Wyburzano wszystkie domy, które miały więcej niż jedno piętro, by nadać horyzontowi rozległą płaskość podziemnego światła. Każdy klan instalował się w wyznaczonej dla niego dzielnicy. Życie organizowało się powoli. Dorośli mieli swoje zadania, dzieci i młodzież coraz bardziej podobał się świat ludzi.

Sarkan Młodszy, przywódca klanu Mahatangor, a co za tym idzie, przywódca wszystkich Tuathannów, siedział ze skrzyżowanymi nogami przed wysokim złotym lustrem z Bizanii, w ogromnej komnacie, która służyła za kwatery główną. Patrząc na swoje odbicie, usiłował poskromić swą niecierpliwość, zrozumieć czas i żyć każdą sekundą. Jego wspaniałe ciało odbijało się w lustrze - wyrzeźbione mięśnie, wyprostowana sylwetka, szerokie ramiona, starannie zaplecione grzebień z niebieskich włosów. Oddychał powoli. Jego ruchy przypominały ćwiczenia medytacyjne, jakie wykonywali młodzi druidzi, ale on chciał jedynie nauczyć się żyć poza Sidem. Jego obowiązki doskonale nadawały się do ćwiczenia cierpliwości.

Tego popołudnia czekał na przybycie posłańca. Ważnego posłańca. Tego, który miał mu przywieźć uznanie przez druidów i Galację jego pierwszego zwycięstwa. Pierwszego zwycięstwa jego ludu.

Czekając na to wydarzenie, Tuathannowie zainstalowali się w Filiden, a klan Sarkana zajmował teraz dawne koszary miejskie. Przywódca klanu znalazł w nich idealne miejsce na zakwaterowanie swych poddanych i rozlokowanie ich dobytku. Przywódcy pozostałych klanów przychodzili tutaj, by zasięgnąć jego rady, poprosić o osąd w danej sprawie lub po prostu zdać mu relację ze stanu ducha swych żołnierzy. Niektórzy z niecierpliwością oczekiwali wyruszenia w bój. Inni uznali Filiden za idealne miejsce, by uczynić je stolicą. W jeszcze innym klanie było za mało kobiet i równowaga plemienna pozostawała zagrożona. W kolejnym na próżno usiłowano odkryć sekret mocy druidów... Lecz wszędzie unikano jednego słowa: Sid. Dla wielu ów świat był już jedynie wspomnieniem, czymś równie wspaniałym, jak nieosiągalnym. Dorośli wiedzieli, że prawdopodobnie już nigdy tam nie powrócą, a dzieci usiły po prostu o nim pamiętać. Lud tuathanneński pozostawał pod ziemią przez prawie czterysta lat. Czterysta lat dla ludzi, wieczność dla mieszkańców Sidu, gdyż pod ziemią czas wydawał się nieokreślony. Powolny, prawie nieruchomy.

Lecz młodzi Tuathannowie zapominali o tym z upływem każdego dnia. Dla nich liczyło się jedno: terażniejszość. Tak też było w wypadku Tagora, syna Sarkana. Przywódca plemienia często nie zgadzał się z synem, który jak większość dorastającej młodzieży ze wszystkich klanów chciał, by walki dobiegły końca, a życie stało się spokojne. Młodym podobało się Filiden, nie chcieli niczego więcej. Tagor nie rozumiał nienawiści, jaką ojciec odczuwał wobec ludzi. Nie rozumiał jego potrzeby zemsty. Po pierwszym ataku strachu

wywołanym upływem czasu i śmiercią szybko przyzwyczał się do życia w Gaelii i chciał po prostu z niego korzystać.

Pojęcie czasu o wiele szybciej pojawiło się w umyśle młodych niż starszych i to powodowało pragnienie, by nie tracić ani sekundy, a co za tym idzie, by zaprzestać wojny. Ale u Tuathannów, tak jak w świecie ludzi, decydujący głos nie należał do młodych.

Sarkan przypomniał sobie, jak był dzieckiem. Przypomniał sobie najazd ludzi przybyłych z południa, którzy zabili jego ojca, wujów i braci. Przypomniał sobie ucieczkę pod ziemię i to, jak dorastał z ciężkim sercem we wnętrzu świata, pod zgorzkniałym wzrokiem kilkorga dorosłych, którzy przeżyli. Nigdy nie wybaczy ludziom i nie zapomni o tej wojnie. Jest to winny swym przodkom.

Nagle ktoś zapukał do drzwi i Sarkan poderwał się, wytrącony / rozmyślał niczym z głębokiego snu.

Posłaniec z Galacji - zaanonsował wojownik tuathan- nenski.

Niech wejdzie - odpowiedział Sarkan.

Człowiek, który wszedł do komnaty, był wysoki i szczupły, na karku czerwonych szatach widniał herb Wielkiego Króla, diamentowa korona. Nie był wojownikiem, jego ciało nie miało w sobie dość tężyzny, jego mięśnie były zbyt suche, ale z jego wzroku lśniła pewność siebie charakterystyczna dla żołnierzy. Król nic przysłał byle kogo.

Bądź pozdrowiony, Sarkanie, niech Ziemia uzna ciebie i twój klan.

Mówił w języku tuathanneńskim i znał obyczaje tego prastarego ludu.

Jestem Taliendre O'Ballian, wysłannik Eoghana Mora z Galacji, Wielkiego Króla Gaelii, syna Conora Mac Nessa, Zjednoczonego i zyciela. Przybywam, by ofiarować ci pieczęć, za której pośrednictwem Wielki Król ofiarowuje ci część Ziemi Brunatnej, od lasu Toman aż do szczytu Dinan.

- Pieczęć? - zdziwił się Tuathann. - Chcesz powiedzieć, że nie przywozisz mi żadnego traktatu czy noty? Żadnego dokumentu?

- W Gaelii słowo pisane nie ma żadnej wartości. To Mojra dyktuje nam nasze czyny i zapisuje słowa w naszej pamięci. Druidzi dają nam słowo, a Wielki Król ofiarowuje swą pieczęć jako dowód dobrej woli. Na tej wyspie nie ma godniejszego zastawu, który mógłbym wam dostarczyć.

Sarkan skinął głową.

- Niech tak będzie.

Wstał i podszedł do królewskiego wysłannika.

- Bądź pozdrowiony, Taliendre. Niech Ziemia uzna ciebie, twego króla i twój klan. Pokaż mi ową pieczęć.

Galatyjczyk podał mu tubę ze złoczonego metalu. Pośrodku zatopiono mały okrągły zbiornik, w którego wnętrzu można było dostrzec odcisk diamentowej korony.

- Akceptujemy nadanie tej ziemi zdobytej krwią naszych braci. Tu będą żyli nasi współplemieńcy. Nazwiemy ten kraj Eriu. Chcę, byś przekazał tę wiadomość królowi i jego hrabiom. W Eriu wzniosę świątynię Tuathannów.

Posłaniec pozostał w Filiden cały wieczór i noc. Został przyjęty niczym przywódca klanu. Nazajutrz wczesnym rankiem wyruszył w drogę powrotną przez równiny Galacji, rozmyślając o konfliktach, które rozgorzeją w następstwie tego jakże głupiego paktu. Ziemia Brunatna nigdy nie pozwoli, by ktoś odebrał jej część terytorium. Harcourt nie przyjmie przyjaźni nowego

sąsiada. Lecz on był jedynie posłańcem i losy świata nie zależały od niego w najmniejszym stopniu.

*

Szli cały dzień, kierując się w stronę majaczących na horyzoncie postrzępionych szczytów pasma Gor-Draka. Dobry humor Mjollna przywracał podróży dawno zapomniany smak. Krasnolud dużo się śmiał, a jeszcze więcej mówił. Choć w głębi duszy wiedział, że zmierzali ku nowym niebezpieczeństwom, korzystał z tych dni marszu po równinach galatyjskich, nie rozmyślając o tym przesadnie. Gadał za to jak najęty i jego towarzyski znały teraz wszystkie szczegóły jego życia i rozlicznych przygód, gdyż uczeplił się tego właśnie tematu. Zaczynając każdą z historii nieśmiertelnym zwrotem „Czy już wam opowiadałem, jak...”, wywoływał uśmiech na twarzy Faith, co jednak nie przeszkadzało mu to w dokończeniu opowiadania.

Po południu, korzystając z rzadkiej chwili, gdy krasnolud milczał, Faith podjechała na swym wierzchowcu do kuca Alei i zagadnęła:

-Aleo, kiedyś opowiadałaś mi o przyjaciółce z dzieciennych lat...

-O Aminie?

-Tak. Czy to ona poślubiła Wielkiego Króla?

Alea była zaskoczona. Pytanie Faith było niespodziewane.

-Tak, słyszałam, jak mówiono, że odbyły się zaślubiny (liciałabym tam być. Wiedzieć o wszystkim, co działo się z Aminą, jak spotkała Wielkiego Króla, jak doszło do tego, że się pobrali... Wiesz, gdy opuszczałam Sarateę, myślałam tylko o jednym: by ją odnaleźć. Ja... Powiedzmy, że wydarzenia mi na to nie pozwoliły - zakończyła, wzdychając.

-Sądysz, że o tobie myślała?

Alea zmarszczyła brwi.

-Oczywiście! Byłyśmy sobie bardzo bliskie.

-Wiesz, zdarza się, że czas zmienia ludzi. Nie mogę liczyć na przyjaciół z dzieciństwa, których tak kochałam, a którzy dziś są im zupełnie obcy. Jeśli twoja droga oddaliła ją od ciebie, pomyśl, że jej droga mogła oddalić ją jeszcze bardziej...

Alea wzruszyła ramionami.

-Nie wiem. Ale jestem pewna, że pamięta. Dlaczego o nią pytasz?

-Aleo, jeśli to, co mówią, jest prawdą, twoja przyjaciółka z dzieciństwa została królową! Królową Gaelii, wyobrażasz to sobie? Może powinniśmy pojechać, zobaczyć się z nią i poprosić o pomoc.

- Król w dalszym ciągu nas poszukuje - przerwała jej dziewczyna.

- Tylko dlatego, że wymogli to na nim druidzi. Może zmieniłby zdanie, gdyby żona powiedziała mu, że jesteś jej przyjaciółką. Tak czy inaczej dobrze byłoby wiedzieć, czy to naprawdę ona.

- Sprawdźmy to w najbliższym mieście, przez które będziemy przejeżdżać - zaproponowała Alea.

- Wczoraj całe królestwo świętowało Lugnasad. Święto Wielkiego Króla. Ludzie nie mogą nie znać imienia królowej. Jesteśmy z pewnością jedynymi, którzy nie uczestniczyli w ostatnich wydarzeniach. Jak dokładnie się nazywała?

- Amina Salia - odparła Alea, a potem się uśmiechnęła.

- Dlaczego się śmiejesz?

- Wyobrażasz sobie? Była córką kowala, a teraz jest królową! Podczas gdy ja byłam jedynie sierotą...

Nie dokończyła zdania. Jakby słowo „Samildanach” napawało ją lękiem. Lub jakby wiedziała, że wypowiadając je, przestraszy Faith.

Milczały przez chwilę.

- Myślisz, że jest szczęśliwa? - zapytała Alea, rozmarzona. - Amina, królowa...

- Skąd mam wiedzieć? - odrzekła Faith z rozbawieniem.

- A ty chciałabyś poślubić Wielkiego Króla?

- Nie - wyznała kobieta bard.

- Dlaczego nie wyszłaś za męża?

Faith się cofnęła. Alea umiała wprawiać rozmówcę w zakłopotanie!

- Jestem bardem - odpowiedziała.

- Bardowie nie zawierają małżeństw? - zapytała bezceremonialnie Alea.

- Rzadko.

- Ale ty nigdy... nigdy nie byłaś zakochana?

Tym razem kobieta bard nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Jesteś dość niedyskretna, Aleo.

- Kiedyś widziałam, jak patrzysz na Galiada, tak... natarczywie

Faith nie odpowiedziała. Zamiast tego wybuchnęła śmiechem, odwracając głowę. Alea również się roześmiała, a było to tak rzadkie zjawisko, że zaintrygowało Mjollna, który wjechał pomiędzy lmv,irzyszki.

- Z czego się tak śmiejecie?

- To cię nie powinno obchodzić, dudziarzu! - odparła Faith, mrugając porozumiewawczo do Alei.

Mjolln pomruczał trochę, a potem spiął kuca i wysunął się na przód.

Kompania jechała w upale popołudnia. Konie nie wydawały mi; z męczone, jakby również miały ochotę na przygodę. Jakby wabiły je tajemnicze przyszłości.

Alea znowu zwróciła się do kobiety.

- Faith, kiedy pobierałaś nauki, by stać się bardem, czego dowiedziałaś się na temat Mojry?

- O co dokładnie ci chodzi?

- Sądzę, że nikt nie wyobraża sobie Mojry tak samo. Dla Sarreńczyków jest boginią, która decyduje o losie każdego człowieka, dla innych jest przeznaczeniem, a chrześcijanie podobno uważają, że mylimy Mojrę z tym ich Bogiem... Kiedy uczyłaś się u druidów, czego nauczyli cię o Mojrze?

Kobieta bard wahała się przez chwilę. Wolałaby, by na jej miejscu był Felim i odpowiadał na tego rodzaju pytania. Nie była pewna, czy potrafi znaleźć odpowiednie słowa.

- Mojra jest zasadą historii - powiedziała wreszcie. - Przyczyną różnic między terażniejszością a przyszłością. To ona wpływa na bieg rzeczy.

- Ale to takie naiwne, takie... niepełne! Nie mogę uwierzyć, że to ci wystarczy! - wybuchnęła Alea. - Mówisz o Mojrze, jakby była wielką damą, która wybiera nasz los.

Faith otworzyła usta ze zdumienia. Choć nie pierwszy raz widziała Aleę w przyпіływie takiej irytacji, zawsze napawało ją to lękiem. Dziewczyna zadreżczała się pytaniami, odkąd ujrzała Drzewo Życia, a Faith nie mogła jej pomóc. Mimo swego wykształcenia nie umiała wyliczyć wszystkich wyobrażeń ludzi na temat Mojry. A tego wymagała od niej Alea.

- Faith - podjęła Alea o wiele spokojniejszym tonem - sędzę, że Gaelijczycy całkowicie się mylą, jeżeli chodzi o Mojre. Myślę, że chrześcijanie myślą się co do swego Boga, uważam nawet, że druidzi myślą się co do natury Saimana. Myślę, że nikt nie zadał sobie dobrego pytania. Z tego wszystkiego, co mi powiedziałaś, jedno słowo wydaje mi się słuszne. Słowo „zasada”. Tak, sędzę, że to właściwe słowo. Istnieje zasada. Za tym wszystkim jest zasada. Może wiele zasad. Wszystko, co muszę zrozumieć, to to, co to za zasada. Gdzie znajdę dowód na jej istnienie? Do czego ona służy?

Potem umilkła. Lecz Faith dobrze wiedziała, że dziewczyna wciąż zadaje sobie pytania w głębi duszy. I nie odważyła się powiedzieć ani słowa. Czowała się bezsilna, ale wiedziała, że jej milczenie i gotowość słuchania były jedyną pomocą, jaką mogła służyć Alei. A z całego serca chciała jej pomóc. Widziała, jak z każdym dniem dziewczyna się zmienia, dojrzewa i nie ma możliwości, by cieszyć się życiem jak inne dzieci w jej wieku. Napawało ją to smutkiem, ale rozumiała, że Alea nie miała wyboru. Była ofiarą. Ofiarą tej zasady, którą usiłowała zrozumieć.

Po długim milczeniu Alea nagle się odezwała, jednak jej głos nie był już tak poważny jak poprzednio.

- Faith, jak się mówi „biała” w języku Tuathannów?

Kobieta bard się zawahała. Zastanawiała się, jaki był związek między tym dziwnym pytaniem a tymi wszystkimi, które miała zadała jej niedawno. Zachowanie Alei stawało się coraz bardziej niezrozumiałe.

- Nie znam zbyt dobrze tuathanneńskiego, ale sędzę, że *imala* - odpowiedziała wreszcie. - Dlaczego pytasz?

- *Imala* - powtórzyła wolno dziewczyna. - *Tak, to ładne imię.*

O czym ty mówisz?

Alea nic odpowiedziała, bo nagle rozbrzmiały radosne okrzyki krasnoluda.

-Oberża - wrzasnął Mjolln, zrywając kucyka do galopu. – Na Mojre oberża!

Aleai i Faith pogalopowały za krasnoludem. Prawdziwy galatyjski posiłek był luksusem, o jakim marzyli od wielu dni. Zapomnieli o wszystkim, co ciążyło na każdym dniu ich podróży, u pytaniach Alei, o śmierci Felima, o liście gończym wydanym przez króla, nawet o gniewie Maolmórdhy.

*

Galiad otarł czoło syna kawałkiem wilgotnego materiału. Słońce stało w zenicie i nic nie wskazywało na to, by upał miał zelżeć. Znajdowali się u stóp jałowych skał.

Magistel w dalszym ciągu był zdezorientowany. Z trudem przywoływał w pamięci wydarzenia ostatnich dni. Jak się tu znalazł? Przypomniawsobie o strasliwym pojedynku. O Herilimach.

O lesie. Przypomniawsobie, że upadł na kolana przed ciałem druida, któremu służył, Felima. Przypomniawsobie, że płakał. Że poczuł, jak życie jego pana rozwiewało się, znikowało na zawsze. Przypomniawsobie słowa Alei.

Niezrozumiałe słowa. A poza tym nic. Absolutna cisza, pustka w obliczu wieczności.

Miał wrażenie, że tutaj, w cieniu wielkiej skały, zbudził się / długiego snu. Powoli odzyskiwał świadomość, leżąc z twarzą zwróconą w stronę oślepiającego słońca. Z trudem się podniósł.

Gdy przyszedł do siebie, natychmiast dostrzegł nieruchome ciało Erwana. Przez chwilę myślał, że jego syn nie żyje. Nogi zaczęły mu drżeć. Podszedł, zataczając się, i położył dłoń na piersi chłopca. Czekał. Miał nadzieję. To była trwająca całe wieki chwila, podczas której życie zdawało się śmiercią. Chwila niczym wieczność. I tylko jedno pytanie: czy mój syn żyje?

W tej sekundzie serce Erwana zabiło. Galiad napiął mięśnie. Chciał poczuć drugie uderzenie, by zyskać pewność. Lewą ręką otarł pot ze skroni. Serce chłopca zabiło ponownie. Jego syn żył. Galiad westchnął, napęczniony ulgą i radością. Wiedział, że musi poszukać wody. Jeszcze trochę zostało w bukłaku. Dręczyło go pragnienie, lecz syn był teraz najważniejszy. Usiłował go obudzić, zwilżał mu usta i policzki, jednak młody człowiek był pogrążony w śpiączce.

Dwa dni minęły, a Galiad na próżno usiłował obudzić syna. Erwan był wszystkim, co mu zostało. Jedynym sensem życia. Felim umarł. Rada go wygnała. Nic gorszego nie mogło się przytrafić magistelowi. Galiad był wściekły. Nie chciał tego losu, który zgotowała mu Mojra. Podczas tych dni zajmował się synem tak troskliwie, jak tylko mógł. Oddał mu całą wodę, jaka mu została. Położył go w chłodniejszym miejscu i walcząc z pragnieniem, głodem i sennością, czekał, aż syn w końcu się obudzi.

Wieczorem trzeciego dnia Erwan otworzył oczy. Czwartego dnia mógł mówić, a piątego zrobił kilka kroków. Na jego ciele nie było śladu skaleczeń, jednak był słabszy niż człowiek, który odniósł poważne rany. Galiad również odczuwał ogromne zmęczenie. Coś się wydarzyło. Coś, czego żaden z nich nie był w stanie pojąć.

Szóstego dnia wieczorem, gdy jedli kawałek uwędzonego nad ogniskiem mięsa, zdecydowali się porozmawiać o minionych wydarzeniach.

- To Alea nas tu przywiodła - rzekł Erwan - żeby nas chronić. Nie wiem, jak to zrobiła, ale przypominam sobie, że to ona nas tu wysłała.

- Nie powinieneś być przyjeżdżać, Erwanie.

- Musiałem cię uprzedzić, że Rada was poszukuje, a sam chciałem... pomóc Alei.

Galiad się uśmiechnął. Wiedział.

- Musiała być szczęśliwa, widząc cię. Przybyłeś w dobrym momencie. Nie było to zbyt rozsądne, ale czasem trzeba się tak zachować. Dziękuję ci. Twój miecz bardzo się liczył w tej walce. Mam tylko nadzieję, że nie na próżno... Że Alea przeżyła. I Mjolln, i Faith. Był tam jeszcze Herilim. Najstraszniejszy ze wszystkich.

- Jestem pewien, że ona go pokonała - powiedział Erwan. - Skoro mogła nas wysłać aż tutaj, jej moc jest jeszcze większa niż moc druida.

Galiad wolał nic nie mówić. Jego syn miał rację, bez wątpienia, ale ta prawda była przerażająca. Jednakże wiedział, że świat i czeka wstrząs. Sam Felim go o tym uprzedził. Wszystko wskazywało na i o, że główną przyczyną nadchodzącej burzy była młoda Alea. Dlaczego właśnie ona?! A skoro Felim chciał ją chronić, skoro wolał nawet zostać wygnany przez Radę, niż opuścić dziewczynę. Galiad wiedział, że on też powinien tak uczynić.

- Felim nie żyje, prawda? - zapytał Erwan, ale z drżenia w jego głosie można było wywnioskować, że znał odpowiedź.

- Tak. Już nie czuję jego obecności. To... to okropne uczucie, synu.

Erwan zamilkł na moment. Miał tyle rzeczy do opowiedzenia ojcu. O tyle spraw chciał zapytać, tyle mu wyjawiać, a przede wszystkim zastanawiał się, co teraz zrobią. Dla niego liczyła się tylko Alea. Chciał wiedzieć, czy żyje. A jeśli tak, to gdzie przebywa. Chciał ją odnaleźć. Ale czy ojciec to zaakceptuje? Co zrobić? Jak zareaguje na to Rada?

Ojcie, rozumiem, co czujesz. Zanim wyjechałem, Finghin uczynił mnie swym magistrem. Chciałem, byś tam był w tym uroczystym dniu, ale pragnąłem cię odnaleźć, a Finghin nie chciał mnie puścić, jeśli nie... jeśli nie zwiążę się z nim. Teraz rozumiem więź, jaka łączy druida i magistra. To... to nadzwyczajne.

Galiad pokiwał głową. Odgadł to, kiedy Erwan bił się u jego boku z Herilimami. W jego ruchach, w jego instynkcie walki było coś nowego. Przejaw obecności Saimana.

- Jeśli był to wasz wspólny wybór, jestem szczęśliwy. Nie sądziłem, że nastąpi to tak szybko, ale prawdę mówiąc, od chwili przybycia Alei wszystko dzieje się w zawrotnym tempie. To z pewnością wola Mojry.

Finghin musi się o nas niepokoić. Chciałbym móc go pocieszyć. Móc z nim porozmawiać...

- Ale najpierw chciałbyś odnaleźć Aleę, prawda? - dokończył za niego Galiad.

Erwan pokiwał głową.

- A jak ty sądzisz? Co powinienem zrobić? - zapytał pokornie.

- Felim chciałby, byśmy byli przy Alei. Wyruszymy razem na poszukiwania, Erwanie, ale zanim to nastąpi, musisz odzyskać siły. Ja również.

Ojciec i syn zasnęli bez trudu, ale dla obojgu było to niespokojny sen.

Kiedy nazajutrz Erwan się obudził, spostrzegł, że ojca nie ma obok niego. Szybko wstał, ukłuty niepokojem, i rozejrzał się wokół. W zasięgu wzroku go nie było. Uniósł głowę wyżej i spojrzał w stronę zbocza góry. Tam ujrzał ojca kucającego przed wysoką, prostą skałą.

Zaintrygowany ruszył w jego stronę. Posiłek przygotowany przez Galiada pozostawił nietknięty. Kiedy Galiad usłyszał kroki syna, podniósł się i skinął, by podszedł bliżej.

- Spójrz! - wykrzyknął, wskazując gładką powierzchnię wysokiej skały. - Tutaj, ten symbol...

Erwan się zbliżył.

W skale wryty był znak: serce i korona otoczone dłońmi.

- Co to? - zapytał Erwan, odwracając się w stronę ojca.

- Symbol Samildanacha. Był na pierścieniu Ilvaina, który Alea znalazła na wrzosowisku... To doprawdy dziwne. To nie może być przypadek, prawda?

- Sądzisz, że to Alea zostawiła dla nas ten znak? - zapytał pośpiesznie

Erwan.

- Nie wiem, byłbym zdziwiony, gdyby tak było. Nie sądzę, żeby tu przyszła.

W tym momencie Erwan zmarszczył brwi.

- Przypominam... przypominam sobie teraz. To nie Alea nas tu przywiodła. W każdym razie nie bezpośrednio.

- Jak to? - zdziwił się Galiad.

- Nie wiem, czy to prawda, czy to był tylko sen, ale przypominam sobie, że wszedłem do jakiegoś cichego, pustego świata, gdzie była Alea, ty, ja i ostatni Herilim. Byliśmy jak sparaliżowani h. i wic nieprzytomni. A Alea do nas mówiła. Mówiła nam, hymny uciekali. Powiedziała, że muszę pomyśleć o

jakimś miejscu zanim się tam przeniosę. Jakby moja myśl mogła mnie przenieść. Urwał i popatrzył ojcu w oczy - Pewnie myślisz, że zwariowałem.

-Nic, nie, Erwanie, ja też to sobie przypominam. I również są- il/Inn, że to był sen. Przypominam sobie, jak mówiła: „Myście o dalekim miejscu”, czy coś takiego, prawda?

-Tak. I znaleźliśmy się tutaj. A ja nie mam pojęcia, co to za miejsce.

-Sądzę, że to góry Gor-Draaka. Ale dlaczego tutaj?

Syn wzruszył ramionami. Znowu spojrzeli na symbol wyryty w skale. To nie był przypadek. Jego obecność tutaj miała jakiś sens. Jednakże ów sens im się wymykał. Nie potrafili rozwiązać lei zagadki. Być może Alea знаła odpowiedź, ale żeby to sprawdzić najpierw trzeba było ją odnaleźć.

A oni nie mieli pojęcia, gdzie jej szukać.

*

Była to oberża z pewnością niezbyt tłumnie odwiedzana. Na niewielkim wzgórzu, na którym konie i kuce szukały ostatnich kępek trawy, wznosił się drewniany dom z podmurówką z palonej gliny. Konstrukcja była stara i dziwna, miejscami tak pochylona, że można by się zastanawiać, jak wytrzymuje upływ czasu. Dach wydłużał się na zachód, podtrzymywany dwoma belkami, i osłaniał niewielki taras, gdzie spędzano wieczory. Dwa kamienne kominy wylaniały się ze strzechy. Większy, który nie dymił, wychodził z głównej izby, drugi zaś z kuchni. Nad drzwiami kołysał się na wietrze szyld z napisem: Pod Pieczonym Udźcem. Namalowano na nim smakowity kawał jagnięcego udźca.

-Oto nazwa, na której widok cieknie ślinka! - wykrzyknął Mjolln, gdy zbliżyli się do oberży. Wszedł pierwszy, zacierając ręce, i pozdrowił gospodarzy gromkim głosem. W izbie jadalnej nie było ani jednego gościa, a dwoje oberżystów powitało krasnoluda zachęcającym uśmiechem. Alea i Faith weszły za Mjollnem. Izba była niewielka, ale przyjemna. Każdy szczegół świadczył o tym, że gospodarze kochali swój zawód oraz to miejsce. Stoły były przykryte białymi obrusami, na każdym stał wazon z bukietem kwiatów, ściany zdobiły obrazy, pod sufitem znajdowały się misternie wykonane lampy. Wnętrze imitowało pokład statku. Oberża znajdowała się daleko od większych miast, przy mało uczęszczanej drodze, ale jej wystrój był bez wątpienia o niebo lepszy niż wystrój niektórych wielkich zajazdów galatyjskich odwiedzanych przez licznych gości.

-Witam panie - powiedział okraglutki oberżysta, widząc Faith i Aleę.

Kobieta bard odwdzięczyła się magicznym uśmiechem, który, jak przypuszczała Alea, był przynależny członkom jej kasty.

- Chcielibyście tu spożyć posiłek? - zapytała korpulentna kobieta.
- Z wielką przyjemnością! - odpowiedział pośpiesznie krasnolud. - I zostaniemy na noc, jeżeli macie wolne pokoje.

Oberżystka się uśmiechnęła.

- W tej chwili jesteście naszymi jedynymi gośćmi - rzekła szczerze. - Siądźcie, musicie być bardzo zmęczeni. Przygotuję wam wieczerę. Ugotuję

swoją specjalność, a jeżeli nikt inny się nie zjawi, trudno. Mój mąż zje razem z wami.

Odeszła z uśmiechem do kuchni, zostawiając na miejscu swego wąsatego małżonka.

- Chcielibyście się czegoś napić? Cydru, melisy, piwa, miodu? A może herbaty?

Oczywiście to Mjolln odpowiedział pierwszy:

- Piwo! Dla mnie piwo! Hem.

- Ja napiłabym się cydru - powiedziała Faith.

- Ja... Tak, dla mnie również cydr - poprosiła nieśmiało Alea.

Jeszcze nigdy nie zamawiała cydru w oberży i zastanawiała się, czy to wskazane w jej wieku. Była zmieszana i rozbawiona jednocześnie. Jej życie stało się takie dziwne. Była Samildanachem, ale będzie piła cydr po raz pierwszy w życiu!

Oberzysta grzecznie skinął głową i odszedł po zamówione napoje.

- Wystrój tej oberży jest dziwny, prawda? - wyszeptała Alea, pochylając się w stronę przyjaciół nad niewielkim drewnianym stołem.

- Sądzę, że chcieli przywołać skojarzenie ze statkiem - wyjaśniła Faith z uśmiechem. - Morze jest niedaleko stąd, na zachód.

- Nigdy nie byłam na statku.

- Wiedząc, jak kierujesz barką - powiedział krasnolud żartobliwym tonem - myślę, że to dobrze!

I wybuchnął niepohamowanym śmiechem. Atmosfera oberży i myśl, że zaraz spróbuje specjalności szefowej kuchni, wprawiły go w doskonały humor.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Robi aluzje do naszej ucieczki z Sai-Miny - wyjaśniła Alea, również się uśmiechając. - Powiedzmy, że trochę oszukiwałam, by przyśpieszyć naszą przeprawę. Dziś cię to śmieszy, mój drogi Mjollnie, ale tamtego dnia nie byłś zbyt zachwycony!

Śmiech Mjollna powoli zamierał. Pierwszy raz mówił tak otwarcie o mocy Alei. Potrzebował tego śmiechu. Zastanawiał się, czy dobrze zrobił, ale poczuł się uwolniony od ciężaru.

- Przykro mi, że musicie przez to przechodzić - powiedziała cicho Alea, jakby usłyszała myśli krasnoluda.

- Nie powinno ci być przykro - odparła Faith.

- Trochę napawa was to lękiem, prawda?

- Oczywiście, jakżeby nie? Ale liczy się to, że ci ufamy, prawda, Mjollnie?

Krasnolud już się nie śmiał. Rozmowa zesłała na poważny temat, a on tego nie cierpiał, ale wiedział także, że Alea tego potrzebuje. Westchnął, a potem zdecydował się odpowiedzieć.

- My, krasnoludy, nie rozumiemy nic z Saimana. Hem. Tym lepiej lub tym gorzej. Nigdy nie było żadnego druida wśród krasnoludów, wiesz? Zatem to oczywiste, że się tego boję.

Milczał ze wzrokiem utkwionym w drzewnych słojach stołu. Po chwili podjął:

- Egoista. Hem. Taka jest prawda. Jestem egoistą, Aleo. Bo to, czego się tak naprawdę boję, to nie twoja moc... Hem. To nie to. Tak naprawdę boję się, że z jej powodu mogę cię stracić.

Alea położyła swoją dłoń na dłoni krasnoluda. Z trudem ukrywała uczucia. A nie był to czas ani miejsce na ich okazywanie. Westchnęła i powiedziała z uśmiechem:

- Nie, Mjollnie. Nie stracisz mnie. Ja też jestem egoistką i mam zamiar zostać z wami. Jednak wiecie, że muszę zrobić... to co mam do zrobienia. Ale teraz bardzo mi czegoś brakuje. Och, bardzo mnie wspieracie, o wiele bardziej, niż mogłabym żądać, i tak, że nigdy nie zdołam się wam odwdziaczyć, ale brakuje mi czegoś. Kogoś.

Krasnolud uniósł brew.

- Nie - podjęła Alea, uśmiechając się. - Nie mam na myśli Erwana, choć naprawdę bardzo za nim tęsknię...

- Felima? - zapytała Faith.

- Tak. Druida takiego jak Felim. Kogoś, kto rozumie Saimana, kto wie, kim jestem, ale niekoniecznie chce się mnie pozbyć... Kogoś, przy kim mogłabym zrozumieć, co mi się przytrafiło, przy kim mogłabym dalej się uczyć... Jestem okrutna, mówiąc wam to, ale wy nie możecie dać mi tego wszystkiego.

- Ależ masz rację, Aleo. Tak. Ale Felim był jedynym druidem, który mógł cię zrozumieć... Inni nie, o nie, inni nie.

Nie mogę uwierzyć, że wszyscy druidzi są źli, Mjollnie. Felim nie mógł być jedyny. Może był jedyny spośród Wielkich Druidów, a to też by mnie zdziwiło, ale niemożliwe, by był jedyny spośród druidów z Sai-Miny. - Kobieta bard przerwała, a w jej głosie można było wyczuć zdenerwowanie. - Mówicie o moich braciach, przypominam. I nawet jeżeli Rada popełniła błąd, czego nie jestem pewna, nie pozwalam wam tak mówić o druidach!

- Hem. Nie jesteś pewna, czy Rada się myli? Arcydruid chciał poddać moją miotaczkę kamieni śmiertelnej próbie! Nie, ja jestem pewien! Jak możesz w to wątpić?

- Ta próba okazałaby się śmiertelna, gdyby Alea nie była Samildanachem, a dziś jesteśmy prawie pewni, że nim jest, nieprawdaż? Z pewnością przeżyłabyś tę próbę i Ailin być może o tym wiedział. Nie należy zbyt pośpiesznie interpretować czynów i słów druida. Pod pozorną agresją wobec ciebie mogła się kryć chęć zjednania ci uznania innych... Kto wie?

Alea przytaknęła.

- Już o tym myślałam i nie jest to niemożliwe, Faith. Ale to nie czyni z Ailina dobrego człowieka. To, co mam do zarzucenia druidom, a co mnie dotyczy, jest o wiele głębsze niż ich czyny wobec mnie.

- Wielu z mych braci druidów ma czyste serca. Wielu z tych, z którymi się zetknęłam, kiedy zgłębiałam tajniki wiedzy mojej kasty, było prawymi ludźmi, a ich intencje były często lepsze niż moje. Jest wielu druidów tak dobrych jak Felim. Być może mało jest równie mądrych, ale niektórzy są tak samo dobrzy, jestem tego pewna.

- Chcę w to wierzyć - powiedziała Alea.

- Hem. Być może. Pamiętam ucznia, który był przyjacielem Erwana. Widzieliśmy go w Sai-Minie. Tak. Przypominasz sobie?

- Tak, William. Masz rację. Ten miał prawe serce, jak Erwan. Gdybym tylko mogła się z nim zobaczyć...

- Ale on był jedynie uczniem!

To nieważne. Chyba wkrótce miała się odbyć jego inicjacja. Może dziś już jest druidem. Erwan musi wiedzieć. Muszę znaleźć sposób, by nawiązać kontakt z Erwanem. Może będzie mógł mnie przedstawić swemu przyjacielowi. Koniec

końców masz rację, Mjollnie - zakończyła Alea z uśmiechem. - To Erwana mi brakuje.

- Proszę, proszę - zakpił krasnolud.

Rozmowę przerwał im oberżysta, przynosząc zamówione napoje. Alea pomyślała, że cydr jest trochę gorzki, ale po kilku łykach przyzwyczaiła się i doceniła ten nowy smak.

Zaledwie opróżnili kubki, zjawiała się oberżystka, niosąc dumnie wielki talerz, z którego unosił się smakowity zapach.

Kucharka przygotowała wyszukane danie. Jagnięcy udziec spoczywający w sosie obłożyła przeciętymi na pół cynaderkami hojnie natartymi tymiankiem. Po przymocowaniu sznurkiem cyna- derek do udźca usmażyła mięso na silnym ogniu. Kiedy wystygło, przykryła je ciastem, a potem zapiekła. Podała to przepyszne danie w towarzystwie kabaczków i ziemniaków.

Mjolln, jak to miał w zwyczaju, zatarł ręce, widząc owo dzieło sztuki kulinarnej. Pochlebilo to oberżystce, która obsłużyła go pierwszego. Krasnolud nie czekał, aż inni dostaną swoje porcje, i zaczął z apetytem zajadać to, co znajdowało się na jego talerzu.

Cała trójka jadła i nie odzywała ani słowem do końca posiłku, wydając jedynie pomruki zadowolenia i zachwytu.

Gdy uczta dobiegła końca, pochwalili oberżystkę i wyszli na niewielki taras. Roztaczał się stąd wspaniały widok na zachodzące słońce. Długo jeszcze rozmawiali w tę jasną letnią noc, aż wreszcie Mjolln i Faith oświadczyli, że idą się położyć.

- Dobrej nocy. Ja wybiorę się na mały spacer - powiedziała Alea, uśmiechając się do przyjaciół.

Lecz tego wieczoru Mjolln podążył za nią. Krasnolud, którego ciekawość wzrastała z każdą nocą, zdecydował, że musi wiedzieć, dokąd chodzi Alea. A ponieważ nie miał śmiałości spytać dziewczyny o pozwolenie, postanowił ją śledzić. Z pewnością odwagi dodało mu serwowane w oberży piwo.

Podążał zatem za Aleą przez pola, starając się iść bezszelestnie. Nie wiedział tylko, że Alea zauważyła go już na samym początku. Nie powiedziała ani słowa. W końcu miał prawo poznać prawdę.

Szła na południe, wiedziona instynktem, a kiedy była już dostatecznie daleko od oberży, poszukała miejsca, gdzie wilczycy najłatwiej byłoby się ukryć. Usiadła w trawie i czekała z rękami skrzyżowanymi na kolanach. Słysząc było jedynie cykanie świerszczy.

Siedziała tak bez ruchu kilka długich chwil. W inne wieczory wilczyca zjawiała się o wiele szybciej. Ale z pewnością wyczula obecność Mjollna ukrytego kilka metrów dalej.

- Mjolln! - zawołała Alea.

Krasnolud podskoczył. Nawet przez myśl mu nie przeszło, że dziewczyna go dostrzegła.

- Chodź i usiądź obok mnie!

Krasnolud westchnął i wyszedł ze swej kryjówki. Alea nawet się nie obejrzała, wiedziała, z której strony nadejdzie.

- Usiądź tutaj i nie rób hałasu. Cóż to, szpiegujesz mnie?

- Hem. Martwię się o ciebie, miotaczko kamieni. Zastanawiam się, co robisz każdego wieczoru, kiedy sobie idziesz, tak jak dziś. Tak. Boję się, że stanie ci się coś złego, to wszystko.

- Przede wszystkim jesteś okropnie wścibski! Cóż, jeśli chcesz poznać mój sekret, bądź cicho.

Krasnolud skinął głową, zaintrygowany. Nie był do końca spokojny, ale miał wielką ochotę poznać tajemnicę Alei.

Siedzieli obok siebie dobrych kilka chwil. Tak długo, że Alea zaczęła się zastanawiać, czy wilczyca rzeczywiście przyjdzie, kiedy nagle pośród liści mignęła biała sierść zwierzęcia.

Mjolln zacisnął dłonie na ramieniu Alei. Miał gęsią skórkę.

- Co... co to jest?

Dziewczyna się uśmiechnęła.

- Nie bój się. Patrz.

Alea wolno wyciągnęła rękę w stronę wilczyca. Między liśćmi widać było jej ślepią. Alea wykonała delikatny ruch ręką, by zachęcić zwierzę, i wilczyca zdecydowała się wreszcie wyjść z cienia. Podeszła kilka kroków, a potem zatrzymała się, utkwivszy wzrok w krasnoludzie.

- Eee, hem, trochę się boję - wymruczał Mjolln.

- Ciiii.

„Imała, podejdź bliżej. Nie bój się. To Mjolln. To mój przyjaciel”.

Wilczyca zawarczała cicho. Obróciła się kilka razy wokół własnej osi, a potem powoli zaczęła się zbliżać. Bardzo ostrożnie podchodziła do dwunożnych. Robiła kilka kroków i nieruchomiała. Wahając się i chwiejąc na przednich łapach, opuściła głowę. Alea jeszcze raz wykonała gest palcami. Wilczyca podeszła bliżej. Wkrótce była tak blisko, że jej ogon muskał stopy dziewczyny. Ale gdy Alea podnosiła dłoń, by ją pogłaskać, wilczyca robiła szybki krok do tyłu. Dziewczyna spróbowała kilka razy i dała spokój.

Imała wciąż odczuwała strach, poza tym nie знаła drugiego dwunożnego. Kilka razy okrążyła przybyłych, a potem nagle, jakby czegoś się wystraszyła, szybko pobiegła w mrok.

Alea wstała z uśmiechem na ustach i patrzyła, jak wilczyca znika między drzewami.

- Ten... ten... ten wilk od dawna idzie za nami? - zapytał Mjolln drżącymi wargami.

- To nie jest wilk - powiedziała Alea. - To wilczyca. Idzie za nami, bo ją o to poprosiłam.

Mjolln zmarszczył brwi.

- Teraz rozmawiasz z wilkami?

- Nie z wilkami. Z tą wilczycą. To nie jest byle jaka wilczyca. Ma w sobie coś wyjątkowego.

- Ach tak, a co?

Alea wzruszyła ramionami.

- Nie wiem... Ale wiem, że nie jest tu przez przypadek. Mamy coś do zrobienia razem. Czuję to.

- Skoro tak twierdzisz - odparł Mjolln wątpiącym tonem. - Dopóki nie okaże się niebezpieczna...

- Imała jest moją przyjaciółką. Nie jest niebezpieczna. To raczej ludzie są zagrożeniem dla wilków, wiesz o tym.

- Tralala. To nie tak mówią, nie, wcale nie tak - powiedział Mjolln, wstając.

Alea się uśmiechnęła.

- Nie trzeba wierzyć we wszystko, co mówią.

Krasnolud skrzywił się, a potem poszli razem w kierunku oberży.

- Tak czy inaczej - ustąpił Mjolln - jest bardzo piękna, ta twoja wilczyca, tak. I jaka biała! Rozumiem, tak. To dlatego pytałaś l'aith, jak się mówi „biała” w języku tuathanneńskim. He, he. Ale dlaczego w tuathanneńskim?

- Pewnego dnia Felim powiedział mi, że pierwszymi mieszkańcami Gaelii były wilki i Tuathannowie. To są w jakimś sensie nasi przodkowie. Pomyślałam sobie, że wilki muszą nosić imiona, jakie nadali im Tuathannowie.
- Mhm... Skoro tak...

Krasnolud bezradnie spojrział na Aleę. W głowie tej małej działo się tyle rzeczy, że nie umiał sobie tego nawet wyobrazić. I chociaż obiecywał sobie, że już nie będzie się niczemu dziwił, zachowanie Alei przekraczało wszelkie granice dziwactwa. Westchnął i nie zadał już ani jednego pytania. Poza tym zrobiło się bardzo późno i chciał jak najszybciej się położyć. Przyspieszył kroku, a kiedy dotarli do oberży i weszli do swych pokoi, krasnolud natychmiast zasnął.

*

Djar. Z łatwością rozpoznaję teraz ten świat. Nie śnię, podróżuję. Imąło, wiem, że jesteś niedaleko. Pewnego dnia będziemy mogły się tutaj zrozumieć, bo myślę, że tutaj nie będziesz się bała. Ale jest coś ważniejszego. Erwan. Muszę odnaleźć Erwana.

Dokąd mógł pójść? Powiedziałam mu, by odszedł ze swym ojcem najdalej, jak to możliwe. By pomyślał o dali. Czy to mu się udało? Nie zna Djar, z pewnością nie wie, jak się przemieszczać mocą myśli.

Byliśmy na południu wyspy. Nie. Nie mogę myśleć w ten sposób. Nie mogłem kontrolować swego ciała do tego stopnia, by wrócić do naszego świata. Jeśli udało mu się oddalić, to tylko w inne miejsce Djar. Nie do realnego świata... Być może tkwią gdzieś w tej przestrzeni. Mam nadzieję, że nic im się nie stało.

To... Co się dzieje? Wszystko staje się niewyraźne. To światło! Nie mogę patrzeć na to światło! Jest jak szeroki biały płomień. Krąży przede mną. Zamknąć oczy. Muszę zamknąć oczy. Ale czy to tutaj możliwe? Nie udaje mi się. Muszę to zrobić. To światło sprawia mi zbyt wielki ból.

Zamykam oczy.

Wiatr. Fala wiatru, która przenika moje ciało. Coś się stało. Być może z tym światłem. Może mogę na nowo otworzyć oczy. Teraz.

Otwieram oczy.

Felim. Przede mną.

- Druid?

To jedyne słowo, jakie znajduję. Uśmiecha się.

- Witaj, Aleo.

- Co...

- Mogę tu przychodzić, Aleo. Mogę tu przychodzić, ale nie na długo. To mnie bardzo dużo kosztuje. To... wyczerpujące!

- Felim! Mam tyle... To niemożliwe...

- Odnalazłaś świat Djar. Jesteś teraz taka silna, Aleo!

Muszę mu odpowiedzieć. Porozmawiać z nim normalnie. Jest tutaj. Nie mogę tracić ani chwili.

- Taka silna? Nie pojmuję połowy z tego, co chciałabym zrozumieć. Gdybyś tylko tu był...

- Rozumiesz już o wiele więcej niż większość druidów. Nie mam czasu, by dać ci wszystkie odpowiedzi, jakich szukasz. Poza tym nie znam ich... Ach. Jestem wyczerpany. To dla mnie takie męczące, być tutaj...

- Erwan?

- Istnieje przejście między wszystkimi światami. Jedno przejście między światem Djar a Gaelią. I między jeszcze innymi światami.

To tam musisz szukać. Drzwi Djar. To drzwi, przez które każdy może wejść do świata Djar lub z niego wyjść. Coś jak Manith Djar.

- Drzwi?

- Tak. I to przez te drzwi my również możemy wejść...

- Jacy „my”?

- Umarli, Aleo.

Obraz znika. Felim znika. Nie!

- Poczekaj!

Już mnie nie słyszysz. Chciałabym pójść za nim. Nie, nie powinnam.

Oczywiście. Nie mam prawa. Felim. Dziękuję, Felimie. Jak dobrze było cię zobaczyć!

Zamykam oczy.

Drzwi. Drzwi Djar. Jak je odnaleźć?

Imała. Może ona umie.

Idę. Idę, daleko stąd. Potem siadam. Tam. Pośrodku niczego. Jeśli zaczekam, ona przyjdzie. Moja wilczyca.

Nic. Kręci mi się w głowie. Wszystko jest takie puste. Nie powinnam o tym myśleć. Moja wizja się zamazuje. Wystarczy w to uwierzyć. Muszę tu zostać. Oddychać. Otworzyć szeroko oczy, uwierzyć i czekać.

Oto ona. Imała. Moja wilczyca. Zbliżyła się. Tutaj nie odczuwa lęku.

Nie boisz się. Rozumiesz mnie. Widzę to w twoich oczach. Widzę, w jaki sposób nas postrzegasz. Widzę twój strach. Twoje wspomnienia. Ahena. Pokonałaś tę wilczycę. I twoje szczenięta... Tak. Je również widzę. Ona je zabiła, prawda?

Jak tu przyszedłaś, skoro jesteś tylko wilczycą? Skąd znasz świat Djar? Jest w twojej pamięci, prawda? Nie chcesz, żebym zobaczyła? Też się boisz?

Pewnego dnia powinniśmy zobaczyć razem. W twojej pamięci, Imała. Musimy zrozumieć, prawda? Skąd tak dobrze znasz ten świat?

Prowadź mnie, Imała. Prowadź mnie do drzwi Djar. Potrzebuję, byś mnie tam zaprowadziła.

Tak. Idę za tobą. Nie bój się. Jestem za tobą. Nie wiem, dokąd mnie prowadzisz, dokąd się kierujesz, ale jestem tutaj, za tobą. Jesteś moim przewodnikiem, Imała.

Tam. Znowu światło. Tak. Widzę. Poczekaj.

Już jej nie ma. Aleja muszę dotrzeć.

Światło. Po prostu. Muszę się zbliżyć. Idę. Boję się. Oczywiście. Wszystkie światy zbiegają się tutaj. Wszystkie światy? Ile ich jest, Felimie? Mówiłeś o wielu światach.

Widzę otwór. Jakby otwór w świetle. Być może niebezpieczeństwo. Nieważne. Chcę zobaczyć. Zbliżam się. Jeszcze, jeszcze trochę, żeby zobaczyć. Tam. W tej nowej pustce. Niebieskie światło. Niebo. Potem, trochę niżej, góra. Jeszcze. Muszę podejść bliżej. Skala. Skala u stóp góry. Dwie sylwetki. Tam. Siedzące

przed tą ogromną skalą. Dwie znajome sylwetki. Galiad i Erwan. Tak. To oni. Muszę ich zawołać. Nie widzą mnie.

- Erwan! Jestem tutaj! Erwan!

Podnosi głowę.

Wszystko gaśnie.

*

Alea zerwała się gwałtownie, wyrwana ze snu. Ktoś pukał do drzwi. „Gdzie jestem? Ach, tak. Oberża”. Wstała, przecierając oczy. Za oknem była jeszcze noc. Nie widziała dobrze. Spod progu dobywał się promień światła.

Dziewczyna podeszła do drzwi, a potem znieruchomiała, nadstawiając uszu.

- Panienko!

Był to głos oberżystki. Niedużej korpulentnej kobiety, która tak gościnnie ich przyjęła. Czego mogła chcieć w środku nocy?

Alea zdecydowała się otworzyć. Wpuściła oberżystkę do izby. Gospodyni wyglądała na zakłopotaną. W prawej ręce trzymała świecznik, a lewą ręką dała znać, by Alea nie robiła hałasu.

- Panienko... Wy jesteście Alea, prawda?

- Co się dzieje?

- Niedawno przybyli tu żołnierze królewscy. W środku nocy Odczekałam, aż położą się spać, by was uprzedzić...

- Uprzedzić mnie? O czym?

- Panienko... Jest panienka poszukiwana w całym kraju! To wy, prawda?

Alea milczała. Przeznaczenie znowu ją dopadło. Czy nigdy nie zazna chwili wytchnienia?

- Sądzę, że powinniście wyjechać przed świtem.

„A jeśli to pułapka? Jak mnie rozpoznała? Nie. Powinnam jej zaufać. Nie mogę przez całe życie nikomu nie ufać. To uczciwa kobieta, czuję to”.

- Dlaczego mi pani pomaga? Dlaczego mnie nie wydaliście?

- A czemu miałabym to zrobić? - zdziwiła się oberżystka.

- Pewnie jest za mnie pokaźna nagroda.

- A co ja miałabym z nią robić? Mam wszystko, czego mi trzeba. I nawet przez chwilę nie myślałam, że jesteście złą osobą. Ani ta wspaniała kobieta, która wam towarzyszy, ani ten uprzejmy krasnolud.

- Dziękuję.

- A poza tym mówią o was wiele rzeczy...

- O mnie?

Policzki oberżystki pokraśniały. Nie ośmieliła się już spojrzeć dziewczynie w oczy

- Mówi się, że jesteście... Samildanachem. Dziewczyna! Dziewczyna Samildanach! To marzenie wszystkich kobiet!

Alea była zdziwiona.

- Marzenie?

- Panienko Aleo... Czy to prawda, co mówią? Jesteście Samildanachem?

- To słowo nic nie znaczy. To tylko stare wierzenia. Nie ma żadnego znaczenia. To, co się liczy, to ludzie tacy jak wy. Przypomina mi pani pewną kobietę, która była dla mnie bardzo dobra. Dużo jej zawdzięczam. Ale ma pani rację. Muszę uciekać. Nie mogę tu

zostać i opowiedzieć pani o tym wszystkim. Bardzo mi przykro. Musimy obudzić Mjollna i Faith.

- Jak panienka sobie życzy.

Alea westchnęła. Odkrywała właśnie nowy element, który będzie jej towarzyszył w życiu. Coś, czego nie może dłużej ignorować. Ludzie. Wyobrażenie, jakie mają o niej mieszkańcy Gaelii. Zaczynano mówić o niej w całym królestwie. To mogło być dla niej wielką siłą lub fatalną słabością. Nie mogła się jednak z tym nie liczyć. Musi się zastanowić. Lecz teraz trzeba było uciekać.

- Mam do pani prośbę...

Twarz oberżystki rozpromieniła się na te słowa. Bez wątplenia pomoc Samildanachowi stanowiła dla niej najwyższy przywilej.

- Czy zna pani dobrze jakiegoś barda? Barda, któremu pani ufa?

Kobieta wydawała się zaskoczona. Nie spodziewała się takiego pytania. Ale potwierdziła.

- Taelron. Tak. Często tu przychodzi. I jest dobry. Nie tylko w śpiewie i opowiadaniu historii. Jest również dobrym przyjacielem.

- Czy ma pani do niego całkowite zaufanie? - chciała się upewnić Alea.

- Gdyby moja córka jeszcze żyła, chciałabym, by wyszła za niego za męża!

- Dobrze. Czy mogłaby go pani poprosić, by zrobił coś dla mnie?

- Oczywiście! - prędko odpowiedziała oberżystka.

- Niech pani go poprosi, by przekazał wiadomość do Sai- -Miny. Ale ostrożnie! Ta wiadomość może dotrzeć tylko do jednej osoby. I to w największym sekrecie. Niech pani powie swemu przyjacielowi, by nie rozgłaszał jej wśród wszystkich bardów, ale przekazał tylko tym, do których ma absolutne zaufanie. Bo żaden inny druid, oprócz tego, dla którego jest przeznaczona, nie może usłyszeć tej wiadomości.

- Jaki to druid i jaka to wiadomość?

- William. Jest najmłodszym ze wszystkich druidów. William to jego prawdziwe imię, nie imię druidzkie. Nie wiem, jak teraz się nazywa, ale bardowie z pewnością wiedzą. A wiadomość jest następująca: żeby odnalazł mnie w Mont-Tombe.

- To wszystko? - zapytała oberżystka. - Po prostu w Mont- -Tombe? To niezbyt dokładne...

- Niech przyjedzie do Mont-Tombe, a ja go odnajdę.

Gospodyni pokiwała głową z powagą. W tej chwili Alea wiedziała już, że może na nią liczyć. Kobieta zrobi wszystko co w jej mocy, by dobrze wypełnić powierzone jej zadanie. Można to było wyczytać w jej oczach. Jaśniała w nich siła i determinacja.

- A teraz obudźmy pozostałych.

*

Powóz człowieka, który kazał się nazywać Natalien, ciągniony przez sześć potężnych koni, był otoczony przez imponujący oddział Rycerzy Płomienia. Składał się on z ponad pięćdziesięciu zbrojnych ludzi, o twarzach ukrytych pod szerokimi cylindrycznymi hełmami, mimo dojmującego upału. Na napierśnikach wygrawerowany był płomień Harcourt.

Biskup musiał odbyć podróż na południe, poza ziemie Harcourt, i dlatego potrzebował eskorty złożonej z wojowników chrześcijańskich.

Samael wolałby użyć Saimana, by przyspieszyć podróż, ale unikał robienia użytku ze swych mocy w otoczeniu ludzi, dla których był tylko biskupem Natalienem. Jego prawdziwa tożsamość powinna pozostać ukryta za wszelką cenę. Tylko tak mógł zrealizować swe plany. Minęło już wiele dni, odkąd opuścił Rię, a sierpniowe słońce z każdym dniem stawało się coraz trudniejsze do zniesienia.

Wiele dni upłynie, zanim dotrą do stolicy Ziemi Brunatnej. Tam Samael miał nadzieję przekonać hrabiego, by zjednoczył się z Harcourt przeciwko druidom i Tuathannom. Podróż ta stanowiła najważniejszy element jego planu. Armia Harcourt mogła być najlepsza na wyspie, ale nie wystarczy, by obalić Radę, a jedynie ta myśl zaprzętała Samaela. Obalić na zawsze władzę druidów i rządzić na ich miejscu wraz z suwerenami Gaelii. Trzeba było zatem uciec się do pomocy co najmniej Ziemi Brunatnej.

Nagle, zaledwie przekroczyli granicę Harcourt i przecinali region Gor-Draaka, oddział się zatrzymał. Samael usłyszał głos kapitana, który wydawał rozkazy swoim ludziom. Coś się działo. Rycerze dobyli mieczy. Odpinali tarcze od siodła. Ten, który niegdyś był Wielkim Druidem, wychylił głowę przez wąskie okienko powozu i ujrzał, jak rycerze ustawiają się w szyku bojowym. Nie mógł dostrzec, co spowodowało ów nieoczekiwany alarm. Wkrótce kapitan pojawił się obok niego.

- Wasza Miłość! Stanęliśmy oko w oko z plemieniem Tuat-hannów - wyjaśnił, nie zsiadając z konia.

- Nie możemy ich po prostu ominąć?

- Nie, Wasza Miłość. Jesteśmy w dolinie i nie ma na to miejsca.

- Czy oni również nas dostrzegli?

- Tak sądzę. Zatrzymali się. Chcecie, bym wydał rozkaz do ataku?

Samael zmarszczył brwi. Dał kapitanowi znak, by się zatrzymali, i wysiadł z powozu.

- Niech osiodłają mi konia! - rozkazał.

Biskup był starym człowiekiem, ale sprawiał wrażenie, jakby był doskonałego zdrowia, a kapitan przypuszczał, że kiedyś był wojownikiem, gdyż postawa duchownego była charakterystyczna dla żołnierza.

Samael zdjął swą fioletową albę oraz mitrę i odłożył je na skórzane siedzenie w powozie. Z łatwością dosiadł wierzchowca, którego mu przyprowadzono.

- Za mną! - rzucił w stronę kapitana.

Przeszedł do galopu i podjechał na czoło konwoju. Rycerze rozstępowali się z szacunkiem. Kiedy wysforował się na początek, zatrzymał się, a kapitan za nim.

- Zawracają! - wykrzyknął, widząc, jak plemię usuwa się z drogi. - Czy jesteście pewni, że to Tuathannowie?

- Całkowicie, Wasza Miłość. To ich barwy, ich szaty, a ja rozpoznaję także ich szyk bojowy.

- Skąd możecie to wiedzieć? - zdziwił się Samael. - Spotkaliście już tych dzikusów?

- Byłem w Filiden, kiedy najechali na miasto, Wasza Miłość. Mogę wam nawet powiedzieć, że jestem jednym z nielicznych, którzy przeżyli. To znakomici wojownicy.

- Dlaczego w takim razie odstepują?

- Może chcą nas zaatakować z flanki? - zasugerował kapitan.

- To niedorzeczne! Dobrze wiedzą, że ich widzieliśmy, a bez elementu zaskoczenia tego rodzaju atak byłby pozbawiony sensu. Nie, mam wrażenie, że ci barbarzyńcy chcą uniknąć walki.

- Wasza Miłość, trudno mi w to uwierzyć.

- Nie proszę, byście mi uwierzyli, tylko żebyście mnie posłuchali. Mówię wam, że się wycofują. Wiem, że bardzo was to dziwi, ale być może mają do wypełnienia jakąś misję, ważniejszą niż bój z nami. Być może wiozą coś i nie chcą, byśmy to zobaczyli. To nie strach pcha ich do ucieczki, zapewniam was. To raczej tajemnica. Chcę wiedzieć, co ukrywają. Kapitanie, zaraz zaatakujemy.

- Wasza Miłość, jest nas mniej niż ich, a ja chciałbym was eskortować aż do Ziemi Brunatnej i zapewnić wam jak najlepsze warunki podróży. Byłoby nierozsądnie tracić tu ludzi w walce, by potem nie móc zapewnić wam należytej ochrony, gdy będziemy w Ziemi Brunatnej. Nie sądzicie, że...

- Milczeć! - rozkazał Samael. - Tracimy tylko czas! Proszę natychmiast wydać swoim ludziom rozkaz do ataku. Musimy dopaść tych barbarzyńców.

Kapitan się zawahał. Rozkaz biskupa był aktem czystego szaleństwa. Na pierwszy rzut oka widać było, że Tuathannowie mają przewagę. Widział ich już w boju i wiedział, że jeden ich wojownik jest warty tyle, co trzech jego rycerzy. Lecz nie mógł sobie pozwolić na niesubordynację. Aż nazbyt dobrze zdawał sobie z tego sprawę. Usiłując ukryć zmieszanie, odwrócił się w stronę rycerzy i nakazał im przygotować się do ataku.

- Chcę, by sześcioro ludzi zostało przy biskupie Natalienie! - dorzucił.

Jednak Samael znowu zaprotestował.

- Nie! - krzyknął tak głośno, by usłyszeli go wszyscy. - Będę się bił u waszego boku, a w ten sposób Bóg będzie z wami!

Rycerze Płomienia wydali okrzyk, by poprzeć biskupa. Bez wątpienia nigdy wcześniej nie widzieli człowieka Kościoła, który gotów był walczyć.

Kapitan jako pierwszy spiął konia. Chwilę później wszyscy rycerze galopowali za nim. Między nimi jechał Samael.

Tuathannowie znajdowali się już w połowie zbocza, ale szli pieszo i nie mogli uciec ścigającym. Kiedy zdali sobie sprawę, że bój jest nieunikniony, zatrzymali się i zawrócili. Uformowali długi szereg na boku wzgórza. Na obu jego końcach stanęli łucznicy, a pośrodku wyprostowani, szerocy w barach wojownicy uzbrojeni w lance, topory bądź miecze, z nagimi torsami pokrytymi wojennymi barwami.

Samael miał już pewność, że się nie mylił: Tuathannowie pozostawili za sobą ogromny, okryty obszerną płachtą wóz. Coś nim wieźli. Coś drogiego. Teraz nie ulegało to już najmniejszej wątpliwości.

Rycerze Płomienia unieśli tarcze, nie przestając galopować. Wiedzieli, że wkrótce posypie się w ich stronę grad strzał. Widzieli, jak łucznicy napinają cięciwy i unoszą broń w kierunku nieba.

- Rozsunąć się! - krzyknął kapitan. - Nie zostawać w grupie!

Rycerze posłuchali i rozjechali się na boki, tak że wkrótce tworzyli szeroką ławę, która sunęła po zboczach nasłonecznionego wzgórza.

Samael zwolnił. Minęła go pierwsza linia rycerzy.

„Muszę użyć Saimana. Jeśli dobrze mi pójdzie, ludzie kapitana wezmą to za przejaw działania ich Boga. Muszę im dać przewagę, wystarczającą, by Tuathannowie się rozstąpili i żebym mógł przedrzeć się przez ich szeregi i sprawdzić, co jest na tym tak pilnie strzeżonym wozie”.

Były druid skoncentrował się. Galop jego konia nie sprzyjał opanowaniu Saimana, ale Samael bardzo szybko skupił w swoim ciele pokłady energii.

„Tarcza. Uformuję nad rycerzami tarczę z Saimana, by ocalić ich od nadlatujących strzał. I zanim zderzą się z piechotą, zwałę tę tarczę na Tuathannów. Przy odrobinie szczęścia zmiecie kilku z nich”.

Wróg był już niedaleko. Samael wypchnął przed siebie Saimana, który wystrzelił z jego palców. Poświęcił na to wiele energii. Miał wielką przestrzeń do ochrony. Defensywna taktyka kapitana okazała się kłopotliwa. O wiele łatwiej byłoby mu ochraniać ludzi, gdyby byli w grupie. Ale tego kapitan nie mógł wiedzieć.

Przez szeregi Tuathannów przebiegł okrzyk. Sygnał. Łucznicy jednym równym gestem wypuścili strzały. Leciały jedna obok drugiej, jedne wyżej, drugie niżej, ale wszystkie tak wymierzone, by osiągnąć cel - rycerzy, którzy nadciągali w pełnym galopie.

Jednakże w chwili, gdy strzały zaczęły spadać, wszystkie chybiły celu. Ci spośród Tuathannów, którzy śledzili wzrokiem trajektorię strzał, nie wierzyli własnym oczom. Cóż to za magia? Dlaczego strzały chybiały, będąc tak blisko celu? Inni dziwili się, że żaden z rycerzy nie spadł z konia. Niektórzy Harcourtczycy byli pewni, że uniknęli strzał, bo jechali bardzo szybko, inni byli przekonani, że zdarzył się cud. Cud, który zawdzięczają obecności biskupa. Żaden z nich nie zwolnił tempa.

Zostało już tylko kilka metrów. Samael podtrzymywał tarczę, wyężdżając wszystkie siły. Musiał poczekać aż do ostatniej chwili. Do chwili, gdy zderzenie dwóch oddziałów będą dzielić sekundy. Gdyby za szybko opuścił tę niewidzialną tarczę na pole przeciwnika, zbyt rzuciłoby się to w oczy i mogło wywołać panikę. Jeśli zrobi to w ostatnim momencie, uderzenie nastąpi w ogólnym zamieszaniu i wrzawie.

Utrzymanie niewidzialnej grubej tarczy wymagało wiele energii. Zaczynało mu już brakować tchu. Miecze Tuathannów uniosły się w górę. Szczęk metalu. Okrzyki wojenne. Zderzenie było bliskie. Poczekać jeszcze chwilę. Jeszcze chwilę...

Nagle resztką sił Samael usunął tarczę. Ostatnią falą energii, która mu pozostała, spróbował spuścić Saimana, tę niewidzialną masę, na szeregi Tuathannów. Potem nastąpiła eksplozja.

Początkowo Samael nie wiedział, czy udało mu się osiągnąć cel. Wiele ciał wystrzeliło w powietrze, ale chaos był tak ogromny, że trudno było stwierdzić, czy spowodowała to siła Saimana, czy po prostu zwarenie wrogich oddziałów. Miejsce bitwy spowijała chmura kurzu. Lecz kiedy ludzie zetknęli się naprawdę, kiedy galop koni przeszedł w nerwowe drobienie, Samael ujrzał, że wielu Tuathannów już nie żyło. Jego atak się powiódł. Nie czekał ani chwili dłużej. Musiał jak najszybciej dotrzeć do wozu.

Podczas gdy bitwa toczyła się zaciekle zaledwie kilka metrów od niego, Samael zsiadł z konia i opadł na kolana. Był wyczerpany. Musiał się na nowo skoncentrować, by zebrać w sobie jeszcze trochę siły Saimana. Był jednym z Wielkich Druidów, najślynniejszym z Rady w Sai-Minie. I nie stracił panowania nad druidzką mocą. Wystarczyło mu kilka głębokich wdechów, by z powrotem wejść w kontakt z siłą, która tkwiła w nim uszpią. Drugi napływ energii. Drugie źródło Saimana. Tym razem sprawa będzie mniej wyczerpująca. Robił to już wiele razy. Musiał spowić swe ciało Saimanem i przemieścić się niezauważony przez nikogo. Saiman okrążył go niczym tornado, tak że druid stał się niewidzialny.

Chroniony przed wzrokiem Tuathannów i swoich ludzi, Samael pognał w stronę wozu, którego strzegło czterech barbarzyńców. Wkrótce potem opuścił pole bitwy.

Walka stawała się coraz bardziej bezlitosna i zjadła. Tuathan- nowie byli doskonałymi wojownikami. Na wpeł nadzy i o wiele szybsi i zwinniejsi niż rycerze Harcourt, którzy walczyli w ciężkich zbrojach. Wojownicy z Sidu najpierw wymierzali potężne ciosy skierowane w głowy nieprzyjaciół rękąjeścią miecza bądź ostrzem topora. Razy były tak silne, że rycerze tracili świadomość na krótką, ale wystarczającą dla Tuathannów chwilę. Mogli wówczas zręcznie zagłębić czubki mieczy w ciałach swych ofiar tam, gdzie nie były one należycie chronione przez zbroję.

Rycerze padali jeden za drugim. Ci, którzy utrzymali się w siodle, przetrwali atak, ale z trudnością mogli dopaść zwinnych Tuathannów. Jednakże ludzie z Harcourt dali dowód odwagi i siły, z którą Tuathannowie rzadko mieli do czynienia.

Widząc taktykę wroga, kapitan zeskoczył z konia i zakrzyknął:

- Przegrupować się! Ścieśnić się! Ustawić się w okrag! Zsiadać z koni i ustawić się w okrag!

Rycerze przekazywali sobie rozkaz wzdłuż szeregu:

- W okrag! Na ziemię!

Niektórzy, wyczerpani, pozbywali się części zbroi. Walka stawała się coraz bardziej zaciekle. Wielu ich towarzyszy poległo, ale Bóg był po stronie Harcourtczyków.

- W imię Chrystusa i hrabiego Harcourt! - wykrzyknął kapitan, zanim ponownie rzucił się w wir walki.

Rycerze poszli w jego ślady. Miecze uniosły się w górę i opadły na Tuathannów. Tu komuś odrąbano głowę, tam komuś ramię. Krew lała się strumieniami. Wkrótce ziemię pokrywała warstwa czerwonego błota. Po drugiej stronie morderczego kłębówiska Samael zbliżał się do celu. Tuathannowie pilnujący wozu stali nieporuszeni mimo rozgrywającej się o krok od nich walki. Samael obszedł zaprzęg. Chociaż Saiman jeszcze go chronił, mógłby zostać zauważony, gdyby nie zachował ostrożności. Jego ciało było ciałem starca, ale moc i lata ćwiczeń sprawiły, że miało giętkość i zręczność młodzieńca. Wolno podczołgał się do wozu. Kiedy był u celu, wstał bezszelestnie i rozejrzał się, by sprawdzić, czy nikt go nie dostrzegł.

Wóz był przykryty skórzaną płachtą. Samael wyjął zza pasa sztylet i przeciął więzy przytwierdzające ją do wozu. Ostrożnie podniósł płachtę. To, co zobaczył, zaparło mu dech w piersiach.

Cztery Mañithy, których druidzi poszukiwali od setek lat! Cztery najwspanialsze magiczne przedmioty wytworzone przez byłych

Samildanachów. Kamień Przeznaczenia, Lanca Luga, Miecz Nuadu oraz Kocioł Dagdy. Wszystkie cztery! W nienaruszonym stanie. Rozpoznał je bez trudu, mimo że Tuathannowie owinęli je grubym suknem.

Samael nie mógł w to uwierzyć. Sądono, że przypadły na zawsze. Wielu druidów przypuszczało, że Tuathannowie ukryli je, zanim odeszli do Sidu. Lecz nikt nie mógł tego potwierdzić. A przecież te Manithy mogłyby zmienić bieg historii. Były to przedmioty o mocy większej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. I leżały tutaj, tak po prostu, na wyciągnięcie ręki.

Starzec głęboko odetchnął. Popatrzył w stronę pola bitwy. Tuathannowie zdawali się mieć przewagę. Nie mógł liczyć na to, że jego ludzie zwyciężą, a on zagarnie ten skarb. Musiał go zabrać natychmiast. Tylko jak to zrobić? Zawahał się. Ręce mu drżały. Czoło zrosiły krople potu.

Powziął decyzję. Wolnym ruchem podniósł płachtę prawą ręką, a lewą wsunął do wnętrza wozu, by wydobyć pierwszy przedmiot. Był to Miecz Nuadu, nie miał wątpliwości. Trzymał go mocno w garści i wyjął delikatnie spod skórzanej płachty.

W tej samej chwili usłyszał krzyk.

Było to zawołanie w języku tuathanneńskim, ale nie trzeba było znać tej mowy, by zrozumieć jego sens. Właśnie zorientowano się, że coś jest nie w porządku. Czterech strażników zaczęło krzyczeć. Ponieważ ich spojrzenia były rozbiegane, Samael pojął, że nie mogą go zobaczyć, ale dostrzegli odkrytą plandekę i ruch miecza.

Rozciągnął się na ziemi, usiłując zasłonić miecz własnym ciałem. Jeden z Tuathannów wyskoczył na wóz. Drugi złapał lejce. (Chwilę później konie zerwały się do szaleńczego galopu.

Samaelowi udało się uniknąć kół wozu. Kiedy podniósł głowę, zobaczył, że Tuathannowie opuszczają pole walki i biegną za oddalającym się wozem. Tym razem była to prawdziwa ucieczka. Skarb był dla nich ważniejszy niż bitwa.

Rycerze Płomienia zdziwieni zobaczyli, że wrogowie odступują. Niektórzy rzucili się w pościg, ale ich zbroje okazały się zbyt ciężkie. Inni dosiedli nielicznych koni, jakie im pozostały, i usiłowali wyłapać Tuathannów. Na wzgórzu walka wciąż jeszcze trwała, ale tam Tuathannowie mieli przewagę liczebną i rycerze z Harcourt nie opierali się zbyt długo. Wkrótce błękitnoskórzy zniknęli po drugiej stronie szczytu, pozostawiając za sobą ciała swych współbraci oraz kilkunastu Rycerzy Płomienia, którzy przeżyli.

*

Imała leżała w trawie. Właśnie zostawiła dwunożną, która tego wieczoru przyszła na spotkanie wraz z jednym ze swoich. Na początku Imała się bała, ale ten drugi dwunożny nie wyglądał na agresywnego. Siedział obok dziewczyny i nie ruszał się.

Potem oboje odeszli w kierunku wzgórza, w stronę tego schronienia z kamieni, gdzie znajdowali się inni dwunożni.

Dni płynęły leniwie i Imała wreszcie czuła się wypoczęta. Dwunożni nie jechali zbyt szybko i wilczyca nadążała za nimi bez trudu. Czasami nawet ich wyprzedzała i odnajdywała z łatwością. Mogła wyczuć ich zapach nawet z daleka.

Nagle usłyszała za sobą hałas. Jakby trzask złamanej gałęzi. Coś nadchodziło z tamtej strony. Było jeszcze dość daleko, ale Imała podniosła się i ukryła w miejscu, skąd mogła obserwować intruza. Co to mogło być? Dwunożny? Jakaś zdobycz? Unosząc pysk, usiłowała wychwycić w powietrzu jakąś znajomą woń, która mogłaby ją uspokoić. Najciszej, jak mogła, ruszyła na zachód, usiłując trzymać się jak najbliżej ziemi. Wiedziała, że jej biała sierść działa na jej niekorzyść. Przyzwyczaiła się już, że dostrzegano ją wcześniej niż inne wilki i z tego powodu stała się jeszcze bardziej nieufna.

Po kilku krokach znowu ujrzała ruch między niewysokimi krzewami. Było to jakieś zwierzę, tym razem miała pewność. Żaden dwunożny nie poruszał się w ten sposób. Nawet ci brązowoskórzy, których widziała po opuszczeniu stada.

Imała skuliła się na ziemi. Wybrała miejsce, z którego miała najszerze pole widzenia. Z wyprostowanym ogonem i nadstawionymi uszami była gotowa do ataku.

Znowu usłyszała ruch. I wtedy poczuła nowy zapach. Zawarczała. Znała ten zapach. To był inny wilk.

Stała na wyprostowanych łapach. Już nie usiłowała się ukryć, przeciwnie, chciała być jak najlepiej widziana. Kilka chwil wcześniej oznakowała swoje terytorium i ten obcy nie powinien był zapuszczać się tak daleko. Imała próbowała dojrzeć, czy był sam, czy może będzie miała do czynienia ze stadem. Znowu pobiegła na zachód i znieruchomiała za niewielkim kopczykiem ziemi. Stąd mogła wszystko widzieć.

Był to duży szary wilk, w jej wieku, ale o wiele silniejszy. On również zastął w bezruchu. Patrzył jej prosto w oczy.

Zwierzęta stały tak dłuższą chwilę, jakby żadne z nich nie miało zamiaru się ruszyć. Z uniesionym pyskiem i obnażonymi kłami usiłowały zniechęcić przeciwnika, ale stały zbyt daleko od siebie, by zrobić na sobie jakieś wrażenie. Imała podeszła pierwsza. Poprzez gwałtowne drobne skoki, którym towarzyszyły warknięcia, usiłowała zmusić wilka, by się wycofał. Lecz on się nie poruszył. Jednak Imała zauważyła, że lekko rozluźnił mięśnie. Jego wargi stopniowo opadały, zasłaniając kły. Samiec wyglądał teraz o wiele łagodniej, ale Imała wiedziała, że nie należy mu ufać. Nie przestając warczeć, podchodziła coraz bliżej. Kiedy była już zaledwie kilka kroków od nieznanego, zatrzymała się. Najeżyła sierść i stała na wyprostowanych łapach, jakby chciała wydać się wyższa. Odczekała chwilę, próbuje odgadnąć zamiary przeciwnika. Czy na nią skoczy? Ucieknie i czy zaatakuje? Oczekiwała na najmniejszy ruch szarego wilka, ale k-i nie wydawał się agresywny.

Nagle skoczyła na niego, rzucając się w górę, jak mogła najwyżej, by upaść na przeciwnika, przycisnąć swe przednie łapy do jego karku i zmusić go, by ustąpił. Ale obcy wykonał unik i w ostatniej chwili odskoczył w bok. Imali to nie zniechęciło i ponownie skoczyła w stronę intruza. Tym razem udało jej się go musnąć, ale zaledwie oparła łapy na karku wilka, ten pozwolił się przewrócić i położył się na plecach na znak uległości.

Nie drżał. Nie podjął walki. Po prostu chciał się poddać. Pokazać, że uznaje fakt, iż przebywa na terytorium wilczycy. Nie przyszedł tu, by stoczyć pojedynek.

Przyszedł w poszukiwaniu bratniej duszy.

*

Finghin wspominał, jak po raz pierwszy znalazł się w komnacie Rady. Nie był wtedy jeszcze Wielkim Druidem, a ośmielił się zabrać głos. Przypomniawszy sobie gniew Ailina i tę niezwykłą atmosferę. Tyle wielkich umysłów wymieniających często sprzeczne opinie w zaciszu tego miejsca. Tyle interesów, tyle konfliktów, tyle odpowiedzialności. Bo podczas gdy zwykły druid powinien nauczać, Wielki Druid był tu po to, by kierować, przewodzić, a to nie zawsze odbywało się w łagodny sposób. Taka była prawda, którą należało odkryć samemu, kiedy zostawało się Wielkim Druidem. Była to prawda czasami trudna do zaakceptowania, ale Finghin wiedział, że bezpieczniej było złożyć los wyspy w ręce druidów niż w ręce tych, którzy sprawowali polityczną władzę w poszczególnych hrabstwach. Było coś denerwującego w manipulatorskiej mocy Rady, ale było to zło konieczne, a dziś, gdy zasiadał w Radzie pomiędzy innymi Wielkimi Druidami, miał zamiar użyć całej swej siły, by jego bracia działali w sposób, który wydawał mu się słuszny. Lubił wyobrazić sobie, że może stanowić barierę ochronną dla starszych od niego. Było to bez wątpienia pretensjonalne, ale mówił sobie, że kiedy ambicja służy dobru ogółu, nie może być mowy o jej nadmiarze.

Podczas ostatniego zebrania Rada ustaliła termin i temat następnego zgromadzenia. Miano podjąć temat Maolmórdhy, brata, który opuścił Radę, stał się odszczepieńcem paktującym z Herilimami i otrzymał od nich ich moc - Ahrimana. Połączenie Saimana z tą nową energią uczyniło z niego potężnego i niebezpiecznego potwora. Rada przez wiele lat bezskutecznie prowadziła poszukiwania, aż w końcu odnalazł go Aldero. Wielki Druid został pokonany w pojedynku z tym zdrajcą, ale jego śmierć pozwoliła przynajmniej odkryć miejsce pobytu wroga. Maolmórdha przebywał w pałacu Shankha. Finghin nie miał pojęcia, gdzie jest to ciemne miejsce, ale wydawało się, że inni Wielcy Druidzi wiedzieli, a w ich oczach można było dostrzec strach.

Następne spotkanie zwołano o wiele wcześniej, niż było ustalone. Nadzwyczajne zgromadzenia odbywały się coraz częściej, dając niepokojące świadectwo burz wstrząsających Gaelią.

Finghin właśnie golił sobie głowę, kiedy jeden ze sług zapukał do drzwi, by oznajmić, że Rada zbierze się za pół godziny. Młody druid podziękował posłańcowi i dokończył golenie. Zwykle Wielcy Druidzi zostawiali tę czynność sługom, ale Finghin golił swoją głowę sam. Był to dla niego prawdziwy rytuał, którego nie chciał się pozbawiać. Kontakt ostrza ze skórą, precyzja gestów, cierpliwość... Finghin znajdował w tym przyjemność. Golenie głowy stało się tradycją druidów. Dawniej, kiedy byli wojownikami, narzucili to sobie, by mieć przewagę w walce - dzięki temu wróg nie mógł ich złapać za włosy. Potem brak włosów stał się symbolem czystości.

Finghin przywdział białą togę przynależną jego kaście, z wyhaftowanym na piersi symbolem Mojry. Wygładził ubranie, wziął do ręki dębową laskę i wyszedł ze swej komnaty.

Szedł samotnie korytarzami Sai-Miny. Odkąd został Wielkim Druidem i zasiadał w Radzie, odkrył nową formę samotności. Mimo że braterstwo było dewizą zakonu, tak naprawdę nigdy nie czuł się taki samotny, jak od chwili mianowania go Wielkim Druidem. Nie wiedział, czy chłód jego braci względem niego był wspólny dla wszystkich równych mu stopniem wtajemniczenia, czy też wynikał z jego młodego wieku. Finghin był

najmłodszym z Wielkich Druidów w całej historii Sai-Miny, a co gorsza, dopiero niedawno w ogóle został druidem. Ci zasiadający w Radzie, którzy rok wcześniej traktowali go jak ucznia, dziś musieli zwracać się do niego jak do równego sobie. Prawdę powiedziawszy, nowy Arcydruid był jedynym, który regularnie z nim rozmawiał. A to również nie wszystkim się podobało. Felim także okazywał mu braterską życzliwość, ale bywał tu tak rzadko, a teraz Rada skazała go na banicję! Ta myśl przypomniła młodemu druidowi o Erwanie. Czy udało mu się odnaleźć Aleę? A Felima? Ach, jakże brakowało mu tych przyjaciół w Sai-Minie, ich otwartego umysłu, serdeczności... Finghin pomyślał, że sam chętnie by wyjechał tam, gdzie toczyło się życie, gdzie mógłby na coś się przydać. Tutaj czuł się zbędny.

Wiedział jednak, że musi mieć czas na naukę, czas, by przekonać innych do siebie. Pewnego dnia nie będzie już najmłodszym Wielkim Druidem, pewnego dnia będzie nawet najstarszym. Jeżeli pałac przetrwa tak długo. Ernan w wieczór Lugnasad był bardzo pesymistyczny w kwestii przyszłości zakonu, a Finghin nie mógł zapomnieć o jego słowach.

Kiedy zjawił się w komnacie Rady, ujrzał wszystkich swych braci zajmujących miejsca w wysokich fotelach z rzeźbionego drewna. Finghin lubił ten głuchy szmer rozmów, który unosił się pod sklepieniem sali przed rozpoczęciem obrad. Ciągły szmer, pełen niepokoju, zwierzeń, być może tajemnic... Shehan, Tiernan oraz Aengus również tu byli. Zatem powrócili po wykonaniu powierzonej im misji - mieli odnaleźć Felima i Galiada, którzy opuścili Radę bez zgody Arcydruida i musieli zostać skazani na banicję. Finghin w lot pojął cel tego nadzwyczajnego zgromadzenia: chodziło o Felima.

Młody człowiek usiadł na swoim miejscu i położył dębową laskę obok fotela. Rozejrzał się dookoła. Wciąż pozostawał pod wrażeniem tego miejsca. Było tu tyle pięknych przedmiotów. Tyle rzeczy do odkrycia za każdym razem. Tyle symboli do odszyfrowania. W obrazach, które przedstawiały przeszłość zakonu lub alegorię Mojry, w małych kosztownych dziełach sztuki przytwierdzonych do ścian, w przedmiotach wyrzeźbionych w drewnie przez najznamienitszych mistrzów i w tej atmosferze, która wypełniała to miejsce. Za każdym razem, kiedy tu wchodził, napisy na ścianach nakreślone złotymi literami nabierały nowego znaczenia.

„Druid jest synem Poezji, Poezja córką Refleksji, Refleksja córką Medytacji, Medytacja córką Nauki, Nauka córką Poszukiwania, Poszukiwanie córką Wielkiej Nauki, Wielka Nauka córką Wielkiej Inteligencji, Wielka Inteligencja córką Zrozumienia, Zrozumienie córką Mądrości, Mądrość jest córką Mojry”.

Jak zawsze gdy przebywał w tej komnacie, Finghin powoli przeczytał tekst, usiłując go w pełni zrozumieć. Inteligencja, Zrozumienie i Mądrość były córkami Mojry. To, jak już dzisiaj wiedział, mówiło o Mojrze więcej niż jakiegokolwiek dyskurs. A jednak... Kto spośród zebranych, nawet przebywając tu, w komnacie, mógł powiedzieć, że pojął prawdziwe znaczenie Mojry? Czy Wielcy Druidzi nie zapomnieli o poszukiwaniu? O poszukiwaniu sensu?

Obok tego tekstu wykuto w ścianie triady druidyczne. Finghin nie musiał ich już czytać. Iak wszyscy druidzi, znał je na pamięć. Ale były tutaj, wykute w ścianie, jedna pod drugą, nad ich głowami.

Finghin przeczytał pierwszą z nich:

„Są trzy najważniejsze Jedności i żadna nie może istnieć bez pozostałych:
Przeznaczenie,
Prawda,
Wolność lub miejsce, w którym równoważą się wszelkie przeciwieństwa”.

„Wolność - powtórzył w duchu. - Czy Gaelia jest wolna?”

Popatrzył na swych braci i odetchnął głęboko. Dziesięciu najważniejszych ludzi na wyspie siedziało tutaj, a on był jednym z nich. Wrażenie było bardzo dziwne. Zawsze pamiętał o pierwszej lekcji, jakiej udzielił mu druid, gdy William był jeszcze dzieckiem. Całe życie dążył do jednego celu: by zasiadać w Radzie. By być tutaj i uczestniczyć w planach druidów. Towarzyszyć ludziom na ścieżkach Mojry. A teraz zaczynał mieć wątpliwości. Nie miał ich nigdy przez cały długi czas nauki. A dziś, kiedy przeszedł najcięższy okres, kiedy zrealizował swoje pierwsze zadanie, nie zadawał sobie pytania o cel, lecz o sposób.

Ernan uderzył swą laską w podłogę komnaty.

„Felim. Alea. Erwan. Nie będzie mógł uniknąć tego tematu. Gdzie oni są? Co robią? A przede wszystkim co my zrobimy? Ależ wam współczuję, Emanie. Tamtego dnia rozmawialiście ze mną szczerze, ale tutaj musicie wypełnić zadanie Arcydruida. Wasze słowa będą naszymi”.

- Moi bracia, dziękuję wam za tak szybkie przybycie. Jak widzicie, Shehan, Tiernan i Aengus powrócili. Zatem zebrałem was tutaj, by oznajmić wam bardzo złą nowinę - powiedział Arcydruid poważnym tonem.

Po sali przebiegł szmer.

„Zatem Felim nie żyje. Jak mogłem w to wątpić. Niech Mojra sprawi, by nic złego nie stało się Alei i Erwanowi”.

- Nasi trzej bracia odnaleźli ciało Felima w Lesie Borceliańskim. Felim nie żyje. Wielki jest mój smutek. Umarł, zanim Rada mogła ogłosić jego banicję, zatem niech będzie zapisane dziś, że Caron Cathfad, zwany Felimem, zawsze prawy, syn Katubatuosa, poniósł godną śmierć na ścieżkach Mojry, mając tytuł Wielkiego Druida Rady Sai-Miny. Niech rozkaz banicji zostanie usunięty z archiwów.

Shehan, który zaczął pełnić funkcję archiwisty, gdy Ernan został Arcydruidem, natychmiast zadośćuczynił jego woli. Archiwista był jedynym druidem, któremu wolno było pisać, a rejestr Rady jedynym zapisanym dokumentem dopuszczanym przez druidów. Uważano, iż historia zakonu nie powinna być tajemna. Powinna zakorzenić się w czasie, w przeciwieństwie do nauczania druidów, które przekazywane w sposób ustny, powinno żyć wraz z historią. Od stuleci archiwa spoczywały w komnacie, do której wstęp mieli tylko kolejni archiwiści. Były to jedyne spisane dokumenty w tym ogromnym pałacu.

Żaden z braci nie wyraził sprzeciwu wobec słów Ernana. Felim był kochany przez wszystkich, a jego kłótnia z Ailinem była dla wielu jedynie przykrym

wspomnieniem, które z chęcią wymazałoby z pamięci. Skazanie druida na banicję nie wpływało zbyt dobrze na wizerunek zakonu.

„W ten sposób jego pamięć zostanie ocalona. A nasza reputacja wraz z nią. Ale jego życie? Czy nie powinniśmy byli być przy nim, zamiast skazywać go na banicję? Ernán powiedział mi kiedyś, że Ailin uczynił to, by mu pomóc. By go uwolnić. Piękna mi wolność: śmierć!”

Ciało naszego brata Felima spoczęło w grobie w Lesie Borceliańskim, ale ceremonia pożegnalna odbędzie się jutro tutaj. Lorcan zostanie nominowany na Wielkiego Druida na jego miejsce, gdyż takie było życzenie Felima. Ale my mamy teraz wiele do /robienia, wiele decyzji do podjęcia. Tiernanie, możecie opowiedzieć Radzie o waszym odkryciu?

Wielki Druid potwierdził skinieniem głowy.

- Nasi trzej magistele pomogli nam odnaleźć ślady Felima. On i jego towarzysze podróży udali się aż na południe Gaelii, do lasu elfów.

„Jego towarzysze? Zatem był nie tylko z Galiadem... Czy odnalazł Aleę?”

- Kim byli jego towarzysze? - zapytał Arcydruid, jakby usłyszał myśl Finghina.

- Galiad, jego magistel, dziewczynka i krasnolud oraz ktoś jeszcze, nie wiemy jednak kto. Kobieta.

„Kobieta? Kto mógł do nich dołączyć? Czy Felim i Galiad pozwoliliby, by dołączył do nich ktoś obcy? Jeśli to prawda, to mogła to być jedynie jakaś wojowniczką lub kobieta bard. Lub jeszcze inna osoba, bliska Alei. Może krewna. Mówi się jednak, że jest sierotą...”

- A Ernán, młody magistel Finghina? On również zbiegł z Sai-Miny - rzekł Henon potępiającym tonem.

„Co ma znaczyć ta nuta niechęci w głosie Henona? W jego wzroku jest tyle nienawiści. Niepokoję. Jakby się obawiał, że sytuacja wymyka nam się z rąk”.

- Nie widzieliśmy go z nimi.

- Co robili w Borcelii? - zapytał Arcydruid.

„Reaguje bardzo szybko. Swoim tonem daje do zrozumienia Henonowi i innym, że jako jedyny tutaj chce zadawać pytania. Ernán stał się prawdziwym Arcydruidem”.

- Tego nie wiemy, ale kilka metrów od miejsca, w którym znaleźliśmy ciało Felima, odkryliśmy ślady gwałtownego starcia, ciała czterech Herilimów oraz...

- Sądzicie, że to Herilimowie zabili Felima?

„Przerwał mu w pół słowa. Znaleźli tam jeszcze coś. Ernán nie chce tego rozgłaszać. Znowu sekrety”.

- Nie możemy powiedzieć nic pewnego. Ale... Jesteśmy trochę zdziwieni, że Felim zginął, a nie mamy żadnego śladu Galiada ani nawet tej dziewczynki. Nie wiemy, co tak naprawdę się tam stało. Po czyjej stronie stanęła dziewczynka...

„Po czyjej stronie? On insynuuje, że mogłaby trzymać z Herilimami! Cóż za niedorzeczność! Ośmielam się mieć nadzieję, że nie wierzy w to, co mówi. Ale dlaczego kieruje rozmowę na te tory? Czy chce zniszczyć wizerunek Alei?”

Arcydruid nie zadał więcej pytań. Ogłosił chwilę przerwy, jakby chciał, by wszyscy obecni mieli czas oswoić się z nowymi wiadomościami. Felim nie żył. Już samo to było trudne do przyjęcia.

„Ernán nic już nie mówi. Nie zareagował na insynuacje Tier-nana. Musieli widzieć się wcześniej. To oczywiste. Ernán musiał go pouczyć, co ma mówić.

A Tiernan o mało nie powiedział właśnie tego, co Ernan chciał zachować dla siebie. Nie powiedział o czymś, co tam znaleźli. Ernan zareagował bardzo szybko. Ale na domysły Tiernana nie zareagował. Jakby to też wcześniej ustalił. Jednak wiem, że nie myśli źle o Alei. Czyżby chciał stosować te same metody co Ailin? Przeciwwstawić Radę tej dziewczynie, by mogła w spokoju osiągać swoje cele? Nie jestem tego pewien. A śmierć Felima jest dobitnym dowodem na porażkę tej strategii".

Milczenie w komnacie stawało się coraz cięższe. Odwróciwszy głowę, Finghin ujrzał łzy w oczach Kiarana. Jako jedyny opłakiwał Felima.

- Czterech Herilimów w Lesie Borceliańskim - podjął wreszcie Ernan przygnębnym tonem. - To niedobry znak! A to może znaczyć tylko jedno: Maolmórdha.

„Bez cienia wątpliwości. Teraz mówi prawdę. Ale jaki związek ma Maolmórdha z tą dziewczyną? Jakiś związek oczywiście istnieje. To do tego zmierza".

Ernanie, nie możemy dłużej odwracać oczu od tego, co niegodne - powiedział wolno Kiaran.

Teraz wszyscy mogli dojrzeć płynące po jego policzkach łzy.

Kiaran odetchnął głęboko, podniósł wzrok na braci i ciągnął tragicznym tonem:

- Alea jest Samildanachem.

Komnatę natychmiast wypełniły okrzyki protestu. Lecz Kiaran mówił dalej podniesionym głosem:

- Wszystkie znaki na to wskazują! Tuż pod naszym nosem! Ile czasu potrzebuje to zgromadzenie, by ujrzeć prawdę? Ile czasu, by podjąć działanie?

„Kolejny raz Kiaran mnie zadziwia! Szkoda, że nie ja to powiedziałem! Bo ma rację! Sam Ernan przyznał, że mała jest Samildanachem. Powiedział mi to. A jednak nie dyskutujemy o tym. Nikt nie chce tego przyznać".

- Dość! - krzyknął Shehan. - Kiaranie, pogrążacie się w tym samym bagnie, które Felima kosztowało życie!

„Nie. To my jesteśmy odpowiedzialni za śmierć Felima, przez nasze tchórzostwo. On widział słuszność sprawy. Powinniśmy towarzyszyć Alei. Bez względu na konsekwencje".

W komnacie narastał chaos. Wkrótce bracia zaczęli mówić jeden przez drugiego, nie słuchając siebie nawzajem. Ernan gwałtownie uderzył w podłogę swoją dębową laską i zażądał ciszy.

- Jeżeli nie potrafimy uszanować powagi tego miejsca, będę musiał natychmiast przerwać zebranie! Jesteśmy tu, by rozmawiać, i każdy może wyrazić swoje zdanie. Zachowujecie się gorzej niż najmłodszy z naszych uczniów! - zagrział.

Wielcy Druidzi zamilkli, a ci, którzy wstali, wrócili na swoje miejsca. Ernan może i nie miał autorytetu Ailina, ale umiał wymóc posłuszeństwo.

- Sądzę podobnie jak Kiaran - ciągnął - że dziewczyna jest Samildanachem.

„Wreszcie! Może ja też powinienem to głośno powiedzieć. Trzeba nazwać fakty po imieniu".

W komnacie ponownie zawrzało.

- Cisza! - krzyknął Arcydruid. - Sądzę, że ona jest Samildanachem, i wszyscy powinniśmy zdać sobie z tego sprawę, ponieważ jeżeli naprawdę nim jest, będziemy musieli ją ujarzmić albo sprawić, by zniknęła!

„Ujarzmić? Ależ my powinniśmy jej pomóc i on to wie. Dlaczego mówi w ten sposób? Może chce stopniowo przygotować najbardziej przeciwnych braci do tego zamysłu, tak by nie mieli już innego wyjścia, jak tylko poddać się woli Mojry”.

- Nie możemy jej uznać za Samildanacha, zanim nie przejdzie próby Manitha z Gabhy! - odparł Shehan.

„Znowu... A jeśli Alea się tu zjawi i przejdzie tę próbę? Co zrobimy?”

- Samildanach nie może być kobietą - wyraził swą opinię Kalan. - A zwłaszcza tak młoda dziewczyną!

- Ma pierścień Ilvaina! - odparł Ernan. - Znalazła Ilvaina na pustyni. Tego samego dnia Tuathannowie wyszli z Sidu. Jest sierotą. Maolmórdha wysłał w ślad za nią Herilimów. Udało jej się wydostać z Sai-Miny w sposób niepozostawiający wątpliwości. Od jej przybycia cały porządek Gaelii został zburzony. Jakich dowodów trzeba wam jeszcze?

Znowu szmer przebiegł przez komnatę.

- Widziałem ją w świecie Djar - rzekł Kiaran cicho.

Natychmiast zapanowała cisza.

- Co powiedziałaś?

- Widziałem ją w świecie Djar wiele razy.

- W świecie Djar? - powiedział Shehan z ironią w głosie. - A w jaki sposób się tam dostaliście, mój drogi bracie, skoro nikt nie wie, gdzie się znajduje Manith Djar?

- Nie potrzebuję Manitha, by wejść do świata pustki, Shehanie, i ona również. Podobnie jak wiele innych osób, które co wieczór spotykają się w świecie Djar. Niektóre o tym wiedzą, inne przychodzą tam nieświadomie... Jak nasz brat Finghin, na przykład.

Nic mówiąc już o duszach zmarłych. Zasięg Djar jest poza waszym pojmowaniem...

„Nasz brat Finghin! Ja? W świecie Djar? O czym on mówi? Nigdy nie byłem w świecie Djar! Czyżby kompletnie oszalał? Zastanawiam się, czy miejsce Kiarana naprawdę jest tutaj. Jest taki inny. Czasami jego opinie są trafne, a czasami mówi rzeczy kompletnie szalone. I ma się wrażenie, że nigdy nie można się z nim porozumieć. Jakby nas nie słyszał. Jest szalony i zarazem genialny. Ale musi być tutaj nieszczęśliwy. Nie, jego miejsce nie jest między nami. Powinien być wolny, daleko stąd, samotny. Pod warunkiem że nie jest niezbędny w Radzie. Ziarno szaleństwa i szczypta mądrości... W każdym razie nie wiem, co chciał powiedzieć. Nigdy nie byłem w świecie Djar. Nie wiedziałbym nawet, jak się tam znaleźć!”

Zapadła głucha cisza. Nawet Ernan nie był w stanie wykrztusić słowa.

Wszyscy patrzyli na Kiarana. Wiedzieli, że nie umie kłamać. Wielki Druid nie kłamie. A z pewnością nie Kiaran. A jednak, jak mógł powiedzieć prawdę? Żaden druid nigdy nie wszedł do świata Djar bez pomocy Mañitha, a przynajmniej tak głośno archiwa. Musiał oszaleć.

Wreszcie Arcydruid zdecydował się zabrać głos.

- Kiaranie, porozmawiamy o tym później. Jeżeli naprawdę umiesz odwiedzać świat Djar bez pomocy Manitha, musisz nauczyć tej sztuki innych braci. To może się okazać dla nas decydującą bronią. Ale wróćmy do dziewczyny. Czy

jest Samildanachem, czy nie, to niczego nie zmienia. W każdym razie jest odpowiedzialna za zbyt wiele wydarzeń, byśmy mogli puścić ją samopas. Chcę wiedzieć o niej wszystko. Kim jest, kim są jej rodzice, gdzie dorastała, co robiła, a przede wszystkim, przede wszystkim chcę, by przyprawiono ją tutaj, byśmy mogli sprawować nad nią kontrolę.

- Jeżeli jest taka niebezpieczna, może powinniśmy ją po prostu wyeliminować - powiedział Henon. - Po co brać na siebie takie ryzyko?

„Henon staje się coraz bardziej agresywny. Już wiele razy zauważyłem jego nienawiść do Alei. Nie rozumiem tego”.

- Rozważmy to, gdy ją pojmy. Wtedy będziemy mogli ją przesłuchać, zbadać jej moce, jeżeli rzeczywiście takowe posiada, a jeżeli trzeba będzie ją zabić, niech tak się stanie.

„Tym razem posunął się za daleko. Nie mogę już milczeć”.

- Jak to!?! - krzyknął Finghin. - Zabić? Jakim prawem?

- Prawem chronienia Gaelii przed cierpieniem, które właśnie zaczyna w niej kiełkować - odrzekł Shehan.

- Zabić dziewczynę, by ratować wyspę? - zareplikował Finghin. - Nagle przyznajecie jej więcej ważności niż przed chwilą! Jeżeli to dziecko napawa was takim lękiem, że chcecie je zabić, to faktycznie musi być Samildanachem!

- Cisza! - przerwał Ernan. - Teraz nie rozważamy kwestii jej zabicia, lecz przyprawienia jej tutaj.

„Nie chce, żebym mówił. Z pewnością coś mu chodzi po głowie. Może myśli, że nie naciskając zbyt mocno na braci, którzy traktują ją jak wroga, będzie miał więcej szans, by ją tu przyprawić, a potem będzie mógł użyć swego wpływu, by przekonać Radę do zmiany zdania. Lecz skąd mam mieć pewność? A jeżeli nagle pod naciskiem funkcji Arcydruida zdecyduje, że naprawdę trzeba ją zabić?”

- Jeśli jest Samildanachem - nie pozwolił się uciszyć Finghin - jej miejsce nie jest tutaj, lecz w świecie! Jeśli jest Samildanachem, ma tysiące zadań do wypełnienia na wyspie!

- Jeśli jest Samildanachem - odbił piłeczkę Shehan - wkrótce wyspa przestanie istnieć.

- A to dlaczego?

- Czyżbyś nie znał trzech prorocstw, młody człowieku?

- Znam też zasady grzeczności i szacunku i proszę was, bracie, byście nie zwracali się do mnie jak do ucznia.

Spokój! - przerwał Ernan. - Nie mówimy tu o trzech prorocztwach ani o Samildanachu, mówimy o dziewczynie, którą chcę widzieć w tych murach. Nie chcę już słyszeć ani jednego słowa na ten temat, dopóki nie zjawi się tutaj. Zbierzemy się ponownie za tydzień, jak to było ustalone, by porozmawiać o planach Maolmórdhy. Spotkanie zakończone, niech każdy wraca do swoich obowiązków.

„Tak nie będzie. Ernan powiedział mi wtedy, że czasami wilk powinien opuścić klan. Nie mogę popierać tego, co zostało tu powiedziane. Nie mam prawa. Złożyłem przysięgę Mojrze, a nie Kadzie. To jej powinienem się poświęcić. A skoro wskazała Aleę, muszę do niej dołączyć”.

DROGA WILCZYCY

Finghin nie mógł przestać myśleć o Felimie i Erwanie. Tak jak oni opuścił Sai-Minę bez pytania Rady o pozwolenie. Z całą pewnością zakon nigdy nie działał w tak burzliwym okresie jak ten. Oczywiście kiedyś przeżył odejście Samaela oraz Maolmórdhy, ale to było co innego. -Przynajmniej taką miał nadzieję. Finghin nie zamierzał opuszczać Rady na zawsze. Wprost przeciwnie. Wciąż brzmiały mu w uszach słowa Ernana: „Ailin mówił, że będziesz dobrym Arcydruidem”. Słowa, których nie da się tak łatwo zapomnieć. Bo owszem, Finghin mimo wszystko miał nadzieję, że pewnego dnia zostanie Arcydruidem. A jednak dzisiaj opuścił Sai-Minę, nie uprzedziwszy braci. Zostawił krótką wiadomość dla Ernana: „Odszedłem, by zrobić to, co powinienem”.

Z każdym krokiem na południe coraz bardziej pograżał się w oceanie wątpliwości i niepokoju. Nie był pewien, ale miał nadzieję, że postąpił słusznie. Pragnął, by tak było.

Finghin wyobrażał sobie, że Felim musiał czuć to samo w dniu swojego odejścia. Taki sam lęk, takie same skrupuły. „Niech Mojra sprawi, by nie spotkał mnie taki sam los! Ileż jeszcze śmierci trzeba w szeregach Rady, by zrozumieli, że Alea jest ważniejsza niż wszystko inne?” Młody Wielki Druid zastanawiał się, jak on sam zyskał tę pewność. Nie przypominał sobie zbyt dobrze, kiedy za- i zął wierzyć w Aleę oraz w rolę, jaką ma ona odegrać. Co gorsza, nie był nawet pewien, czy wie, na czym ta rola polega. Dziewczyna była bez wątpienia tajemnicą dla wszystkich.

Ale jedyną rzeczą, której był dziś pewien, było to, że Felim zgodził się umrzeć za nią i że Erwan również powziął to samo postanowienie. Felim, najbardziej prawy ze wszystkich Wielkich Druidów, i Erwan, jego najlepszy przyjaciel. Finghin nie potrzebował innego dowodu.

Kiedy dzień chylił się ku zachodowi, Finghin ujrzał niewielką osadę i zastanawiał się, czy będzie mógł znaleźć tam schronienie. Czy będzie ryzykował nocleg tak blisko Sai Miny? Czy Ernan wysłał ludzi jego śladem? Coś mu mówiło, że nie. Od chwili odejścia nie przestawał myśleć o dziwnej rozmowie z Arcydruidem w wieczór Lugnasad. Przypomniawszy sobie, jak bardzo zaskoczyły go słowa Ernana. Wydawało się, jakby proponował mu ucieczkę, odejście. Wtedy wydawało mu się, że starzec chciał mu dać do zrozumienia, iż jeżeli chce odnaleźć Erwana, może to zrobić. Lecz teraz, po tym wszystkim, co wydarzyło się podczas zgromadzenia Rady, Finghin się zastanawiał, czy Ernan nie zasugerował mu, by wyruszył na poszukiwanie Alei. Wszystko to było okropnie zagmatwane. Tajemnicze. Trzeba było wciąż rozszyfrowywać i interpretować słowa Arcydruida. Coś mu mówiło, że Ernan nie wysłał ludzi w pościg za nim, i postanowił zaufać temu przecuciu.

Skierował swe kroki w stronę osady, nie ukrywając ani dębowej laski, ani białego płaszcza. Powietrze było rześkie, przyroda znajdowała się w pełnym rozkwicie. Kilka kolorowych motyli tańczyło wśród kwiatów w takt melodii

wygrywanych przez pasikoniki. Równina była jasna i pogodna. Finghin poddał się jej nastrojowi, zapominając o dręczących go pytaniach. Nie opuszczał Sai-Miny od czasu swojej misji u Tuathannów, na którą wyruszył z Ernanem, i teraz cieszył się jak dziecko. Jakże piękna była wyspa w ten letni wieczór! Jak mu tego brakowało! Wszystko było tak ciche, tak spokojne. Jakby drzewa i ich mieszkańcy nie wiedzieli o wstrząsach nękających świat. Oaza spokoju na zielonych łąkach Galacji.

Przybył do osady późnym wieczorem. Nieliczne domy stały wokół ogromnej studni, nieco wyżej, pośrodku pól, druid dostrzegł dwie czy trzy fermy. Była tu tylko jedna oberża, bez wątpienia niezbyt oblegana. Jednak Finghin zauważył obok budynku kolorowy wóz. Przypuszczał, że była to trupa wędrownych aktorów, którzy znaleźli schronienie w osadzie. Ucieszył się na myśl, że spotka tych, których nazywają dziećmi Mojry.

Przyśpieszył kroku i wszedł do oberży. Było tam zaledwie dziesięć osób. Oberżysta, dziewczka służebna, kilku gości, których stroje i spojrzenia pozwalały wnioskować, że są miejscowi, oraz dwoje wędrowców, młody mężczyzna i młoda kobieta, którzy spożywali wieczerzę. Wszyscy podnieśli wzrok na wchodzącego druida. Może i byli blisko Sai-Miny, ale Finghin odgadł, że jego bracia nieczęsto zachodzą do osady. Spróbował uśmiechnąć się do wszystkich, jednocześnie dając do zrozumienia, że pragnie być sam, a potem usiadł przy stole, który znajdował się najbliżej stołu aktorów.

Dziewka służebna ruszyła w jego kierunku, ale oberżysta zatrzymał ją i powiedział, że sam obsłuży tak ważnego gościa. Zawiedziona kobieta wróciła do kuchni.

- Witajcie, druidzie. Mojra jest bardzo łaskawa dziś wieczór! Oprócz dwójki swych dzieci przywiodła tu także was! Czym mogę wam służyć?

Finghin uśmiechnął się uprzejmie. Dotarło do niego, że po raz pierwszy wszedł do oberży w stroju druida. Nigdy nie widział takich spojrzeń, takiego strachu zmieszanego z podziwem.

- Tylko zupę, jeśli można.
- Nie chcecie przedtem niczego się napić?
- Nie, dziękuję. Tylko zupa - powiedział Finghin.

Popatrzył za odchodzącym do kuchni oberżystą, a potem odwrócił się w stronę wędrowców. Byli chyba młodszy od niego. Coś mu mówiło, że są rodzeństwem. Te same delikatne rysy, te same iii yy. On był wysokim mężczyzną o krótkich, kręconych, rudych włosach. Był szczupły i elegancki, a jego zmarszczone brwi nadały mu zdecydowany wygląd, choć jego uśmiech łagodził stanowcze spojrzenie. Co do niej... Była najpiękniejszą kobietą, jaką Finghin widział od bardzo dawna. Miała długie, proste, jasne włosy. Była starsza od Alei, ale miała podobny niewinny uśmiech. W jej oczach kryła się namiętność, a jej sylwetka była pełna wdzięku. Jej kształty, pełne krągłości, były niezwykle kobiece.

Obydwoje nosili pstrokate stroje aktorów: frędzle u rękawów, bufiaste spodnie, a pod kolorowymi kurtkami białe koszule z długim kołnierzem.

Kobieta musiała się zorientować, że druid patrzy w ich stronę, bo powiedziała z uśmiechem:

-Chcesz się do nas przysiąść? Nie skończyliśmy jeszcze posiłku.

Wędrowcy słynęli ze śmiałości. Ci dwoje nie stanowili wyjątku. Aktorka zwróciła się do Finghina jak do równego sobie.

Druid pokiwał głową. Był trochę zmieszany, ale nie dał tego po sobie poznać. W głębi duszy podobała mu się spontaniczność wędrowców i chciał zrozumieć, co dawało dzieciom Mojry tak honorowy przydomek.

„Nie mogę odmówić. Ta dziewczyna jest taka piękna! Boję się, że utonę w jej wielkich oczach... To śmieszne, jestem druidem, umiem kontrolować swoje emocje”.

-Z przyjemnością - odparł i wstał, by się do nich dosiąść.

-Jestem Kaitlin, a to mój brat Mel.

-Niech Mojra was strzeże! Mam na imię Finghin.

Młody aktor wyciągnął dłoń do druida.

-Dobry wieczór, Finghinie. Co tutaj robisz? Sądziłem, że cała Sai-Mina przygotowuje się do ataku.

-Tak mówią? - zapytał Finghin.

„Ten chłopak jest złośliwy, widać to w jego spojrzeniu, słyhać w jego głosie. Kiedy tak mówi, można odnieść wrażenie, że go to bawi”.

Aktor posłał mu szeroki uśmiech.

- Przy tym wszystkim, co dzieje się w kraju, mam nadzieję, że to, co mówią, jest prawdą! - wykrzyknął.

Finghin się uśmiechnął.

„Doskonale wie, że druid nigdy nie mówi o tym, co się dzieje za murami Sai-Miny, ale z pewnością chce mnie sprawdzić”.

- To co dzieje się w kraju jest sprawą nas wszystkich. Twoją, mieszkańców wyspy oraz moich braci z Sai-Miny.

Młody aktor zrobił szyderczą minę.

- Jesteś jeszcze zbyt młody, Finghinie, by mówić jak stary druid!

„A ty jesteś jeszcze młodszy i nie powinienes obrażać Wielkiego Druida! Ale ta rozmowa zaczyna mi się podobać”.

Finghin oparł łokieć na stole i podparł podbródek ręką.

- Spotkałeś wielu takich druidów jak ja? - zapytał.

- Nasz wuj jest Wielkim Druidem, zasiada w Radzie i mówi właśnie w taki sposób jak ty przed chwilą. Nigdy nie daje odpowiedzi, której się spodziewasz, i zawsze tak się wypowiada, by nie powiedzieć nic, a sprawiać wrażenie, jakby powiedział nie wiadomo ile. To nas zawsze bardzo bawi, ale widzę, że dość szybko uczycie się tej retoryki.

- Kim jest wasz wuj? - zaniepokoił się Finghin.

- Aydan Emar, ale wy nazywacie go Kiaranem.

„Kiaran! To są krewni Kiarana! To coraz ciekawsze”.

Finghin nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Jeśli Kiaran jest jedynym znanym wam druidem, rozumiem, dlaczego uważacie nasz sposób wyrażania się za zawiły!

- Zatem nie wszyscy jesteście tacy jak nasz wuj. Tym lepiej! rzekł młody aktor.

Kiaran jest druidem, którego bardzo szanuję. Prawdę powie dziawszy, zastanawiam się, czy nie jest tym, którego najbardziej podziwiam - wyznał Finghin poważnym tonem. - I nie mówię tego, bo jest waszym wujem! Ale sądziłem, że wędrowcy stanowią wielką rodzinę i że cała rodzina wędrowca wędruje. W jaki sposób Kiaran został druidem?

Mel spojrział na siostrę. Ta wzięła głęboki oddech.

„Musi znać rodzinną historię lepiej niż jej brat. Na Mojrę, jest naprawdę piękna! A w jej oczach błyszczy taka sama jak u Mela inteligencja...”

-Był wędrowcem, zanim dołączył do druidów z Sai-Miny - zaczęła opowieść. - Był wędrowcem, ale nie czuł się naprawdę szczęśliwy pomiędzy nami. W rzeczywistości wszyscy widzieli, że ma w sobie coś wyjątkowego, bardzo wyjątkowego, i że powinien spotkać ludzi, którzy będą mogli mu pomóc. Którzy będą mogli go zrozumieć... My nie potrafiliśmy. Kiedy oznajmił, że wyrusza do Sai-Miny, nikt nie wyraził sprzeciwu. Jego miejsce jest tam, prawda?

-To dziwne, ale właśnie wczoraj zadałem sobie to samo pytanie. Kiaran jest bardzo... dziwny. Mam nadzieję, że moje słowa was nie dotknęły. Powiedzmy, że jego związek z Mojrą i z naszym zakonem jest głęboki, bez wątplenia głębszy niż nasz, ale zupełnie inny Instynktowny i silny zarazem. Odnosi się wrażenie, że doznaje nagłych objawień i że wciąż jest w trakcie zadawania sobie pytań... Ale pewnie was zanudzam...

-Ależ skąd - zaprotestował Mel. - Wreszcie mówisz szczerze!

„To prawda. W każdym razie mówię swobodnie. To dobrze. It sl coś w tych wędrowcach, co sprawia, że im ufam. Robią wrażenie takich wolnych...”

-W każdym razie - podjął Finghin - to naprawdę dziwny /bieg okoliczności, nieprawdaż?

-W rzeczy samej - odparła Kaitlin z uśmiechem - ale nie widzieliśmy wuja od wielu lat, a ty powinienes go teraz znać lepiej niż my.

Do stolika podszedł oberżysta, niosąc dużą miskę zupy, którą i postawił przed druidem, i skłonił się nisko. Popatrzył na akto- inów, zabrał ich talerze i odszedł do kuchni.

- To wszystko nie wyjaśnia nam twojej tutaj obecności - powiedział Mel ironicznym tonem.

„A jeżeli powiem im prawdę? Czy druid nie powinien zawsze mówić prawdy? Być może będę musiał ją jakoś obejść. Odpowiedzieć, nie odpowiadając. Ale nie mam na to ochoty. Mam wrażenie, że jestem im winien prawdę. Może zrozumieją wtedy, że ich szanuję. Ale czy to mi potrzebne? Skąd mam wiedzieć? Po raz pierwszy od dłuższego czasu jestem sam. Sai-Mina została za mną, a ja nie mam żadnej misji do spełnienia. Cóż. Muszę kierować się instynktem. Prawda nie może być zła. Bo wtedy nie zasługivalibyśmy na istnienie. Bo w przeciwnym razie po co w ogóle żyć?”

- Poszukuję dziewczyny, którą nazywają Alea. Słyszeliście o niej?

Aktorzy spojrzeli po sobie w milczeniu. Z pewnością nie spodziewali się takiego przychylnego przyjęcia.

- Szukasz jej, by przyprowadzić ją przed oblicze Rady? - zapytała Kaitlin.

- Nie. Szukam jej, by jej pomóc. I by odnaleźć swojego najlepszego przyjaciela, który, jak sędzę, jest razem z nią. Ale to długa historia!

- Druidzi mają najlepszych przyjaciół? - zdziwiła się Kaitlin.

Finghin znowu się uśmiechnął.

- Oczywiście! A ja jestem takim idiotą, że zrobiłem z niego swojego magistela.

- Zatem co robi z tą dziewczyną, skoro jest twoim magistrem?

Młody druid milczał chwilę.

„Z całą pewnością powiedziałem za dużo. A teraz już za późno, by się wycofać. Muszę jednak wiedzieć, kim naprawdę są, co mają w sercu, żebym

nie żałował tej szczerości. Jeśli są dobrzy, tak jak myślę, to słusznie uczyniłem".

- A jak sądzicie? - zapytał w końcu.

- Jest w niej zakochany? - zapytała Kaitlin z uśmiechem.

Flinghin potwierdził.

- Zakochany w Samildanachu? - wykrzyknął aktor ze śmiechem.

Biedaczysko! Ryzykuje, że będzie miał konkurencję!

„Zatem wiedzą, że Alea jest Samildanachem. Znają ją. Ilu ludzi w Gaelii to wie lub w to wierzy? Rada z pewnością nie ma pojęcia, jak daleko zaszły sprawy".

Nie wiem, czy to konkurencja, lecz Alea ma tylu wrogów, że / pewnością ma kłopoty. Co o niej wiecie?

To, co wiedzą o niej nasi - odparł Mel.

- Teraz ty odpowiadasz jak stary druid - zaśmiał się linghin.

- To elfy oznajmiły przybycie Alei - wyjaśniła młoda aktorka. - Powiedziały o tym wędrowcom, którzy przechodzili przez Borcelię, i od tego czasu wiadomość ta obiegła całą naszą społeczność. Powiedziały, że to Kailiana. Tak naprawdę nie wiemy, czy to zła, czy dobra wiadomość.

- My również - wyznał Finghin. - Nikt tego nie wie.

- Czy Rada zgadza się z twoim wyborem? - zapytała Kaitlin.

„Zadają celne pytania. Mam nadzieję, że nie są szpiegami. Ale nie, to niemożliwe. Może mógłbym się o tym przekonać za pomocą Saimana. Może mógłbym spróbować usłyszeć ich myśli. Nigdy wcześniej tego nie robiłem, ale mogę spróbować. Muszę się tylko skupić i sprawić, by Saiman wyostrzył moje zmysły. Naprowadził je i zmusił, by zareagowały. Muszę usłyszeć ich myśli. Poczuc je. Zobaczyć".

- Finghin? - powiedziała Kaitlin. - Słyszałeś moje pytanie?

Druid aż podskoczył. Dał się ponieść Saimanowi i przez chwilę był nieobecny duchem.

- Ja... Nie. Nie, Rada nawet nie wie, że jestem tutaj. Ale jestem Wielkim Druidem, jak wasz wuj, nie potrzebuję ich zgody, wiecie, jestem tu, by służyć Mojrze.

Młodzi aktorzy nie powiedzieli już ani słowa. Podczas gdy Finghin usiłował odczytać ich myśli za pomocą Saimana, oni usiłowali go zrozumieć, osądzić, rozgryźć.

Druid szybko zrezygnował z prób. Nie był przyzwyczajony do używania swych mocy w taki sposób, przy tylu ludziach, a także do wykorzystywania ich w tak niedyskretnym celu. Pozostawało mu mieć nadzieję, że wędrowcy mają prawe serca.

Ponieważ cisza się przedłużała, zaczął jeść zupę. Było to bardzo pospolite danie, ale Finghin nie zwracał na to uwagi. Próbował przeanalizować wszystko, co przed chwilą usłyszał. Zastanawiał się, dokąd ich to zaprowadziło. Co im teraz powie? Jak skończy się ta rozmowa? Prawdę mówiąc, nie chciał, by się skończyła. Mel był przyjemnym rozmówcą, Kaitlin jeszcze bardziej. Finghin chciałby móc zaproponować im wspólną podróż. Droga była daleka, a on był sam i nie wiedział, gdzie powinien szukać Erwana i dziewczyny. Chciał znaleźć współtowarzyszy, poza tym było tyle rzeczy dotyczących życia wędrowców, których chciał się dowiedzieć.

Ale nie mógł ich z sobą zabrać. Nie wiedział, co go czeka. Zresztą dzieci Mojry z pewnością mają ciekawsze rzeczy do roboty.

Kiedy skończył jeść, wstał i pożegnał aktorów.

- Rozmowa z wami była prawdziwą przyjemnością. Dzięki-kuje.

Aktorzy uśmiechnęli się, ale nie odpowiedzieli. Patrzyli na niego, a w ich oczach migotało pytanie, którego Finghin nie umiał odczytać. Wziął swą dębową laskę, podszedł do oberżysty, a ten zaprowadził go do izby, w której miał spędzić noc.

*

Przeszli łańcuch Gor-Draka od strony zachodniej i wkrótce znaleźli się na terytorium Harcourt. Przed nimi rozciągało się morze, migoczące w promieniach słońca. Bezchmurne niebo odbijało się w wodzie, co nadawało jej wyjątkowo piękną barwę. Okolica była pusta. Z pewnością niewiele osób odwiedzało Harcourt, niewiele też je opuszczało. Droga, niegdyś uczęszczana, całkiem zarosła i była tu tylko wąska dróżka biegnąca w poprzek torfowiska.

Mjolln jechał na czele na swym kucu, Alea i Faith podążały / lyłu pogrążone w rozmowie.

- Oto Mont-Tombe, tam w oddali. Jest tak ładnie, że można go stąd zobaczyć, spójrz!

Alea zatrzymała konia i odwróciła głowę, patrząc w kierunku wskazywanym przez Faith.

- Po drugiej stronie wody. Widzisz tamtą skałę?

- Tak! Widzę! - krzyknęła Alea, pokazując kierunek końcem dębowej laski Felima.

- To Mont-Tombe! Jesteśmy jeszcze bardzo daleko, ale możemy je zobaczyć.

- Czemu nie przepławimy się przez morze? - zapytała dziewczyna. - Wystarczyłoby popłynąć w linii prostej z tego miejsca.

- Zatoka jest zbyt niebezpieczna, Aleo, żaden marynarz się tu nie zapuszcza. Wszędzie są skały, niektóre tuż pod powierzchnią wody, i mogą przedziurawić dno statku. Ale kiedy będziemy w Rii i skierujemy się na południowy zachód, rzeczywiście będziemy mogli dotrzeć tam przez morze, jeżeli Mjolln wyrazi zgodę.

Krasnolud nie odpowiedział. Chyba nie usłyszał słów Faith.

- Opowiedział mi o waszym wczorajszym wieczornym spacerku - podjęła Faith. - Powiedział mi, że... że idzie za nami wilczyca! Czy to prawda?

Alea się uśmiechnęła.

- Ma na imię Imała.

- Rozumiem.

- Rzeczywiście za nami podąża, ale bądź spokojna, jest nastawiona przyjaźnie. Tak naprawdę to idzie za mną, bo ją o to poprosiłam.

- Możesz z nią rozmawiać?

Alea ograniczyła się do skinienia głową.

- Nigdy nie udało mi się zbliżyć do wilczy - powiedziała Faith. - Masz wielkie szczęście, wiesz? Wilki zazwyczaj kryją się przed ludźmi.

- Wiem. Ale Imała nie jest jak inne wilki.

- A ty nie jesteś taka jak inne dziewczynki - odpowiedziała kobieta bard. - Macie zatem wiele wspólnego, prawda?

- Tak... ale sądzę, że to coś więcej.

- Z pewnością. Chciałabym zobaczyć tę twoją wilczycę, jeśli pozwolisz.
- Zobaczymy ją dziś wieczorem. Ale tym razem muszę jej powiedzieć, by odeszła.

Kobieta bard się zdziwiła.

- By odeszła?
- Chcę, by odszukała Erwana i Galiada - wyjaśniła dziewczyna.
- Wiesz, gdzie są?
- Nie do końca. Ale sądzę, że wilczyca wie. Choć jeszcze nie wie, że wie.
- Nic z tego nie rozumiem - rzekła Faith.
- To trudne do wytłumaczenia. Wiesz, co to jest świat Djar? - zapytała Alea cicho, tak by Mjolln nie usłyszał.
- Wiem. Nie mogę powiedzieć, że go znam, ale wiem, co to jest. Słyszałam o nim, znam wiele opowieści na jego temat...

- Przebywam w nim każdego wieczoru, Faith.

Kobieta odwróciła głowę w stronę dziewczyny. Miała ochotę się roześmiać. Byłby to nerwowy śmiech. Każdego dnia Alea oznajmiała jej jakąś nowinę, zupełnie niewiarygodną, a jednak Faith wiedziała, że mówi prawdę. Zastanawiała się, dokąd to wszystko prowadzi. Przede wszystkim zaś nie rozumiała, jak Alea mogła znosić to wszystko, co zsyłała jej Mojra.

- Co dokładnie wiesz o świecie Djar? - zapytała Alea, mimo niepokoju malującego się w oczach przyjaciółki.

- Legendy głoszą, że świat składa się z wielu światów. Jest świat Sid, w którym nie istnieje czas, świat umarłych, po którym blakają się dusze, nasz świat i świat Djar. Według niektórych legend miałyby to być świat snów. Taki, w którym dzieją się nasze sny. Mówią też, że Mojra nie działa w tym świecie.

Co to znaczy?

- Nie wiem zbyt wiele na ten temat. Musisz wiedzieć lepiej niż ja, skoro jesteś tam co wieczór... To pewnie znaczy, że w świecie Djar nie istnieje przeznaczenie. Że niczego nie można przewidzieć. Że wszystko jest przypadkiem. Nie wiem... To raczej ty powinnaś mi to powiedzieć.

- Felim bez wątpienia mógłby mi to wyjaśnić. Nie wiem tak naprawdę, czym jest ten świat. Wiem, że potrafię się tam przenieść, wiem, co mogę tam zrobić, ale nie jestem pewna, czy rozumiem, czym on jest - wyznała dziewczyna.

Konie szły coraz wolniej i wkrótce towarzyszki znacznie oddaliły się od Mjollna. Ale to nie przeszkadzało Alei. Chciała, by ta rozmowa pozostała między nią a Faith, wiedziała bowiem, że jej temat może przestraszyć krasnoluda. Już i tak był pełen niepokoju, a ponieważ wiedziała, że ona była tego przyczyną, często to sobie wyrzucała.

- Nie sądzę, żeby to naprawdę był świat snów - powiedziała w końcu. - W przeciwnym razie spotkałabym tam więcej ludzi. Nie, to chyba świat umysłu, czy raczej woli. W świecie Djar przemieszczasz się za pomocą myśli, działasz za pomocą myśli. Za pomocą woli.

Milczała przez chwilę. Faith słuchała uważnie.

- To tam pokonałam rycerza Herilima - dodała. - I to tam zgubiłam Erwana i Galiada. Ale wczoraj znów ich widziałam. Wilczyca zaprowadziła mnie do nich.

- Ona także jest w świecie Djar? - zdziwiła się kobieta bard.

- Tak, to dlatego z tobą rozmawiam. Widzisz, jest w tym wszystkim coś dziwnego. Gdyby tylko Felim był tutaj i pomógł mi zrozumieć!

- Nie jestem pewna, czy umiałby to zrobić.

- Masz rację. Nie wiem, czy powinnam ci to mówić, ale Felima również widziałam.

Faith aż zatrzymała konia.

- Słucham?

- Przyszedł zobaczyć się ze mną w świecie Djar, ale na krótko. Przyszedł ze świata umarłych. Wszystkie światy łączą się z sobą. Istnieje między nimi przejście. I to właśnie tam są Erwan i Galiad. Nie słyszałaś nigdy o tych drzwiach?

- Nie - wyszeptała poruszona Faith.

- Drzwi, które łączą wszystkie światy: Sid, Gaelię, Djar, świat umarłych...

- Jeśli to drzwi, które wiodą do Sid, to z pewnością stamtąd nadciągnęli Tuathannowie. To przynajmniej byłaby jakaś wskazówka!

- Masz rację. Musimy się tego dowiedzieć. Ale na razie wyślę tam wilczycę. Coś mi mówi, że znajdzie je beze mnie. Nie mamy chwili do stracenia. Przede wszystkim musimy dotrzeć do Mont- -Tombe.

Faith przytaknęła, ale już nie słuchała przyjaciółki. Miała dosyć rewelacji jak na jeden dzień. To, co mówiła jej dziewczyna, było czasami bardziej nieprawdopodobne niż większość opowieści, które ona sama snuła, kiedy jeszcze wykonywała zawód barda. Elfy z pewnością miały rację. Odpowiedzi muszą się znajdować w legendach. Tylko w których?

- Co to za budynek!? - krzyknął nagle Mjolln, wskazując palcem wzgórze na północy.

Alea i Faith podjechały bliżej i zatrzymały konie obok kuca krasnoluda.

Przed nimi znajdowała się niska budowla z białego kamienia, w której na całej długości porozmieszczane były niewielkie okienka. Na szczycie dachu z łupku tkwił wysoki krzyż.

- To klasztor - powiedziała Faith nieco drżącym głosem.

- Co to znaczy? - zapytała Alea.

- To siedziba kongregacji mnichów chrześcijańskich - wyjaśniła kobieta bard. - Dotarliśmy do Harcourt. W tym regionie jest wiele kościołów i klasztorów. Jesteśmy na południu hrabstwa. Tu nie ma oberży, podróżni nocują u mnichów.

-Czy oni są na usługach Thomasa Aeditusa? - zaniepokoił się Alea.

Można tak powiedzieć. Ale są do tego stopnia wyizolowani, że większość z nich pozostaje niezależna i nie zajmuje się sprawami politycznymi Harcourt.

-Chcesz powiedzieć, że możemy tam się udać bez ryzyka?

-Nie jestem pewna. Ale podczas mojej ostatniej podróży, dawno temu, mnisi wydali mi się bardzo dyskretni. Przyjęli mnie i i liociaż ich pokoje nie są ani w połowie tak wygodne jak izby w oberżach galatyjskich, to przynajmniej mi nie przeszkadzali, i w jednym z klasztorów poproszono mnie nawet, bym zagra- li na harfie.

- Ale chrześcijanie nie znoszą druidów i bardów! - zdziwił się Mjolln.

Faith wzruszyła ramionami.

- Mnisi niezbyt się tym przejmują. W Harcourt spotkało mnie wiele nieprzyjemnych niespodzianek ze strony Rycerzy Płomienia, księży, a nawet ze strony zwykłych wiernych, którzy byli wobec mnie bardzo agresywni, ale nigdy

nie miałam kłopotów z mnichami. To znaczy, byłam tylko bardem. Dziś rzeczy być może mają się inaczej. Napięcia między Harcourt i Galacją nigdy nie były tak silne, a my nie wiemy, czy ludzie słyszeli tutaj o tobie, Aleo.

Dziewczyna westchnęła. Zadawała sobie to samo pytanie.

- Jeżeli wiedzą, że jesteś Samildanachem, będziesz przyjęta jeszcze bardziej wrogo niż druid... Wkraczamy na niepewny grunt. Być może nigdy nie słyszeli o tobie, wówczas będziemy mogli uchodzić za zwykłych podróżnych, ale być może jesteś poszukiwana nie tylko w Galacji, lecz także w tym hrabstwie!

Alea zastanawiała się przez chwilę. Długo spoglądała na stojący w oddali klasztor, a potem, nie spuszczając z niego oczu, powiedziała wolno:

- Jednak tam pojedziemy.

Mjolln westchnął.

- Hem. Myślę, że nie ma sensu przekonywać cię, że nie sędzę, by to było rozsądne. O nie, nie ma sensu, prawda?

- Chcę zobaczyć ten klasztor. Chcę spotkać mnichów. Chcę ich usłyszeć, chcę się dowiedzieć, kim jest ich Bóg.

- Tralala! Sądziłem, że spieszyliśmy się do Mont-Tombe! - zauważył z przekąsem krasnolud.

- Może tutaj również się czegoś nauczę? To mnie intryguje. A poza tym, jeśli się tam udamy, będziemy wiedzieć, czy jestem poszukiwana, czy nie!

- To niezbyt dyskretny sposób, by się tego dowiedzieć - odparł Mjolln - ale nie mam nic przeciwko temu, by spędzić noc w wygodnym łóżku!

- Nie pojedziemy tam od razu - odparła Alea. - Udamy się tam jutro. Już dość dzisiaj jechaliśmy.

- Hem. Tym lepiej! Dobra kolacyjka, zaraz przygotuję wam dobrą kolacyjkę!

*

Król Galacji Eoghan Mor podniósł się z łoża. Na jego czole perlily się krople potu. Otworzył duże okno swej komnaty. Ciężkie powietrze stało nieruchomo, noc nie przyniosła wytchnienia po upalnym dniu. Eoghan nie pamiętał tak gorącego lata.

W rozległych ogrodach pałacowych płonęły pochodnie. Wiele razy w ciągu tej nocy służący zmieniali je, by ogrody nie pogrążyły się w ciemnościach. Wielki Król usłyszał westchnienie żony dobiegające z ogromnego małżeńskiego łoża. Odwrócił się i zobaczył, że Amina nie śpi, lecz siedzi z głową opartą o zagłówek. Była zachwycająca. Mała piękność ziem galatyjskich. Nie wywodziła się ze stanu szlacheckiego i było to przedmiotem kpin aż w Bizanii, kiedy ogłosił, że zamierza poślubić córkę kowala. Jednak kiedy przedstawił swą przyszłą żonę szlachcicom z Sarre i Bizanii oraz panom na swym własnym dworze, nikt nie ośmielił się więcej naśmiewać. Była tak piękna i pewna siebie, jej wzrok był pełen szlachetności, a mowa śmiała. Kiedy zmarł jej ojciec, opuściła swoje rodzinne miasteczko, przygarnięta przez ciotkę z Providence. Później pobierała nauki u druida, by zostać kobietą bardem. Ale Eoghan poznał ją, zanim przywdziała niebieskie szaty, i mimo że przeszła rytuał inicjacji, nigdy nie praktykowała swej sztuki oprócz chwil, kiedy zabawiała gości lub gdy śpiewała dla samego króla.

- Jaka jest noc? - zapytała, uśmiechając się do męża.

- Taka jak ty, moja urocza. Tajemnicza i piękna.

Amina również wstała. Choć była naga, szła przez komnatę, nie okazując skrępowania. Nic dziwnego. Jej ciało było doskonałe. Miała delikatnie zaokrąglone biodra, długie nogi, brzuch gładki jak skóra niemowlęcia, zachwycające piersi, jakby namalowane ręką najznakomitszego artysty z Bizanii. Jej młoda twarzyczka wyrażała pewność i zdecydowanie.

- Ależ jest gorąco! - westchnęła.

- Chcesz, bym rozkazał, aby ci przygotowano chłodną kąpiel? - zapytał król.

- Zaczekaj. Chcę spędzić tę chwilę blisko ciebie i razem z tobą spoglądać w niebo.

- Służący mogą cię zobaczyć - zaproponował.

- I cóż z tego? Niech zobaczą, jaka jestem. Ich królowa nie ma nic do ukrycia. Czy to ci przeszkadza?

- Boję się, że się w tobie zakochają, jeśli cię zobaczą.

- A czy już tego nie uczynili? - zażartowała.

Amina podeszła, stanęła za mężem i przytuliła się do niego, obejmując jego umięśnione ramiona. Unosząc się na czubkach palców, delikatnie pocałowała Eoghana w szyję, a potem dotknęła podbródkiem karku męża.

- Żaden druid nie pojawił się na Lugnasad - wyszeptała.

- Mają teraz tyle spraw... Uprzedzili mnie o tym.

- Czy jest się druidem, czy zwykłym wieśniakiem, nie opuszcza się królewskiego święta. Jeżeli nie mogli zjawić się wszyscy, mogli przynajmniej przysłać reprezentanta!

Eoghan odwrócił się wolno, by spojrzeć żonie w twarz. Ujął jej czarującą twarzyczkę w szerokie dłonie.

- Nie pojmuje, dlaczego tak cię to zaskoczyło, moja słodka.

Amina opuściła dłonie wzdłuż ramion króla, wolno, pieścizliwie.

- Dobrze znam druidów. Mówią, że Rada jest po to, by pomagać ludziom stapać po ścieżkach Mojry. Ale prawda jest taka, że interesuje ich tylko jedna rzecz: władza. I za każdym razem, gdy mogą pokazać, w ten czy inny sposób, że jesteś od nich słabszy, robią to. Jakby chcieli przypomnieć mieszkańcom Gaelii, że to oni są prawdziwymi władcami kraju. Nie możesz tego tolerować, Eoghane. Jesteś Wielkim Królem Gaelii, a twoi poddani powinni cię za niego uznawać. Nie ma nikogo godniejszego niż ty na drogach Mojry, jesteś władcą tego kraju.

- Potrzebuję druidów bardziej niż kogokolwiek - odparł król. - Bez nich byłbym zdany na łaskę i niełaskę Harcourt albo Tuathannów. Cała moja armia nie mogłaby się z nimi równać. Mogę jedynie uznać ich potęgę.

- Ty mówisz o sile twych ludzi, a ja o władzy politycznej.

- W naszych czasach jedno wynika z drugiego.

- Nie wtedy, gdy jest się Wielkim Królem Gaelii. Twoje stanowisko daje ci siłę, jakiej nie ma cała armia. Powinieneś być zrobić z niej użytek już wcześniej, mój ukochany.

Eoghan się uśmiechnął. Mojra ofiarowała mu nie tylko najpiękniejszą kobietę na wyspie, ale również zręcznego polityka. Pocałował żonę i wrócił do łoża wyrzeźbionego z czerwonej czeresni.

- Co chcesz, żebym zrobił? - zapytał, wyciągając się na poduszkach.

- Powinieneś być zażądać obecności jednego z Wielkich Druidów i powierzyć mu jakąś rolę podczas ceremonii. Rolę honorową, oczywiście, ale taką, która jasno pokazałaby twoim poddanym, że stoisz ponad Radą. Ale co się

stało, to się nie odstanie... W każdym razie druidzi w dalszym ciągu cię nie szanują...

Król uniósł się na łokciach i zmarszczył brwi.

-Jak to?

Amina zrozumiała, że osiągnęła cel. Wolno podeszła do łóżka i usiadła naprzeciw człowieka, którego poślubiła.

-Manithy Tuathannów. Czy wiesz, że druidzi zażądali od Tnathannów Manithów w zamian za zawarcie pokoju, do którego podpisania cię zmusili?

Hoghan zacisnął usta.

- Zmusili cię, byś oddał Ziemię Brunatną najeźdźcom, a w zamian za to, co do nich nie należy, odzyskają cztery najkosztowniejsze przedmioty na wyspie.

Wielki Król zerwał się oburzony.

- Jak możesz wiedzieć o czymś, o czym ja nie mam pojęcia?

- Ponieważ jestem bardem, mój królu. I ponieważ mam czas, by słuchać, o czym się mówi na twoich ziemiach. To dlatego mnie poślubiłeś.

Eoghan zaczął się ubierać pod czujnym spojrzeniem żony.

- Muszę natychmiast zwołać swoich doradców! Chcę wiedzieć więcej na ten temat! Nie pozwolę, by druidzi tak mną manipulowali!

Wielki Król ostatni raz tego wieczoru pocałował żonę, a potem szybkim krokiem wyszedł z komnaty. Amina się uśmiechnęła. Wszystko właśnie się zaczynało.

*

Alea westchnęła. Siedziała sama, z dala od obozowiska, z podkurczonymi nogami, obejmując rękoma kolana. Wiedziała, że czas odpoczynku się skończył. Wolno obracała w prawej dłoni łaskę Felima. Odkąd opuściła Borcelię, jej życie odzyskało zwykły rytm. Cieszyła się z podróży, z rozmów z przyjaciółmi, z chwil wytchnienia. Herilimowie już nie podążali za nią, druidzi z pewnością zgubili jej trop, podmuch paniki, który niósł ją od chwili, gdy ujrzała Drzewo Życia, zelżał i spędziła kilka spokojnych dni na grzbiecie swej klaczy.

Ale gdy ujrzała klasztor, zrozumiała, że to ostatni wieczór odpoczynku. Jutro znowu zacznie się niebezpieczne życie. Była Samildanachem. Nie mogła uciec przed przeznaczeniem. Przed nią rozciągało się rozległe terytorium Harcourt, na którym, była o tym przekonana, rozegra się znaczna część tego, co było jej pisane. Tutaj miała jedynie wrogów. Jej droga będzie najeżona przeszkodami, a niektóre z nich mogą być fatalne w skutkach. Jak za każdym razem, gdy przeczuwała zbliżające się komplikacje, zastanawiała się, czy dobrze zrobiła, zabierając z sobą Mjollna i Faith. Jakim prawem wciągała ich w tę zawieruchę?

Gwiazdy ułożyły się w błyszczący wachlarz ponad wzgórzami Harcourt. Z zachodu dobiegał szum morza i podmuch lekkiej bryzy, który wprawiał w drżenie trawy na szczytach wzgórze. Noc była bezchmurna, a niebo nad Aleą takie rozległe.

„Gaelia jest niewielką wyspą w ogromnym wszechświecie - pomyślała. - Co znaczy Samildanach wobec wieczności? Przede mną rozegrały się miliony historii, a po mnie będą następne. To, co widziałam w Drzewie Życia: koniec elfów, koniec druidów po mojej śmierci, to wszystko nic nie znaczy. To jest z pewnością jedynie symbol lub historia. Wiem, że to nic nie znaczy. Trzeba, bym to zrozumiała”.

Nagle usłyszała znajomy dźwięk. Wilczyca. Alea się uśmiechnęła. Pograżona w myślach o mało nie zapomniała o nocnym spotkaniu. A Imała się spóźniła.

Dziewczyna natychmiast się zorientowała, że coś się zmieniło. Imała nie miała już tego samego spojrzenia. Tych samych znajomych ruchów.

Co się dzieje?

Wilczyca zbliżała się wolnym krokiem, ale tym razem bez strachu. Jej oczy błyszczały, a sierść zdawała się szara. Zatrzymała się kilka kroków przed Aleą i wyprężyła przednie łapy.

Jesteś dziś bardzo dumna!

Wilczyca zrobiła dwa kroki do tyłu, nie spuszczać wzroku z dziewczyny. Alea podniosła się wolno. Imała cofnęła się jeszcze bardziej.

Chcesz, bym poszła za tobą? Chcesz mi coś pokazać? /wierzę odwróciło się i powoli pobiegło na południe. Alea za- wiliła się, a potem zdecydowanym krokiem ruszyła za wilczycą. Musiała biec, by nie stracić jej z oczu. Ponieważ była noc, musiała uważać na pułapki zastawione przez naturę na nieuważnych wędrowców, którzy zapuścili się tak daleko od głównej drogi. Bieg pomiędzy wzgórzami trwał dość długo i wkrótce Alea straciła / oczu kołyszącą się sylwetkę wilczycy. Zwolniła, by wyrównać oddech, i omiotła spojrzeniem horyzont w poszukiwaniu zwierzęcia. Nie dostrzegła go jednak.

Alea zatrzymała się na dobre. Była teraz daleko od obozowiska. Nie było stąd widać nawet długiego cienia klasztoru. Przebiegł ją ilreszcz. To z pewnością przez ten nocny wiatr. Wolno podjęła marsz. Znajdowała się u stóp niewielkiego wzgórza i pomyślała, że jeżeli się na nie wespnie, może zdoła znów zobaczyć Imałą. Skierowałaby się wówczas jeszcze bardziej na południe, ale przynajmniej nie biegłaby na darmo.

Przyspieszyła kroku i kiedy była już na szczycie wzgórza, natychmiast dostrzegła to, co Imała chciała jej pokazać. Poniżej, pośrodku niewielkiej doliny, biała wilczyca bawiła się z dużym szarym wilkiem. Przez moment można było odnieść wrażenie, że jest to prawdziwa walka. Alea była jednak pewna, że wilki okazują sobie sympatię.

Przykucnęła i patrzyła, jak zwierzęta biegają w kółko obok niewielkiej rzeczki.

Zatem znalazłaś drugiego wilka! Ty również chciałaś mi przedstawić swoich przyjaciół!

Nagle Imała zostawiła szarego wilka i pobiegła na szczyt wzgórza, prosto do Alei. Dziewczyna zastanawiała się chwilę, czy nie powinna się pokazać, spróbowała okiełznać lęk i pozostała, siedząc w kucki. Wilczyca zwolniła kilka metrów przed Aleą i resztę drogi przeszła wolnym krokiem. Podeszła do dziewczyny z pewnością, jakiej Alea jeszcze u niej nie widziała. Dziewczyna wyciągnęła do niej rękę, a Imała zaczęła lizać jej palce. Alea zbliżyła się wolno, a kiedy była już wystarczająco blisko, położyła prawą dłoń na brzuchu wilczycy, by ją pogłaskać. Serce waliło jej jak młotem. Nigdy nie była tak blisko! Ale Imała na to pozwalała. Uniosła ogon i z wywieszonym językiem od czasu do czasu rzucała dumne spojrzenia w stronę towarzysza, który niespokojnie przypatrywał się tej scenie.

Dobrze, Imało! Cieszę się z twojego szczęścia. Chodź, siostrze, chodź! Twój towarzysz jest piękny. Możesz go przekonać, by się mnie nie bał?

W końcu wilczyca usiadła naprzeciw Alei. Jej ogon uderzał o trawę. Z uniesionym pyskiem wyglądała naprawdę wspaniale, jej oczy błyszczały. Była szczęśliwa, to było widać w każdym jej ruchu. Alea nie przestawała jej głaskać.

Dobrze, że nie jesteś już sama, Imalo. To dobrze, bo mam do ciebie prośbę. Musimy się rozstać, moja wilczyco, bo potrzebuję, żebyś coś dla mnie zrobiła. Mam nadzieję, że zrozumiesz. Nawet nie wiem, czy naprawdę mnie słyszysz.

Głaszcząc wilczycę jedną ręką, drugą odnalazła w sakwie niebieską chustę, która należała do Galiada. Zbliżyła chustę do pyska wilczycy.

Masz, powąchaj! Należy do Galiada. Chcę, żebyś go odnalazła. Już go widziałas, tamtej nocy zaprowadziłaś mnie do niego. Wiesz, kim jest. Rozpoznajesz jego zapach, prawda? Imalo, chcę byś odnalazła Galiada i jego syna Erwana. Chcę, żebyś ich odnalazła i poprowadziła na północny zachód, w stronę Mont-Tombe, tam, gdzie morze wcina się w ziemię. Potrzebuję twojej pomocy, siostró, rozumiesz?

Imalo powąchała chustę. Zrobiła to tylko raz, jednak Alea była pewna, że zrozumiała wiadomość. Wilczyca zrobiła kilka kroków w miejscu. Dziewczyna objęła zwierzę i mocno przytuliła.

Dziękuję, moja wilczyco, powodzenia! Ale zanim wyruszysz, pozwól, bym zawiązała tę chustę wokół twojej szyi. Nie bój się, Imalo, chcę tylko, by Galiad wiedział, że to ja cię przysłałam.

Kiedy Alea zbliżyła materiał, by go zawiązać na szyi wilczycy, ta cofnęła się i cicho warknęła. Dziewczyna spodziewała się tego i opuściła rękę. Znowu zbliżyła się wolno do wilczycy, ale ta nadal się cofała. Alea usiłowała ją ugłaskać delikatnymi słowami, ale I niala nie chciała tego słuchać i cały czas się cofała.

Alea musiała porzucić swój pomysł i kiedy ujrzała, że wilczyca jest już dość daleko, podniosła się. Utkwiła wzrok w wilczycy i uśmiechnęła się do niej.

„Idź!”, pomyślała, a zwierzę pobiegło w stronę doliny, by przyłączyć się do szarego wilka.

Alea zacisnęła pięści. Miała nadzieję, że wilczyca zrozumiała, a jeśli tak, że potrafi wypełnić powierzoną jej misję. Miała nadzieję, że próba zawiązania na jej szyi chusty nie przeraziła jej zbyt. Imalo nie chciała nosić chusty. Jakby pragnęła dać jasno do zrozumienia, że nie należy do Alei. Że nie należy do żadnego dwunożnego i że nigdy nie da się oswoić. Takie były wilki i Alea pomyślała, że może tak jest lepiej.

*

Samaela eskortowało teraz zaledwie piętnastu rycerzy. Bitwa, którą stoczyli z Tuathannami, kosztowała życie większość ludzi z oddziału i biskup przypuszczał, że od tej chwili kapitan żywi do niego niechęć, ale ten nie mógł mieć pojęcia, co Samael zyskał w całej tej sprawie.

Samael nie wyciągnął Miecza Nuadu z pochwy od chwili, gdy ukradł go Tuathannom. Przechowywał go pieczołowicie w swym kufrze i nie miał jeszcze śmiałości, by przypatrzeć mu się z bliska. Zupełnie jakby się tego bał. Druidzi od tak dawna poszukiwali tego legendarnego artefaktu, że Oskarżyciel nie mógł uwierzyć, iż całkiem przypadkowo wszedł w jego posiadanie. Przerazało go to i bawiło jednocześnie. Jeśli Mojra naprawdę istniała, czy pozwoliłaby, żeby na Mieczu tak łatwo spoczęła niepowołana ręka? Orszak był teraz w okolicy lasu Tenian i nawet jeśli Mericourt nie było już zbyt daleko, zagrożenie atakiem ze strony Tuathannów było w dalszym ciągu realne. Mieli przed sobą jeszcze dwa lub trzy dni drogi. Dopiero w stolicy Ziemi

Brunatnej, gdzie Samael będzie mógł spotkać się z hrabią i zaproponować mu pomoc Harcourt, będą bezpieczni. Biskup nie chciał tracić czasu. Mimo zmęczenia ludzi i koni zarządził postój dopiero późno w nocy i zażądał, by nazajutrz wyruszyć wczesnym rankiem. Rycerze Płomienia się nie skarżyli. Ich służba była najcięższa ze służb we wszystkich armiach na wyspie i byli przyzwyczajeni do jeszcze szybszego tempa podróży. Jednak konie słabły z każdym dniem. Potrzebowały więcej troski i odpoczynku, a niektóre z nich zaczęły kuleć.

Tego wieczoru Samael odczekał, aż zapadnie głęboka noc, i dopiero wtedy wydał rozkaz rozbicia obozu. Rycerze zatrzymali się kilka mil od farm i szybko przygotowali obozowisko: miejsce na ognisko, trawiasty zakątek dla koni, namiot dla biskupa, kilka stołów, pnie w charakterze ławek oraz stanowiska wartownicze.

Samael wezwał kapitana.

- Wasza Miłość? - skłonił się tamten, wchodząc do namiotu.

- Chcę, żebyście razem z dwoma waszymi ludźmi pojechali do tych farm. Zabierzcie cztery najbardziej zmęczone konie i zorientujcie się, czy jakiś kowal może się nimi zająć albo czy nie można znaleźć innych w zamian za nasze. Udajcie się tam osobiście, bo chcę, byście spróbowali zdobyć informacje dotyczące sytuacji. Muszę wiedzieć, gdzie są Tuathannowie i gdzie jest hrabia Meriand Mor.

- Czy nie jest zbyt późno na to, by spotkać jakąś żywą duszę w tak niewielkiej osadzie? - zdziwił się wojownik.

- Jeśli nie znajdziecie nikogo, obudźcie mieszkańców i powiedzcie, że wykonujecie misję dla hrabiego. Jesteście rycerzem, ci farmerzy z pewnością was uszanują!

- Dobrze, Wasza Miłość.

Kapitan odwrócił się, by wykonać rozkaz. Zabrał z sobą dwóch ludzi i cztery konie.

Kiedy wrócili, pozostali rycerze zdążyli już zjeść wieczerzę, a większość z nich dawno spała. Tylko czterech trzymało straż. Biskup czytał w swoim namiocie przy świetle świecy.

Samael nie czuł zmęczenia. Po długim dniu wystarczyło, by < t/ y wił Saimana i znużenie natychmiast zniknęło. Stało się to dla niego niczym narkotyk. Każdego wieczoru czytał długo po tym, jak ostatni rycerze kładli się spać. Zasypiał dopiero po trzeciej lub czwartej zmianie warty. Ludziom z Harcourt wydawało się, że spędza ten czas na modlitwach, lecz on w zaciszu swego namiotu zgłębiał wszystkie księgi, których nie mógł przeczytać, gdy był druidem. Podniecała go możliwość sięgnięcia do tej niewy- ^ zcrpanej studni wiedzy, tych ukrytych cudowności, tych historii, tych pasjonujących myśli...

U wejścia do namiotu pojawił się kapitan.

- Wasza Miłość!

Samael położył przed sobą *Księgę języków dawnych*, którą właśnie czytał, włożył między jej karty cienką zakładkę ze skóry i wstał, by przyjąć rycerza.

- Wejdźcie, kapitanie, i usiądźcie tu, przy stoliku.

Każdego wieczoru rycerze przygotowywali namiot biskupa ze szczególną dbałością. Doskonale wiedzieli, czego oczekuje purpurat: mały stolik, dwa świeczniki, kufer wypełniony książkami i nakryty czerwonym welurem, służący również jako ława, dwa niewielkie drewniane krzeselka, mosiężna misa, w której biskup się mył, i łóżko, które przygotowywano z

jutowego materaca oraz kapy. Był to jedyny luksus, na jaki pozwalał sobie biskup w podróży, ale to wszystko należało przygotować, zanim wszedł do namiotu. Każda rzecz miała być na swoim miejscu.

- Udało mi się dokonać zamiany naszych czterech wierzchowców - powiedział kapitan, siadając.

Mówił poważnym tonem, miał zmarszczone brwi i były druid widział, że coś jest nie w porządku.

- Dobre konie? - zapytał Samael, który nie chciał, by podróż się przedłużyła.

- Są w o wiele lepszej formie niż nasze. Oczywiście nie są wyszkolone tak jak wierzchowce z Harcourt, ale myślę, że nam w zupełności wystarczą.

- Dobrze. Czy zdobyliście jakieś ciekawe informacje? - zapytał biskup, odgadując, że to właśnie nowiny były przyczyną powagi rozmówcy.

- Tak, Wasza Miłość. I sądzę, że nie są one korzystne dla celu, jaki wam przyświeca.

Samael poruszył się niespokojnie.

-Tak?

- Merianda Mora nie ma już w Mericourt. Opuścił stolicę i wyjechał z większą częścią swej armii, by zaatakować Tuathannów. Ci barbarzyńcy osiedlili się na północy Ziemi Brunatnej, tak jak im na to zezwolił Wielki Król. Meriand ma nadzieję wygnać ich ze swych ziem bez niczyjej pomocy. Teraz zmierza w kierunku Filiden.

Samael uderzył pięścią w stół.

- Cóż za imbecyl! Sam nie ma żadnych szans. Jego armia jest śmiechu warta w obliczu armii Tuathannów! Musimy przeciąć mu drogę!

Kapitan milczał. Myślał o tym samym, ale nie umiał znaleźć sposobu, by uspokoić biskupa Nataliena.

- Nie możemy pozwolić sobie na to, by Meriand zginął - ciągnął Samael, ale teraz mówił sam do siebie. - A jego armia będzie dla nas niezwykle użyteczna. Musimy temu zapobiec.

Biskup wstał, podszedł do kufra i otworzył go. Zagłębił w nim ręce i wyjął Miecz Nuadu starannie owinięty brązowym sukniem.

- Kapitanie, od teraz będę podróżował sam. Wasi ludzie tylko opóźniają moją podróż, a ja nie potrzebuję żadnej ochrony.

- Wa... Wasza Miłość - wymamrotał kapitan. - Nie mówicie poważnie...

Samael przypasał miecz, nie odwijając go z sukna, i przygotował okazałą sakwę podróżną, którą jał napełniać ubraniami i żywnością.

Mówię bardzo poważnie. Muszę jak najszybciej dołączyć do Merianda i nie mogę tracić ani minuty. Sam nie będę w niebezpieczeństwie, Bóg mnie strzeże. Przygotujcie mi najlepszego konia i jutro zawróćcie do Harcourt i tam poinformujecie Thomasa Actlitusa i hrabiego Al'Roega o sytuacji. Ja wyruszę przemówić Meriandowi do rozsądku i sprowadzić go do Harcourt, byśmy mogli uczynić go sprzymierzeńcem naszej sprawy.

Kapitan nie wiedział, co powiedzieć. Nie mógł zaprotestować, a jednak był pewien, że kiedy wróci do Harcourt, Thomas Aeditus będzie mu zarzucał, iż opuścił biskupa Nataliena. Ale ten wydawał się zdecydowany, a rycerz nie mógł okazać nieposłuszeństwa. Poza tym teraz, kiedy widział, jak Natalien zachowywał się na polu walki, pomyślał, że ten stary szaleniec potrafi osiągnąć to, co zamierzał.

Oficer skłonił się posłusznie i wyszedł z namiotu, nie mówiąc już ani słowa. Poczekał do świtu i wtedy przekazał wieści swoim ludziom.

Samael był już daleko.

*

- Kim jesteś?

- Jestem Kiaran. A w każdym razie jestem obrazem Kiarana w świecie Djar. Nie znam tej twarzy. Ale to jego głos. I jego oczy. I jego umysł, rozpoznaję jego umysł... Ale dlaczego taki obraz?

- Nie rozpoznaję was, druidzie. A jednak widziałam was w Sai- -Minie. Tutaj jesteście młodszy. I to wasze ubranie... To nie jest szata druida!

- Tak wyglądałem, kiedy miałem prawie tyle lat co ty, Aleo...

- Byliście wędrowcem?

Kiwa głową. I uśmiecha się do mnie. Nie jest zdziwiony, że mnie widzi.

- Co tu robicie?

- Jestem tu każdego wieczoru, Aleo, tak jak ty. I już od dłuższego czasu cię obserwuję.

Obserwował mnie. Djar jest naprawdę dziwny. Zawsze miałam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Wszystkie te unoszące się myśli, te krzyżujące się możliwe przeznaczenia...

- Długo?

- Od samego początku. Odkąd przybyłaś do Sai-Miny. Widziałem twój obraz, na początku płynny. Nie umiałaś go kontrolować, prawda? Tego dnia była też wilczyca...

Zna Imalę.

- ... i był też obraz Erwana Al'Damana, młodego magistela, syna Galiada. Żywisz do niego uczucie...

Można by powiedzieć, że ze mnie żartuje, a jednak wiem, że nie ma takiego zamiaru. Jest najdziwniejszy ze wszystkich Wielkich Druidów, zauważyłam to już w Sai-Minie. Czy szpieguje dla Rady?

- Ale był tu też Maolmórdha, przypominasz sobie?

- On również mnie obserwuje, prawda?

- Oczywiście. Ale nie w tej chwili. Nie wiem, co robi... To nie jest zbyt uspokajające.

To prawda. Nie czuję już jego obecności. Ale wiem, że jest na mojej drodze. Maolmórdha. Na końcu mojej drogi...

- Obserwujecie mnie dla Rady?

- Obserwuję cię już od dawna, a Rada dopiero się dowiedziała, że mogę wchodzić do świata Djar. Powiedziałem im, że cię tu widziałem, ale nie wiedzą nic więcej.

A jeżeli kłamie?

- Myślę tak jak Felim, wiesz o tym, Aleo. Myślę, że jesteś Samildanachem. Wiem to. I tak jak on chciałbym cię bronić przed Radą.

- Ale przecież jesteście jej członkiem!

- To nie znaczy, że zawsze zgadzam się z jej decyzjami. Jestem dzieckiem Mojry...

Nie jestem pewna, czy zrozumiałam, co chce powiedzieć. To nazwa, którą dają wędrowcom. Ale jaki jest jej prawdziwy sens?

Felim nie żyje. Był jedynym, który chciał mnie chronić, ale »//« • żyje.

Wiem. Trzech druidów wysłanych za wami powróciło na lono Rudy. Oznajmili nam tę nowinę. Ale Felim nie był jedyny. Ja myślę tak jak on, i młody Finghin również. Wczoraj nas opuścił.

Finghin? Opuścił Sai-Minę?

- Tak. Szuka cię.

Odnajdzie mnie. Potrzebuję go. Muszę się uczyć.

- To ty musisz nas wiele nauczyć. Jesteś Samildanachem, Aleo.

Jakim sposobem tu przychodzisz, skoro inni druidzi nie mogą?

- Z pewnością mogliby, gdyby mniej czasu przeznaczali na knu- ciec intryg, a więcej na pracę nad Saimanem. Ale nie jestem jedyny. Dwóch renegatów również tu przybywa. Maolmórdha i Samael. Powinnaś się strzec Samaela. Jest niedaleko. Nie wiem, gdzie pójdziesz ani co chcesz zrobić, ale Samael jest blisko ciebie.

- Jeszcze jeden, który pilnuje?

- Nie. Nie sądzę, że cię tu widział.

- Skąd o tym wszystkim wiecie, Kiaranie?

- Często tu przychodzę. Obserwuję wszystko. Słucham wszystkiego. Moi bracia myślą, że bujam w obłokach, ale ja jestem tutaj. Prawda, która objawia się tutaj, obnaża kłamstwa, które pojawiły się gdzie indziej.

- Jak mogę wam zaufać?

- Nigdy nie będziesz mogła mi zaufać. Nigdy już nie będziesz mogła nikomu zaufać. Powinnaś zawsze mieć się na baczności, Aleo.

- Czy was jeszcze zobaczę?

- Za każdym razem, kiedy się tu zjawisz, jeśli chcesz.

Sądzę, że bardzo bym tego chciała, tak. Kiaran z pewnością może mnie nauczyć wielu rzeczy. Ale muszę uważać, by nie powiedzieć za wiele. Nie powinnam udzielać mu informacji wbrew swojej woli.

- Niech tak będzie. Odnajdę was każdego wieczoru, Kiaranie, ale musicie mi obiecać, że nie będziecie mnie obserwować bez mojej wiedzy, kiedy tu będę, i kiedy z wami nie będę chciała się spotkać.

- Obiecać ci?

To prawda. Jakie znaczenie będzie miała taka obietnica, skoro właśnie mi powiedział, że nie powinnam już nikomu ufać? Muszę go nastraszyć.

- Jeżeli twoje spojrzenie mnie zaskoczy, Kiaranie, zrobię wam to, co zrobiłam księciu Herilimów.

Nie odpowiada. Jestem pewna, że mnie zrozumiał.

- Teraz muszę coś sprawdzić, Kiaranie. Cieszę się, że mi się pokazaliście. Brakuje mi Felima. I potrzebuję rozmowy z druidem. Finghin z pewnością mi nie wystarczy.

- Ja ci również nie wystarczę, Aleo, ale nauczę cię wszystkiego, co wiem.

- Dziękuję.

Odwracam się. Odchodzę. On nie idzie za mną.

Daleko stąd, muszę przenieść się myślą daleko stąd.

Muszę odszukać Erwana.

Drzwi do świata Djar. Mogę do nich trafić. Są tutaj.

Podchodzę do nich.

On jest poniżej. Poznają to światło. Jestem w nim. Niczym w studni błękitu. A całym w dole Erwan.

Czy usłyszysz moją wiadomość? Czy ją zrozumie? Nie może wejść aż tutaj. Nie usłyszysz mnie wyraźnie. Ale muszę mu powiedzieć. Muszę sprawić, by zrozumiał. Erwan... Erwan...

Posłuchaj mnie...

*

Obydwa wilki szły na północ środkiem wąskiej doliny. Wzdłuż ścieżki płynął niewielki potok pełen płaskich gładkich kamieni. Prawa strona wzgórze była naga, nie licząc kilku niewielkich krzaczków rosnących tuż przy ziemi. Była to brunatna kamienista gleba. Po lewej stronie lato łaskawie oszczędziło las iglasty. Na dole gałęzie były łyse, ale czubki drzew pokrywały zieloni' igły. Na północy horyzont stanowiły odległe wzgórze i błękit MCI pniowego nieba.

Imała przeskakiwała przez zwalone pnie drzew, które woda przyniosła aż tutaj. Podłoże było mieszaniną białego drewna i za- si liniętego błota, w którym można było dostrzec odcisnięte ślady przechodzącego tędy stada krów.

Dolina wiła się między wzgórzami i biegła na północ, gdzie roślinność była gęstsza. Wilczyca zatrzymywała się czasami, by zaspokoić pragnienie. Woda szumiała, zagłuszając inne odgłosy. Słychać było jedynie stukot przesuwających się kamieni, które wyslizgiwały się spod wilczych łap, oraz szum skrzydeł drapieżnych ptaków poszukujących zdobyczy.

Imała nigdy jeszcze nie polowała z szarym wilkiem. Ale wiedziała, że z nim mogła zaatakować grubszą zwierzynę. Biegła za lowarzyszem, gotowa do skoku. On również musiał być głodny, ale Imała nie chciała zbaczać z drogi. Wiedzioną instynktem podążała na północ - tam także powinna znaleźć pożywienie.

Dolina stawała się coraz węższa. Góry Gor-Draaka były coraz bliżej i wypełniały sobą cały horyzont. Wilki biegły wzdłuż potoku, którego ożywczy chłód przynosił ulgę ich zmęczonym łapom. Bieg po kamienistym podłożu był o wiele bardziej męczący niż długie wyprawy po trawiastych równinach, upał zaś nie ułatwiał wędrówki. Grzbiety zwierząt uginały się pod palącym południowym słońcem.

Nagle Imała dostrzegła jakiś ruch na zachodzie. Jakiś cień, jakby coś przemknęło między sosnami. Zatrzymała się na wyprężonych przednich łapach i zastrzygła uszami. Szary wilk stojący za nią poszedł w jej ślady. Przez dolinę przeleciał wiatr. Biała sierść Imali się zjeżyła. Bryza szumiała jej w uszach. Czubki drzew zachwiały się, a potem wiatr ucichł. Przyroda zastygła w bezruchu, tylko promienie słońca ślizgały się po powierzchni rwącego potoku. Nawet śpiew ptaków ucichł w jednej chwili. Imała była gotowa do skoku.

Znowu ujrzała ruch między pniami na zboczu wzgórze. Zrobiła kilka kroków, wyszła z wody i położyła się na brzuchu na nagranych kamieniach nad potokiem. Zidentyfikowała zdobycz: łanię ukrytą w cieniu lasu. Musiała być młoda, miała płową sierść na grzbiecie i białoczerwone podbrzusze. Z uniesioną głową nasłuchiwała szmeru dobiegającego zza drzew. Na pewno coś usłyszała, ale jeszcze nie dostrzegła dwojga myśliwych, którzy teraz ją obserwowali.

Duży szary wilk skierował się na północ. Polowanie się zaczynało. Szykował się, by przeciąć drogę łani, która z pewnością rzuci się do ucieczki, gdy zobaczy nadbiegającą Imałą. Jego łapy poruszały się zwinnie, kiedy lekko biegł

w stronę zdobyczy. Stopniowo wspinał się na wzgórze, rzucając od czasu do czasu spojrzenia za siebie, w stronę białej wilczycy, lub na zachód, gdzie pokazała się łania.

Imała zaczęła się czołgać. Kierowała się na południowy zachód, mając nadzieję, że zaskoczy łanię od tyłu. Ale zwierzę było wyjątkowo czujne. Na dźwięk spadających otoczków, które wyslizgnęły się spod łap wilczycy, łania się odwróciła. Natychmiast zobaczyła Imałą. Ze swoją białą sierścią na tle szarych kamieni wilczyca niezbyt rzucała się w oczy, ale łania nie traciła ani chwili. Gdy tylko ujrzała podnoszącą się wilczycę, rzuciła się w stronę lasu. Szary wilk zobaczył, jak kluczy między drzewami, i ruszył w jej kierunku.

Łania w swoim naturalnym środowisku była szybsza i zręczniejsza. Wilki zabiegały jej drogę, zmuszając, by zeszała do doliny. Ale jeżeli wyszłaby z lasu, byłaby zgubiona. Zatem by uniknąć obławy, nagle zmieniła kierunek, ślizgając się na pokrytej sosnowymi szpilkami ziemi.

W miarę jak zagłębiali się w las, zbocze stawało się bardziej strome i wkrótce oba wilki biegły bok w bok po śladach zwierzęcia. Łania się im wymykała. Imała, zziębnięta, zwolniła kroku.

Trzeba było cierpliwości. Ofiara również nie mogła długo wytrzymać tak szaleńczego tempa. Wilk nie przestawał biec, ale po chwili również zwolnił.

Imała zatrzymała się na chwilę, by zwietrzyć woń ofiary. Łania /niknęła, ale nie odbiegła daleko. W dalszym ciągu można było wyczuć jej obecność. Na północy. Biała wilczyca ruszyła zboczem, nie tracąc z oczu linii drzew, za którymi zniknęła zdobycz. Szary wilk również biegł w górę zbocza.

Imała cały czas czuła wyraźny zapach wystraszonej łani. Przyspieszyła, kierując się stopniowo prosto na trasę zwierzęcia, które nie mogło być daleko. Imała biegła teraz z nisko opuszczoną głową, z brzuchem przy ziemi, i po chwili znowu zwolniła. Zbocze było tu jeszcze bardziej strome, a las gęstszy. Wokół panował coraz głębszy półmrok, bo rzadkie promienie słońca z trudem przebijały się przez gałęzie sosnowe i przecinały ciemności lasu niczym fantastyczny świetlny deszcz.

Imała przyspieszyła. Zapach łani stawał się coraz bardziej intensywny. Powoli zaczynał dominować nad zapachem sosen. Wilczyca położyła się na brzuchu i patrzyła uważnie. Zapach zdobyczy był coraz silniejszy. Nagle zobaczyła łanię przechodzącą między drzewami. Już nie biegła, lecz rozglądała się za swoimi prześladowcami.

Kiedy łania odwróciła się do niej zadem, Imała skoczyła. Tym razem działała z zaskoczenia i przemknęła niczym strzała między sosnami. Łania podskoczyła i przerażona puściła się przed siebie. Biegła na południe, w stronę doliny, i nieświadomie zbliżała się do szarego wilka. Imała przecięła jej drogę i pognąła, by wkrótce znaleźć się w pobliżu zdobyczy.

Biedne stworzenie słyszało za sobą oddech wilczycy, a jego ucieczka stawała się coraz bardziej paniczna. Przeskakiwało przez połamane gałęzie i nie odważyło się zmienić kierunku.

Imała ujrzała, jak szary wilk toczy się niczym kamień ze wzgórza. Prosto na łanię. Biegł jeszcze szybciej niż ona i w jednej chwili dopadł ofiarę.

Szary wilk rzucił się w stronę długiej szyi zwierzęcia, a ono, zaskoczone, przewróciło się na lewy bok. Wilk i jego zdobycz siłą rozpędu poturlali się w dół zbocza w chmurze liści i kurzu. Kiedy to kłębowisko się zatrzymało, łania biła kopytami o ziemię, usiłując wyswobodzić się z uścisku wilka. Imała skoczyła i zabiła zwierzę jednym kłapnięciem szerokich szczęk.

Szary wilk jeszcze przez chwilę przyciskał łanie do ziemi, ale była już martwa, a jej krew plamiła pokryte runem zbocze.

*

Jak daleko elfy sięgały pamięcią, nie było na wyspie tak straszego stowarzyszenia jak to. Wszyscy Czuwający zebrali się w ogromnej komnacie pałacu Shankha, wraz z przywódcami plemion gorgunów, wojowników, banitów, dezertów i wszystkich zaprzysięgłych wrogów druidów... Nie brakowało nikogo. Wszyscy odpowiedzieli na wezwanie Pana. Razem mieli powstać przeciwko druidom, dokonać Unseann, rekonkwisty.

Była to podziemna sala, tak długa i tak ciemna, że nie było widać jej końca. Kilka pochodni rzucało światło na kamienne ściany koloru ochry. Słychać było dalekie pomruki, które dobiegały jakby z wnętrza Ziemi, ale żaden inny dźwięk, oprócz trzasku płomieni potęgowanego przez echo, nie mącił ciszy tego złowieszczonego zgromadzenia. Maolmórdha o twarzy nabiegłej krwią, z płonącym wzrokiem, stał przed ołtarzem z czarnego kamienia. Jego skóra błyszczała i ukazywała się w załamaniach zbroi z czarnego metalu. Obok niego stał Ultan, który niegdyś był jego magistrem. Był to wysoki, milczący wojownik, przez wiele lat żywiący nienawiść do Ayn Sulthora, któremu Pan poświęcał więcej uwagi. Teraz, kiedy księżę Herilimów nie żył, Ultan odzyskał swoje miejsce u boku Maolmórdhy i tym razem miał zamiar udowodnić swoją wartość. Lata frustracji sprawiły, że stał się jeszcze bardziej okrutny i był gotowy na wszystko, by udowodnić, że zasługuje na uwagę swego pana.

Almar Cahin przybył tu już wczoraj. Był w Shankha po raz pierwszy i z całych sił próbował ukryć swój strach. Tutaj nie był lir, otyłym rzeźnikiem z Saratei. Tutaj był Czuwającym. Był tym, który zadenuncjował Aleę. I wyobrażał sobie, że być może pewnego dnia ten fakt sprawi, iż dostąpi awansu w hierarchii ustanowionej przez Pana. Zasiąść u jego boku. Być jego doradcą. Być i chociażby wysłuchanym. Tak, tutaj stanie się kimś. Będzie mógł zapomnieć o swoim nic nieznaczącym życiu, jakie wiódł w małym miasteczku hrabstwa Sarre. Zostać kimś. Za wszelką cenę.

Ciężka cisza wisiała nad komnatą. Almar ani drgnął. Nie śmiał nawet rozejrzeć się wkoło. Ledwo oddychał. Słuchał. Naśladował (Suwających, którzy znajdowali się obok niego).

Pan od dłuższej chwili stał nieruchomo, gromadząc w sobie siły Saimana i Ahrimana, odrażającą mieszaninę, która uczyniła go niehumanoidalną kreaturą. Ze spojrzeniem utkwionym w ołtarz, ze skrzyżowanymi rękami wydawał się pogrążony w głębokim transie. Zarówno Almar, jak i inni członkowie zgromadzenia również mieli wzrok utkwiony w ołtarz. Nikt nie potrafił odwrócić oczu od rozciągniętego na nim trupa, którego odór przenikał atmosferę. Kilka ostatnich kawałków skóry, które pozostały na jego zgniłym szkielecie, miało błotnistą, szarą barwę. Oczodoły były puste, a w czaszce ziało głębokie cięcie. Pod połamanymi żebrami można było dostrzec zgniłe resztki rozkładających się narządów.

Nagle temperatura w sali zaczęła spadać. Twarz Maolmórdhy łagodnie się rozjaśniła. Jego oczy były niczym czerwone pochodnie, a ramiona płonęły żywym ogniem. Uniósł ramiona ponad ołtarzem w rozkazującym geście. Płomień, który jaśniał na czubkach jego palców, z każdą chwilą stawał się

potężniejszy. Przez zgromadzenie przebiegł szmer, który szybko został zagłuszony przez głuchy pomruk dochodzący z ołtarza. Podłoga zaczęła drżeć. Płomienie pochodni wystrzeliły w górę. Kilka kamiennych odłamków oderwało się od sklepienia i spadło, wznosząc tumany kurzu. Wibracje podłogi stawały się coraz gwałtowniejsze. Twarz Maolmórdhy wykrzywiła się w odrażającym grymasie, a z jego gardła wydobył się ogłuszający krzyk.

Kiedy wrzask stał się prawie nie do zniesienia, nastąpiła eksplozja. Komnata wypełniła się kurzem i dymem. Pomruk ustał. Drżenie podłogi również.

W świetle kilku pochodni, których nie zgasiła eksplozja, Almar ujrzał wyłaniającego się z kłębow kurzu Maolmórdhę.

Rzeźnik przetarł oczy, by uwolnić je od drobinek kurzu, które dostały mu się pod powieki. Stanął na czubkach palców i próbował dojrzeć, co się stało. Trup nie spoczywał już na ołtarzu, który pękł na pół. Kamienna płyta załamała się niczym uderzona piorunem, a ciało zniknęło. Almar usłyszał szepty wokół siebie. Coś się działo. Coś, czego nie mógł dostrzec. Spróbował unieść się jeszcze wyżej, ale nie pozwalał mu na to jego wzrost. Nie śmiał przepchnąć się do przodu, opuścić swojego miejsca, choć zżerała go ciekawość.

W końcu jednak zrozumiał, co było przyczyną pomruku tłumu Czuwających i gorgunów. Usta otworzyły mu się ze zdumienia, gdy ujrzał szkielet wolno unoszący się pośród chmury kurzu. Od samego początku wiedział, że ceremonia, której przewodził Maolmórdha, miała na celu przywrócenie trupa do życia, ale widzieć go stojącego, otwierającego usta i kręcącego głową to było coś zupełnie innego!

Ultan stanął za szkieletem i zarzucił na jego ramiona ciężką czarną pelerynę. Żywy trup pozwolił mu na to. W jego postawie było coś szlachetnego. Jakby chodziło o króla, którego ubiera magistel.

Szkielet odwrócił się. Unosząc ręce za kark, włożył na głowę czarny kaptur przyszyty do peleryny. Nie można już było dojrzeć najmniejszej części jego rozkładającego się ciała. Była to teraz wysoka postać w ciemnej pelerynie. Szkielet ukląkł przed Maolmórdhą.

Pan opuścił wzrok na swego nowego ucznia. Płomienie na czubkach jego palców zgasły, ale oczy nadal płonęły.

Wszyscy członkowie zgromadzenia również uklękli. Maol- mórdha podszedł do klęczącego przed nim sługi i położył swe zakrwawione ręce na jego ramionach.

- Jesteś Dermod Cahł, a ja jestem twoim panem.

- Panie, jestem twoim sługą - odpowiedział żywy trup chrapliwie.

Almar się wzdrygnął. Trzęsły mu się ręce. Przypomnił sobie dzień, w którym Sulthor przybył, by go przesłuchać. Wtedy czuł ten sam strach, który teraz ścisnął mu żołądek. Strach, który obezwładniał i zarazem podniecał.

- Cahł, powierzam ci dwanaście armii gorgunów, byś poprowadził je do zwycięstwa.

Maolmórdha zdjął z szyi łańcuch. Wisiał na nim złoty medalion, na którym wygrawerowane były skomplikowane motywy. Była to pieczęć Aldisa, Manith, który dawał jego posiadaczowi władzę nad gorgunami. Pochylając głowę, powoli uniósł klejnot i zawiesił na szyi Dermoda Cahła. Oczy żywego trupa zapłonęły ogniem.

Maolmórdha podniósł głowę i zwrócił się do klęczącego tłumu.

- Nadszedł czas Unseann! Druidzi muszą upaść, a wraz z nimi Samildanach! Moi synowie, wychodzimy z cienia!

Almar usłyszał bicie własnego serca. Nie potrafił już rozróżnić, co było strachem, a co radością. Charyzma Pana wypełniała go całkowicie. Jego myśli się plątały. Był pijany pragnieniem zwycięstwa. Unseann krążył już w jego żyłach.

- Gorguny! Oto Dermot Cahl, wasz pan! - krzyknął Maolmórdha, wyciągając rękę w stronę przywódców poszczególnych klanów. - Wraz z nim będziecie palić wszystko, co stanie na waszej drodze. Będziecie burzyć to, co wzniesli druidzi. Zniszczycie ścieżki Mojry! A przede wszystkim...

Jego pierś uniosła się, błysk w jego oczach stał się jeszcze bardziej okrutny, a całe ciało zdawało się znacznie większe.

- A przede wszystkim chcę, byście uśmiercili Samildanacha! Byście zabili to dziecko, byście spalili je żywcem!

Gorguny wydały nieludzki wrzask. Bez wątpienia był to ich okrzyk wojenny. Jego echo odbiło się wiele razy od ścian pałacu Shankha.

- Dermot! Przynieś mi pierścień. Chcę, byś własnoręcznie zabił to dziecko i przyniósł mi pierścień. Potem przyjdzie czas na druidów... Wiem, że się niecierpliwisz, że chcesz jak najszybciej ich unicestwić. Ale dziecko przede wszystkim.

- Przyniosę ci pierścień, Panie.

Maolmórdha wolno odwrócił głowę, tocząc wzrokiem po swych wiernych poddanych, potem odwrócił się i zniknął w ciemności komnaty wraz z Ultanem i Dermodem.

Czuwający, gorguny, banici, wszyscy spoglądali po sobie w milczeniu. A w ich oczach błyszczał ten sam blask.

Światło Unseann.

ROZDZIAŁ 4

BITWA POD AKINGIĄ

- Witaj, Sarkanie, niech Ziemia uzna ciebie oraz twego syna Tagora, i twój klan Mahatangor. Jestem Chankin z klanu Hassatenor.

Sarkan, klęczący przed niskim stolikiem, przy którym wieczerzał razem z wszystkimi przywódcami klanów w obszernej sali koszar Filiden, uczynił znak, by gość się do nich przyłączył.

- Zajmij miejsce, Chankinie. Haishan, przywódca twego klanu, jest tutaj, dzieli ze mną posiłek. Czekaliśmy na ciebie.

Młody wojownik tuathanneński usiadł po drugiej stronie niskiego stolika. Na jego nagim torsie widniały barwy wojenne, a to nie uszło uwagi Sarkana.

- Przynoszę wam, wielcy wojownicy, złą nowinę. Armia ludzi nadciąga z południa. Na jej czele stoi hrabia Meriand Mor.

Sarkan i inni przywódcy nie zdradzali żadnych oznak poruszenia. Bez wątpienia spodziewali się takiej nowiny. Wszyscy wiedzieli, że ziemia, którą ofiarowali im druidzi, i Galacja, należą do Ziemi Brunatnej, i że hrabia nie zaakceptował decyzji Wielkiego Króla. Walka wydawała się nieunikniona, była tylko kwestią czasu.

- Eriu powstanie, okupione krwią, kuzyni. Obejmujemy tę ziemię za cenę życia wielu naszych braci. Chankinie, ilu ludzi prowadzi Meriand Mor?

- Wielu. Hefrin, zwiadowca z mojego klanu, mówi, że nadciągają w liczbie prawie piętnastu tysięcy. Mój syn szacuje ich liczbę na dwanaście tysięcy. Myślę, że jest ich mniej więcej tylu. Zwiadowcy donoszą, że są ciężko uzbrojeni i zmierzają w stronę Filiden.

Sarkan wolno pokiwał głową. Oczywiście spodziewali się ataku, ale nie sądzili, że nastąpi on tak szybko. Zaledwie kilka dni upłynęło, odkąd posłaniec z Galacji przywiózł im pieczęć Eoghana. Meriand nie zwlekał. Ten hrabia musiał być bardzo przywiązany do swej ziemi. Ale będzie musiał zrozumieć, że ona należała niegdyś do Tuathannów, a oni przybyli tu, by odzyskać to, co im się należało.

- Ten hrabia jest szybszy, niż myślałem - rzekł Sarkan. - Albo jest bardzo przywiązany do swej ziemi, albo pozostaje w konflikcie z Wielkim Królem i nie chce puścić płazem takiego afrontu.

- Eoghan jest jego bratem - wtrącił jeden z przywódców.

- Wiem o tym - powiedział Sarkan. - Ale tutaj nawet bracia nauczyli się nienawiści. W każdym razie, cokolwiek jest powodem tak szybkiej reakcji, zmusza nas ona do natychmiastowego działania. Nie możemy czekać, aż armia ludzi dotrze do Filiden. Musimy ich zatrzymać przed wejściem do miasta.

- Powinniśmy wysłać zwiadowców na północ - odezwał się inny przywódca. - Chciałbym mieć pewność, że Meriand atakuje nas sam, bez sprzymierzeńców. Może to tylko podstęp i chcą nas zepchnąć na północ, gdzie prawdopodobnie czeka już armia Harcourt.

- Podstęp w piętnaście tysięcy osób? - zaproponował Sarkan. - Nie, Meriand zebrał całą armię. Kieruje nim czysty gniew, jestem o tym przekonany. Tak jak i ty, kuzynie, przypuszczam, że Harcourt myśli o przymierzu z Ziemią Brunatną, ale nie sądzę, że mieli dość czasu, by to zrobić, i jeszcze mniej, by przygotować ten niespodziewany atak z takim rozmachem.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. Jeżeli wyruszymy na południe, by powstrzymać Merianda, Filiden będzie bardziej narażone na atak. A zostawiamy tu nasze dzieci.

Sarkan westchnął i pokiwał głową.

- Ryzyko jest ogromne, masz rację. Może powinniśmy pozostawić w Filiden dwa kłany, by broniły miasta...

- Czy jesteśmy wystarczająco liczni, by powstrzymać armię Merianda?

Sarkan zagryzł wargi. Nie miał wystarczających sił, by ustalić solidną strategię. Brakowało mu czasu.

- Nie znam wartości, jaką prezentuje armia Ziemi Brunatnej, ale jeżeli żołnierze Merianda są tacy jak ci, których pokonaliśmy I utaj i na całej północy hrabstwa, wystarczyłoby pięć klanów, by powstrzymać piętnaście tysięcy ludzi.

- Poniesiemy duże straty.

- Wybudujemy świątynię Tuathannów, wzniesiemy Eriu, kuzynie. Nasi bracia zginą. Jest to cena, jaką musimy zapłacić, ale to nada wartość naszemu światu.

Przywódcy klanów wyrazili zgodę. Byli wojownikami i nie bali się starcia.

- Które kłany pozostaną w Filiden? - zapytał jeden z nich. - Twój?

- Nie - odparł Sarkan - Mahat angorczycy pójdą w bój, ja również. Moi bracia są najlepszymi wojownikami spośród wszystkich klanów, nieprawdaż?

- Ziemia uznaje ich za takich - potwierdził jeden z przywódców, a inni przytaknęli.

- Pozwolimy kobietom zdecydować - zarządził Sarkan. - Zbiorą się dziś wieczorem i powiedzą nam jutro, kto z nimi zostanie.

- To słuszna decyzja.

- Zatem niech wszyscy będą w gotowości. Ci, którzy zostaną, i ci, którzy wyruszą. Wszyscy muszą się przygotować do boju.

- Słusznie - powtórzyli przywódcy klanów.

Sarkan wstał i wyciągając ręce w stronę gości, powiedział:

- Wróćcie do swoich klanów, kuzynie, powiedzcie swoim żołnierzom, że wyruszamy jutro, by zatrzymać Merianda przed lasem Tenian. Niech Ziemia nas oszczędzi!

Zgromadzeni pozdrowili go i oddalili się w milczeniu.

Sarkan patrzył, jak odchodzą, a potem odwrócił się w stronę drzwi, które znajdowały się za nim.

- Tagorze, stałeś za drzwiami, słuchałeś naszej rozmowy, prawda?

Drzwi otworzyły się wolno i stanął w nich syn Sarkana. Młody człowiek nie nosił stroju plemiennego. Był ubrany jak mieszkaniec Ziemi Brunatnej. Jedyne grzebień na jego głowie zdradzał przynależność do klanu Tuathannów.

Również jego oczy, jedno niebieskie, a drugie czarne, przykuwały uwagę.

- Tak, ojczu, wszystko słyszałem. Przywódcy klanów nie mają sekretów przed swoimi, nieprawdaż?

- Powinieneś być wejść, synu, nie musiałeś się ukrywać.

- Nie chciałem przeszkadzać młodemu Hassatenorowi, który przybył.

Wiedziałem, że mnie usłyszeliście. Zatem słuchałem.

Sarkan westchnął. Jego syn nie zachowywał się już jak Tuathann. A jednak był szanowanym wojownikiem - główną podporą klanu Sarkana.

- Ta bitwa jest nieunikniona, mój synu. Nie chodzi już o podbój, lecz o obronę Filiden.

- Wiem. Obrona Filiden przed tymi, którym je skradliśmy.

- Przed tymi samymi, którzy skradli je naszym przodkom. Już o tym mówiliśmy, Tagorze. Czy ta rozmowa nigdy się nie skończy?
- Kiedy skończy się wojna, ojczu.
- Chciałbyś, byśmy pozwolili Meriandowi wygnać nasze kobiety i dzieci? Chciałbyś, byśmy wyruszyli, by na nowo szukać schronienia gdzie indziej?
- Wolałbym, byśmy odnaleźli nasze miejsce tutaj, bez wojny. To my wszczęliśmy pierwszą bitwę, a teraz to się nigdy nie skończy.
- Nie, Tagorze, pierwsza bitwa miała miejsce ponad czterysta lat temu. Była to bitwa przeciwko naszym przodkom.

Młody Tuathann pokiwał głową, ale jego spojrzenie w dalszym ciągu było pełne sprzeciwu.

- Czy będziesz jednym z nas, mój synu?

Oczywiście, Sarkanie. - Użył imienia ojca, by podkreślić, że /wraca się teraz do przywódcy klanu. - Jutro stanę wraz z innymi i będę się bił na śmierć i życie, jeśli tak trzeba. Przede wszystkim jestem Mahatangorczykiem. Wypełnię swój obowiązek i mam nadzieję, że to wszystko kiedyś dobrze się skończy, ponieważ nie chcę, by pewnego dnia moje dzieci musiały pomścić moją śmierć. Nikt nie powinien płacić własnym życiem, by pomścić swych przodków.

Nie powiedział już ani słowa i opuścił salę szybkim krokiem. Pierwszy raz do niego należało ostatnie słowo. W Sarkanie narastał gniew. Nie miał jednak sposobności, by dać mu ujście, gdyż ktoś zapukał do drzwi.

Był to Djiha, Tuathann z jego klanu, wojownik, którego Sarkan bardzo poważał. Nie chciał okazywać gniewu w jego obecności.

- Czego chcesz, Djiha?

Tuathann pozdrowił go i wszedł do izby.

- Właśnie otrzymaliśmy wiadomość od Hadenantorczyków.

Sarkan zmarszczył brwi. Nie oczekiwał wieści od tego klanu.

- Zostali zaatakowani na południe od Gor-Draka przez oddział Rycerzy Płomienia.

- Przez pojedynczy oddział? - zdziwił się Sarkan.

- Tak. Jeden z Manithów został skradziony... Miecz Nuadu.

Sarkan wydał okrzyk wściekłości. Nie mógł w to uwierzyć.

Manithy były przeznaczone dla druidów. Cały jeden klan ich pilnował. To była katastrofa. I oznaczało to, że być może Harcourt nadciąga od strony południowej. Czy przywódca klanu, który tak przypuszczał, mógł mieć rację? Jak wytłumaczyć druidom tę stratę?

Była to pierwsza klęska Tuathannów od chwili opuszczenia Sidu. Katastrofa, której nawet Sarkan nie przewidział. Być może była ona decydująca dla dalszych dziejów Gaelii.

Gdyż ten, kto miał w swych rękach Miecz Nuadu, posiadał moc, której nawet Sarkan nie mógł sobie wyobrazić.

*

Faith zastukała do drzwi klasztoru.

Stojący za nią Mjolln i Alea podziwiali elegancką, a zarazem prostą architekturę wysokiego budynku. Zanim stanęli przed wejściem, obeszlili klasztor dookoła, podziwiając posągi umieszczone w załomach pod dachem,

plaskorzeźby wykute w kamieniu oraz liczne kwiaty ozdabiające podmurówkę. Było jeszcze wcześniej i światło dzienne ożywiało kolory.

Kiedy drzwi się otworzyły, Alea podskoczyła i schowała się za plecami Faith, zaciskając pięści. Miała nadzieję, że tutaj jej nie poszukują, że jej imię nie stało się jeszcze synonimem niebezpieczeństwa, że jeszcze nie ustalono za nią nagrody.

W drzwiach stanął stary mnich. Był łysy, niewysoki, otyły, a szarawa broda z trudem ukrywała podwójny podbródek. Jego podkrążone oczy i załzawione spojrzenie nie nadawały mu przyjaznego wyglądu. Odziany w habit z grubej wełny oddychał z trudem, a jego ręce i głowa się trzęsły. Miał bladą, zniszczoną skórę i pachniał potem, wilgocią i marnym winem.

- Poszukujemy schronienia na noc - wyjaśniła Faith, ponieważ mnich stał bez słowa. - Jest nas troje, a nasze konie potrzebują nowych podków.

Mnich westchnął. Długo mierzył ich wzrokiem, rzucił w stronę krasnoluda mało przyjazne spojrzenie, potem odwrócił się i w milczeniu nakazał gestem, by podążyli za nim. Alea popatrzyła na Faith, wzruszając ramionami, po czym towarzysze zdecydowali się pójść za mnichem. Mjolln mruczał coś niezrozumiale. Wszyscy troje oczekiwali odrobinę cieplejszego przyjęcia, ale w końcu to nie była oberża...

Szli korytarzem, który ciągnął się przez całą długość budynku. Ściany z białego wapienia były chropowate, miejscami krzywe, co sześć czy siedem kroków ozdobione drewnianymi krucyfikami. Przeszli obok wielu dębowych drzwi rozmieszczonych zarówno z prawej, jak z lewej strony korytarza, potem doszli do jego końca, gdzie czekał na nich mnich trzymający dłonie w sze- iok ii li rękawach habitu.

Oto izba, w której możecie spać w pokoju - powiedział sta- i/ci, wskazując na ostatnie drzwi korytarza. - Wieczerymy po ostatniej modlitwie dziennej, jeśli chcielibyście przyłączyć się do nas. Refektarz znajduje się za piątymi drzwiami po lewej, o tam. A jeśli chcecie uczestniczyć w modlitwach, kaplica jest na zewnątrz, po tej stronie klasztoru.

Dziękujemy - powiedziała Faith, krzyżując ręce za plecami.

Mnich skinął głową. Popatrzył na krasnoluda i znów zmarszył brwi, a następnie odszedł w przeciwnym kierunku, w stronę ilr/.wi wejściowych. Po kilku krokach odwrócił się i uniósł palec wskazujący:

- Aha. Niektórzy z naszych braci złożyli ślub milczenia, dziękuję za uszanowanie tego faktu. - Skrzywił się dziwnie, opuścił dłoń i dodał: - I witamy.

Potem poszedł sobie, tym razem na dobre.

Alea prychnęła, najdyskretniej jak potrafiła.

- Cóż za dziwak! - powiedziała do przyjaciół, gdy mnich zniknął na drugim końcu korytarza.

- Ten grubas nie wygląda na takiego, który lubi krasnoludy! - poskarżył się Mjolln.

Faith otworzyła drzwi i weszli kolejno do niewielkiej białej izdebki. Były tam cztery łóżka, na oko niezbyt wygodne, choć na pewno miększe niż koce rozłożone bezpośrednio na ziemi. Jedyne okno wychodziło na kolorową równinę Harcourt. Stół i cztery krzesła pośrodku izby dzieliły pomieszczenie na dwie części.

Każde z nich położyło swoje rzeczy na łóżku, a Mjolln położył się, kładąc ręce pod głowę i wdychając z zadowoleniem.

- Prawdziwe łóżko! Hem! Nie było to faktycznie zbyt skomplikowane!
Alea posłała mu szeroki uśmiech. Ona również była zadowolona z tej odrobiny komfortu. Ale to nie z tego powodu zdecydowała się na wizytę w klasztorze. I teraz zaczynała się niecierpliwić...

Księgi. Wiedziała, że tu będą. Klasztory były pełne ksiąg. To przecież mnisi je przepisywali. Słyszała o tym wiele razy. A jeśli były tu księgi, to może były też jakieś odpowiedzi na pytania, które sobie zadawała.

- Pójdę trochę pozwiedzać - oznajmiła, podchodząc do drzwi.

Mjolln oparł się na łokciach. Kobieta bard odwróciła głowę i przestała wyjmować swoje rzeczy z sakwy.

- Chcesz, by ci towarzyszyć? - zapytał krasnolud, zaniepokojony.

- Nie, nie, poradzę sobie - odparła Alea i wyszła, nie czekając na odpowiedź.

Bezszelestnie stawiała kroki na pustym korytarzu. Nie straciła nawyków małej złodziejki i nawet jeśli nie przyszła tu kraść, wołała być dyskretna i uważnie obserwować otoczenie.

Naciskała klamki wielu drzwi, zanim odnalazła te, które były otwarte. Wsunęła głowę do środka i jej oczom ukazał się pusty pokój, identyczny jak ten, który przeznaczono dla nich. Zamknęła drzwi i szła wolno przed siebie. Dotarła do większych drzwi. Policzyła. Były piąte w kolejności. Refektarz. Otworzyła, obrzuciła spojrzeniem obszerną salę, ale były w niej jedynie stoły i ławy, nic, co mogłoby ją naprawdę zainteresować. Znow podjęła wędrówkę wzdłuż korytarza.

Następne drzwi, bardziej oddalone, były dwuskrzydłowe. Alea zawahała się, sprawdziła, czy na korytarzu nie ma nikogo, i wolno położyła dłoń na dużej miedzianej klamce. Drzwi były otwarte.

Pchnęła ciężkie dębowe wrota i uśmiechnęła się, widząc, co się za nimi znajdowało. Była to przestronna sala, przy której ścianach stały regały pełne ksiąg. Nie pomyliła się. Wielu mnichów pochylało się nad drewnianymi pulpitemi i starannie kopiowało na ogromnych arkuszach papieru otwarte przed nimi księgi. Słychać było skrzypienie piór na papierze, brzęk małych szklanych buteleczek z atramentem, w których mnisi zanurzali czubki <llugich zaostrzonych piór. Światło wpadało przez wysokie okna. Drobinki kurzu tańczyły w promieniach słońca. Wszystko tu- 1, j było z drewna. Pulpity, regały, sufit, podłoga, fotele mnichów. I ylko skóra, w którą oprawione były księgi, zielona, czerwona lub brązowa, kontrastowała z ciemnym kolorem mebli.

Alea weszła cichutko, zamknęła za sobą drzwi i skierowała się w prawo, by usiąść na ławie i przyglądać się temu nadzwyczajnemu widokowi. Mnisi byli tak skupieni na swojej pracy, że nawet nie usłyszeli, jak weszła. Z miejsca, w którym siedziała, nie mogła dokładnie widzieć liter wychodzących spod piór mnichów, a poza tym i tak nie umiałyby ich przeczytać. Widziała jednak, że niektórzy kreślili długie linie drobnym pismem, podczas gdy inni stawiali skomplikowane, masywne znaki.

Przez dłuższą chwilę siedziała w cieniu i obserwowała wdzięczny ruch piór, delikatne gesty dłoni przewracających kolejne strony, nieustanny ruch w tę i w tę między papierem a kałamarzem... Podziwiała cierpliwość mnichów, zazdrościła im umiejętności pisania i czytania i marzyła, by poznać historie zamknięte w każdej z ksiąg.

Nagle tuż nad nią zabrzmiał dzwon. Podskoczyła gwałtownie i przewróciła księgę stojącą za nią na komodzie. Mnisi podnieśli wzrok. Alea zacisnęła zęby. Serce biło jej jak szalone. Wszyscy przypominali mnicha, który przyjął ich w

drzwiach klasztoru, choć niektórzy byli trochę młodszy, inni zaś szczuplejsi... Pomyślała, że jeśli byli równie mili jak tamten, to zaraz usłyszy, jak wrzeszczą. Usiłując zachowywać się naturalnie, schyliła się, by podnieść księgę, i odłożyła ją na miejsce. Mnisi w dalszym ciągu nie przestawali się jej przyglądać, ale żaden nie wyglądał na zaskoczonego. Alea rozluźniła się trochę. Może byli przyzwyczajeni do tego, że niektórzy podróżni przychodzili patrzeć, jak pracują. A może ich umysły były jeszcze zamroczone z powodu tak wielkiej koncentracji.

Dzwon w końcu umilkł. Alea uniosła głowę i ujrzała go nad drzwiami. Mnisi odłożyli pióra i jeden za drugim opuszczali swe miejsca. Alea wytrzeszczyła oczy. Szli w jej stronę, ale ona nie śmiała się ruszyć. Przyłgnęła do komody i poczuła, że się czerwieni.

Lecz mnisi przeszli obok niej, nawet na nią nie patrząc, i kolejno opuścili salę. Ostatni zatrzymał się w drzwiach i odwrócił się w stronę dziewczyny. Jego spojrzenie nie było tak dziwne jak pierwszego mnicha - ten był młodszy i trochę bardziej uprzejmy.

- Idziemy na modlitwę, dziewczyno. Kopiowanie rozpocznie się ponownie po oficjum, jeśli chcesz znowu popatrzeć, jak pracujemy.

Alea skinęła głową w milczeniu. W dalszym ciągu nie czuła się zbyt pewnie.

- Księga, którą przewróciłaś, nie powinna była znajdować się tutaj. To nie była twoja wina. Jeden z braci nie odłożył jej na miejsce. Odłożę ją tam później, jeżeli chcesz ją teraz przeczytać. To wspaniałe dzieło dotyczące geografii Brittii.

- Ja... ja nie umiem czytać - wyjąkała Alea.

Mnich wydawał się zaskoczony.

- Ach. Przepraszam.

Stał przez chwilę nieruchomo, patrząc Alei w oczy, potem uśmiechnął się i wyszedł z sali.

*

Zaraz po wschodzie słońca Finghin podziękował oberżycie i udał się do stajni. Osiodłał swego konia, przytroczył sakwę i dosiadł zwierzęcia, gotowy do dalszej drogi. Ujechał kilka kroków, a potem odwrócił się i rzucił ostatnie spojrzenie w stronę Sai- -Miny rysującej się na nasłonecznionym półwyspie.

Przypomniawszy sobie dzień, w którym pierwszy raz zobaczył pałac druidów. Dziś opuszczał go z własnej woli. Być może popełniał właśnie największy błąd w swoim życiu. Co orzeknie Rada? Czy skaże go na banicję tak jak Felima? Czy ta Alea naprawdę jest tego warta?

Nic przestawał zadawać sobie tych pytań od chwili wyjazdu. Również noc spędzona w oberży upłynęła mu na rozmyślaniach. Czuł dojmującą senność. Lecz teraz musiał wyruszyć. Nie był to i / .is na wątpliwości czy wyrzuty sumienia. Trzeba było iść naprzód.

I inghin czuł się niewypowiedzianie samotny. Było tak, jakby miał dokonać wyboru sam, po raz pierwszy od chwili, gdy tylko dziecko zdecydował, że zostanie druidem. To wymagało wiary w siebie, a o tę było mu trudno. Nie miał już jednak wyboru skoro Erwan miał na tyle odwagi, by wyruszyć, skoro Galiad i Felim zrobili to przed nim, to znaczyło, że podjął właściwą decyzję.

W każdym razie usiłował przekonać sam siebie, że tak naprawdę nie jest sam. Wkrótce odnajdzie Erwana.

Skierował się na południe i uderzył piętami w boki konia, /wierzę pobiegło drogą. Druid usiłował nie oglądać się za siebie i utkwiał wzrok w horyzoncie. Na wschodzie błękit morza gubił się w nieskończoności. Na zachodzie rozciągały się lasy i łąki.

Nagle Finghin usłyszał za plecami stukot kopyt. Odwrócił się wolno, nie zatrzymując konia, i ujrzał czerwony wóz wędrowców. Należał do Kaitlin i Mela. Dlaczego wyruszyli tak wcześnie? I czy nie wspominali, że kierują się na północ?

Zaintrygowany, ściągnął wodze. Widział, że go obserwują. Wkrótce odgadł, że przyjechali za nim, by mu o czymś powiedzieć.

- Dzień dobry, Mełu, dzień dobry, Kaitlin. Już wstaliście?

Wędrowcy nie zadali sobie trudu, by odpowiedzieć. Chcieli jak najszybciej zadać mu pytanie.

- Finghinie, twoje prawdziwe imię brzmi William?

Druid wyglądał na zaskoczonego. Popatrzył kolejno na aktorów i zastanawiał się, jaką jeszcze niespodziankę mu szykują. Od dawna nikt go już tak nie nazywał...

- William Kellereen to moje imię świeckie. Skąd je znacie? Kiaran wam powiedział? Ale kiedy?

Mel i jego siostra spojrzeli po sobie. Można by pomyśleć, że porozumiewają się bez słów. Dziwny błysk mignął w ich oczach. Kaitlin zwróciła się do druida.

- Nie, Finghinie, to nie Kiaran. Mamy dla ciebie wiadomość.

- Wiadomość dla mnie? - zdziwił się Finghin. - Dlaczego nie powiedzieliście mi tego wczoraj?

- Nie byliśmy pewni, czy to dla ciebie jest przeznaczona - wyjaśniła Kaitlin.

- Przedstawiłeś się jako Finghin, a wiadomość jest dla Williama.

- A od kogo jest ta wiadomość? - zapytał coraz bardziej zaintrygowany Finghin.

- Została nam powierzona przez barda Taelrona. Poprosił nas o przekazanie ci bardzo ważnej informacji, która pochodzi od Alei.

Finghin wytrzeszczył oczy. Co miał znaczyć ten dowcip?

- Kpicie sobie ze mnie?

- Skądże znowu, druidzie. Aktorzy kłamią jedynie na scenie, nigdy w życiu! Jeżeli Taelron powiedział nam, że ta wiadomość jest od Alei, zatem to prawda. Taelron nie umiałby skłamać, że wszystkich bardów na wyspie on jest...

- Słyszałem o nim. Wiem, że jest bardzo szanowany. Jaka to wiadomość?

- Alea chce, byś jak najszybciej dołączył do niej w Mont- -Tombe.

- To wszystko? - zapytał Finghin.

- Tak, to wszystko.

- W Mont-Tombe? Żeby do niej dołączyć? A Erwan? Jest razem z nią?

- Nie wiemy nic ponad to, co Taelron nam przekazał, Finghinie. Musisz iść do Mont-Tombe.

Teraz druid zaczynał w to wierzyć. Wciąż nie opuszczało go zdziwienie, ale wyraźnie widział w oczach aktorów, że nie kłamią, i wiedział, że jeżeli Taelron był źródłem tej wiadomości, musiała być autentyczna. Nie miał co do tego wątpliwości. A jednak nie mieściło mu się to w głowie. Przede wszystkim

dlaczego Alea była w Mont- 'Inmbe? Dlaczego poprosiła, by Finghin do niej dołączył?

Była Samildanachem. Z pewnością wiedziała o rzeczach, któ- i ydi on sam nie mógł zrozumieć. Musiała również mieć przecucia. IVwną wizję przyszłości. Może wiedziała, że Finghin zdecydował się na opuszczenie Sai-Miny? Może przeczuwała, że tak jak Felim, miał zamiar jej pomóc? Czy rzeczywiście go potrzebowała?

- Ale to nie wszystko - podjęła Kaitlin, przerywając rozważania druida. Finghin podniósł wzrok na młodą kobietę.

- Mel i ja zdecydowaliśmy się ci towarzyszyć.

Finghin zmarszczył brwi. Przypomnił sobie, że wczoraj w oberży zabronił sobie prosić aktorów o to, by udali się na poszukiwania Alei razem z nim.

- To bardzo szlachetne z waszej strony, ale nie mogę się na to zgodzić. Nie wiem, co Mojra mi przeznaczyła, i nie mam prawa narażać was na tak niepewną przyszłość.

Kaitlin się uśmiechnęła.

- Co przeznaczyła ci Mojra? Wy, druidzi, macie naprawdę dziwny sposób mówienia o naszej Matce... Nie bądź zbyt dumny, Finghinie, i przyjmij pokornie naszą propozycję. Zastanawialiśmy się nad tym całą noc i nie są to słowa rzucone na wiatr. Naprawdę chcemy ci towarzyszyć.

Finghin nie wiedział, co odpowiedzieć. Był pewien, że jako druid powinien raczej odrzucić tę propozycję, ale rodzeństwo było tak sympatyczne i tak interesujące! Poza tym ciągle myślał o spojrzeniu Kaitlin. I nawet jeśli ten kaprys był gorszy niż wszystko, nie chciał rozstawać się z tym jej bystrym spojrzeniem, z dźwięcznym głosem, z olśniewającym uśmiechem...

- Pojedziemy razem kawałek - zaproponował - i zobaczymy, czy to rozsądne.

Mel się uśmiechnął. Finghin zastanawiał się, czy aktor nie odgadł, jakie zamieszanie w umyśle druida czyni jego siostra. Może to było widać.

- Zaprzęgnijmy twojego konia do wozu, obok naszych - zaproponował Mel - a ty usiądź obok nas. W ten sposób będziemy mogli podróżować szybciej i porozmawiać w drodze.

Finghin się zgodził. Wiadomość od Alei była jasna. Musiał się udać do Mont-Tombe jak najszybciej. Droga była długa, trzeba było przejechać przez całą Gaelię, by dotrzeć do małej wysepki. Być może Alea, a wraz z nią Erwan, byli w niebezpieczeństwie.

Nie było chwili do stracenia.

*

- Byłaś tu cały czas?

Alea podskoczyła. Nie usłyszała wchodzącego mnicha. Od momentu wyjścia kopistów przechadzała się między półkami biblioteki, zatrzymując się co chwila, by spojrzeć na księgi, wodząc palcami po skórzanych oprawkach. Po długich wahaniach odważyła się nawet obejrzeć okazałe dzieło, wspaniałą czerwoną księgę, która od początku przykuła jej uwagę. Podniosła ją wolno i przyciągnęła do siebie, uważając, by niczego nie stracić. Serce waliło jej jak młotem. Rzuciła wokół siebie ukradkowe spojrzenia, by sprawdzić, czy nikt jej nie widzi. Księga była ciężka i opasła. Przeniosła ją na komodę obok wejścia i z rozszerzonymi oczami odwracała stronę po stronie, delektując się widokiem

każdej złoczonej litery, każdej grawiury chronionej delikatnym arkuszem przezroczystego papieru. Tak bardzo chciałaby zrozumieć ukryte w księdze słowa! Wpatrywała się w sceny walk, stare portrety, pejzaże... Czy to mnisi narysowali? Dlaczego druidzi zakazywali ksiąg? Ta była taka piękna!

Zamknęła ją delikatnie i umieściła tam, gdzie ją znalazła, mając nadzieję, że się nie pomyliła i że odłożyła księgę na właściwe miejsce. Tak była tym pochłonięta, że nie usłyszała cichego skrzypnięcia dużych drewnianych drzwi.

- Ja... tak, ja... ja oglądam wasze księgi - wyjąkała na widok mnicha.

Nieznajomy się uśmiechnął.

- Trzeba by całego życia, by przeczytać wszystko, co się tu znajduje, nieprawdaż? - powiedział, kierując się w stronę swe- I, o pulpitu.

- Próbujecie przeczytać je wszystkie? - zdziwiła się Alea.

- Och, nie. Nie mam na to czasu. Spędzam dni na ich przepisywaniu. Mont-Tombe ciągle przysyła nam księgi, coraz to nowe księgi... Jest ich tyle w tej bibliotece, że chciałbym je móc przeczytać, ale najpierw muszę skończyć moją pracę, a wydaje się, że nigdy nie będę mógł tego zrobić!

Alea była pełna podziwu. Od momentu wejścia mnicha nie ruszyła się z miejsca i teraz też nie miała śmiałości, by podejść do jego pulpitu i popatrzeć, jak pracuje.

- Ile potrzeba czasu, by nauczyć się czytać?

Mnich, który powrócił już do przepisywania księgi, podniósł wzrok na dziewczynę.

- To zależy. Od ucznia, profesora, chęci jednego i drugiego... Ja nauczyłem się czytać zupełnie sam, kiedy byłem w twoim wieku, zatem rzeczywiście, potrzeba na to wiele czasu.

- Można samemu nauczyć się czytać? - zdziwiła się Alea.

Mnich odłożył pióro na pulpit. Alea bała się, że stracił cierpliwość. Lecz on podniósł się wolno i podszedł do ostatniego szeregu regałów. Dziewczyna powiodła za nim wzrokiem, ale wciąż nie śmiała zrobić kroku.

- Podejdz tutaj! - zawołał.

Posłuchała natychmiast, prawie biegnąc. Mnich trzymał w dłoni niewielką książeczkę oprawną w ciemnozieloną skórę.

- Ta książeczka to zbiór klechd.

- A co to jest?

- Krótkie historie, opowiadania.

- Prawdziwe historie czy raczej legendy, jak te opowiadane przez bardów? Legendy, wymyślone, ale bardzo piękne. Są dość krótkie. Jest to doskonała książka do nauki czytania, a przede wszystkim ma niewielkie rozmiary, zatem można ją zabrać jako lekturę podrózną. Proszę, daję ci ją.

Alea nie mogła w to uwierzyć. Tyle złego nasłuchiwała się w Galacji o ludziach z Harcourt, przede wszystkim o zakonnikach, że naprawdę nie spodziewała się najmniejszego dowodu sympatii ze strony mnichów...

- Ale... Jesteście pewni?

Mnich ponownie się uśmiechnął. Widok dziewczyny go rozculił. Przywiodła mu na myśl jego własną młodość, jego początki nauki czytania.

- Sądziłam, że dziewczęta nie mają prawa czytać... - podjęła Alea.

- Ach tak? - zdziwił się mnich. - Wierzysz w to? Ale któż ci nakładł do głowy takich bzdur? Każdy ma prawo czytać. Więcej niż prawo, obowiązek!

- Ale w Mont-Tombe...

- Ach, rozumiem. Chodzi ci o uniwersytet. Tak, to prawda, dziewczęta nie mogą się tam uczyć. Ale nie musisz uczęszczać na uniwersytet, by nauczyć się czytać! Chodź, popatrz, jak pracuję. Za każdym razem, gdy będę kopiował nową literę, powiem ci, jak się nazywa. To dobry początek. Potem będziesz mogła kontynuować sama. Jeżeli naprawdę tego chcesz, osiągniesz zamierzony cel, a Bóg ci w tym pomoże.

Alea pokiwała głową.

„Bóg? - pomyślała. - Raczej Mojra...”

Poszła za mnichem, który z powrotem usiadł za swym pulpitem.

- Inni tu nie wrócą? - zapytała Alea, pokazując puste krzesła.

- Nie tego wieczoru. Mam trochę opóźnienia, zatem przychodzę tu poza wyznaczonymi godzinami... Zaczynamy, usiądź wygodnie i patrz uważnie. Alea zrobiła ruch, jakby usiadła, ale w rzeczywistości stawała na czubkach palców, by lepiej widzieć księgę. Mnich z wielką zręcznością kreślił prawą ręką duże, wyraźne litery, zatrzymując się przy każdej, by wytłumaczyć dziewczynie, co znaczą poszczególne kształty. Alea szybko się zgubiła, bo liter było zbyt wiele, ale uzbroidła się w cierpliwość i w dalszym ciągu słuchała słów mnicha liyla taka szczęśliwa. Miała wrażenie, że dokonuje zemsty na swym dzieciństwie. Że daje lekcję swojej przeszłości! Uwielbiała to uczucie zmiany, jakiego doświadczała za każdym razem, gdy nauczyła się czegoś nowego. Opanowanie Saimana z pośrednią pomocą Felima, opanowanie sztuki walki przy wsparciu Erwana, a teraz czytanie... Było tak, jakby stopniowo stwarzała samą siebie. Naprawdę niezwykle uczucie! Alea nie dostrzegała upływu czasu. Słońce zaczynało powoli kryć się za wzgórzami, a ona wciąż stała obok mnicha, słuchając i patrząc uważnie.

- I widzisz, kiedy umiesz pisać, możesz wszystko opowiedzieć. Dzięki słowom można ofiarować całemu światu długie historie i zachować wspomnienie o przeszłych wydarzeniach...

- Musieliście przeczytać wiele ksiąg! Czy znacie dużo legend? - zapytała Alea z błyskiem w oku.

- Przede wszystkim czytałem księgi religijne i te o geografii i historii Gaelii, ale znam kilka legend, tak... Dlaczego pytasz? - zdziwił się mnich, przestając pisać.

- Czy znacie legendę, która mówi o trzech przepowiedniach?

Mnich zmarszczył brwi i zamyślił się.

- Tak, chyba coś słyszałem... Poczekaj, niech sobie przypomnę...

Zastanawiam się, czy to nie jest zapisane w Encyklopedii Analego... W każdym razie na pewno we fragmentach rozszyfrowanych!

Alea popatrzyła na niego ze zdziwieniem. Anali. Księga, o której wspomniał Ernan, kiedy szpiegowała Radę, ukryta na półpiętrze komnaty Rady. Mówiono o tej encyklopedii, kiedy Ailin, Arcydruid, powiedział, że dziewczyna nie może być Samildanachem. Dobrze to zapamiętała. Przypomniała sobie również zakłopotanie Felima, kiedy zapytała go o tę księgę.

Nie chciał o tym rozmawiać. Powiedział jedynie, że Anali był Samildanachem, twórcą encyklopedii, której poszczególne fragmenty były zaszyfrowane i która została zakazana przez Radę, tak jak inne księgi.

Dzieło napisane ręką Samildanacha! Alea chciała się dowiedzieć czegoś więcej na ten temat. A wyglądało na to, że ten mnich je czytał!

- Czy widzieliście Encyklopedię Analego? - zapytała Alea, usiłując ukryć emocje.

Mnich wyglądał na zakłopotanego. Patrzył na Aleę, skubiąc wargę, jakby żałował, że wspomniał o tym dziele.

- A ty już o niej gdzieś słyszałaś? - odpowiedział pytaniem na pytanie. - Nie umiesz czytać, ale wiesz, że takie dzieło istnieje?

Alea zacisnęła pięści za plecami. W dalszym ciągu trzymała w nich książkę i czuła, jak wzdłuż jej dłoni, po skórzanej oprawie, spływa kropla potu. Po raz kolejny powiedziała o słowo za dużo. Czuła, że mnich zaczyna się bać. Może właśnie zaczynał się domyślać, z kim ma do czynienia. Zastanawiała się, co ma zrobić. Czy zρέcznie zmienić temat rozmowy i sprawić, by zapomniał o wszystkim, czy raczej postawić wszystko na jedną kartę i spróbować dowiedzieć się jak najwięcej. W końcu po to tu przybyła - by odnaleźć legendę trzech przepowiedni. A odpowiedź była być może w zasięgu ręki. Nie mogła zaprzepaścić takiej szansy. Musiała zmusić mnicha do mówienia, nawet jeśli ryzykowała ujawnienie swej tożsamości.

- Tak, słyszałam o niej. Moja przyjaciółka, kobieta bard, mi o niej mówiła. Chciałabym poznać tę słynną legendę i jestem trochę ciekawa, rozumiecie? Gdzie znajduje się Encyklopedia Analego?

- Powinna wciąż być w bibliotece uniwersyteckiej - powiedział mnich. - Dlaczego ta legenda tak cię interesuje?

Alea nie mogła odpowiedzieć. Teraz ona odpowiedziała pytaniem na pytanie:

- Czy to Anali był autorem tej legendy?

Mnich jednym ruchem zamknął księgę, nad którą pracował. Już nie miał tego samego spojrzenia. Był wyraźnie poruszony

- Wkrótce będzie pora modlitwy. Muszę już iść. I muszę zamknąć bibliotekę, zatem ty też powinnaś już iść.

Wstał i nie powiedział więcej ani słowa. Alea ruszyła za nim, trzymając swą książkę za plecami. Poszła do swego pokoju, nie oglądając się za siebie. Usłyszała, jak mnich zamyka duże drzwi do biblioteki.

Uśmiechnęła się. Nawet jeśli mnich postanowił nagle przestać z nią rozmawiać, dowiedziała się o wiele więcej, niż oczekiwała. A wszystko potwierdzało przecucia, jakich doświadczała od czasu spotkania elfów w Borcelii. Odpowiedzi, których poszukiwała, znajdowały się w Mont-Tombe.

*

Wzgórze zalała ciemność. Kłębiąca się fala parła naprzód, pokrywając jasne równiny. Tysiące bezkształtnych grup, pogrążonych w beładzie regimentów, zmierzały na północ w zgiełku i szczęku żelaza. Byli niczym bura chmara unosząca się nad horyzontem, niczym odrażająca masa, która wolno zalewała ziemię. Tarcze uderzały o krótkie miecze, o skórzane opaski zaciśnięte na zielonawej skórze. Bose, zniekształcone stopy grzęzły w błocie. Powietrze przepelniał zapach potu. Tysiące nieludzkich twarzy, przerdzewiałe hełmy, puste czerwone oczy, owrzodzone wargi odsłaniające wykrzywione szczęki, paszcze, z których wydobywa się odrażający fetor.

Horda gorgunów podążała za żalobną sylwetką dosiadającą wysokiego karego konia. Od dnia jego mianowania ani razu nie ujrzeli twarzy dowódcy. Maolmórdha przywołał go ze świata umarłych, odział w czarną pelerynę, nadał

mu imię i od tego dnia nikt nie ujrzał ponownie skrywającego się pod majestatyczną peleryną szkieletu pokrytego fragmentami rozpadającego się ciała.

Dermod Cahl milczał, wiódł gorguny do walki i nikt nie śmiał się do niego zbliżyć. Gorguny były podłymi kreaturami, ale mimo że nie bały się druidów, nie czuły się pewnie w towarzystwie tego żywego trupa. Ich nowy pan robił na nich jeszcze większe wrażenie niż sam Maolmórdha. Nie było wiadomo, jaka magia przywróciła go do życia, ale każdy mógł w tym dostrzec udział Saimana i Ahrimana. Ruchy żywego trupa miały w sobie coś nadnaturalnego. Jakby każdym z jego gestów kierowała jakaś magiczna energia. Pod tą czarną peleryną nie było już nic ludzkiego.

Lecz najbardziej niepokoiło gorguny to, że nie wiedziały, kim była ta wskrzeszona przez Maolmórdhę istota. Z pewnością ich Pan nie wybrał zwykłego śmiertelnika. Czy był to trup Ayn Sulthora, księcia Herilimów, Rzucającego Cień? Czy był to raczej Aldero, druid pokonany w pałacu Shankha? Chyba że był to Ilvain Ilburan, Samildanach, którego ciało przywiózł przed oblicze Maolmórdhy Sulthor, znalazłszy je na wrzosowiskach. Bez wątplenia był to jeden z nich, gdyż jego charyzma wydawała się wynikać z magicznej mocy, jego własnej, nie zaś tej, którą obdarzył go Pan...

Dwanaście armii gorgunów maszerowało trzy dni i trzy noce, krocząc za koniem Dermoda Cahla. Nie dbali o to, czy są widoczni, gdyż nadeszła godzina Unseann. Godzina, w której wyklęci synowie wychodzili z cienia. Godzina upadku Samildanacha i Rady Druidów.

Wkrótce dotrą w pobliże siedzib ludzkich, a wtedy cała Gaelia się o tym dowie. Maolmórdha w końcu obali Mojre! Era druidów dobiegała końca. Niech nadejdą ciemności!

Trzeciego dnia pod wieczór dotarli do niewielkiej osady. Dermod Cahl wyciągnął nad głowę prawą dłoń, by dać znak przywódcom dwunastu armii. Tysiące gorgunów natychmiast się zatrzymały. Na ziemi rozciągał się szeroki czarny cień niby ogromna chmura przygnana przez wiatr.

Dermod Cahl zsiadł z konia. Przeszedł kilka razy tam i z powrotem wzdłuż drogi, za którą znajdowała się osada rolników. Potem odwrócił się i podszedł do jednego z przywódców.

Gorgun nie mógł dojrzeć twarzy swego pana, gdyż była zakryta czarnym kapturem, ale bez trudu ją sobie wyobraził. Wszyscy pamiętali szkielet, który stanął przed nimi.

- *Ver'narks hun te, ho gan sterk a barg!* - rozkazał żywy trup w języku gorgunów.

Przywódca skłonił się, a potem odwrócił w stronę swoich ludzi, by przekazać im rozkaz. Przez kolumnę wojowników przebiegł szmer zadowolenia, który rozciągnął się na następne jedenaście armii.

Dermod Cahl dosiadł konia. Patrzył na armię gorgunów, która przechodziła obok niego i kierowała się do osady. Marsz przeszedł w bieg, rozległy się okrzyki, atakujący wzniesli broń ponad głowy i unieśli tarcze.

Mieszkańcy mieli jedynie chwilę, by zdać sobie sprawę z zagrożenia. Wrzeszcząca dzika wataha spadła na osadę niczym ulewny deszcz. Farmerzy, którzy wyszli ze swych domostw, by poznać przyczynę zgiełku, natychmiast padali od ciosów. W osadzie nie było ani jednego wojownika, gorguny nie napotkały żadnego oporu. To nie była bitwa, tylko dziecinna igraszka. Potwory dokonywały rzezi skamieniałych ze strachu farmerów, brutalnie mordowały ich żony i dzieci. Nie oszczędzały nikogo, nawet zwierząt, które podzieliły los

swych właścicieli i spoczęły w bezkresnym morzu krwi. Czaszki pękały pod ciosami maczug, piersi przeszywały żelazne ostrza lanc, członki odpadały pod ciosami toporów. Niektóre gorguny gołymi rękami masakrowały kobiety. Ciała wypadały przez okna i roztrzaskiwały się o kamienną drogę, wznecając tumany kurzu i zalewając gościniec krwią. Domostwa stawały w ogniu. Osada stopniowo przestawała istnieć.

Kiedy masakra dobiegła końca, Dermod Cahl wjechał do centrum otoczony przez gorguny, które kłębiły się dookoła, grabiąc nieliczne kosztowności, dorzynając rannych, plując na zgwałcone kobiety, przewracając meble w poszukiwaniu żywych. Gorguny ryczały, owładnięte żądzą dalszego mordy. Ta pierwsza masakra miała posmak rewanzu. Długa zemsta, tak oczekiwana, powoli się rozpoczynała. I to Dermod Cahl im ją dał. Wiedzieli, że z nim pójdą aż do końca, że nic ich nie powstrzyma. Nawet Samildanach. A wkrótce Sai-Mina upadnie. Niczym zamek z piasku.

*

Przyszłam zobaczyć się z Kiaranem. Wiem, że tu jest. Ale to nie on się zbliża. To nie jest Kiaran. To nie jest druid.

Przypominam sobie tę twarz. Ten nagi tors. Te niebieskie symbole namalowane na nim. I te oczy, każde innego koloru. Noc i morze. Czerń i błękit. Przypominam sobie, już go tutaj spotkałam. Rozmawiał ze mną. Powiedział mi, że nie ma czasu i że ten świat należy do niego. Chyba tak. I zdradził mi swoje imię.

- Tagor?

- Witaj, Aleo.

Zna moje imię. Znał je już za pierwszym razem, gdy go widziałam.

- Nie rozumiem. Znasz moje imię, wiesz kim jestem?

- Jesteś Alea, tak, wiem, kim jesteś. Ziemia wie, kim jesteś. Ona mi to podpowiedziała. Jesteśmy we wnętrzu Ziemi, Aleo, w Sidzie, u mnie.

- Nie! Nie, Tagorze, jesteśmy w świecie Djar. Nie w Sidzie. Rozgląda się wokół siebie. To niemożliwe. Jest jeszcze bardziej zagubiony niż ja! Nie wie, co tu robi.

- Świat Djar? Zatem nie śnię o Sidzie?

- Nie, nie śnisz. Nie do końca. Jesteś, tak jak ja, gościem Djar... Może Sid jest do niego podobny, ale to nie Sid. Przykro mi, Tagorze. Twój lud opuścił Sid. To wszystko, co wiem o tobie, Tagorze. Nie wiem nic więcej na twój temat, a ty, ty mnie już znasz...

- Jestem synem Sarkana Młodszego, przywódcy plemion tu- athanneńskich. I jestem twoim bratem.

Co on chce powiedzieć? Nie mam brata! I nie jestem Tuathanką. Czy to przerośnia?

- Moim bratem? Nie jestem córką Sarkana.

- Tak, Aleo, masz rację. Sarkan nie jest twoim ojcem. Ale mamy tę sarną matkę, siostrzyczko. I tak bardzo jesteś do niej podobna!

To kłamstwo! On musi kłamać. Nie wie, o czym mówi! Zgubił się. Myślał, że jest w Sidzie. Myślał, że śni. Mówi głupstwa. Nie powinnam go słuchać.

- Co wiesz o mojej matce?

- O naszej matce! Zniknęła razem z tobą, Aleo. Kiedy się urodziłaś. Twój ojciec nie był Tuathannem, siostrzyczko, zatem został odrzucony. A nasza matka musiała opuścić Sid. Nigdy już jej nie ujrzałem.

Zdaje się, że nie kłamie. Ale to niemożliwe. Nie chcę mu wierzyć. Nie mam matki. Ani ojca. Jestem sierotą. Każdy to wie. Każdy.

- To nieprawda, Tagorze, jestem Córkę Ziemi! Kailianę!

- Tak. Córkę Ziemi. Córkę Sidu. To w Sidzie się urodziłaś. To prawda. Ale to moja matka nosiła cię w swym łonie. Widziałem twoje narodziny, Aleo. I widziałem, jak odchodzisz, odchodzisz na zawsze, niesiona w ramionach mojej matki.

Czuję łzę spływającą po policzku. Można płakać w świecie Djar. Płacę, bo teraz wiem, że mówi prawdę. Jest moim bratem. Wiem to. Czuję to. Mój brat.

- Tagorze, jak ona się nazywała?

- Morah.

Gdzie ona jest? Czy jeszcze żyje? Dlaczego nigdy jej nie widziałam? Dlaczego miałaby mnie opuścić? On z pewnością tego nie wie. Czy będę o tym wszystkim pamiętać, gdy opuszczę Djar? Przychodząc tutaj, nie miałam niczego, teraz mam brata i wyobrażenie o matce. Czy to możliwe?

- Dlaczego mnie nie szukałeś?

- Woląłem o tobie zapomnieć, Aleo. A kiedy cię tutaj ujrzałem, sądziłem, że to tylko sen. Ale teraz wiem, że to ty. Już cię nie opuszczę. Będę obok ciebie, kiedy tylko będę mógł, siostrzyczko. Ale najpierw muszę zająć się ojcem.

- Sarkan. Czy to twój ojciec przyprowadził twój lud na nasze ziemie?

*

Przyszłam zobaczyć się z Kiaranem. Wiem, że tu jest. Ale to nie on się zbliża. To nie jest Kiaran. To nie jest druid.

Przypominam sobie tę twarz. Ten nagi tors. Te niebieskie symbole namalowane na nim. I te oczy, każde innego koloru. Noc i morze. Czerń i błękit. Przypominam sobie, już go tutaj spotkałam. Rozmawiał ze mną. Powiedział mi, że nie ma czasu i że ten świat należy do niego. Chyba tak. I zdradził mi swoje imię.

- Tagor?

- Witaj, Aleo.

Zna moje imię. Znał je już za pierwszym razem, gdy go widziałam.

- Nie rozumiem. Znasz moje imię, wiesz kim jestem?

- Jesteś Alea, tak, wiem, kim jesteś. Ziemia wie, kim jesteś. Ona mi to podpowiedziała. Jesteśmy we wnętrzu Ziemi, Aleo, w Sidzie, u mnie.

- Nie! Nie, Tagorze, jesteśmy w świecie Djar. Nie w Sidzie. Rozgląda się wokół siebie. To niemożliwe. Jest jeszcze bardziej zagubiony niż ja! Nie wie, co tu robi.

- Świat Djar? Zatem nie śnię o Sidzie?

- Nie, nie śnisz. Nie do końca. Jesteś, tak jak ja, gościem Djar... Może Sid jest do niego podobny, ale to nie Sid. Przykro mi, Tagorze. Twój lud opuścił Sid. To wszystko, co wiem o tobie, Tagorze. Nie wiem nic więcej na twój temat, a ty, ty mnie już znasz...

- Jestem synem Sarkana Młodszego, przywódcy plemion tu- athanneńskich. I jestem twoim bratem.

Co on chce powiedzieć? Nie mam brata! I nie jestem Tuathanką. Czy to przenośnia?

- Moim bratem? Nie jestem córką Sarkana.

- Tak, Aleo, masz rację. Sarkan nie jest twoim ojcem. Ale mamy tę sarną matkę, siostrzyczko. I tak bardzo jesteś do niej podobna!

To kłamstwo! On musi kłamać. Nie wie, o czym mówi! Zgubił się. Myślał, że jest w Sidzie. Myślał, że śni. Mówi głupstwa. Nie powinnam go słuchać.

- Co wiesz o mojej matce?

- O naszej matce! Zniknęła razem z tobą, Aleo. Kiedy się urodziłaś. Twój ojciec nie był Tuathannem, siostrzyczko, zatem został odrzucony. A nasza matka musiała opuścić Sid. Nigdy już jej nie ujrzałem.

Zdaje się, że nie kłamie. Ale to niemożliwe. Nie chcę mu wierzyć. Nie mam matki. Ani ojca. Jestem sierotą. Każdy to wie. Każdy.

- To nieprawda, Tagorze, jestem Córką Ziemi! Kailianę!

- Tak. Córką Ziemi. Córką Sidu. To w Sidzie się urodziłaś. To prawda. Ale to moja matka nosiła cię w swym łonie. Widziałem twoje narodziny, Aleo. I widziałem, jak odchodzisz, odchodzisz na zawsze, niesiona w ramionach mojej matki.

Czuję łzę sphywającą po policzku. Można płakać w świecie Djar. Płacę, bo teraz wiem, że mówi prawdę. Jest moim bratem. Wiem to. Czuję to. Mój brat.

- Tagorze, jak ona się nazywała?

- Morah.

Gdzie ona jest? Czy jeszcze żyje? Dlaczego nigdy jej nie widziałam? Dlaczego miałaby mnie opuścić? On z pewnością tego nie wie. Czy będę o tym wszystkim pamiętać, gdy opuszczę Djar? Przychodząc tutaj, nie miałam niczego, teraz mam brata i wyobrażenie o matce. Czy to możliwe?

- Dlaczego mnie nie szukałeś?

- Woląłem o tobie zapomnieć, Aleo. A kiedy cię tutaj ujrzałem, sądziłem, że to tylko sen. Ale teraz wiem, że to ty. Już cię nie opuszczę. Będę obok ciebie, kiedy tylko będę mógł, siostrzyczko. Ale najpierw muszę zająć się ojcem.

- Sarkan. Czy to twój ojciec przyprowadził twój lud na nasze ziemie?

- Mówi, że ta ziemia należy do nas. Że została skradziona naszym przodkom.

- A ty? Co ty powiesz?

- Ja sądzę, że naszych ojców przepelnia nienawiść, ale wiem, że mają prawe serca. Ich nienawiść jest następstwem masakr, w których zginęli ich ojcowie.

- To się nigdy nie skończy.

- Nie, jeżeli nie uda mi się ich powstrzymać, Aleo. A ty musisz mi pomóc.

- Dlaczego?

- Ponieważ jesteś moją siostrą.

- W jaki sposób mogłabym ci pomóc?

- Nie wiem. Przede wszystkim powinnaś chronić moich współbraci. Nie jesteśmy zbyt liczni i nawet jeśli nasi ojcowie są groźnymi wojownikami, zginą w walce, jeżeli nikt ich nie ochroni. Musisz nad nimi czuwać.

- *Ochroniać ich? Mówiłeś przecież, że wygnali moją matkę. Że wyrzucili ją z Sidu, gdy się urodziłam.*

- *Zatem ty też? Twoje serce również przepętnia nienawiść?*

Nie ma wątpliwości. To naprawdę mój brat. Te słowa mogłyby być moje. I wiem, co chce powiedzieć. Rozumiem jego uczucia. Ale to wszystko jest tak trudne do zniesienia. Nie wiem, czy potrafię to udźwignąć. Tyle odpowiedzialności. Tyle odkryć, tyle prawd.

- *Pomogę wam, bracie. Nie wiem jak, ale wam pomogę. Przychodź tu często, by mnie odwiedzać.*

Uśmiecha się. Jego oczy są wspaniałe. Mamy sobie tyle do powiedzenia. Nie będę wiedziała, od czego zacząć. To coś nowego. Mieć brata. Nigdy bym w to nie uwierzyła...

Erwan, Galiad, Finghin, Kiaran. A teraz Tagor. Chciałabym ich zgromadzić, a jednak muszę iść do Mont-Tombe. Czy mam prawo stawiać to ponad nimi? Czy rozumieją moje powody? I jak będą mogli to zrozumieć, skoro sama nie jestem tego pewna?

Tak niewiele czasu. Tak niewiele czasu.

*

- *Miecz Nuadu jest w rękach Harcourt! - wykrzyknął Ernan, uderzając w podłogę dębową laską.*

Komnata Rady była pogrążona w ciemności. Od wczoraj i leszcz nie przestawał padać. Nigdy dotąd nie widziano takiej ulewy w środku lata. Ciężkie czarne chmury wisiały nisko na niebie i znaczyły całą wyspę strugami obfitego deszczu.

Arcydruoid był wzburzony. Złe nowiny nie przestawały zaskakiwać Rady. Nadchodził czas, by przejść do czynów. By reagować. Teraz wiedział, że do tej pory jedynie uciekał. Unikał działań, które wynikałyby z pełnionej funkcji. To nie mogło dłużej trwać. Jeżeli nic nie zrobi, Rada upadnie. I to o wiele szybciej, niż się obawiał.

Felim nie żyje. Tak jak Aodh, Aldero i Ailin. Finghin odjechał. Alei w dalszym ciągu nie odnaleziono. Tuathannowie byli o krok od ataku na Brunatyjczyków. Harcourt właśnie weszło w posiadanie jednego z czterech Manithów, tak ważnych dla Gaelii. Cień Maołmórdhy rozciągał się nad wyspą. A do Ernana zaczynały docierać echa niezgody w łonie Rady. Niektórzy z braci wydawali się z nim nie zgadzać do tego stopnia, że rozważali opuszczenie Sai-Miny, by założyć nowy zakon druidów. Trudno mu było w to uwierzyć, ale pomyślał, że takie pogłoski nie narodziły się bez przyczyny.

Kryzys narastał. Wkrótce równowaga zostanie zaburzona. A jutrzejszy porządek świata z pewnością nie będzie taki, na jaki Rada pracowała od setek lat.

- *Sądzę, że nadeszła pora, by przejść do czynów. Musimy zacząć działać, by zapewnić nam jedność, dać przykład naszej siły, by ugruntować nasz autorytet.*

Arcydruoid odetchnął. Położył swą długą laskę na kolanach, wyprostował się w fotelu i ogłosił uroczystym tonem:

- *Zaatakujemy Harcourt.*

Rada milczała. Oczy wszystkich spoczęły na Arcydruoidzie. Czasy były ciężkie, wydarzenia następowały bardzo szybko, każdy odczuwał ciężar kryzysu. A tym

razem wszyscy wiedzieli, że nie wystarczą drobne manipulacje polityczne, by rozwiązać problemy. Konieczna była wojna.

Obok Arcydruida na niskim stoliku, na ogromnej złoczonej tacy, spoczywały trzy Mariithy, które Tuathannowie dostarczyli druidom. Były tu, imponujące, błyszczące w ciemnościach komnaty Znaki nadziei nieoczekiwanej dla druidów, były również dowodem na to, że świat pogrążał się w niespotykanym dotąd kryzysie.

Ernan popatrzył na nie przez chwilę. Wszyscy tutaj, podobnie jak on, z trudem mogli uwierzyć, że wreszcie dotarły do Sai-Miny. Rada poszukiwała tych przedmiotów od tylu lat!

- Nasi wrogowie z Harcourt nie umieją posługiwać się Mieczem Nuadu - powiedział Odhran, dostrzegając niepokój w oczach Arcydruida. - Jedynie druid może się posługiwać Manithami...

Niektórzy ze zgromadzenia przytaknęli. Bez wątpienia chcieli się uspokoić. Ale Ernan podniósł głowę, a na jego obliczu malował się ogromny niepokój. -

- Być może mają w swych szeregach druida - powiedział, zaciskając w dłoniach dębową łaskę.

- Maolmórdha? - zaniepokoił się Odhran. - Jest w pałacu Shankha i nie sądzę, żeby mógł się sprzymierzyć z Harcourt!

- Nie - odparł Kiaran, który dotąd milczał. - Samael. Samael jest razem z nimi.

Wszyscy spojrzeli na niego. Kiaran w dalszym ciągu ich zaskakiwał. Każda z jego wypowiedzi stawała się rewelacją. Od chwili, gdy wyjawiał, że każdego wieczoru przenosi się do świata Djar, część z jego braci uważała, iż jest szalony, a część się go obawiała. Nikt nie śmiał z nim rozmawiać, nikt tak naprawdę nie chciał wiedzieć. A Kiaran sprawiał wrażenie, jakby z każdym dniem coraz bardziej oddalał się od zakonu. Stawał się obcy.

- Czy zapomnieliście o drugim renegacie? Samael. Dobrze pamiętam jego twarz. Zasiadał tam - powiedział Kiaran, wskazując jeden z pustych foteli po prawej stronie Arcydruida. - A teraz jest w Harcourt.

Przez Radę przebiegł szmer protestu. Wszyscy zgromadzeni lulaj druidzi woleli wyobrazić sobie, że Samael od dawna nie żył. Od chwili jego zniknięcia mieli nadzieję, że już nigdy nie pojawi się na scenie politycznej Gaelii. Lecz Maolmórdha nie był je- I ilynym, który pragnął się zemścić...

- Nie wiem, pod jakim imieniem się ukrywa - podjął Kiaran mimo ogólnego rozgwaru - ale jednego jestem pewien, bracia. j Samael jest po stronie hrabiego Al'Roega. Być może podszywa się pod samego hrabiego!

Ernan włączył się do rozmowy, podnosząc głos, by przekrzyczeć hałas panujący w komnacie.

Jeżeli to prawda, potwierdza to słuszność decyzji o natychmiastowym ataku na Harcourt.

Ernan czuł niepokój, jaki w Radzie wzbudziły jego słowa.

- Mamy trzy spośród czterech Manithów - ciągnął. - Jest jedenastu Wielkich Druidów oraz dziesiątka pozostałych druidów. Nie powinniśmy się obawiać armii Harcourt, nawet jeżeli jest wspomagana przez Samaela oraz Miecz Nuadu. Już nie możemy się

cofnąć. Nadeszła godzina walki. Musimy zgromadzić armie Galacji, Sarre, Bizanii oraz Tuathannów, a zmiądzymy Harcourt.

- A Maolmórdha? - zapytał Tiernan. - Co z nim zrobimy? Co, jeżeli skorzysta z tej wojny, by zaatakować osłabioną po naszym odejściu Sai-Minę?

Ernan pokiwał głową.

- Przewidziałem to. Nie wyruszymy wszyscy. Jedynie sześciu członków Rady oraz połowa druidów wyruszy w pole. I to dokładnie w dniu bitwy, ani wcześniej, ani później.

Arcydruid wstał. Poprosił o ciszę.

Bracia! Nie pozwolę, by Rada uległa jakimkolwiek naciskom. Wielkość Sai-Miny nie powinna ucierpieć z powodu obecnych napięć. Jeżeli trzeba będzie się bić, by utrzymać kontrolę nad ziemią, którą kochamy, jeżeli trzeba będzie zabijać, by się upewnić, że Gaelia pozostanie na ścieżkach Mojry, niech tak będzie. Niech Rada wypowie wojnę Harcourt! Odhranie, powierzam wam tę misję. Musicie zgromadzić armie Galacji, Sarre oraz Bizanii, a wraz z nimi sześciu spośród nas i najbardziej doświadczonych druidów, zaatakować Harcourt i sprawić, by hrabia AFRoeg zadeklarował poddaństwo wobec Sai-Miny. Następnie odzyskacie Miecz Nuadu i przywieźcie biskupa Aeditusa przed Radę, by został osądzony. Działalność sekty chrześcijan zostanie zakazana w Harcourt, tak jak jest zakazana w pozostałych hrabstwach wyspy. Autorytet Sai-Miny musi zostać umocniony. Niech tak się stanie.

- A Tuathannowie? - zapytał Odhran.

- Są już naszymi sprzymierzeńcami. Dar z Mañithów jest dowodem ich szczerości. Jeżeli pomogą nam w pobiciu Harcourt, my pomożemy im powstrzymać atak Ziemi Brunatnej oraz oficjalnie przyznamy im, wraz z Wielkim Królem, ich terytorium zwane Eriu, tak jak tego chcieli. Wiem, że gdy tylko zaatakujemy Harcourt, natychmiast się do nas przyłączą. Ich emisariusz poinformował mnie, że przygotowują się do bitwy przeciwko Ziemi Brunatnej, nie mogą więc dołączyć do nas tak szybko, jak byśmy tego chcieli, a my nie możemy na nich czekać. Ale powinni ich pokonać. Bardowie donoszą nam, że ludzie Merianda liczą więcej niż dziesięć tysięcy, ale Tuathannowie są groźnymi wojownikami. Mają szanse na zwycięstwo. W najgorszym razie, jeżeli przegrają, uprości to sprawę na politycznej szachownicy i osłabi Ziemię Brunatną do tego stopnia, że naszym jedynym wrogiem zostanie Harcourt. Tak czy inaczej to tylko kwestia czasu. Zaczniemy bez Tuathannów. Shehanie, chcę, żeby to wszystko zostało zapisane.

Archiwista przytaknął. Ernan odetchnął głęboko. Powiódł wzrokiem po zgromadzeniu. Wszyscy słuchali z uwagą i po raz pierwszy miał wrażenie, że dokonał naprawdę decydującego wyboru. Los jego zakonu właśnie się rozstrzygał. Nie mógł dłużej czekać. W głębi duszy miał nadzieję, że nie popełnia właśnie największego błędu w swym życiu. Wiedział, że jego decyzja spowoduje śmierć tysięcy ludzi. Ale wiedział też, że jeżeli nie zareaguje, niepokoje na całej wyspie jeszcze się pogłębią. Nie mógł przewidzieć przyszłości, ale nie powinien również stać się jej ofiarą. Rada nie mogła pozostać bierna. Było to sprzeczne z jej istotą, z jej racją bytu.

Przede wszystkim jednak Ernan miał cichą nadzieję, że Harcourt ustąpi, zanim żniwo ofiar będzie zbyt wielkie. Hrabia ATRoeg, myślał, w końcu

będzie musiał przyznać, że nigdy nie uda mu się pokonać wszystkich druidów i zjednoczonych armii Galacji, Sarre i Bizanii oraz Tuathannów. Prawo silniejszego zwycięży. Tak trzeba.

Arcydruid powoli usiadł na swym fotelu. Teraz słyhać było jedynie skrzypienie pióra Shehana na papierze, gdy nagle Kiaran zabrał głos.

- Zatem wojna?

Wszyscy umilkli, a Ernan rzucił mu pełne furii spojrzenie.

- Po raz pierwszy od dłuższego czasu - wykrzyknął Arcydruid - Rada naprawdę przysłuży się wyspie! Odegra należną jej rolę. Przywróci porządek. Jeżeli w tym celu potrzebna jest wojna, jeżeli trzeba przelać krew, jestem gotów w imię Rady, by ponieść takie straty. Sai-Mina nauczyła was nie tylko sztuki negocjacji, lecz także walki. I miała ku temu powody. Jeśli są pośród was tacy, którzy odmawiają udziału w wojnie, niech teraz wystąpią.

Nikt nie ośmielił się tego zrobić.

- A Alea? - nie rezygnował Kiaran. - Musimy się nią zająć.

- Sam się nią zajmę. Niech Odhran skupi się na Harcourt, ja zajmę się tą dziewczyną. Przyrowadzę ją tutaj. A kiedy nasza władza zostanie na nowo potwierdzona poprzez zhołdowanie Ziemi Brunatnej i Harocurt, wtedy będziemy mieli dość czasu, by się nią zająć w spokoju. Odzyskamy też Miecz Nuadu. A wiecie, jaki jest ważny.

Zgromadzonych przebiegł zimny dreszcz.

- Jest on jedną z tych rzadkich broni, za pomocą których można zgładzić Samildanacha - dokończył Kiaran zamiast Arcydruida. '

A w jego głosie brzmiał ogromny smutek.

*

Galiad Al'Daman dobył broni. Niedawno, zasłuchany w dźwięk uderzających o skały kropli ulewy, położył się obok syna. Dźwięk, jaki usłyszał, nie był spowodowany hałasem deszczu. To było coś innego.

Banthral. Legenda głosiła, że Galiad wyciągnął swój miecz z ogona ostatniego smoka, którego zabił. Mówiono również, że to smok wykuł ów miecz. Teraz, kiedy Felim nie żył, broń była jedyną rzeczą, jaka przypominała Galiadowi o jego przeszłości magistela. Była wszystkim, co czyniło z niego wojownika. Nie wiedział dlaczego, ale miecz nadawał sens jego życiu. Dla niego nie powinien porzucać swego zawodu. Dla niego pozostanie magistelem. Magistelem ducha.

Zaciskając miecz w dłoniach, podniósł go do wysokości twarzy. Krople ściekające po ostrzu błyszczały mu przed oczami. Wolno posuwał się naprzód po skalistym zboczu, usiłując obejść miejsce, skąd dobiegał hałas. Niektóre skały były wyższe od niego. Człowiek bez trudu mógłby się za nimi ukryć. Nawet wielu ludzi. Powinien się mieć na baczności. Pożałował, że nie obudził Erwana. Jego syn był dzielnym wojownikiem, ale był jeszcze osłabiony i Galiad nie chciał go pozbawiać snu.

Magistel szedł powoli, grzęznąc w błocie, szeroko otwierając oczy, by dostrzec w ciemnościach jakiś ruch. Znowu usłyszał hałas. Tym razem bardziej na wschodzie. Przyspieszył kroku. Pochylony, na ugiętych nogach, był gotowy do skoku. Dostrzegł ruch za krzakiem amarantu. Ulotny cień. Galiad zebrał się w sobie i skoczył ponad skałą, która dzieliła go od krzaka. Miętko opadł na ziemię i natychmiast cofnął się o kilka kroków. Nagle je zobaczył. Dwie pary

żółtych, błyszczących ślepi. Wyciągnął miecz przed siebie, napinając mięśnie. To były wilki.

Galiad wciągnął powietrze. Powinien uważać. Wilki były myśliwymi, które szybko atakowały i mogły rzucić się na niego w każdym momencie. Ale nie da im ku temu okazji. Magistel nie po to przeżył tyle lat w zagrożeniu, by skończyć jako ofiara wilczych kłów. Przygotował się do ataku.

Zwierzęta się nie poruszyły. Mierzyły go wzrokiem, unosząc wargi. Galiad podniósł miecz nad prawym ramieniem. Potem od- i /rkał chwilę. Nieruchomo. Atak powinien być niespodziewany. Był to jedyny sposób, by zaskoczyć takiego przeciwnika. A on powinien uderzyć obydwa za jednym zamachem. Wilki nie będą czekały na swoją kolej. Wiedziały, jak skorzystać z przewagi liczebnej.

Nagle usłyszał za plecami trzask łamanej gałęzi.

-Stój!

To Erwan zbliżał się z wyciągniętymi rękami.

-Stój, nie atakuj ich!

Galiad zmarszczył brwi. Cofnął się, wciąż trzymając uniesiony miecz. Nie spuszczać wzroku ze zwierząt, zwrócił się do syna.

-Co ty mówisz? - podniósł głos, by przekrzyczeć szum deszczu.

-Nie atakuj ich. Ja sędzę... sędzę, że te dwa wilki nie chcą nam zrobić nic złego.

-Cóż to ma znaczyć? - zapytał Galiad, tym razem odwraca- |t|> |;lowę w stronę syna.

Erwan był coraz bliżej. Przeszedł obok ojca i zbliżył się do wilków. Jeden z nich, duży i szary, zaczął się cofać, warcząc. Drugi, o białej maści, nie ruszał się. Jego mokra sierść oblepiała smukłe ciało.

-Jesteś szalony, Erwanie! On zaraz skoczy! Odsuń się!

-Poczekaj! Mówię ci, że... Widziałem te wilki... Wi... Widziałem Aleę we śnie tej nocy. Ona mnie uprzedziła.

Galiad podszedł do syna.

- To był sen, Erwanie. To nie wystarczy, by nas ochronić przed tymi zwierzętami... Uważaj!

- Uprzedziła mnie, że te dwa wilki tu przyjdą. Widziałem je w tym śnie. To Alea je wysłała, jestem tego pewien. Śniłem o tej wilczycy.

Chłopak wolno uklęknął przed białą wilczycą, grzęznąąc w błocie. Mimo że rozpoznał zwierzę, miał się na baczności. W końcu to mógł być tylko sen. A jednak...

Wilczyca zaczęła wyc. Ostrożnie zbliżyła pysk w stronę wyciągniętej dłoni młodego człowieka. Drugi wilk pozostawał obok. Biegał wkoło niej, ale nie wydawał się agresywny. Erwan jeszcze bardziej zbliżył otwartą dłoń w stronę wilczycy. Ta cofnęła się lekko, a po chwili znowu podeszła bliżej. Powolnym ruchem Erwan położył dłoń na głowie zwierzęcia. Zaczął ją delikatnie głaskać, cały czas gotowy do ucieczki.

Wilczyca położyła się na boku, potem przewróciła się na plecy, unosząc łapy w powietrzu. Erwan odpowiedział na zaproszenie i pogłaskał ją po brzuchu. Wilczyca wiała się na plecach, młody człowiek poklepał ją przyjaźnie po bokach i powoli wstał.

Galiad stał z otwartymi ustami. Nigdy nie widział wilka, który by zachowywał się w ten sposób. Najpierw sądził, że jego syn postradał zmysły, ale teraz musiał przyznać, że wilczyca nie była agresywna.

- Dajmy im resztki królików, które jedliśmy - zaproponował Erwan. - Pokażemy, że my też jesteśmy przyjaźnie nastawieni.

- A co potem? - zapytał Galiad. - A jeżeli ta wilczyca jest po prostu oswojona? Skąd możemy wiedzieć, czy to Alea ją przysłała?

- Nie wiem. Zobaczymy. Teraz postarajmy się, by nas polubiła. Myślę, że ten drugi wilk potrzebuje czasu, by poczuć się pewnie. Jest o wiele bardziej nieśmiały niż ona!

Galiad wzruszył ramionami. Nie bardzo podobała mu się myśl, by pozostać w towarzystwie dwóch drapieźników, ale jeżeli jego syn się nie mylił, być może istniała nadzieja na to, by odnaleźć Aleę.

*

Samael przybył za późno na pole walki. Kiedy zobaczył, że mieszkańców niewielkiego miasteczka Akingia ogarnęła panika, zrozumiał, że nie może już zapobiec bitwie. Niewidziany przez nikogo wyszedł na gołąbnik stojący na niewielkim samotnym wzgórzu we wschodniej części miasteczka. Stamtąd miał widok na całą okolicę. Skoro nie udało mu się powstrzymać Merianda, miał przynajmniej nadzieję, że ten pokona Tuathannów. Poza tym dla niego ważna była teraz jedna rzecz: odzyskać pozostałe trzy Manithy.

Równina Akingia leżała między dwoma ramionami lasu Tenian, na północy Ziemi Brunatnej. Była to rozległa, porośnięta trawą przestrzeń. Na jej przeciwległych końcach znajdowały się dwa wrogie obozy. Samael usiłował oszacować liczbę walczących po obydwu stronach. Oczywiście robił to w znacznym przybliżeniu, ale to mu w zupełności wystarczało. Jedynie Galiad Al'Daman, magistel Felima, cieszył się sławą tego, który potrafi podać dokładną liczbę wrogów na podstawie jednego spojrzenia. Nawet Saiman nie dawał Samaelowi takiej umiejętności... Lecz to nie miało żadnego znaczenia. Jeden rzut oka na pole walki wystarczył, by ocenić szanse obu stron.

Na północy doliczył się około czterech tysięcy pieszych Tuathannów zgrupowanych w dwuszeregu. Ci barbarzyńcy znali sztukę wojny. Samael mógł się już o tym przekonać, kiedy kradł im Miecz Nuadu. Zachowywali się i byli ubrani jak dzikusy, ale opanowali sztukę walki w o wiele większym stopniu niż najdoskonalsi rycerze na wyspie. Byli zorganizowani w klany, można było wyróżnić pięć różnych barw wojennych. W każdym z pięciu klanów wojownicy byli podzieleni po równo na łuczników i władających mieczem. Przywódcy klanów stali na czele poszczególnych grup. W pierwszej linii znajdowały się trzy klany, w drugiej pozostałe dwa. Klan główny, najliczniejszy - Mahatangorczyków, stał w centrum pierwszej linii. Gotów do walki pod wodzą Sarkana Młodszeo, którego sława jako wojownika obiegła już całą wyspę.

Sarkan stał w pewnej odległości przed pierwszą linią. W każdej dłoni trzymał szeroki miecz i nieruchomo obserwował horyzont, jakby osobiście wyzywał tysiące wrogów do walki. Samael nie mógł powstrzymać uśmiechu. Jakie szaleństwo tkwiło w tych ludziach, którzy tak kochali wojnę i nie czuli strachu przed śmiercią?

Na południu Samael ujrzał około trzynastu tysięcy Bru- natyjczyków. Ciężka armia, składająca się w przeważającej mierze z konnych, podzielonych na cztery linie. Cztery bataliony rozciągały się w pierwszej linii, po trzy bataliony zgrupowane były w linii drugiej oraz trzeciej, linię ostatnią tworzył jeden

batalion piechoty, straży tylnej. Na napierśnikach zbroi Brunatyjczyków można było dostrzec dziwne stworzenie o głowie lwa, tułowiu kozy i ogonie smoka na czerwonym tle. Chimera. Herb Merianda Mora Pięknego, hrabiego Ziemi Brunatnej. Meriand, w przeciwieństwie do Sarkana, trzymał się z tyłu. Otoczony strażą przyboczną obserwował pole bitwy, podczas gdy gońcy dostarczali jego rozkazy czterem kapitanom pierwszej linii. „Meriand nie jest wojownikiem, nie walczy, ale jest dobrym strategiem i być może odniesie zwycięstwo”, pomyślał Samael.

Ludzie z Ziemi Brunatnej mieli ogromną przewagę liczebną, a jednak Samael widział, że szanse na zwycięstwo są po stronie Tuathannów.

Przed wszystkim las po obu stronach pola bitwy nie pozwoli Brunatyjczykom zaatakować nieprzyjaciela z flanki ani też nie pozwoli ich otoczyć. Tuathannowie byli bez wątpienia mniej liczni, ale było ich wystarczająco dużo, by wypełnić ludźmi całą szerokość pola walki, podczas gdy Brunatyjczycy nie mogli się rozciągnąć, by skorzystać z przewagi liczebnej. Musieli atakować cały czas z tą samą szerokością na czele, a kiedy pierwsza linia dotarłaby do punktu starcia, pozostali nie byłiby w stanie jej obejść, by przyjść z pomocą.

Ale to nie było wszystko. Tuathannowie byli pieszo, a rodzaj podłoża zbyt dla nich nie liczył. Brunatyjczycy byli w kłopotach. Od dwóch dni padało. Był to rześisty, gruby deszcz, nie- spotykany o tej porze roku. Wyglądało, jakby to Mojra decydowała o pogodzie. Pole walki stało się szerokim błotnistym basenem, a nic bardziej nie utrudnia jazdy konnej niż grząski grunt. „Konie Brunatyjczyków zapadną się w mazi, niektóre stracą równowagę. Rycerze, którzy upadną, nie będą mogli wstać i staną się łatwym celem dla piechoty z Sidu”, zauważył Samael.

Zatem mimo że armia Merianda była liczniejsza, pole walki było tego dnia łaskawsze dla Tuathannów. „Walka będzie bardziej wyrównana, niż sądziłem - pomyślał dawny druid. - Chyba że wkroczę, ale to byłoby zbyt ryzykowne. Wszystko, co mógłbym zrobić, to czuwać nad rozwojem akcji i interweniować jedynie wtedy, gdy życie Merianda będzie zagrożone. Nie mogę sobie pozwolić na to, by stracić hrabiego Ziemi Brunatnej. Potrzebuję go. Potrzebuję jego władzy”.

Tuathannowie zdawali się cieszyć z niesprzyjającej Brunatyjczykom pogody. Ich jedynym zmartwieniem było teraz zmuszenie ich do nawiązania walki od frontu, do tego, by wjechali w ten błotny korytarz, zanim się zorientują, że przestrzeń między dwoma lasami to pułapka uniemożliwiająca im wykorzystanie przewagi liczebnej.

Samael siedział tak ponad godzinę, obserwując ten spektakl bezruchu i wyobrażając sobie niepokój, jaki ogarniał wrogów, gdy nagle Sarkan powrócił na czoło swego klanu. Tuathannowie ruszyli do przodu. Rozpoczęła się bitwa.

Wojownicy z Sidu postępowali naprzód, mając nadzieję, że zmuszą Brunatyjczyków, by wpadli na pole walki. Piechota tuathanneńska z gołymi torsami, ze skórą pokrytą barwami wojennymi, z włosami uczesanymi w grzebienie, szła obok batalionów łuczników, które tworzyły trójkąt, by osiągnąć jak najszerzy kąt naciągu dla jak największej liczby wypuszczanych strzał. Po kilku krokach w gęstym błocie łucznicy tuathanneńscy zatrzymali się pośrodku równiny i każdy wbił przed sobą długą lancę, tworząc w ten sposób zakończony

tysiącami ostrzy mur, którego konie nie będą mogły sforsować. Piechurzy podeszli jeszcze dalej, a potem zatrzymali się na okrzyk Sarkana.

Czekali tak kilka chwil, ale Brunatyjczycy wciąż tkwili na swych pozycjach. Może Meriand również pojął, jaką przewagę daje jego wrogom deszczowa pogoda, i szukał sposobu, by zmienić sytuację.

Sarkan rozkazał łucznikom podnieść osadzone w ziemi lance i podejść jeszcze bliżej szeregów nieprzyjaciela. Tuathannowie powstali i zaczęli biec, krzycząc kilka słów, których Samael nie mógł zrozumieć, ale wychwycił słowo „Eriu”. Tuathannowie bili się o swoją ziemię.

Kiedy znaleźli się zaledwie trzysta metrów przed linią nieprzyjaciela, znowu się zatrzymali. Łucznicy osadzili drzewce lanc przed sobą na oczach przerażonych Brunatyjczyków. Goniec pędził ze wzgórza, gdzie stacjonował Meriand. Bez wątplenia miał rozkazy dla kapitanów pozostających na pierwszej linii frontu. Lecz pierwsze strzały Tuathannów osiągnęły cel o wiele wcześniej niż on.

Gęsty deszcz strzał spadał na pierwsze linie Brunatyjczyków. Po stronie tuathanneńskiej było ponad dwa tysiące łuczników, a każdy wypuszczał pięćsześć strzał na minutę, tak celnie, że wkrótce żołnierze Merianda zostali zalani potokiem dziesięciu tysięcy strzał. Ogarnięci paniką, widząc, że towarzysze broni padają bez życia jeden po drugim, Brunatyjczycy rozpoczęli szarżę, nie czekając na rozkazy. Sarkan odczekał jeszcze chwilę, zanim dał sygnał swoim wojownikom. Wolał zyskać pewność, że Brunatyjczycy nie rozproszą się w miejscu, gdzie las się przeredzał. Czekał do ostatniej chwili. A kiedy wróg był tuż-tuż, wydał okrzyk wojenny i wszyscy Tuathannowie rzucili się za nim, gotowi do ataku.

Pierwsze uderzenie konnicy było bardzo gwałtowne. Zwierzęta nadbiegły z dziką prędkością i zmiażdżyły pierwszą linię piechoty z Sidu. Ludzie Merianda bez trudu przedarli się przez pierwszy szereg Tuathannów, dając innym możliwość wymierzania ciosów toporem, lancą lub mieczem. Wkrótce jednak konie Brunatyjczyków zaczęły się zatrzymywać, drobić w miejscu, najeżdżać jedno na drugie, grzęznąc w gigantycznym błotnistym kotle, nabijając się na śmiertelne ostrza lanc.

Łucznicy z pierwszych szeregów cofnęli się po wypuszczeniu pierwszej serii strzał. Teraz ponownie zajęli pozycje i wypuścili następną serię. Rycerze Merianda stanowili łatwy cel i kolejne ich setki upadały pod gradem śmiertelnych strzał.

Widząc, że awangarda została zdiesiątkowana, druga linia żołnierzy ruszyła do przodu, ale wypadki potoczyły się tak, jak przewidział Samael. Wojsko Merianda padło ofiarą chaosu panującego na pierwszej linii. Brunatyjczycy, stłoczeni na błotnistym polu między dwoma lasami, nie mieli wystarczającej swobody ruchów, by dobyć broni. Wokół rozgrywał się upiorny spektakl: ciała leżały pokotem na ziemi, powalone konie rżały w agonii, ściana z lanc sięgająca do wysokości ramion jeźdźców znajdowała się tuż przed przerażonymi Brunatyjczykami... Ludzie Merianda nie byli w stanie już walczyć, pozostało im tylko umierać. Tuathannowie mieli natomiast wystarczająco dużo miejsca, by operować nożami, zagłębiając ostrza w szczeliny hełmów, spoiny zbroi, by przebijać serca, wydłubywać oczy. Pómnadzy, byli o wiele lżejsi i zwinniejsi, błoto zaś im nie przeszkadzało. Dobijali kolejne ofiary, przekształcając armię Merianda w kobierzec trupów.

Po około trzech kwadransach łucznicy porzucili broń, dobyli zza pasów miecze i topory i wmieszali się w drugą linię Tuathannów, którzy teraz rzucili się do walki.

Masakra odbywała się ze zdwojoną siłą. Krew, błoto i krople deszczu mieszały się z sobą. Odcięte głowy i posiekane członki mieszały się z okaleczonymi ciałami koni. Okropne jęki umierających ledwo przedzierały się przez szczęk ostrzy, które zagłębiały się w ich wnętrzościach, przez trzask łamanych kości, przez mlaskanie wnętrzości rozwlekanych po polu bitwy... Równinę Akingia wypełniały jęki oraz odór i kolory masakry.

Mimo dzielącego go dystansu Samael mógł dostrzec twarze zwycięzców. Tuathannowie byli w ferworze walki, w morderczym szale, który rozplomieniał im wzrok i kierował ich ruchami niczym kuglarz ramionami marionetek.

Groza tych chwil była tak niewyobrażalna, że sami Tuathannowie zaczęli odczuwać odrazę do własnego dzieła. Na widok krwi i zmasakrowanych ciał niektórzy dostawali potężnych torsji. Podczas gdy większość Tuathannów zaprzestała walki, dostrzegając być może, że zarówno po jednej, jak i po drugiej stronie jest już dość trupów, klan Mahatangor wciąż podążał za Sarkanem. Całe jego ciało zachlapane było krwią do tego stopnia, że nie sposób było dostrzec jego wojennych barw, ale bez trudu można go było rozpoznać. Żaden inny wojownik nie uderzał wciąż z taką siłą. Żaden inny nie wykrzykiwał nazwy Eriu, rozciągając Brunatyjczyków na ziemi. Mahatangorczycy byli najlepiej wyszkolonymi wojownikami spośród całego ludu tuathanneńskiego, byli również najokrutniejsi. Nie sprawowali w społeczności innej funkcji poza wojenną i Samael wiedział, że nie zatrzymają się, dopóki wszyscy Brunatyjczycy nie zginą lub nie uciekną. To była ich jedyna logika, najważniejsze wojenne prawo. Nie było więc zaskakujące, że po jakimś czasie osiągnęli przewagę liczebną.

Wtedy zaczęła się ucieczka.

Brunatyjczycy porzucali broń. Niektórzy zrzucali zbroje i gnali w las. Inni wpełzali pod ciała zabitych towarzyszy, mając nadzieję, że ujdą spojrzeniom wojowników z Sidu. Sami kapitanowie rzucali się do ucieczki, pozostawiając swoich ludzi na pastwę wroga. Ranni czekali na dobiecie.

Kiedy słońce zaczęło się chować za linią horyzontu, Samael, widząc rozciągającą się przed oczami masakrę, pojął, że ratunek znikąd już nie nadejdzie.

ROZDZIAŁ 5

W SAMYM SERCU CIENIA

Aleę obudził ostry krzyk Faith. Klasztorny pokój był jeszcze pogrążony w ciemnościach, ale na ścianach rysowały się cienie wysokich sylwetek rzucone przez migotliwe płomienie czterech pochodni. Zdażyła tylko wyprostować się i usiąść, gdy dwóch rycerzy w ciężkich zbrojach, o twarzach zakrytych hełmami, skoczyło na nią i unieruchomiło jej nadgarstki i kostki.

W izbie rozlegał się potworny hałas przewracanych krzeseł oraz krzyki Mjollna i Faith, a to wszystko w niezrozumiałym rozgardiaszu, który rejestrowały zaspane oczy Alei, dopóki ktoś nie przewrócił jej na brzuch, by związać jej ręce z tyłu. „Przekłęci mnisi! Zaalarmowali Rycerzy Płomienia”, pomyślała. Alea rozpoznała herb hrabiego Al'Roega na ich ubraniach - czerwony płomień na białym tle. Żołnierze Boga. Zacisnęła zęby, by nie krzyknąć z bólu - ktoś kolanem przyciskał ją do łóżka.

Posunęła się zbyt daleko w rozmowie z mnichem z biblioteki, a teraz przyjaciele musieli ponosić konsekwencje jej lekkomyślności. Bardzo tego żałowała! Powinna była od razu nabrać podejrzeń, widząc, że mnich nagle zmienił zachowanie. Z pewnością ją rozpoznał. Powinna była posłuchać Mjollna, kiedy mówił, że nie chce tu przychodzić... A jednak dowiedziała się tu czegoś bardzo ważnego. Odpowiedzi na jej pytania kryła Encyklopedia Analego, znajdująca się w Mont-Tombe.

Aleę trawiły wyrzuty sumienia. Nie wpadła jednak w panikę. W innych okolicznościach z pewnością odczuwałaby większy strach, ale dziś zaprzętało ją coś innego. Jej brat. Tagor. Przypominała sobie każde zdanie. Każde słowo. Miała brata. Spotkała go w świetle Djar i to napełniało ją nową siłą. Nadzieją, której nikt nie mógł jej odebrać. Nawet Rycerze Płomienia.

Trzymający ją rycerz ściągnął sznur zbyt mocno i więzy boleśnie wpiły się jej w przeguby. Pociągnął ją jeszcze mocniej i tym razem Alea krzyknęła z bólu. Natychmiast otrzymała potężny cios w głowę, po którym straciła przytomność. Dźwięki i kolory zniknęły i pochłonęła ją pustka, jeszcze większa niż ta w świetle Djar...

Kiedy się ocknęła, siedziała z tyłu długiego wozu, z rękami związanymi na plecach, a pierwsze, co zobaczyła, to utkwione w siebie spojrzenia Mjollna i Faith. Wpatrywali się w nią z niepokojem. Również oni byli skrepowani.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała, krzywiąc się.

Z tyłu czaszki zaczynała odczuwać ból.

- Myślę, że w drodze do Rii - odparła Faith. - Jak się czujesz?

- Długo byłam nieprzytomna? - spytała Alea, słysząc niepokój w głosie kobiety.

- Dobrych parę godzin! - odparł Mjolln. - Przestraszyłaś mnie, mała!

Alea chciała uspokoić krasnoluda i uśmiechnęła się. Rozejrzała się dookoła. Płachta, którą był przykryty wóz, drżała od podmuchów powietrza powodowanych galopem koni. Wokoło leżały drewniane skrzynki i namioty, które podskakiwały na każdej dziurze. To z pewnością nie był typowy wóz do

przewożenia więźniów i Alei wystarczyłoby użyć Saimana, by uciec wraz z przyjaciółmi, ale najpierw chciała rozeznąć się w sytuacji.

Rycerze nie przyszli, by ich zabić. Na razie po prostu ich złapali. Nie tracili ani chwili i wyjechali bezpośrednio do Rii. Rycerze Płomienia musieli być dumni z ich pojmania i spieszyli się, by

dostarczyć więźniów przed oblicze hrabiego Ferena Al'Roega oraz biskupa Aeditusa. Ponieważ hrabia ich nie widział ani nawet jeszcze o nich nie słyszał, Alea doszła do wniosku, że nie grozi im żadne niebezpieczeństwo.

- Co zrobimy? - wyszeptał Mjolln, pochylając się w stronę dziewczyny.

- Poczekamy, aż dojedziemy do Rii. To nas zbliży do Mont- Tombe, a ja jestem ciekawa spotkania z hrabią Al'Roegiem i Aeditusem.

Krasnolud uniósł brwi.

- Oszalałaś?

Alea się uśmiechnęła.

- Dobrze wiesz, że tak! Kompletnie oszalałam! To dlatego ze mną idziesz, prawda?

Krasnolud siedział z rozdziawionymi ustami. Alea zawsze musiała mieć ostatnie słowo i wiedział, że na nic zdadzą się dyskusje. Odwrócił głowę, by poszukać odrobiny pociechy w spojrzeniu Faith, ale kobieta bard nie wydawała się zbyt zaskoczona słowami Alei. Musiała być już uodporniona!

- Zabrali nasze rzeczy? - zapytała Alea, widząc, że broszka od Felima zniknęła.

- Wszystko jest w tej skrzynce - powiedziała Faith, wskazując podbródkiem drewnianą skrzynię na tyłach wozu. - Zabrali to wszystko z pewnością po to, by dać hrabiemu. Nawet twoją laskę...

- A książeczkę, którą dostałam od mnicha?

- Sądzę, że jest...

- Przeklęty mnich! - wykrzyknął Mjolln. - Cóż za gościnne przyjęcie! Wydać nas rycerzom! Oto maniery godne chrześcijanina!

- Zabrali także nasze konie - podjęła kobieta bard. - Niczego tam nie zostawili.

- Tym lepiej - powiedziała Alea. - Nie będziemy musieli ich szukać.

Potem zamilkła i zamknęła oczy. Mjolln mruczał coś pod nosem, a Faith wystawiła głowę spod płachty.

Alea pozwoliła, by świat wokół niej zniknął. Pośrodku jej czoła zapłonął płomyczek - Saiman, wieczne światło. Pozwoliła, by rozgrzał jej ciało, wzrósł w jej wnętrzu, wzdłuż ramion, pleców, nóg. Było to bardzo miłe doznanie. Poczekala, aż Saiman weźmie we władanie całe jej ciało. Aż rozgości się w nim po czubki palców i zacznie płynąć wolno niczym woda w rzece. Potem wzięła głęboki wdech i wydechając powietrze, wypchnęła ciepłą falę energii przed siebie. Ujrzała niebieskie halo, które ją spowijało, i wiedziała, że nikt inny nie mógł go zobaczyć. Przypomniała sobie zaskoczenie Felima, gdy powiedziała mu, że może widzieć Saimana. Energia druida była czerwonej barwy i przypuszczała, że Saiman zmieniał kolor w zależności od płci. Chyba że po prostu Saiman wytwarzany przez Samildanacha był niebieski, a wszystkich innych czerwony... W tej chwili jeszcze tego nie wiedziała, ale coś jej podpowiadało, że pewnego dnia to zrozumie. Zastanawiała się nawet, czy i ona nie potrafiłaby wytworzyć energii koloru czerwonego. Gdyby poćwiczyła...

Ale teraz były rzeczy ważniejsze. Skoncentrowała energię przed sobą i sprawiła, że przybrała ona formę ostrza. Potem siłą umysłu umieściła to

niewidzialne ostrze za swymi plecami i jednym ruchem przecięła krępujące ją więzy. Ruch Saimana był precyzyjny. Opanowała posługiwanie się nim do perfekcji. A jednak wiedziała, że to dopiero początek nauki. Skupiła niebieską energię przed sobą i z łatwością powtórzyła operację na sznurach krępujących kostki i przeguby Faith i Mjollna. W jednej chwili wszyscy troje odzyskali swobodę ruchów.

Kobieta i krasnolud podnieśli na Aleę zdziwione oczy. Wiedzieli doskonale, że ona to zrobiła, ale w dalszym ciągu nie potrafili powstrzymać zaskoczenia. Milczeli. Mjolln podniósł ręce i z niedowierzaniem przyglądał się przegubom.

Skrzynia zawierająca ich rzeczy otworzyła się z suchym kliknięciem. Wieko samo opadło na dno wozu. Alea podniosła się

wolno i podeszła, by zabrać należące do nich rzeczy: ubrania elfów, broszkę Felima, dębową laskę i miecz. Potem bez słowa wróciła na swoje miejsce.

Mjolln zawahał się, a potem również wstał i zabrał swoje dudy oraz Kadhela, wspinały niewielki miecz подарowany mu przez Felima. Popatrzył na Aleę, uśmiechnął się i usiadł, głaszcząc ostrze.

- Nie uciekamy? - zapytał zakłopotany.

- Nie - odparła Alea, uśmiechając się. - Chcą nas widzieć w Rii? Dobrze, pojedziemy tam, ale z pewnością nie ze skrepowanymi rękami! Hrabia powinien wiedzieć, że jestem ważnym gościem i że jestem tam z własnej woli.

Faith się uśmiechnęła. Chciała jak najszybciej zobaczyć miny rycerzy na widok więźniów, którzy nie są już związani.

*

- Jak wygląda wasze życie? - zapytał Finghin aktorów.

Jechali razem na zachód. Konie z trudem ciągnęły wóz grzęznący w błocie, które nie zdążyło jeszcze wyschnąć po dwudniowej ulewie.

- Zwykle podróżujemy całymi rodzinami - powiedział Mel. - Przy czym słowo „rodzina” ma u nas szersze znaczenie. Kaitlin i ja jesteśmy sami, gdyż zdecydowaliśmy się wypróbować naszą sztukę i założyć nową szkołę.

- Istnieją szkoły? - zdziwił się druid.

- Można tak powiedzieć. Na przykład nie wszyscy nadają ten sam sens komedii. Niektórzy przywiązują się do określonych tekstów, inni grają, improwizując...

- A wy?

- My poszukujemy starszych, nieznanych dotąd tekstów, które mogłyby powiedzieć coś więcej na temat mieszkańców Gaelii. A przede wszystkim wierzymy w rozrywkę. Niektórzy wędrowcy za bardzo jak na nasz gust silą się na nauki. Jakby mieli się za druidów! Kaitlin i ja chcemy raczej bawić ludzi. Sądzę, że to jest teraz niezbędne, zwłaszcza w takim momencie...

- Bez wątplenia. A Mojra w tym wszystkim?

- Mojra? Cóż, to nasza droga. Droga, którą podążamy. Żyjemy na drogach, jesteśmy dziećmi drogi... Dziećmi Mojry.

Finghin pokiwał głową.

- To trochę uproszczona wizja, prawda?

Aktor się uśmiechnął.

- Uproszczona? A niby dlaczego miałyby być skomplikowana? Bycie dzieckiem Mojry to stan ducha. Nie czuć przywiązania do żadnego skrawka ziemi, do domu, pozwalać prowadzić się wiatrowi, słońcu, niekończącej się drodze. To filozofia, która nawet jeśli tobie wydaje się prosta, jest bardzo rozpowszechniona. Nasza wspólnota nigdy nie brała udziału w żadnej wojnie. Nikt przecież nie ma ochoty bić się dla kawałka ziemi. Żaden z nas nie miałby w sobie tyle pychy, by rościć sobie prawo do jakiejś własności. Według nas ziemia nie należy do ludzi.

- A zatem podróżujecie i gracie komedie dla tych, którzy nie należą do waszej wspólnoty? Dlaczego?

- Mamy nadzieję przekazać im trochę naszej filozofii życiowej. Pragniemy, by zrozumieli to, co robimy. Ale nie chcemy nikogo zmuszać. Nie jesteśmy od tego, by rekrutować czy przekonywać. Jedynie dawać przykład...

- A co przynosicie? Jaką odpowiedź na czas kryzysu? Jeżeli wszyscy w Gaelii przyjęliby waszą postawę, a wyspa zostałaby najechana przez barbarzyńców z północy? Jak moglibyśmy się bronić?

- Bronić czego? - zapytał Mel.

- Siebie!

- Ale nikt nigdy nie nastawał na nasze życie! Nie przeszkadzamy nikomu. Jeśli barbarzyńcy zaatakowałiby wyspę, być może zabiliby pierwszych napotkanych wędrowców, ale potem by zrozumieli, że to niczemu nie służy. Nie mamy żadnych kosztowności do zagrabienia i jesteśmy niegroźni.

Nie jestem pewien, czy to byłoby takie proste. Wojny nie zawsze toczą się w ten sposób.

- To twoja opinia, druidzie, i szanuję ją. Przeżyliśmy wszystkie wojny, jakich zaznała ta wyspa, i nigdy nie musieliśmy się bić t y y bronić. Weź na przykład wojnę, do której dziś się szykują. Czy może raczej: wojny. Bo w tym samym czasie toczy się wiele wojen, nieprawdaż? A my nie jesteśmy zamieszani w żadną z nich!

- A gdybyście byli świadkami bitwy, nie staralibyście się pomóc ofiarom?

- Ofiarom po której stronie? Ofiary są zawsze po obu stronach. W obliczu wojny nie możemy działać bezpośrednio, masz rację, wszystko, co możemy zrobić, to smucić się i mieć nadzieję, że nasza neutralność będzie przykładem i da innym do myślenia.

- Ta wasza przykładowość nie działa zbyt dobrze!

- Nam wystarcza... Powiedz mi, Finghinie, wszedłeś już w kontakt z Mojra? Druid uniósł brwi.

- Wszedłem w kontakt? Co chcesz przez to powiedzieć?

- Jakie masz doświadczenie w kwestii istnienia Mojry?

- Czuję jej obecność w każdej rzeczy. Wiem, że jest ścieżką sprawiedliwości.

- A skąd to wiesz? Skąd wiesz, co jest pewne na drodze Mojry, a co nie jest? Powiedziała ci o tym? Tłumaczy ci, co jest dobre, a co nie?

- Oczywiście, że nie! Mojra nie jest osobą, Melu, dobrze o tym wiesz. To jest siła, idea, za którą należy podążać. Wolność, jak mówią triady, jest miejscem, w którym równoważą się wszelkie przeciwieństwa. Mojra jest drogą równowagi. Drogą, na której wszelkie zwalczające się siły unieważniają się, by zapewnić stabilność świata. A dziś świat traci tę równowagę. Gaelia opuszcza drogę Mojry... Rada z pewnością będzie reagować.

- Tak, znam triady. Dokładny tekst brzmi: „Są trzy najważniejsze Jedności i żadna nie może istnieć bez pozostałych:

Przeznaczenie, Prawda, Wolność lub miejsce, w którym równoważą się wszelkie przeciwieństwa". Tak?

- W rzeczy samej - odparł Finghin, nie bez zdziwienia.

- To oznacza zatem, że ten zamiennik Wolności, ta równowaga, jest wyjątkowa. Że jest absolutna, prawda?

- Oczywiście...

- Czy sądzisz, że dwaj różni druidzi mają dokładnie takie samo wyobrażenie o tej Wolności? Nigdy nie ma różnic w waszym postrzeganiu Mojry?

- Są, oczywiście. Nie zawsze jesteśmy zgodni co do niektórych szczegółów, ale zgadzamy się w ogólnych sprawach.

- Nie zawsze jesteście zgodni co do szczegółów... Zatem jeżeli dwóch druidów nie ma takiego samego wyobrażenia Wolności, a ta w rzeczywistości jest wyjątkowa, to znaczy, że jeden z nich się myli, prawda?

- Bez wątplenia - zgodził się Finghin.

- Zatem skoro jest możliwe, że jeden z druidów się myli, to by znaczyło, że możliwe jest, iż wszyscy druidzi się mylą, prawda? A jeśli wszyscy druidzi mylili się w kwestii znaczenia Mojry, to wtedy wasze pojęcie tego, co jest słuszne, byłoby całkowicie wypaczone. Wasze stanowiska polityczne, Finghinie, nie są podyktowane przez Mojrę. Są owocem waszych interpretacji, wyobrażenia, idei, jaką z niej uczyniliście. Zatem można przypuszczać, że są błędne.

- W teorii tak, ale w praktyce nie. To, co rzeczywiście pozostaje w centrum zainteresowania Rady, Melu, to dążenie do prawdy absolutnej. Często podczas dyskusji dochodzi do konfrontacji, ale jeśli nawet istnieją jakieś błędy, są one równoważone przez głosy Rady.

- Naprawdę wierzysz w to, co mówisz? Finghinie, spójrz mi w oczy i powiedz, czy nigdy nie uważałeś, że jakaś decyzja podjęta przez większość druidów zasiadających w Radzie była niesprawiedliwa.

Druid się zawahał. Aktorowi udało się zasiać niepokój w jego umyśle. A to ostatnie pytanie przeważało szalę. Nie mógł przetać myśleć o decyzjach Rady w sprawie Alei i Felima. Uważał je /i bardzo niesprawiedliwe. A jednak... Jednak spędził siedem lat IM studiowaniu pod okiem druidów, siedem lat na przekonywaniu się, że wszyscy oni są w służbie Mojry, a zatem pewnej formy sprawiedliwości, czy raczej równowagi.

Lecz teraz rzeczywiście zwątpił w naturę tej równowagi. Czy była ona absolutna, czy raczej relatywna, według życzenia zakonu druidów? Czy naprawdę służono Mojrze, czy raczej folgowano pysze trzynastu egocentryków? Trzynastu mądrych, których w rzeczywistości było jedenastu... Czyż Maolmórdha i Samael już dawno temu nie pogrzebali możliwości osiągnięcia absolutnej równowagi?

- Nie wiem, Melu. Nie wiem. Ale to jest to, co chciałbym wnieść do Rady.

Aktor uśmiechnął się i położył dłoń na ramieniu druida.

- To szlachetny zamiar, Finghinie, i jestem pewien, że jesteś druidem, który ma największe szanse, by to osiągnąć. Mam nadzieję, że ci się to uda. Gdyż dopóki lud Gaelii nie zrozumie sensu Mojry, dopóty będzie potrzebował przewodnika i dopóty, tu się z tobą zgadzam, Rada jest potrzebna, bez względu na związane z tym ryzyko.

- Jesteście dziś bardzo poważni - wtrąciła się Kaitlin, która od początku rozmowy ani raz nie zabrała głosu.

Finghin posłał jej zakłopotany uśmiech.

- Melu, może byś tak raczej przedstawił nam temat twojej sztuki, którą masz dla nas napisać? - ciągnęła dziewczyna, nie puszczając lejców.

- Ty piszesz? - zdziwił się Finghin, zwracając się do wędrowca.

- Nie, moja siostra mówiła o czasie przyszłym, nie wiem, czy zauważyłeś... Naigrawa się ze mnie, bo już kilka lat mija, odkąd powiedziałem jej, że napiszę sztukę, a muszę wyznać, że nie znalazłem jeszcze na to czasu...

- A może raczej odwagi - poprawiła go Kaitlin ironicznym tonem.

- A o czym będzie ta sztuka? - spytał druid.

Mel podniósł głowę i zmarszczył brwi, spoglądając przed siebie.

- Nie sądzę, że opowiem ci o tym w najbliższym czasie, przyjacielu. Mam wrażenie, że szykuje się na nas zasadzka...

Finghin podniósł wzrok i również dostrzegł grupę ludzi, którzy wychodzili z krzaków po obu stronach drogi.

- Ukryjcie się w wozie! Zajmę się tym! - krzyknął Finghin, biorąc lejce z rąk Kaitlin.

- Mówiłem ci, że nie uczestniczymy w wojnach, Finghinie, co nie znaczy, że nie potrafimy się bronić...

Dwanaście postaci przed nimi całkowicie blokowało drogę. Konie, widząc, że przejazd jest niemożliwy, zaczęły zwalniać. Jeden po drugim nieznanymi dobyli broni: mieczy, sztyletów, maczug i niewielkich łuków. Milczeli, a ich spojrzenia były pełne nienawiści.

*

Odkąd przejechał przez bramę Providence, Odhran pojął, że coś w mieście uległo zmianie. Nie był to jedynie strach przed wojną, który mógł wyczytać z oczu mieszkańców stolicy, lecz coś jeszcze, czego druid na razie nie umiał odgadnąć. Coś, co dotyczyło miasta. Było obecne pomiędzy mieszkańcami. W zachowaniu kupców. W kroku patroli wojskowych. Nawet w powietrzu.

Amina. To z pewnością była jej sprawka. Był to jedyny nowy element w Providence i Odhran miał niemal pewność, że przybycie tej dziwnej nieznanym stało za ciężącą nad miastem atmosferą. Ale dlaczego? Czy była taką złą królową? Czy zmieniła króla do tego stopnia, że mieszkańcy nie mogli tego znieść? Odhran był ciekaw, jak wygląda królowa.

Przybyły do miasta druid był z pewnością najspokojniejszy spośród pozostałych jedenastu. Nigdy nikt nie widział, by się denerwował lub stracił cierpliwość. To dlatego Ernan go wybrał, by zajął się przygotowaniem do nadciągającej wojny. Odhran większość czasu spędzał poza murami Sai-Miny, w nieustającej podróży. Uwielbiał przebywać blisko natury spędzać całe tygodnie z dala od ludzkich siedzib. Mówił językiem elfów, potrafił usłyszeć chochliki, rozpoznawać gatunki drzew oraz przewidywać pogodę. Jego mądrość stanowiła przykład dla wszystkich członków Rady, a jednak nigdy nie zostałaby Arcydruidem. Zbyt mocno kochał wolność.

Nie uprzedził króla o swej wizycie, tak jak to było w zwyczaju, i dlatego nikt na niego nie czekał przed bramą miasta. Nieliczni przechodnie rzucali mu

zdziwione spojrzenia. W obrębie miasta nie brakowało druidów, ale nieczęsto widywali członka Rady jadącego po ulicach bez eskorty.

Podążał w stronę pałacu Eoghana, nie zatrzymując się po drodze. Koń biegł rażno. Czas naglił, a poza tym druid liczył na efekt zaskoczenia. Miał nadzieję przybyć na dwór królewski, zanim którykolwiek z poddanych Eoghana uprzedzi władcę o jego wizycie.

Wielki Druid mógł posłać jakiegoś ucznia, ale postanowił stawić się w pałacu osobiście. Wiedział, jak ważne było pozyskanie Eoghana dla planów Sai-Miny. Rada nie mogła się bez niego obejść. Aby go przekonać do działania zgodnie z wolą Rady, moc perswazji druida mogła się okazać nieoceniona.

Ząbkowana sylwetka pałacu pojawiła się wkrótce ponad czerwonymi dachami stolicy. Pałac nie miał wdzięku Sai-Miny, ale był równie olśniewający. Rozsławiały go przede wszystkim ogrody, zadbane zarówno zimą, jak i w lecie.

Odhran dotarł do bram pałacu, przy których stali żołnierze Eoghana w szatach z wyhaftowaną diamentową koroną. Zatrzymał konia przed kratą i czekał, aż któryś z żołnierzy mu otworzy.

- Widząc Odhrana stojącego przed bramą, strażnicy spojrzeli po sobie z przerażeniem. Nic nie wiedzieli o żadnej wizycie, a już szczególnie tak ważnego gościa. Bez wątpienia nie byli przyzwyczajeni do tego rodzaju sytuacji. Najwyższy stopniem strażnik zdecydował się otworzyć. Wielki Druid? Czy powinniśmy was zaanonsować królowi? To zapewne jakieś niedopatrzzenie, pewnie zapomniano mi powiedzieć...

- Nie - odparł Odhran, rozbawiony zmieszaniem strażnika. - Nie mogłem uprzedzić o swoim przybyciu. Jestem tu w sprawie najwyższej wagi i chciałbym natychmiast zobaczyć się z królem.

„Oni również się zmienili. Rycerze. Naprawdę coś się tu dzieje. Trzeba będzie uważać na tę Aminę”.

- Będziemy ci towarzyszyć na królewskich pokojach, mistrzu, podczas gdy jeden z nas zawiadomi króla o twoim przybyciu.

Wielki Druid pozwolił się poprowadzić przez królewskie ogrody. Był to cudowny spacer wzdłuż rzędów kwiatów tak niezwykłych, że niektóre z nich, jak przypuszczał Odhran, musiały pochodzić zza morza. Rozkoszny świergot ptaków i szum wody w fontannach działały na strudzonego wędrowca jak balsam.

Gdy dotarli na dziedziniec pałacowy, odprowadzono wierzchowca druida do królewskich stajni, a Odhran podążył za ma- jordomem, który na jego widok wykrzyknął:

- Mistrzu! Jakaż to radość gościć w pałacu członka Rady!

„Kłamie. To, co odczuwa, to nie radość, lecz raczej zakłopotanie. Bardzo dobrze. Mam nadzieję, że król również będzie zaskoczony. Nie będzie miał czasu przygotować się do rozmowy. Nie będzie mógł mi niczego odmówić”.

- Wielki Król przyjmie was za chwilę - rzekł majordom, otwierając drzwi do niewielkiego salonu, gdzie druid mógł odpocząć i poczekać.

Odhran się zawahał. To on musi ustalić warunki gry. I nie dopuścić do tego, by królowa uczestniczyła w rozmowie. Może coś sobie wmawiał, ale instynkt podpowiadał mu, że może ona stanowić źródło problemów. Owszem, chciałby ją poznać, ale nie wtedy, gdy ma przekonać króla do planów Rady.

Dziękuję - rzekł - ale poczekam na zewnątrz. Ogrody są tak piękne, jak nigdy dotąd. Powiedzcie królowi, że tam go oczekuję. Dobrze, Wielki Druidzie. - Majordom był przerażony. – Zapraszam..

Odhran uśmiechnął się, odwrócił i odszedł w stronę pała- i owych ogrodów, mając nadzieję, że uda mu się wykorzystać li; szansę. Poza tym radość sprawiała mu sama myśl, że będzie mógł spędzić kilka chwil pośród tych pięknych roślin i ptaków o urzekających głosach. Cieszył się na tę krótką chwilę odpoczynku.

Dość długo spacerował po parkowych alejkach pośród czerwonych begonii i hibiskusów, wyniosłych malw oraz rzędów kwitnących nasturcji, których niewielkie żółte i pomarańczowe pąki /dawały się płońać. Wysoko w górze śpiewały skowronki, a nieco dalej kilka błękitnych zięb siedziało na delikatnych gałęziach morwy. Odhran napawał się powietrzem przesyconym rozmaitymi zapachami i prawie podskoczył, gdy za plecami usłyszał kroki.

Był to majordom, który miał jeszcze bardziej zakłopotaną minę niż poprzednio.

- Król i Pani oczekują was na tarasie, mistrzu.

Odhran zmarszczył brwi.

- Czy nie powiedzieliście królowi, że czekam na niego tutaj?

- Tak, mistrzu, ale Pani kazała przygotować napoje na tarasie i król chce was tam przyjąć.

- Chciałem rozmawiać tylko z królem.

Majordom zagryzł wargi.

- To, Wielki Druidzie, nie będzie możliwe...

„Jest tak, jak się obawiałem. Królowa utrudnia sprawy. Oto nowy element tej gry, bez którego chętnie bym się obszedł”.

- Niech będzie. Prowadźcie.

„Ustępując, stawiam się na słabszej pozycji. Ale czas nagli. Odzyskam przewagę z chwilą rozpoczęcia rozmowy”.

Taras tonął w słońcu. Liczni służący uwijali się wokół stolika nakrytego białą materia, przy którym król i królowa pili herbatę pochodzącą z terenów południa.

- Odhranie, witajcie w Providence! - wykrzyknął król, wstając. - Jest mi ogromnie przykro. Gdybym wiedział, że przyjedziecie, powitałbym was bardziej godnie...

„Teraz. Przypomnieć mu moją rangę. Pokazać mu, że druid robi tu, co chce”.

- Zostalibyście powiadomieni, gdybym uznał to za niezbędne. Powaga tematu, o którym chcę z wami porozmawiać, wymaga jak największej dyskrecji. I jak największej intymności. Witaj, Pani.

Wielki Druid skłonił się, lecz o wiele mniej uniżenie, niż w podobnych okolicznościach zalecał protokół.

- Witaj, druidzie - odparła Amina.

Odhran widział ją po raz pierwszy. Była piękna, wysoka i szczupła. Była jeszcze bardzo młoda, a jednak jej spojrzenie miało już w sobie twardość właściwą królowej. Niezwykłej królowej.

„Król zwrócił się do mnie po imieniu, by sprawić wrażenie, że istnieje między nami zażyłość, ona zaś nazywa mnie druidem, pomijając mój właściwy tytuł. Muszę jej przypomnieć jej własny”.

- Gratulacje z powodu wspaniałych zaślubin, o których tak wiele mówiono, nawet w Sai-Minie! Cóż to za radość móc widzieć na tronie Galacji uzdrowicielkę...

Odhran wiedział, że Amina pobierała nauki od druidów, kiedy jako dziewczynka przybyła do stolicy. I wiedział również, że została uzdrowicielką zadziwiająco łatwo. Lecz nigdy nie została druidem. Żadna kobieta nie mogła zostać druidem. Powinna zatem, myślał Odhran, okazać najwyższy szacunek członkowi Rady.

Odhran zajął miejsce przy długim stole, dokładnie naprzeciw króla. Sługa podał mu filiżankę gorącej herbaty.

- Chcieliście powiedzieć, na tronie Gaelii... - poprawiła go z uśmiechem młoda kobieta.

- Przykro mi, że musiało się to odbyć w tak trudnym czasie - podjął Wielki Druid, udając, że nie usłyszał.

- Wprost przeciwnie! - odpowiedziała królowa, nie przestając się uśmiechać. - Nie ma nic bardziej podniecającego!

„Ma charakter i z pewnością na wszystko znajdzie odpowiedź. Nie będę z nią walczył, mam lepsze rzeczy do zrobienia. Może będę mógł użyć jej pychy, by zmusić ją do służenia naszej sprawie. To ją muszę przekonać. Ale tak, by tego nie spostrzegła. Jest tak dumna, że będę musiał rozegrać to w ten sposób, by sądziła, iż to ona podejmuje decyzję o rozpoczęciu wojny”.

- Zatem z pewnością ucieszy was wiadomość, że Harcourt zdecydowało się na nas uderzyć.

Król pokiwał głową. Już miał odpowiedzieć, kiedy Amina po raz kolejny zabrała głos.

- Nie chcę waszych wiadomości! Być może myślicie, że my tutaj nie jesteśmy o niczym informowani? Że gramy w pchełki, podczas gdy Sai-Mina czuwa nad bezpieczeństwem wyspy?

„Podnosi głos. Mógłbym przywołać ją do porządku. Ale na to jeszcze za wcześnie. Chcę wiedzieć, o co jej chodzi”.

- Przygotowujecie się do kontruderzenia?

- Odhranie - odparła królowa cynicznym tonem - znam retorykę druidów lepiej, niż myślicie. Nie będziecie mnie wodzić za nos. Niepotrzebnie łechciecie moją próżność, druidzie. Podjęłam już decyzję.

- To decyzji króla oczekuję.

- Król i ja czekaliśmy na was, by podjąć wspólną decyzję...

- Zaraz - przerwał Eoghan. Rozmowa najwyraźniej sprawiała, że nie czuł się zbyt swobodnie. - Przybyłeś, by porozmawiać, więc rozmawiajmy. Kierują nami te same pobudki. Dobro Gaelii przede wszystkim.

Amina upiła łyk herbaty. Poczekała, aż mąż skończy, a potem podjęła tym samym tonem, jakby król wcale jej nie przerwał.

- To, co interesuje was w Sai-Minie, to czwarty Mañith, który został skradziony przez Harcourt, nieprawdaż?

„Tym razem posunęła się za daleko. I skąd o tym wie?”

Bezpieczeństwo tej wyspy leżało nam na sercu, zanim jeszcze przysłaś na świat, moje dziecko, a kiedy koronowaliśmy Eoghana, waszego małżonka, zrobiliśmy to po to, by mieć pewność, że mieszkańcy Gaelii będą w dobrych rękach.

„Oto, co powinno ją powstrzymać i zmusić Eoghana, by kazał jej zamilknąć”.

- Wiem, że bardzo chcecie zachować kontrolę nad krajem, jednak już nie musicie się tym przejmować. Teraz, gdy Gaelia ma Wielkiego Króla, nie potrzebuje druidów, by nią kierowali.

Tym razem Odhran stracił cierpliwość. Uderzył pięścią w stół, wprawiając w drżenie filizanki i nakrycia, które wydały suchy szczęk.

- Tym bardziej nie potrzebuje młodej impertynentki pałającej żądzą władzy! Proszę, byś umilkła i pozwoliła królowi przemówić. Inaczej będę zmuszony powrócić do Sai-Miny i zalecić Radzie, by zrewidowała swoje poglądy odnośnie do naszych przyszłych relacji.

Eoghan się zreflektował. Mimo miłości, jaką darzył Aminę, bez wahania zdecydował się ją odprawić. Wiedział, że bezpośredni sprzeciw wobec druidów byłby największym błędem jego życia, a nie chciał go popełnić, nawet dla żony.

- Moja królowo, zechciałabyś zostawić mnie samego z naszym gościem? Przebył długą drogę, by porozmawiać ze mną w cztery oczy, i nie mam prawa odmówić mu tego przywileju. Znam twoje zdanie w tej kwestii i cały czas o nim pamiętam, bądź pewna.

Amina zawrzała gniewem. Wstała gwałtownie, rzuciła druidowi spojrzenie pełne furii, odwróciła się i szybkim krokiem weszła do pałacu.

- Trzeba będzie jak najszybciej wytłumaczyć waszej młodej żonie, jakie więzy nas łączą, Eoghane, jeśli nie chcecie, by je zerwała przez swoją ignorancję.

- Amina boi się, że pozwolę się wykorzystywać, chce mnie po prostu chronić. A to samo w sobie jest chwalebne. Mimo że czasami się myli.

- Niektóre błędy są pouczające, inne niszczą, królu. Uważajcie.

- Porozmawiam z nią.

- I uważajcie również na waszych poddanych. Przybywając tu, zauważyłem, że ich umysły są bardzo mroczne.

- To z pewnością zagrożenie wojną...

- Nie. To wasza żona.

Eoghan wyglądał na wstrząśniętego. Cokolwiek powiedziała jego żona, druid był zbyt surowy i mocno przesadził. Poza tym może Amina miała rację, mówiąc mu, by nie ufał Sai-Minie tak mocno jak dotychczas.

- Przejdźmy do faktów, Wielki Druidzie.

- Wojna. Nie możemy czekać ani chwili dłużej. Musimy wypowiedzieć wojnę Harcourt teraz.

- Dlaczego nie poczekamy, aż to oni nam ją wypowiedzą? W ten sposób zachowamy dobre wrażenie...

- To nie będzie wojna na wrażenia, nie tym razem, Eoghane. Poleje się krew.

- Moja armia nie jest gotowa.

- Nigdy nie będzie. Ale z pomocą naszą i Tuathannów powinniście wygrać. Możecie również liczyć na Bizanię i Sarre.

- Wiele hałasu o nic. Te dwie armie nie zrobią większej różnicy.

- Konnica z Bizanii wiele razy dawała dowody odwagi.

- To było ponad trzysta lat temu.

Odhran westchnął.

- Weźmiecie udział w wojnie, czy będziemy zmuszeni bronić tej wyspy bez pomocy jej króla?

Eoghan położył dłonie na stole, potem podniósł się i odwrócił plecami do druida. Patrzył na pałac, szukając wzrokiem twarzy żony za wysokimi oknami parteru. Z pewnością była tam i przyglądała się rozmawiającym.

- Zrobicie to bez mojej pomocy? - zapytał król ironicznie.

„Nie sądziłem, że sprawy zajdą tak daleko. Ta Amina naprawdę go zmieniła. Trzeba będzie ją ukarać. Nie możemy sobie pozwolić na to, by stracić nasz autorytet u Wielkiego Króla. Trzeba, by ta sprawa stała na Radzie”.

- Zrobimy. Ale wtedy zrezygnujemy z wspierania waszego królestwa, jeśli będzie trzeba.

Król odwrócił się i spojrzał Wielkiemu Druidowi prosto w oczy.

- Moja żona ma rację, Odhranie, rządzicie tym krajem zamiast mnie.

- Wy nas do tego zmuszacie waszą pasywnością. Harcourt was zmiążdży, jeżeli niczego nie zrobimy.

- Co mam do stracenia? Przecież nie mam nic! Moje królestwo od zawsze należy do was. Ten tron jest jedynie zasłoną dymną, złudzeniem, wiecie o tym doskonale.

- Eoghane, jeżeli wasze stanowisko już wam nie odpowiada, możemy je powierzyć komuś innemu, kto będzie umiał służyć swemu krajowi.

Król się uśmiechnął. Druidzi nie napawali go już lękiem. Żona otworzyła mu oczy. Nauczył się rozpoznawać ich kłamstwa. Lecz wiedział również, że bez nich był niczym i że opór był bezskuteczny. Odhran miał rację. Mogli pozbawić go władzy z dnia na dzień. Taka była ich moc.

- Odhranie, moja armia jest waszą armią - ustąpił, jakby ta rozmowa bardzo go zmęczyła. - Jutro zwołam swoich generałów oraz generałów z dwóch innych hrabstw. Przyślijcie mi waszych magisteli. Musimy ustalić strategię.

- Powinniśmy wypowiedzieć tę wojnę jak najszybciej. Każdy dzień zwłoki zwiększa siłę Harcourt.

- Jutro ogłoszę, że jesteśmy w stanie wojny. Po spotkaniu z generałami.

Odhran pokiwał głową. Otrzymał to, po co przybył. Było ciężiej, niż się spodziewał, ale liczył się wynik. Harcourt musi upaść. A Sai-Mina ma nowego wroga. Królową.

*

Samael pogalopował na południe Akingii. Bitwa była prawie skończona, a Meriand uciekł przed grupą szukających go Tuathannów.

Jak głosiły legendy, Tuathannowie, by przypieczętować zwy- i ięstwo, mordowali przywódcę swego wroga i wrywali mu serce. W ich oczach był to chwalebny czyn, a obecność Sarkana na cze- Ic grupy, która zdążyła w jego kierunku, wystarczyła, by przekonać Merianda, że nadszedł czas na ucieczkę, jeżeli chce przeżyć. Kzucił ostatnie przerażone spojrzenie na pole walki, na krwawą hekatombę, na swych ludzi bez życia, i z oczami pełnymi łez rzucił się do ucieczki niczym dziecko, okrywając się hańbą.

Widząc, że ucieka, Tuathannowie również dosiedli koni, odnajdując w zaroślach porzucone zwierzęta.

Samael był teraz pewien, że błękitnoskórzy w końcu dopadną Merianda. Był sam - ci spośród straży przybocznej, którzy nie stracili życia, zbiegli. Był sam, a bał się tak bardzo, że nawet koń to wyczuwał, gdyż biegł stanowczo zbyt wolno, by Meriand zdołał ująć z życiem.

Były druid przyspieszył. Gromadząc energię na czubkach palców, przekazał ją swemu wierzchowcowi, by zwierzę biegło jeszcze szybciej. Musi dogonić Merianda. Nie może go stracić.

Wkrótce dogonił hrabiego. Meriand rzucił mu przerażone spojrzenie i zaczął krzyczeć, jakby to mogło sprawić, by śmierć go oszczędziła.

- Spokojnie! - zawołał Samael, cwałując tuż obok uciekiniera. - Zatrzymajcie się! Jestem biskup Natalien!

Hrabia wytrzeszczył oczy. Z pewnością myślał, że to jakiś straszny sen.

- Są tuż za nami! - wycharczał resztką sił.

- Zajmę się nimi. Zatrzymajcie się!

Meriand Mor nie myślał racjonalnie. Panika była silniejsza niż wszystko inne. Samael użył Saimana.

- Teraz! Zatrzymajcie się!

Hrabia podskoczył. W dalszym ciągu był opanowany przez strach, ale nie mógł nie posłuchać rozkazu. Nie rozumiejąc tak naprawdę, co się dzieje, ściągnął wodze swego wierzchowca w tej samej chwili co Samael.

Oba konie zatrzymały się. Tuathannowie byli już naprawdę blisko. Nadjeżdżali galopem.

Samael nie tracił ani chwili. Odwrócił się i stanął między hrabią a Tuathannami.

- Niczego się nie obawiaj, Meriandzie.

Hrabia drżał na całym ciele. Barbarzyńcy jechali prosto na nich. „Biskup nigdy ich nie zatrzyma”, pomyślał. Zaraz tu umrą. W hańbie. Zmasakrowani przez tych rzeźników. A Ziemia Brunatna wpadnie w ręce najeźdźcy. Gdyż opuścił go król. Gdyż opuścili go druidzi. Gdyż opuścił go cały kraj.

Samael wolno wyciągnął Miecz Nuadu. Delikatnym gestem odwinął sukno, które wciąż spowijało Man itha. Srebrne ostrze ukazało się wreszcie i pojaśniało pod spojrzeniem druida renegata.

Był to długi i szeroki miecz. Najcięższy, jaki dotąd miał w ręce. Ostrze, które ozdabiały dwie węzowe głowy, zostało wykute przez samego Nuadu ze stali o sekretnym stopie. Żaden kowal nie znał jej składu. Miecz miał nadnaturalne właściwości, przecinał nawet metal. Rękojeść wykonana była ze szczerzego złota i wysadzana diamentami.

Samael podniósł Miecz Nuadu nad głowę, pozwolił mu zabłysnąć przez chwilę, a potem rzucił się galopem prosto na pięciu Tuathannów, którzy jechali w jego stronę.

Koń byłego druida szarżował z podniesioną głową. Niesiony przez Saimana, miał więcej siły niż stado byków. Jego kopyta zdawały się nie dotykać ziemi. Samael uniósł się w strzemionach. Szybkość była podniecająca. Miecz Nuadu zapłonął w jego ręku. Zaczął krzyczeć z całych sił. Był gotów do boju.

Tuathannowie nie zwolnili. Nie wiedzieli, kim jest ten nowy wróg, ale nie byli tego ciekawi. Byli tu po to, by zabijać. Nie bali się niczego. Sid był z nimi. Tak samo jak Sarkan, największy wojownik Mahatangor, przywódca wszystkich klanów.

Kiedy był już tylko kilka kroków od swych przeciwników, Samael wyciągnął ramię za siebie. Jego twarz wykrzywił złośliwy uśmiech.

Chciał zobaczyć moc Nuadu. Legendarną moc. Odczekał aż do ostatniej chwili, a kiedy jego koń zrównał się z pięcioma wierzchowcami wrogów, ciało zamaszystym ruchem, wkładając w to całą siłę swych mięśni i moc Saimana. Poczul w ramieniu potworne c hrupnięcie. Miecz niewyobrażalnie zaciążył w jego dłoni. Ale to, co zobaczył, zaskoczyło go jeszcze bardziej.

Z Miecza Nuadu buchnął żywy błękitny płomień, przedłużający ostrze o wiele metrów. Gigantyczny łuk ścinał jedną po drugiej głowy przeciwników oraz łby ich wierzchowców. Wyglądało to jak pięć kolejnych eksplozji, ale ostrze nie zadrżało ani razu. Zatrzymało się z gracją, wydając przeraźliwy świst.

Koń przemknął między końmi przeciwnika i galopował jeszcze kawałek. Krzyk Samaela ucichł, a Miecz Nuadu odzyskał dawny stalowy kolor.

Druid ściągnął wodze. Koń się zatrzymał. Samael nie od razu się odwrócił. Wiedział, co zobaczy. Nie miał co do tego wątpliwości. Uspokoił oddech i z uśmiechem na ustach owinął miecz w brązowe sukno, a następnie przytroczył do pasa, nie spuszczać wzroku z horyzontu.

Wreszcie rozejrzał się wokoło. Widok, jaki ukazał się jego oczom, był niezwykły. Pięciu Tuathannów i ich konie leżeli na ziemi. Jeźdźcy i zwierzęta pozbawieni byli głów. Krew nadała trawie szkarłatny kolor, a wszystko to za sprawą jednego cięcia!

Samael zbliżył się do trupów. Zatrzymał konia, stając nad nimi. Rzucił spojrzenie pełne satysfakcji na znieruchomiłe ciało przywódcy wszystkich klanów. Sarkan Młodszy już nie żył. A zatem to był ten wielki wojownik z Sidu? Te resztki spalonego ciała? Samael splunął na zwęglone szczątki.

Meriand Mor, hrabia Ziemi Brunatnej, ogłupiały zsiadł z konia. Nie mógł w to uwierzyć. Drżąc na całym ciele, oparł się o wąski zad zwierzęcia. W całym swoim życiu nie widział jeszcze tyle krwi co dziś.

Podniósł wzrok na biskupa Nataliena. I pomyślał, że z pewnością Bóg chrześcijan naprawdę istnieje.

A jego moc jest nieograniczona.

*

Cały dzień podróżowali wyboistymi drogami Harcourt, bez postoju, bez przerwy na jakikolwiek posiłek. Rycerze Płomienia wyraźnie się spieszyli, by dowieźć więźniów do Rii, i jeszcze nie wiedzieli, że Alea i jej towarzysze uwolnili się z więzów.

Kiedy wóz wreszcie się zatrzymał, a był już wieczór, Alea chciała wysiąść pierwsza. Podniosła płachtę i zeskoczyła na ziemię.

- Kapitanie! - krzyknął z przerażeniem jeden z Rycerzy Płomienia, ujrzawszy to.

Kiedy nadszedł oficer, Mjolln i Faith dołączyli do dziewczyny i stanęli za nią.

Dowódca był wysokim i dość tęgim człowiekiem o matowej skórze, zmarszczkach w kąciakach oczu, ciemnych włosach i grubych wąsach.

- Kto ich rozwiązał? - wrzasnął wściekle, widząc trójkę więźniów stojącą obok wozu.

Lecz to Alea odpowiedziała zamiast rycerzy:

- Saiman.

Kapitan wyjął miecz z pochwy i podszedł do więźniów zdecydowanym krokiem.

- Związać ich natychmiast z powrotem! - rozkazał gniewnie.

Jeden z rycerzy zbliżył się, ale zanim ich dotknął, Alea wyciągnęła dłoń w jego kierunku i siłą Saimana odrzuciła go kilka metrów do tyłu.

Przez szereg rycerzy przebiegł szmer. Kapitan też się zatrzymał. Spojrzał na leżącego na ziemi rycerza, a potem znów na Aleę.

- Związać ją! - krzyknął.

Jednak i tym razem dziewczyna wyciągnęła rękę w stronę rycerzy i kolistym ruchem dłoni przewróciła jednego po drugim, zanim zdążyli się do niej zbliżyć.

Pozostali zaczęli się cofać. Oczywiście każdy z nich był dzielnym wojownikiem, ale ich odwaga nie obejmowała aż takich cudów.

Alea za pomocą Saimana wdarła się do umysłu kapitana, który również siedział teraz na ziemi. Przebiegła przez jego myśli, nawet te dawne. Potrafiła już czytać w ludzkiej pamięci. To był instynktowny odruch.

- Senionie! - powiedziała. Śledząc myśli żołnierza, poznała jego imię. - Nie jesteśmy waszymi więźniami! Potrzeba by było stu takich oddziałów, może nawet tysiąca, by pokusić się o pojmanie Samildanacha!

Kapitan wstał zmieszany. Nie wiedział, co powiedzieć. Tak naprawdę nie bardzo rozumiał, co się dzieje. Skąd ona mogła znać jego imię? Nawet jego rycerze zwracali się do niego, zawsze tylko używając stopnia. Co to była za siła, co za magia?

- Jesteśmy tu tylko dlatego, że sami tego chcemy, kapitanie. Pojadę do Rii razem z wami, gdyż chcę się zobaczyć z Aeditusem. Ale wy tworzycie moją eskortę i nic ponadto!

Wydawało się, że oficer powoli odzyskuje zmysły. Nagle wybuchnął:

- Jak śmiesz mówić do mnie w ten sposób, zuchwała dziewczyno!

Alea zmarszczyła brwi. Zatem ta mała demonstracja okazała się niewystarczająca. Nie miała ochoty tracić czasu. Ci rycerze powinni jej słuchać, a nie lubiła używać Saimana, by wymuszać posłuszeństwo.

- Senionie, jeśli będę chciała się upewnić, że twoi ludzie mnie słuchają, wystarczy mi to jako pretekst, by cię zabić. Natychmiast.

- Konflikty wybuchają na całej wyspie - powiedział w końcu. - Wielki Król nie jest w stanie zapewnić pokoju.

- Nie pytam cię o zdanie, Senionie, lecz o fakty. Co to za konflikty?

Rycerz starał się ukryć irytację. Dziewczyna bardzo go denerwowała. Była taka arogancka! Ale miała swoje środki perswazji i nie powinien o tym zapominać.

- Hrabia Meriand Mor z Ziemi Brunatnej zaatakował Tuathannów we wschodniej części lasu Tenian.

- Jaki był wynik tej bitwy?

- Nie mogę wam powiedzieć. Nawet nie wiem, czy już się zakończyła.

- A Al'Roeg wsparł Ziemię Brunatną?

- Nie wysłaliśmy armii, ale Ziemia Brunatna jest naszym sojusznikiem i owszem, będziemy ją wspierać w ten czy inny sposób.

- Rozumiem. A inne konflikty?

- Obawiam się, że najgorszy z nich dopiero wybuchnie. Król Eoghan ma zamiar w najbliższych dniach wypowiedzieć nam wojnę. W każdym razie tak mówią posłańcy, których spotkaliśmy dziś rano. Ale nie wiem nic ponadto.

- Czy razem z nim są druidzi?

- A mogłoby być inaczej? - odparł żołnierz. - Druidzi myślą tylko o jednej rzeczy: o wyeliminowaniu chrześcijan. Chcą narzucić własną wizję świata.

- Ach... A czyż wy, chrześcijanie, nie przejawiacie podobnej postawy od ponad dwudziestu lat? - rzekła Faith z ironią w głosie. - Wojna z Harcourt pochłonęła wiele ofiar, gdy Aeditus zdecydował się nas nawrócić. Ale musicie być zbyt młodzi, drogi kapitanie, by o tym pamiętać... Jednakże jesteście Rycerzem Płomienia i z pewnością wiecie, że wasza armia została stworzona po to, by narzucić waszą wizję świata, i to siłą!

- Nie - powiedział kapitan. - Jesteśmy tu, by bronić chrześcijan, i tylko po to.

- I to w obronie chrześcijan nas pojmałicie? - zapytała Alea, udając naiwną.

To biskup Aeditus zadecyduje, czy stwarzacie zagrożenie, i czy nie. Ale nie możemy pozwolić, by na naszej ziemi przebywała dziewczyna poszukiwana przez króla, i to w dodatku szkolona przez druidów...

- Druidzi mnie szkolili? - wykrzyknęła dziewczyna. - To się tutaj rozpowiada?

Kapitan nie odpowiedział. Bał się, że rozmowa zejdzie na grząski grunt.

- Ja, która sądziłam, że jestem nieorientowana, widzę, że niektóre z twoich wiadomości są całkowicie błędne, Senionie. I druidzi nie tylko mnie nie wyszkolili, ale wyobraź sobie, że oni również mnie poszukują! Jestem wrogiem całego kraju, sądząc po sforcie, która podąża moim tropem!

- Bez wątplenia na to zasługujecie - ośmielił się wyrazić swoje zdanie kapitan.

- W każdym razie zasługuję na to, by całe królestwo się mnie obawiało, gdyż rzeczywiście mam zamiar dokonać zmian, kapitanie. Po mnie Gaelia już nigdy nie będzie taka sama.

Faith i Mjolln również wytrzeszczyli oczy. Pycha Alei zaskoczyła także przyjaciół dziewczyny.

- A jakież to zmiany macie zamiar wprowadzić? - zapytał rycerz z wyczuwalną nutką ironii w głosie.

- Jeśli nie popełnisz żadnego głupiego błędu, być może pożyjesz wystarczająco długo, by je zobaczyć - powiedziała dziewczyna. - No, dalej, nie powiedziałeś mi jeszcze wszystkiego. Jakie jeszcze nowiny masz dla mnie?

- Słyszałem straszne nowiny, ale to nic pewnego. Mam jednak nadzieję, że to fałszywe pogłoski...

- Słucham.

- Mówi się, że armia gorgunów, największa armia gorgunów, jaką ktokolwiek widział na tej wyspie, właśnie podąża na południe kraju, niszcząc wszystko po drodze.

Alea zmarszczyła brwi. Nie spodziewała się tego. Jak najszybciej musi ustalić, ile w tych pogłoskach jest prawdy. Odwróciła się do Faith, by zobaczyć, co ona o tym myśli. Ta wzruszyła ramionami.

Alea westchnęła, a potem milczała już do końca posiłku. Rycerz nie mógł jej powiedzieć już nic więcej. Musiała teraz te wszystkie nowe wieści uwzględnić w swych planach. W swojej wizji przyszłości.

*

- Jak się czujesz, synu?

Galiad klęczał obok Erwana. Zwinął obóz, przygotował rzeczy swoje i syna i czekał, aż ten się zbudzi, podczas gdy dwa wilki zataczały koło wokół nich, jakby się niecierpliwiły.

Erwan przeciągnął się, oślepiiony słońcem, które świeciło spoza dwóch szczytów łańcucha górskiego.

- O wiele lepiej. I już nie pada!

- Nie, a my powinniśmy z tego skorzystać i wyruszyć.

- Alea.

Galiad pokiwał głową.

- Skoro wysłała te dwa wilki, to z pewnością nas potrzebuje. Nie powinniśmy tracić czasu.

Erwan wstał. Oczywiście spieszyło mu się, by odnaleźć dziewczynę. Wczoraj myślał tylko o tym. A jednak w nocy spał głębokim snem. Po raz pierwszy od wielu dni. Jakby jego ciało rozumiało, że musi odzyskać siły przed podróżą.

Gdy chłopak wdziewał skórzany kubrak, Galiad poszedł w górę strumienia. Rozejrzał się wokoło. Chciał zapamiętać okolice.

- Musimy tu wrócić. Jest w tym miejscu coś niezwykłego, prawda? Ten znak na skale... To musi mieć jakiś związek z Aleą. Trzeba będzie z nią o tym porozmawiać.

Erwan nie odpowiedział. Myślał o dziewczynie. Co powie, gdy znowu się spotkają? Powiedziała mu, że go kocha. Pamiętał to. A może to był sen? Czy to by jednak coś zmieniło? Bo on ją ko- i liał. Od pierwszego wejrzenia. Miał jednak nieodparte wrażenie, że miłość nie jest dla nich. Życie nie da im czasu. Teraz był tego pewien. Ich przyszłość pełna będzie bitew, ucieczek, smutku. Tak musiało być. A jednak chciał ponownie zobaczyć Aleę. Chciał tego bardziej niż czegokolwiek innego.

- Sądzisz, że jest jeszcze na południu? - zapytał młody człowiek, zbierając ostatnie rzeczy.

- Nie. Z pewnością nie. Musiała natychmiast udać się w inne miejsce, bo inaczej nie przysłałaby tych wilków... Ale szybko się o tym przekonamy. Mam wrażenie, że te zwierzęta się spieszą, by nam pokazać drogę.

- Nie mogę uwierzyć, że wilki będą naszymi przewodnikami! - przyznał Erwan, zatrzymując się obok ojca, by popatrzeć na Imalę i jej towarzysza.

- Alea z pewnością jeszcze nieraz nas zaskoczy! W końcu udało jej się zdziwić nawet Felima.

Wyruszyli w drogę w porannym słońcu. Niosła ich niecierpliwość i radość z ponownego marszu. Znowu czuli, że żyją. A przede wszystkim wreszcie mieli jasno wytyczony cel. Coś, co pozwalało im zapomnieć o śmierci Felima.

Dotarli w pobliże łąki, na której hasały dwa wilki. Te skierowały się na zachód. Przyspieszyli kroku.

Wilki szły o wiele szybciej niż oni, ale Galiad był jednym z najlepszych tropicieli w Sai-Minie i z łatwością odnajdywał ich ślady.

- Harcourt. Idziemy w stronę Harcourt - zorientował się ma- gistel, widząc, że wilki kierują się na północny zachód.

- Co ona ma zamiar tam robić? - zdziwił się Erwan.

Słońce wolno wędrowało po niebie. Grzało mocno, żadna chmura go nie przesłaniała. To nie ułatwiało marszu.

- Nie mam pojęcia - odpowiedział Galiad.

- Może myśli, że to ostatnie miejsce, w którym Rada mogłaby jej szukać...
Chyba że udała się tam nie z własnej woli.

- Przekonamy się - powiedział magistel tonem, który jas dawał do zrozumienia, że nie ma ochoty rozmawiać.

Galiad nie chciał zgubić śladu wilków. Na szczęście ziemia była jeszcze lekko wilgotna po dwóch dniach nieprzerwanego deszczu i można było dostrzec odciski łap. Nie mógł się mylić. Był to odciski podobne do odcisków psa, z tą różnicą, że wilcze ślady były węższe i dłuższe, a tylne łapy poruszały się po tej samej o co przednie i pozostawały w idealnie równych odstępach. Galiad mógł stracić wilki z oczu, dopóki ziemia była wilgotna. Ale słońce szybko ją wysuszało. Zatem trzeba było kierować się równie zapachem i innymi śladami pozostawionymi przez zwierzęta, takimi jak sierść czy połamane źdźbła traw.

Co jakiś czas wilki zatrzymywały się i czekały na ludzi. Biała wilczyca wspinała się na wzgórze lub skałę i zastygała z wysoko uniesioną głową. Gdy ludzie ukazywali się w zasięgu wzroku, znowu podążała na północ. Potem widzieli ją z daleka, biegnącą wokół szarego wilka. Skakała ku niemu z szeroko otwartym pyskiem i można by odnieść wrażenie, że walczą, lecz nie gryzły się naprawdę, była to tylko zabawa. Powrót lata najwyraźniej nappełniał je radością.

Szli tak aż do zmroku. Przez dłuższą chwilę Galiad sądził, że stracił ich ślad, czy raczej nie wiedział, za którym śladem podążać, gdyż znajdowali się teraz na terytorium stada. Magistel zdziwił się, że wilki nie wybrały innej drogi. Wiedział, że samotne wilki rzadko były mile widziane przez inne watahy. Lecz być może było to ich stado lub po prostu te dwa wilki nie bały się niczego.

*

- Mój ojciec nie żyje, Aleo.

Nie spełniłam swego obowiązku. Powinnam była im pomóc. Nie mogłam temu zaradzić. Staję się coraz bardziej pyszna, a jednak kiedy naprawdę mnie potrzebują, nie jestem w stanie nic zrobić. Jak mogłam pozwolić, by ojciec mojego brata umarł? I co mam mu powiedzieć? Jak go pocieszyć? Nie umiem tego robić.

Dlaczego tak jest, że przynoszę nieszczęście ludziom, których kocham? Amina również straciła ojca. Czy to też było z mojej winy: A teraz Tagor...

Bracie, nie wiem, co powiedzieć... Jest mi tak... Aleo! I tak zrobiłaś dla nas bardzo dużo! I co ja takiego zrobiłam?

Wygląda na zaskoczonego. Deszcz, Aleo, deszcz pozwolił nam zwyciężyć. Bo mimo że mój ojciec nie żyje, pokonaliśmy nieprzyjaciela. W każdym razie doprowadziliśmy do tego, że uciekł z pola bitwy.

Deszcz. Sprawiliłam, że padał deszcz. Tak. Czy to możliwe? Udało mi się sprowadzić deszcz? Nie zrobiłam tego świadomie. Miałam tylko nadzieję, że tak się stanie. Ale jak odgadłam, że to może im pomóc? To tak, jakbym to nie ja podejmowała decyzje. To tak jakby ktoś inny się mnę posłużył. Mojra? Nie. Ona mnie nie potrzebuje. Muszę przestać myśleć przez jej pryzmat. Nie. To coś głębszego. jakby wyryte w mojej pamięci. Otóż to. To Samildanachowie. Nie

jestem Samildanachem, jestem wszystkimi Samildanachami. To oni mną kierują. Ich pamięć. To właśnie przekazał mi Ilvain. Nic moc. Pamięć.

Dlaczego nie zrozumiałam tego wcześniej? I z elfami jest tak samo. Ich moc to ich pamięć. Drzewo Życia. Nigdy nie umiera. Nigdy nie zapomina.

Nie mam mocy. Mam w sobie pamięć wszystkich tych, którzy byli przede mną.

- Niech Ziemia godnie przyjmie twego ojca!

Te słowa również nie pochodzą ode mnie. Skąd mogłabym je znać? Tak jak moje imię. Kailiana. Córnka Ziemi. Nie dowiedziałam się o nim sama. Nie odgadłam go. Było w mojej pamięci.

Nie wiem. Nic już nie wiem. Wszystko się miesza.

- Tagorze, co teraz robi twój lud?

- Nie wiem. Zawarli porozumienie z druidami. Z całą pewnością - ścię do nich dołączę. Zaatakują Harcourt.

- Nie możesz im na to pozwolić.

- Nie mam takiej władzy.

- Twój ojciec nie żyje, możesz stać się przywódcą klanów!

- Jestem za młody. Mahatangorczyca wybiorą innego przywódcę.

- Musisz ich skłonić, by wybrali ciebie, mój bracie. Zaufaj sobie. Gdybyś przeciwstawił się swemu ojcu, być może jeszcze by żył.

- To trudne, co mówisz, Aleo.

- Trudne, ale słuszne. Nie możesz spędzić życia na użalaniu się nad czynami starszych, Tagorze. Nasze życie należy do nas. Możemy coś zrobić.

- Skąd ty czerpiesz tę siłę, siostrzyczko? Chciałbym być taki jak ty.

- Jesteś taki sam!

Śmieje się. Tak. Można się śmiać w świecie Djar. Przypominam sobie.

- Jak myślisz, co powinienem zrobić, Aleo?

- Zajmij miejsce ojca. Masz sprawiedliwe serce, ono ci się należy. Musisz uniknąć wojny z Harcourt. Musimy powstrzymać tę wojnę, prawda?

- Tylu już umarło, tak. Nie chcę prowadzić starych wojen.

- Myślę tak samo jak ty. Musimy zmienić Gaelię. Razem.

- Mamy tylu wrogów.

- Tych najgorszych zgnieciemy. Innych nauczymy żyć w pokoju.

*

Finghin chciał coś powiedzieć, ale strzała przecięła powietrze, zanim jeszcze ujrzał łuczніка, i utkwiała w dyszlu wozu.

Konie zatrzymały się na dobre i zaczęły się cofać. Kaitlin i Mel się nie poruszyli. Finghin zauważył, że nawet nie drgnęli, kiedy strzała utkwiała obok nich.

Oddajcie nam wszystko, co macie na wozie, a jeżeli nam to wystarczy, ocalicie życie.

Finghin dostrzegł blizny na czole tego, który przemówił. Bez wątplenia był to banita, który pozbył się tatuażu, zdzierając sobie skórę. To nie przeszkadzało w odgadnięciu jego statusu, bo blizna była zbyt widoczna, ale z pewnością postawił sobie za punkt honoru pozbyć się z czoła haniebnego znaku, by zaznaczyć swój bunt.

- Banici, jestem Wielkim Druidem Rady Sai-Miny. Dobrze wiecie, że wasz atak jest bezsensowny. Nie macie żadnych szans. Pozwólcie nam przejechać, a ja postaram się o tym zapomnieć...

- Druidzi nie są nam już straszni! - wykrzyknął inny banita. - Zginiesz jak inni. Unseann się zaczął!

Sześciu ludzi rzuciło się w stronę wozu, wnosząc niezrozumiałe okrzyki.

„Jeśli użyję Saimana, zabiję wszystkich, jednego po drugim. Nie będą mieli żadnej szansy. Nie mogę tego zrobić. Nie chcę. Będę się bił jak zwykły człowiek. Muszę posłużyć się mieczem. Tak jak uczył mnie Erwan”.

Finghin dobył broni i zeskoczył z wozu. Za nim podążyli Mel i Kaitlin, którzy trzymali w rękach długie kije do obrony. Widząc, jak jedno i drugie posługuje się tym orężem, Finghin pomyślał, że prawdopodobnie mają więcej doświadczenia w walce niż on ze swym mieczem. Uspokoilo go to.

Finghin przybrał pozycję obronną. Skierował się na prawo, by pozostawić miejsce swym towarzyszom oraz by zagrozić drogę z tej strony. Nie mogli dopuścić do tego, by któryś z banitów mógł zaatakować z prawej strony.

„Nie mam żadnych szans! Jest ich trzy razy tyle co nas. Jestem szalony, że chcę się bić w ten sposób!”

Kolejna strzała zaświstała obok niego. Przeleciała tak blisko, że miał wrażenie, iż go dosięgła. Odskoczył w bok, a gniew popchnął go do ataku. Uniósł miecz i rzucił się do walki.

Dwóch banitów pozostało w tyle, strzelając z łuków. Lecz teraz, gdy walka się zaczęła, ryzykowali, że trafią jednego ze swoich, i byli zmuszeni przestać. Trzech innych, uzbrojonych w miecze, rzuciło się na Finghina, trzech na Mela, a dwóch na Kaitlin. Z pewnością sądzili, że młoda kobieta będzie łatwiejszym przeciwnikiem. Bardzo się pomylili.

Aktorka walczyła z wielką zręcznością i zadziwiającą szybkością. Z łatwością odbijała ciosy, a zadawane przez nią rany sprawiały przeciwnikom nieznosny ból. Kij zakreślał szerokie łuki wokół niej, nagle przyspieszał, uderzał z boku, od dołu lub w żebra przeciwnika. Poruszała się z wdziękiem między dwoma banitami, których nadzwyczaj szybko pokonała, podczas gdy Finghin i Mel jeszcze nie poradzili sobie z żadnym ze swych przeciwników. Ostatnim ciosem kija Kaitlin pozbawiła życia obydwóch, a następnie rzuciła się na pomoc bratu, gdy nagle poczuła ostry ból w biodrze. Spuściła wzrok i z przerażeniem ujrzała strzałę tkwiącą w boku. Spróbowała zrobić krok do tyłu, ale noga była jak sparaliżowana i dziewczyna upadła na ziemię. Strzała złamała się podczas upadku, a jej czubek jeszcze bardziej zagłębił się w ciele Kaitlin. Kobieta krzyknęła z bólu i straciła przytomność.

Finghin dostrzegł dziewczynę leżącą na ziemi. Nie był w stanie stwierdzić, czy została niegroźnie zraniona, czy było to coś poważniejszego. Wpadł w szalony gniew i każdy z jego ciosów stawał się coraz mocniejszy. W każdy z nich wkładał całą swą siłę, przypominając sobie poszczególne ciosy szermiercze, których nauczył go Erwan. Ciął mieczem coraz głębiej, uderzał przeciwnika z coraz większą siłą, do tego stopnia, że sam sprawił, iż wszyscy trzej się cofnęli. Czuł Saimana, który w nim wzrastał. Gniew go pobudził. Ale nie chciał się nim posłużyć. Chciał sam pokonać banitów.

Uderzył, unosząc miecz jeszcze wyżej i opuszczając go niczym topór na trzech przeciwników. Broń dosięgła gardła jednego z banitów. Cios był tak silny, że odciął mu głowę. Zdekapitowane ciało runęło na ziemię pomiędzy Finghina i dwóch pozostałych. Krew tryskała obficie. Dwóch rozbójników

cofnęło się, rzucając przerażone spojrzenia na martwego towarzysza. W tym samym momencie Mel również zabił jednego z napastników. Finghin nie dał ochłonąć przeciwnikom. Rzucił się na nich z wyciągniętym mieczem. Broń zagłębiła się w brzuchu jednego z nich. Banita zgiął się wpół i upadł na kolana, usiłując zatamować ciekącą szerokim strumieniem krew.

Trzeciemu udało się odskoczyć i oddać cios. Nie było to zbyt silne uderzenie, jednak dosięgło ramienia druida. Finghin upadł na plecy. Potoczył się po drodze, wzbijając tumany kurzu. Jego ramię było złamane. Położył na nim dłoń i krzyknął z bólu. Banita zbliżał się do niego, wznosząc nad głową swą maczugę. Finghin zerwał się na nogi i wyciągnął przed siebie miecz zdrową ręką. Jego lewe ramię zwisało bezwładnie wzdłuż ciała. Uniknął ataku banity, przemknął obok niego i odwrócił się, tak że teraz znajdował się tuż za przeciwnikiem.

Z szybkością błyskawicy Finghin wyrzucił miecz w powietrze, chwycił go niczym sztylet i z całych sił wbił w plecy banity. Było to ryzykowne posunięcie, bo gdyby chybił, byłby rozbrojony. Ale się nie wahał.

Miecz zagłębił się między łopatkami napastnika, który zmarł, nie widząc twarzy swojego zabójcy.

Finghin się odwrócił. Dyszał ciężko. Mel zabił drugiego z banitów i bił się z trzecim. Dwóch łuczników dawno już uciekło.

Podchodząc, by pomóc Melowi, druid wykonał gwałtowny ruch ręką i złamane ramię dało o sobie znać. Wydał okrzyk wściekłości i to musiało zaskoczyć banitę, który odwrócił głowę w stronę Finghina i wystawił się tym samym na cios Mela. Wędrowiec uderzył go prosto w szczękę. Banita runął na piasek, całkowicie ogłuszony.

Finghin podbiegł do Kaitlin. Upadł na kolana obok niej i wziął ją za rękę. Żyła, ale z jej biodra ciekła krew.

„Powinienem być użyć Saimana. Byłem głupi! Mogłem tego z łatwością uniknąć. Teraz już nie mogę popełnić podobnego błędu. Muszę zająć się jej raną, natychmiast”.

Położył kobietę na piasku i przyłożył dłonie do jej rany. Pozwolił, by Saiman wzrósł w jego umyśle, a potem zaczął krążyć w jego żyłach. Energia dotarła do czubków jego palców. Wytworzone ciepło powstrzymało krwotok.

Przypomniał sobie dokładną formę, jaką powinien przybrać Saiman. Aengus go tego nauczył. Krew przestała cieknąć. Następnie druid spowodował, by Saiman rozsunął ranę. Prawą ręką delikatnie wyciągnął strzałę. Grot z łatwością wyszedł z rany. Nowy strumień krwi napłynął w to miejsce, ale Finghin go powstrzymał. Odrzucił strzałę za siebie. Potem pozwolił, by rana się zasklepiała. Saiman przybrał formę, która wypalała rany. Trzy następujące po sobie fazy. Podstawowa sprawa. Nie mógł się pomylić.

Finghin cofnął się, by popatrzeć na ranę. Krople potu spływały mu z czoła. Zapomniał o bólu pulsującym w ramieniu. Lecz teraz, gdy wiedział, że Kaitlin była uratowana, ramię znów zaczęło dawać się we znaki.

- Zajmij się swoim ramieniem! - powiedział Mel, klękając obok siostry. - Ja będę nad nią czuwał.

Krzywiąc się, Finghin położył dłoń na skaleczeniu. Zajmować się sobą było jeszcze trudniej. Ból wprawiał w drżenie jego ciało, a on nie widział dokładnie, co robi.

Nagle wstał, szarpiąc gwałtownie za swoje ramię i krzyknął tak głośno, że Kaitlin odzyskała przytomność. Druid nastawił złamaną rękę, ale za cenę jeszcze większego bólu. Upadł na ziemię, by odzyskać oddech. Wstrząsnął nim nerwowy śmiech.

Kaitlin podniosła się, oszołomiona. Rozejrzała się wokoło. Dwóch banitów, których zabiła, leżało na ziemi. Trzeci, którego uderzył Mel, zaczynał dawać oznaki życia. Pozostałych pięciu również nie żyło. Zrozumiała, że łucznicy uciekli. Walka się skończyła. Położyła dłoń na biodrze, oparła się o brata, a potem popatrzyła na druida.

- Nie użyłeś swej mocy podczas walki - powiedziała.

- Nie, byłem głupi... chciałem... Wyrzucam to sobie!

Kaitlin wstała z pomocą brata. Biodro jej dokuczało, ale mogła chodzi .

- Nie! Nie, przeciwnie! - rzekła. - To bardzo odważne. To... to s/lachetne. Był to gest prawdziwego dziecka Mojry. Rozumiesz?

Finghin skinął głową.

- Tak sędzę. Chciałem, żeby mieli równe szanse...

- Podążasz ścieżką Mojry o wiele wierniej niż wszyscy dru- ulzi, których spotkałam, Finghinie - powiedziała, podchodząc do niego i składając na jego policzku czuły pocałunek.

- Dziękuję, że mnie uleczyłeś - dodała z uśmiechem. Finghin poczuł, że się rumieni. Widział to w rozbawionym wzroku aktorki.

- Mu... musimy przepytac tych banitów - powiedział. - Zastanawiam się, co chcieli powiedzieć...

- Unseann? - podsunął Mel.

Druid skinął głową. Wiedział, że to słowo niesie z sobą ciemność...

ZDRADA

-Dlaczego wasz herszt mówił o Unseann?

Banita nie odpowiadał. Siedział na piasku z rękami skrępowanymi z tyłu i z niedowierzaniem spoglądał na ciała towarzyszy. Na krew, która wsiąkała w piasek.

„Muszę sprawić, by przemówił z własnej woli. Jest dumny. Mogę to wykorzystać”.

- Nie musiałem nawet używać swych mocy, by z wami skończyć - podjął Finghin. - Ośmieszyliście się. A ja was przecież uprzedzałem.

Banita westchnął. Finghin zmierzał w dobrym kierunku, ale to nie wystarczało.

„Muszę posunąć się dalej”.

- Unseann. Mówiliście o Unseann, a nie możecie pokonać jednego druida!

„Mam nadzieję, że Mel i Kaitlin zrozumieją, do czego zmierzam”.

- Nie powinno się szafować groźbami, gdy nie jest się w stanie ich spełnić - ciągnął Finghin, patrząc banicie prosto w oczy.

- Chcecie mnie zmusić do mówienia? - wychrypiął banita.

„Nie jest tak głupi, jak sądziłem”.

- Dlaczego pytasz? Chronisz kogoś? Boisz się, że odkryję twój wielki sekret? - zapytał Finghin ironicznie.

- To was śmieszy? A jednak chcielibyście wiedzieć...

- Jedyne co chciałbym wiedzieć - przerwał mu Finghin - to to, w jaki sposób ludzie tacy jak wy mogli dać się do tego stopnia ogłupić! Kto wam wmówił, że uczestniczycie w Unseann?

Banita uśmiechnął się pod nosem.

- Przestańcie traktować mnie jak głupka, druidzie! Sądzicie, że możecie mnie upokorzyć do tego stopnia, że zacznę mówić? Sądzicie, że każdy banita to idiota?

„Ma rację. Nie doceniłem go. Mógłbym użyć siły lub groźby, by zmusić go do mówienia. Ale mam nadzieję, że to będzie ostateczność. Koniecznie muszę się dowiedzieć. Jestem pewien, że w tym wszystkim kryje się jakaś ważna informacja”.

- Sądzicie, że Unseann naprawdę się rozpoczął? - zapytał Finghin spokojnie.

- Nie sądzę. Ja to wiem.

- Zatem dlaczego nie chcecie o tym mówić? Skoro się rozpoczął, nie jest tajemnicą! Powinien wybuchnąć w świetle dnia, prawda?

- Przekonacie się o tym dość szybko. Reknkwista trwa.

„On nie kłamie. Ale nie pojmuję, co banita może tam robić.

Unseann. To słowo pochodzi od Herilimów. Na początku oznaczało pojedynek Ahrimana z Saimanem. Unseann był wojną przeciwko druidom. Sai-Mina zdobyła władzę nad wyspą. Wojownicy Unseann chcieli ją przejąć. Ale Unseann nigdy nie nastąpił. A jednak jego groźba przetrwała wieki, a nawet zniknięcie Herilimów. Maolmórdha. Tylko on może stać za tym wszystkim. Zatem renegat wychodzi z cienia. Oczywiście. Wszystko wydarza się w tym samym czasie”.

- Wasza rekonkwista właśnie skończyła się klęską. W dalszym ciągu żyję, a przecież jestem druidem.

- To nie druidzi pójdą na pierwszy ogień.

„Alea. Szukają Alei”.

- Nigdy nie pojmacie Samildanacha.

„Aha. Jest zaskoczony. Rozumie, że potrafię czytać między wierszami. Czy raczej sądzi, że już wiedziałem. Teraz muszę go zaintrygować. Sprawić, by pomyślał, że wiem jeszcze więcej, Zaimponować mu”.

- Nie tak trudno to zrobić. Al'Roeg tego dokonał!

„Al'Roeg? Alea została pojmana przez Harcourt? W takim razie musi być w Rii... Chyba że już jej tam nie ma”.

- Jeżeli jest w Rii, to na pewno tego chciała. Al'Roeg nie będzie mógł zatrzymać jej zbyt długo...

- Wystarczająco, byśmy mogli ją złapać.

„Potwierdził. Jest w Rii. Teraz wiem, gdzie powinienem się udać. Ale wciąż nie wiem, dlaczego banici zostali włączeni w szeregi wojowników Unseann. Czy to jest ważne? To, co się liczy, to fakt, że Maolmórdha najwyraźniej przeszedł do ataku. Wszystko to dzieje się zbyt szybko. Czy Alea o tym wie? Muszę ją uprzedzić! Czy Erwan jest razem z nią w Rii?”

Finghin się odwrócił. We wzroku Kaitlin i Mela wyczytał zrozumienie.

- Co z nimi zrobimy? Może powinniśmy ich zabrać i wydać najbliższemu patrolowi? - zaproponował Mel.

- Nie - odparł Finghin, wchodząc na wóz.

Jeszcze raz spojrzął na banitów. Dwóch w dalszym ciągu leżało bez przytomności, trzeci siedział z rękami skrepowanymi na plecach.

- Nie - powtórzył. - Zostawmy ich tutaj. Już i tak zapłacili wysoką cenę. Co jeszcze można zrobić banicie?

Mel pokiwał głową i przeciął więzy na rękach napastnika. Potem pomógł siostrze wejść na wóz i usiadł obok niej. Nie zwlekając dłużej, aktorka zmusiła konie do galopu.

Banita, ledwo żywy, patrzył, jak wóz oddala się po piaszczystej drodze. Popatrzył na leżące obok ciała. Inny na jego miejscu pewnie uroniłby łzę. Zakrzyczałby z wściekłości i upokorzenia. Ale on nic nie czuł. Już dawno przyzwyczał się do cierpienia.

Czy raczej od dawna był zmuszony do tego, by nie cierpieć.

*

Aeditus podążał za sługą korytarzem pałacu w Rii. Czekał cały ranek, aż Al'Roeg zdecyduje się go wezwać, i poczuł ulgę, gdy wreszcie to nastąpiło. Pogłoski o możliwym wypowiedzeniu wojny przez Galację obiegły stolicę lotem błyskawicy i z pewnością nadszedł czas, by coś zrobić. Co gorsza, nadal nie miał żadnej wiadomości od biskupa Nataliena o jego misji w Ziemi Brunatnej.

Aeditus zastanawiał się, czy dobrze zrobił, pozwalając na wyjazd tak niezwykłemu biskupowi. Wiedział, że Natalien coś ukrywa, a jednak zamiast go powstrzymać, pozwolił mu wyjechać, j;dyż usiłował zrozumieć jego motywy. Lecz kiedy kapitan dowodzący eskortą Nataliena w drodze do Mericourt powrócił bez biskupa, wyjaśniając, że postanowił on kontynuować

podróż w pojedynkę, Aeditus pomyślał, iż być może popełnił poważny błąd. Albo Natalien był szalony, albo coś szykował...

Na korytarzach pałacowych panował hałas większy niż zwykle. Można by pomyśleć, że wojna już się zaczęła. Jakże brakowało mu spokoju pałacu biskupiego w Mont-Tombe!

Mont-Tombe było zupełnie odrębnym światem. Odizolowane, ciche, odporne na wstrząsające Gaelią niepokoje. W przytłumionych dźwiękach rozbrzmiewających w wąskich uliczkach, w łagodnych kolorach kamiennych ścian oraz studenckich tog dało się wyczuć niezwykłą harmonię. To było jego miasto. Przekształcił je, by jego wielkość znów zabłysła w całej Gaelii. Mont-Tombe przestało być centrum kulturalnym starzejącego się społeczeństwa, a dzięki chrześcijaństwu stało się intelektualnym centrum wyspy. Napawało to biskupa dumą. Chciał, by ludzie przypominali sobie o tym, gdy on już umrze. Mont-Tombe.

Lecz jeżeli konflikty będą się pogłębiać, z pewnością upłynie jeszcze dużo czasu, zanim odnajdzie spokój w zaciszu swego niewielkiego gabinetu w pałacu biskupim. Świat jednak powinien iść naprzód. Więcej niż połowa Gaelii pozostawała wciąż pod kontrolą druidów i ich archaicznej religii! Cień krzyża Chrystusa powinien położyć się na całej wyspie. Była to obietnica, jaką złożył, misja, jaką mu powierzono, gdy opuszczał Britnię. Musiał też się zrewanżować Galatyjczykom, którzy wzięli go do niewoli, kiedy miał zaledwie szesnaście lat.

Służący zatrzymał się przed wielkimi dębowymi drzwiami do gabinetu hrabiego. Poprosił biskupa, by zaczekał, po czym go zaanonsował. Inny służący otworzył drzwi od drugiej strony i zaprosił Aeditusa do środka.

Hrabia był w swym gabinecie sam. Siedział na fotelu, łokcie opierał na podłokietnikach z zielonego aksamitu, a splecione przed twarzą dłonie nadawały mu wygląd człowieka zatroskanego.

Odziany w szatę biskupią Aeditus podszedł do biurka.

- Wzywaliście mnie?

- Usiądźcie, Wasza Miłość - rzekł hrabia poważnym tonem.

Feren Al'Roeg był człowiekiem lekko otyłym, prawie łysym, o okrągłej twarzy, niewielkich ciemnych oczach i ostrej linii ust, co nadawało mu złowrogi wygląd. Miał reputację człowieka prawego i sprawiedliwego, ale jednocześnie agresywnego i wojowniczego. Kiedy przeszedł na wiarę chrześcijańską, stał się protektorem biskupa Aeditusa, uczynił go także swym głównym doradcą. Wiara hrabiego była szczerą, a on sam zwracał się do biskupa w każdej sprawie, zarówno religijnej, jak i politycznej, nie tracąc jednak autorytetu, jakim cieszył się wśród ludu. Wprost przeciwnie, autorytet wzmacnił się, gdyż opierał się na solidnych podstawach. Chrześcijaństwo stało się dla niego czymś tak oczywistym, że wymagał, by całe Harcourt się nawróciło, i nie tolerował żadnych sprzeciwów czy zastrzeżeń. Liczył na to, że Aeditus będzie go umacniał w wierze, a Aeditus miał nadzieję, że hrabia pomoże mu zbudować podwaliny niezniszczalnego Kościoła. Obydwaj żywili wobec siebie ogromny szacunek.

- Co wiecie o Samildanachu?

Aeditus wyglądał na zaskoczonego. Przygotowywał się raczej na rozmowę dotyczącą wojny z Galacją i przez myśl mu nie przeszło, że hrabia może chcieć poruszyć inne tematy.

- O Samildanachu w sensie ogólnym czy o dziewczynie, która się za niego podaje?

- O jednym i drugim.

Biskup westchnął i zastanawiał się przez chwilę. Usiłował przypomnieć sobie wszystko, co czytał na ten temat. I to, co o tym sądził.

- Według dawnych wierzeń Gaelii Samildanach jest rodzajem wszechmocnego druida. Jest człowiekiem zdolnym do kontrolowania Saimana w sposób ostateczny. Mówi się, że druidzi nie potrafią go opanować całkowicie, lecz jedynie na krótko. Mañithy na przykład zostały stworzone przez Samildanachów...

- Widziałem już jeden Mañith, Aeditusie. One naprawdę istnieją. Jak możecie to wytłumaczyć?

- Sądzę po prostu, że są to prymitywne interpretacje boskiej mocy. W przeciwieństwie do druidów, Samildanachowie żyją samotnie, z dala od Sai-Miny, i nie kierują się żadną nauką. Są o wiele mniej zepsuci niż druidzi. Być może ich serca są szczerze i prawe. Poza tym to druidzi nazywają ich Samildanachami. Sądzę, że w rzeczywistości są to ludzie wybrani przez Boga. W Brittii nazywaliśmy ich świętymi... Wiecie, jak bardzo jestem przekonany, że to, co druidzi nazywają Mojra, w rzeczywistości jest przejawem, odczuciem naszego Boga. Stworzyli wokół swych duchowych przeczuc dość proste wierzenia zakorzenione w popularnych legendach. To prawie jak religia. Bez świętej księgi. Gdyby wzięli w swe dłonie Biblię, gdyby ukazał im się Chrystus, bez wątpienia o wiele lepiej zrozumieliby prawdziwy sens boskości. To dlatego możemy ich łatwo nawrócić. Wystarczy, by pojęli, że ich instynkt był dobry, że brakuje im jedynie wiedzy. Mojra istnieje, nazywa się Bóg.

- Wiem o tym, już na ten temat rozmawialiśmy... Ale ta dziewczyna? Sądzicie, że jest świętą?

Aeditus wzruszył ramionami.

- Wszystko co o niej wiem, to to, co sładzy w Rii opowiadają po cichu. Nic konkretnego. Wiecie, że nie lubię rozmawiać na tematy, których uprzednio nie zgłębiałem...

- Dobrze się składa, bo ona będzie tu jutro.

Biskup zakasłał nerwowo.

- Słucham?

- Jest z kapitanem Senionem. Porwał ją z klasztoru na południu Harcourt. Posłaniec dotarł do mnie rano. Nie bardzo rozumiałem, co się tam dzieje. Mam wrażenie, że ona tak naprawdę nie jest więźniem. Że udało jej się wyswobodzić, przeciwstawiła się Senionowi, ale jednak chce tu przybyć.

- To raczej niezwykle!

- Tak jest w wypadku tej dziewczyny...

- Może rzeczywiście została wybrana przez Boga.

- Tak właśnie sobie pomyślałem - powiedział hrabia. - Zastanawiam się, czy nie moglibyśmy jej użyć do rozpropagowania wiary chrześcijańskiej. Cała Gaelia wierzy w tę dziewczynę. Nie ma jeszcze piętnastu lat, jak sądzę, a jest już sławna w całym kraju. Skoro zdecydowała się tu przyjechać, może nie jest wrogo nastawiona do naszej religii.

- Powinniśmy pozostać nieufni, panie hrabio. Z pogłosek wynika, że sama ogłosiła się Samildanachem.

- Z pewnością bezwiednie, bo jeszcze nie usłyszała głosu Chrystusa. Ale mówią też, że chce nauczyć się czytać. Tak powiedział mnich, który przekazał Senionowi wiadomość o obecności dziewczyny w klasztorze.

- To zaczyna być coraz ciekawsze...

Hrabia przytaknął.

- Chcę, byśmy przyjęli ją wspólnie - rzekł. - Sami. Musimy wiedzieć, w co ona wierzy, co wie, czego chce.

- Trzeba sprawić, by odniosła wrażenie, że jest tu mile widziana. Jeśli chcemy, by pewnego dnia stanęła po naszej stronie, nie powinna zachować przykrych wspomnień o Harcourt. Mam nadzieję, że Rycerze Płomienia nie obeszlą się z nią zbyt brutalnie...

- Wyglądało na to, że to raczej oni nie mają z nią lekkiego życia! - odparł hrabia z uśmiechem.

W tej samej chwili ktoś zapukał do drzwi gabinetu.

- Wejść! - powiedział hrabia.

Sługa, który zaanonsował wcześniej Aeditusa, ukazał się w drzwiach.

- Panie hrabio, biskup Natalien przybył do zamku i prosi o audiencję.

- Natalien? - zdziwił się AFRoeg. - Czy nie mówiliście, że wyruszył do Ziemi Brunatnej, by paktować z Meriandem? Czyżby już wrócił?

- Ja także dopiero w tej chwili się o tym dowiaduję, panie hrabio - rzekł Aeditus, równie zaskoczony.

- Czy jest sam? - zapytał hrabia służącego.

- Nie, panie, w rzeczy samej jest z hrabią Meriandem Morem z Ziemi Brunatnej.

Biskup i hrabia wymienili zdziwione spojrzenia.

- Ach tak? Dobrze. Skoro to sprawa niecierpiąca zwłoki, mogę ich przyjąć w tej chwili.

Sługa się skłonił.

- Przeprowadzę ich, jak tylko będą gotowi, panie - powiedział, a potem zamknął drzwi.

*

Eoghan, trzymając w prawej dłoni kielich z winem, stał przed otwartym wielkim oknem swej komnaty. Była to nieduża sala na ostatnim piętrze pałacu w Providence, do której prowadziły stare, zniszczone schody. Nikt tu nie przychodził, niewiele osób wiedziało, jak znaleźć drogę do tej komnaty na poddaszu, ale wszyscy wiedzieli, że król od czasu do czasu znajdował tu schronienie. Czasem widać go było w oknie, jeśli ktoś odważył się spojrzeć na szczyty pałacu.

Stąd król mógł widzieć cały park. Czasami schodził i wydawał polecenia nadzorcy ogrodników, bo dostrzegł coś, co mu się nie spodobało, a czego nie można było zobaczyć z dołu.

Tego wieczoru Eoghan Mor z Galacji, Wielki Król Gaelii, nie przyszedł tu, by sprawdzić pracę ogrodników. Przyszedł tu, by się zastanowić, odnaleźć trochę spokoju sprzyjającego medytacji. Potrzebował chwili wytchnienia. W jego umyśle ścierało się zbyt wiele sił, obaw, chęci.

Z jednej strony byli druidzi. Panowie z Sai-Miny kazali mu podjąć poważną decyzję. Wojna przeciwko Harcourt przyniesie krew i ogień. Po raz drugi miał

wybuchnąć konflikt między Harcourt i resztą wyspy. Nikt nie zapomniał o wojnie, która zakończyła się dwadzieścia lat temu dwuznacznym paktem, pokojem trudnym do zrozumienia, który milcząco zaakceptowały jedynie dziesiątki tysięcy poległych po obu stronach. Ile śmierci trzeba będzie tym razem?

Z drugiej strony była Amina. Była jego największą radością. Potrafiła nadać jego życiu sens. Sprawowanie rządów z nią u boku nie było już udawaniem. Wreszcie miał wrażenie, że jest prawdziwym królem, bo ona go kochała takim, jaki był, i zachęcała, by korzystał ze swej władzy. A jednak nie posłuchał jej, gdy powiedziała, by przeciwstawił się druidom. Nie umiał powiedzieć, czy miał rację, czy popełnił błąd. Czy Amina przesadziła, bo odczuwała głęboką nienawiść do ludzi w białych płaszczach? Czy powinien był jej posłuchać i nie angażować się w tę wojnę? Jedna rzecz była pewna: druidzi manipulowali nim od samego początku jego rządów. Żył przez wszystkie te lata, oszukując się, wmawiając sobie, że ma realną władzę, podczas gdy wiedział, iż prawdziwi władcy wyspy nie są w Providence, lecz w Sai-Minie. W tej kwestii Amina miała rację. Ale czy to usprawiedliwiało jego sprzeciw wobec druidów? Czy kontrola, jaką nad nim sprawowali, oznaczała, że ich polityczne wybory są złe? Owszem, druidzi nadużywali władzy, ale czy wojna z Harcourt nie była konieczna? Skąd ma to wiedzieć?

Tak czy inaczej, nie mógł się wycofać. Obiecał Wielkiemu Druidowi Odhranowi, że Galacja wypowie tę wojnę. Nie mógł już cofnąć czasu. A ta decyzja być może była jeszcze trudniejsza o podjęciu, gdyż po raz pierwszy, odkąd zaczął sprawować władzę, miał wrażenie, że dokonał samodzielnego wyboru. Wyboru między radami swej żony a radami druidów. Czy smutek, jakiego właśnie doświadczał, był ceną tego wolnego wyboru?

Eoghan zastanawiał się, czy nie wolałby żyć w nieświadomości. Nie wiedzieć, jak druidzi nim manipulują. Nie rozumieć tych wszystkich interesów, jakie się za tym kryją. Zaskoczyła go myśl, że zazdrości hrabiemu Alvaro z Bizanii, który nie zadawał sobie takich pytań. Ślepo służył swemu królowi, cokolwiek tamten zdecydował, a resztę czasu spędzał, pławiąc się w zbytkach. Eoghan się uśmiechnął. Nie. On taki nie jest!

Poza tym ma to, o czym marzył: Aminę. Była jedynym powiewem wolności, jaki mu się zdarzył w więzieniu, którym było jego życie. Z pewnością obdarzy go dzieckiem. Dzieckiem, którego będzie mógł nauczyć o wiele więcej, niż jego nauczył ojciec. Synem, który będzie umiał przeciwstawić się druidom, a jednocześnie ich wysłucha. Bo dla niego było już za późno. Zbyt późno, by odrzucić autorytet Sai-Miny.

Król westchnął głęboko i podniósł kielich. Światło księżyca tańczyło na powierzchni złocistego napoju. Noc była piękna, a on chciał po prostu cieszyć się chwilą i zapomnieć o tym, co go czekało w nadchodzących dniach.

Wypił wino jednym haustem. Zamknął oczy, gdy poczuł ożywcze ciepło rozlewające się wzdłuż przełyku, a potem w żołądku. Było to cudowne uczucie.

Wielki Król odwrócił się, by odstawić kielich na marmurowy stolik. Nagle jego wzrok się zmącił. Potrząsnął głową, by to dziwne wrażenie zniknęło. Czyżby już był pijany? Po jednym kielichu? Zrobił krok naprzód i stracił równowagę. W głowie pulsował mu nieznośny ból. Jakby ktoś wbijał mu igły w oczy.

Kielich upadł i rozbił się o parkiet. Król, wstrząsany spazmami, zrobił kilka kroków do tyłu i runął na okno, które rozbiło się na tysiąc kawałków. Odłamki

szkła ugodziły go w twarz i ręce, ale większy ból odczuwał w gardle. Po chwili nie mógł oddychać.

Rozpaczliwie usiłował zaczerpnąć powietrza. Wił się w konwulsjach pośród odłamków szkła.

Potem jego gardło zacisnęło się całkowicie. Oczy o mało nie wyszły mu z orbit. Jego pokrwawione dłonie zaciskały się i rozwierały.

Ostatnim widokiem, jaki ujrzał, była twarz Aminy w drzwiach. A potem umarł w ciszy nocy.

*

- Witajcie w moim zamku, Meriandzie. Od wielu lat was nie widziałem!

Hrabia Al'Roeg nie mógł ukryć dumy w głosie. Mówił z pozycji silniejszego i zamierzał to wykorzystać. Kiedy się nawrócił, żaden inny hrabia nie poszedł w jego ślady, mieli go za szaleńca, a on został sam przeciwko druidom. Ale dziś sprawy miały się inaczej.

- Dziękuję za ciepłe przyjęcie, kuzynie. Wolałbym zobaczyć was w innych okolicznościach. Dziś stoi przed wami hrabia bez ojczyzny.

- Cóż wy mówicie?

Samael, który przywdział już szaty biskupie, odpowiedział zamiast Merianda.

- Tuathannowie sprzymierzyli się z druidami, by zagarnąć Ziemię Brunatną, panie hrabio. Osobiście brałem udział w bitwie, którą hrabia Mor był zmuszony wydać tym barbarzyńcom, by bronić swego kraju. Ziemia Brunatna właśnie wpada w ręce Sai-Miny, której zbrojnym ramieniem są Tuathannowie.

- W tej bitwie straciłem wszystkich ludzi - powiedział pokornie hrabia Ziemi Brunatnej. - Siły nie były równe. I nie mogę sobie z tym poradzić sam. Przychodzę, by poprosić was o pomoc w odzyskaniu moich ziem, drogi kuzynie.

Oczywiście, oczywiście, Meriandzie - odparł ArRoeg, który dostrzegł wreszcie sposób, by zapewnić sobie na długo wierność Ziemi Brunatnej. - Wojna z Galacją jest nieunikniona, to nie ulega kwestii, a broniąc naszych interesów, obronimy i wasze.

- Panie hrabio, sądzę, że to druidzi i Tuathannowie przede wszystkim zagrażają naszym interesom - wtrącił Samael. - Eoghan jest jedynie marionetką...

- Marionetką, owszem - przerwał Al'Roeg - ale stoi na czele znacznej armii. Nie można ignorować tego faktu, Natalienie.

- Wiem, że jego żona sprzeciwiła się tej wojnie - mówił dalej Samael. - Król nie rzuci się tak entuzjastycznie w wir walki. Naszymi prawdziwymi wrogami są druidzi oraz ich nowi sprzymierzeńcy. Jeżeli zdołamy przekonać Galację, oczywiście w delikatny sposób, że nie stajemy przeciwko niej, lecz przeciw Sai- -Minie oraz barbarzyńskiemu najeźdźcy, być może wzmocni to pozycję królowej, która nie chce tej wojny...

Al'Roeg w zamyśleniu podrapał się w podbródek. Nigdy nie widział biskupa Nataliena tak zaangażowanego. Odwrócił się w stronę Aeditusa.

- Co Wasza Miłość o tym sądzi?

- Chciałbym zrozumieć motyw królowej. Dlaczego jest przeciwna wojnie? Moglibyśmy to wykorzystać...

- Ona nienawidzi druidów - odparł Samael, nie czekając na pozwolenie zabrania głosu.

Z pewnością w obecności hrabiego Harcourt było to posunięcie dość ryzykowne, ale Samael chciał ich przekonać i podawać argumenty tak szybko, by żaden z nich nie miał zbyt wiele czasu do namysłu. Myślał tylko o jednym. O Manithach. Widział, jaką moc ma Miecz Nuadu. Teraz był pewien, że ten, kto posiadałby wszystkie cztery przedmioty, mógłby podporządkować sobie cały kraj. Nie kierowała nim żadna inna motywacja.

Amina Salia, małżonka króla, jest uzdrowicielką - ciągnął, patrząc kolejno na trzech rozmówców. - Przybyła do Providence jako sierota, a tam zajęli się nią druidzi. Była świetną uczennicą, ale kiedy zrozumiała, że chociaż jej wiedza przewyższała dziesięciokrotnie wiedzę większości uczniów, nigdy nie będzie mogła zostać druidem, i to tylko dlatego, że jest dziewczyną, poczuła nieodpartą nienawiść do kasty druidów.

- Chciała zostać druidem? - zdziwił się hrabia AFRoeg.

- Może nawet Arcydruidem, kto to wie? W każdym razie jest bardzo zła na mieszkańców Sai-Miny, a to może nas do niej zbliżyć.

- To bardzo ciekawe - przyznał AFRoeg, wstając zza biurka.

- Z tego powodu powinniśmy za wszelką cenę nie dopuścić do konfliktu z Galacją, ale za to zaatakować druidów i Tuathannów - powiedział Samael, patrząc na hrabiego, który oddalił się w stronę okna. - Jeśli uda nam się zniszczyć reputację Sai-Miny w oczach Galatyjczyków, wygramy. Kto wie, może sam Eoghan będzie mógł pewnego dnia pomóc nam zanieść chrześcijaństwo do każdego zakątka wyspy...

- Wątpię, by do tego doszło, Natalienie - odpowiedział rozbawiony Al'Roeg - ale sądzę, że możemy przynajmniej zapewnić sobie ich neutralność, skoro jego małżonka do tego stopnia nie znosi druidów.

- Tego jestem pewien - powiedział Samael.

- Nienawidzi ich tak samo jak wy? - zapytał Aeditus.

Złośliwość biskupa nie umknęła Samaelowi. Wiedział, że Aeditus nie darzy go zaufaniem. Nawet hrabia pewnie ma wątpliwości co do jego prawdziwych motywów. Lecz to nie miało żadnego znaczenia. Oni chcieli rozciągnąć religijne wpływy na całą wyspę, on zaś chciał zemścić się na druidach i zdobyć pozostałe trzy Manithy ofiarowane im przez Tuathannów. Ich pragnienia nie były sprzeczne. Liczyła się całość.

- Nie będziemy mogli propagować naszej religii, nie pozbywając się ich - powiedział po prostu.

Al'Roeg pokiwał głową. W głębi duszy śmieszyły go ukryte powody do nienawiści, jaką darzył druidów biskup Natalien. Przynajmniej w tej chwili.

- Mówi się, że Tuathannowie są straszliwymi wojownikami - podjął hrabia Harcourt, by pokazać, że zgadza się z poprzednim stwierdzeniem.

- Najokrutniejszymi, jakich spotkałem - potwierdził Meriand, poruszony wspomnieniem o bitwie pod Akingią.

- Są jednocześnie dzicy i zorganizowani - dorzucił Samael. - Ich metody walki to prawdziwy majstersztyk. Mówi się, że żaden z nich nie odczuwa strachu przed śmiercią, co jest największą siłą wojownika.

- Czy będziemy w stanie ich pokonać? - zaniepokoił się ATRoeg.

- Jeśli będą równie liczni jak nasze wojska, nigdy nam się to nie uda - przyznał Samael. - Ale nie są zbyt liczni. Stracili wielu ludzi w trakcie najazdu,

inni polegali podczas bitwy z Meriandem Morem, a przede wszystkim stracili swego przywódcę. Są teraz szczególnie osłabieni i dlatego nie powinniśmy czekać...

- Myślicie tak samo? - zapytał Al'Roeg hrabiego Ziemi Brunatnej.

- Tak. W każdym razie żyję już tylko dla jednej sprawy: żeby ich zniszczyć. Straciłem zbyt wielu ludzi w Lesie Teniańskim, ale nie straciłem odwagi.

Wprost przeciwnie. Jestem teraz bardziej zdecydowany niż przedtem. Jeśli się zgodzicie, chciałbym zgromadzić na Ziemi Brunatnej ludzi, którzy wraz ze mną będą gotowi bronić naszej ziemi, i przyłączymy się do was, by położyć kres tej inwazji. Co do druidów, chcę, by zapłacili za każdą śmierć, za którą są odpowiedzialni...

- Jak myślicie, ilu ludzi uda się wam zgromadzić pod waszym sztandarem?

- Prawdziwych rycerzy? Trzy, cztery tysiące, może więcej, jeśli będę miał czas... Ale będą też tysiące Brunatyczyków: wieśniaków, rzemieślników, kupców, którzy będą gotowi bić się za ojczyznę.

- Nie - odparł Al'Roeg - mam nadzieję, że to nie będzie potrzebne. Znajdźcie te trzy tysiące wojowników, to niewiele, ale zawsze będzie to jakieś wsparcie dla naszej armii.

- Gniew podwoi nasze siły - zadeklarował Mor.

- Wiara w Chrystusa zwiększy nasze dziesięciokrotnie, drogi kuzynie.

- Pomóżcie mi odzyskać me ziemie, a przyjmę waszą wiarę - obiecał Meriand, składając ukłon hrabiemu Harcourt.

- Z naszą armią i waszymi ludźmi bez trudu wyrwiemy Ziemię Brunatną z rąk Tuathannów, jestem tego pewien. To raczej Sai-Mina mnie niepokoi. Jest tam dziesięciu Wielkich Druidów i z pewnością ponad stu pozostałych... Są to potężni przeciwnicy

- Możemy spróbować zasiać niepokój również w Sai-Minie - zaproponował Samael.

- W jaki sposób? - zdziwił się Al'Roeg.

- Od przybycia tej dziewczyny Alei, mówi się, że Rada napotkała pewne problemy... Okazało się nawet, że jeden z Wielkich Druidów został skazany na banicję. Sai-Mina jest wstrząsana kryzysem, który możemy wykorzystać.

- Natalienie, wydaje się, że jesteście doskonale poinformowani. Sądzę, że możecie nam służyć pomocą w całej tej sprawie. Nie jesteście wojownikiem, a moi generałowie są bardzo kompetentni, nie będę więc was prosić o udział w opracowywaniu strategii, ale wojownicy wygrywają nie tylko na placu boju. Jeżeli Aeditus nie będzie miał nic przeciwko temu, chciałbym, byście zajęli się sekretnymi sprawami podczas całego przebiegu działań wojennych. Dam wam potrzebne środki. Szpiegów, wojowników, zabójców, wszystko, czego będziecie potrzebować, by przyczynić się do zwycięstwa. Ja zajmę się walką z Tuathannami i druidami od frontu, wy będziecie działać na tyłach. Tam, gdzie nikt nie będzie się tego spodziewał.

Samael nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- To będzie dla mnie prawdziwa przyjemność, panie hrabio.

- Nie wątpię, Natalienie, nie wątpię. Co do was, Meriandzie, macie sześć dni, by zgromadzić waszą armię. Sześć i ani dnia dłużej. Wtedy ruszymy do ataku. A teraz zostawcie mnie, muszę się naradzić z moimi generałami. Wszyscy wiecie, co macie robić.

Trzej mężczyźni skinęli głowami i odeszli w milczeniu, zadowoleni. Każdy z nich miał inny powód, by wziąć udział w tej wojnie, ale motywowało ich to samo uczucie: zemsta.

Wóz toczył się ścieżkami i drogami Galacji nieustannie, od świtu do zmierzchu. Wydawało się, że konie nigdy się nie męczą. Kaitlin, Mel i Finghin wymieniali się przy powożeniu, by nie zwalniać tempa jazdy. Przez dwa dni jechali wzdłuż Purpurowej Rzeki, potem, za Chlullyyn, skierowali się na południe i jechali wzdłuż gór Gor-Draaka. Na zachodzie równina zmieniła się teraz w krajobraz pokryty wzgórzami i pagórkami, coraz rzadziej urozmaicony osadami ludzkimi.

Spali i jedli na wozie, zmuszeni do dzielenia niewielkiej przestrzeni, co z każdym dniem coraz bardziej ich zbliżało. Finghin prawie zapomniał, że jest Wielkim Druidem. Miał wrażenie, że stał się wędrowcem. By nie zwracać na siebie uwagi, gdy zbliżyli się do hrabstwa Harcourt, zdjął nawet białą szatę charakterystyczną dla jego kasty, odłożył laskę i zaczął ubierać się jak aktor. Tylko łysa czaszka, którą ukrywał pod żółtym kapeluszem, mogła zdradzić jego przynależność do Rady. Przybrał nawet sposób bycia i mówienia aktorów.

Ta transformacja bawiła Mela i Kaitlin, którzy nazwali go „wędrującym druidem” i nauczyli kilku niewielkich ról w swych ulubionych przedstawieniach. Finghin dawał się wciągać w te gry, co czyniło podróż miłą, ale nie zaprzestał regularnych dyskusji z aktorami na poważniejsze tematy. Lubił konfrontować się z przekonaniem Mela, który z radością obalał kolejne jego argumenty. Wędrowiec zmuszał go do zakwestionowania sensu siedmiu lat nauki, które Finghin spędził w Sai-Minie, do przeanalizowania ich w innym świetle i mimo że aktor miał skłonność do systematycznego wytykania sprzeczności w wypowiedziach druida, Finghin musiał przyznać, że to pomagało mu w pojmowaniu rzeczy, Mojry, życia.

Pod wieczór piątego dnia, gdy od Rii dzieliło ich zaledwie kilka godzin jazdy, doszło do nieoczekiwanego spotkania. Słońce już dawno schowało się za górami, ale noc była jasna i gwiazdzista. Nieśmiałe podmuchy wiatru głaskały płomienie ogniska. Na południu rysowały się cienie sosen, które porastały zbocza gór Gor-Draaka. Powietrze było przesiąknięte żywicznym zapachem igliwia.

Płomienie odbijały się w kolorowych obrazkach namalowanych na wozie, tworząc fantastyczne kształty tańczące na drzwiach, oknach i ogromnych kołach pojazdu.

Siedzieli i w ciszy jedli upieczonego na ogniu ptaka. Mel skończył wygłaszać monolog pod tytułem *Próba* barda O'Hanlona. Była to sztuka pełna smutku, w której bohater opłakiwał zmarnowany czas oraz utraconych przyjaciół. Tekst tak chwycił za serce, że wszyscy troje jeszcze długo potem nie mogli wydobyć słowa. Z pewnością każde z nich myślało o podobnych cierpieniach. Nagle usłyszeli okrzyk dobiegający od strony wozu:

- A to ci dopiero!

Drgnęli i zerwali się na równe nogi, by zobaczyć człowieka, który ich tak zaskoczył. Finghin stał z rozdziawionymi ustami. Wydawało mu się, że poznaje ten głos i nie zapomniał tej twarzy. Galiad! Ojciec Erwana!

- Finghin! - wykrzyknął magistel, który również był zaskoczony.

Zaraz po tym z mroku wyłoniła się druga sylwetka. Finghin zacisnął pięści. Czy to możliwe?

- Erwan! Galiad!

Druid podbiegł do nich i serdecznie ich uściskał. Aktorzy patrzyli na tę scenę całkowicie oszołomieni: bierni widzowie niespodziewanego spotkania.

- Jakież jestem szczęśliwy, że was widzę! - wykrzyknął druid, ściskając Erwana za ramię. - Oto Kaitlin i Mel.

- Miło mi was poznać - powiedziała Kaitlin, wyciągając dłoń do Erwana.

Kiedy już druid przedstawił sobie nawzajem swych przyjaciół, zasiedli wokół ogniska. Finghin nie mógł otrząsnąć się z zaskoczenia.

- Nie byliśmy pewni, czy to ty - wyjaśnił Erwan lekko ironicznym tonem. - Nie jestem przyzwyczajony oglądać cię w takim stroju!

- Wygląda wypisz, wymaluj jak wędrowiec, prawda? - odpowiedział Mel, uśmiechając się.

- Ale jak to możliwe, że znaleźliśmy się w tym samym miejscu? - podjął druid, jeszcze oszołomiony.

- Może wszyscy zmierzamy w tym samym kierunku? - zasugerował Galiad, nie chcąc powiedzieć zbyt wiele.

- Możesz mówić swobodnie, Mel i Kaitlin są moimi przyjaciółmi i zechcieli mi towarzyszyć. Opuściłem Radę, by was odnaleźć. Was i Aleę...

- Opuściłeś Radę? - zdziwił się Galiad. - To mi coś przypomina...

- Wiem o śmierci Felima - powiedział Finghin smutnym głosem. -

Wiadomość ta mnie zaskoczyła i zasmuciła, oczywiście, ale dla ciebie musiało to być jeszcze cięższe.

Galiad pokiwał głową. Potem usiłując się uśmiechnąć, dorzucił:

- Mówią, że wybrałeś sobie magistela...

- I jestem bardzo szczęśliwy, że go odnalazłem, muszę to przyznać! Erwanie, bardzo mi cię brakowało! Wielka to radość widzieć was obojgu.

Zadowolony druid wydał długie westchnienie. Wszyscy dookoła niego się uśmiechali.

- Galiadzie - ciągnął dalej - nie wiem, co zdecydowałeś w kwestii przyszłości, i nie jestem pewien, czy moja propozycja spodoba się Radzie, ale nie dbam o to. Jeżeli chcesz, sądzę, że przyda mi się drugi magistel...

Galiad AFDaman uśmiechnął się. Ujął dłoń młodego druida w swoje dłonie.

- Dziękuję. Twoja propozycja mnie zaszczyca, byłby to wielki honor, ale mam inne plany... Inna osoba bardziej potrzebuje magistela niż ty, zechciej mi wybaczyć tę pychę.

- Alea? - spytał młody druid.

Galiad potwierdził skinieniem głowy.

- Samildanachowie rzadko mieli magisteli, ale sądzę, że ten go potrzebuje, i myślę, że Felim życzyłby sobie, bym tak postąpił.

- Z pewnością - powiedział Finghin. - Zatem podążacie do Rii?

- Nie - odrzekł zaskoczony Galiad. - Tak naprawdę nie wiemy dokładnie, dokąd zmierzamy, nawet jeśli sądzimy, że kierujemy się w stronę Mont-Tombe...

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Galiad spojrział na syna i gestem poprosił go o wyjaśnienie, jakby nie umiał tego zrobić sam.

- Alea wysłała... wilczycę, która nas prowadzi.

- Wilczycę? - zdziwił się Finghin.

- Tak. Białą wilczycę... Nigdy mi nie uwierzysz, ale miałem sny, w których Alea przychodziła porozmawiać ze mną.

Finghin zmarszczył brwi. Czy to możliwe? Przypomniał sobie słowa Kiarana. „Jest wiele osób, które co wieczór spotykają się w świecie Djar. Niektóre o tym wiedzą, inne przychodzą tam nieświadomie”.

- Nie wydaje mi się to aż tak niewyobrażalne, Erwanie.

- W jednym z tych snów powiedziała, że wilczyca przybędzie, by mnie do niej poprowadzić. I ta wilczyca przyszła. Podążamy za nią od tego czasu.

Wydaje się, że naprawdę nas prowadzi. To... To dość nieprawdopodobne!

- A ty, Galiadzie, twierdzisz, że kieruje się w stronę Mont- -Tombe?

- Jestem tego prawie pewien... Zboczyliśmy nieco z drogi, gdy natrafiłem na wasze ślady, ale kierujemy się bardziej na południe niż Ria, tego jestem pewien...

- A jednak ona znajduje się w Rii - zapewnił młody druid. - Została porwana przez ludzi z Harcourt, przez Rycerzy Płomienia.

- Porwana?

- Na to wygląda... Może miała zamiar udać się do Mont- Tombe, zanim wpadła w ich ręce. To by tłumaczyło, dlaczego wilczyca wiedzie was w tamtą stronę, jeśli rzeczywiście potrafi /rozumieć zamiary Alei.

Finghin zamilkł i zastanawiał się przez chwilę. Jego towarzysze milczeli, nie chcąc mu przeszkadzać.

- To osobliwe - podjął. - Kiedy byłem w Sai-Minie, zapytałem Asdema, piekarza, co wie o Alei... Przytoczył mi rozmaite pogłoski, jakie krążyły na jej temat, i jedna z niej wydała mi się wtedy dziwna: ludzie podobno mówią, że ona umie rozmawiać ze zwierzętami!

- Pogłoski bardzo często opierają się na rzeczywistości - wtrąciła Kaitlin. - Nawet w najdziwniejszych plotkach zawsze tkwi ziarno prawdy...

Erwan spojrzał na ojca.

- Co robimy? Myślę, że powinniśmy iść z Finghinem do Rii, ale wilczyca? Jeśli przestaniemy za nią iść, co zrobi?

- Nie mam pojęcia - powiedział magistel. - Trzeba by z nią porozmawiać, tak jak to robi Alea, ale nie umiemy.

- Sama zrozumie - powiedział Mel. - Wilki są bardzo inteligentnymi zwierzętami. Nie martwcie się o nią. Może to ona pójdzie teraz za wami.

Erwan pokiwał głową.

- To, co teraz się liczy - rzekł - to odnalezienie Alei, Mjollna i Faith. Mam tylko nadzieję, że nie przybędziemy za późno!

- Naszym wozem dotrzemy tam dość szybko - odezwała się Kaitlin. - Możemy być w Rii jutro rano.

- Jeśli jutro trzeba będzie uwolnić Aleę - powiedział Galiad, wstając - powinniśmy się położyć. Będziemy potrzebowali sił.

- Naprawdę jestem bardzo rad, że cię widzę! - powtórzył Finghin, ściskając ramię Galiada. - Dziękuję!

- Nie masz mi za co dziękować. To Mojra skrzyżowała nasze ścieżki. A ja jeszcze ci nie pogratulowałem awansu do Rady! Felim powiedział mi, że będziesz wyjątkowym druidem. Miał rację.

-Z tego co wiem, żaden druid nie został członkiem Rady w tak młodym wieku... Jestem dumny, że mój syn ci służy, Finghinie.

- Pomścimy śmierć Felima, Galiadzie, obiecuję ci.

Kaitlin wstała, by przygotować dwa dodatkowe posłania na wozie. Wkrótce udali się na spoczynek.

Finghin długo nie mógł zasnąć. Leżał z szeroko otwartymi oczyma. Uśmiechał się w ciemnościach.

Odnalazł swego magistela. Znowu czuł się jak druid.

*

Alea poprosiła swych towarzyszy, by poczekał na nią w przygotowanych dla nich komnatach. Chciała zobaczyć się z hrabią AFRoegiem sama.

Weszła do ogromnej i przestronnej głównej komnaty w zamku. Dziewczynie od razu przyszła na myśl Sai-Mina. Panował tu taki sam przepych, do którego nigdy się nie przyzwyczaiła. Wystrój wnętrza był mniej wyrafinowany, ale można było dostrzec pewien rodzaj szlachetności, patrząc na szare ściany, proste drewniane meble i szerokie dywany.

Al'Roeg siedział za biurkiem po drugiej stronie komnaty, a po jego prawej ręce stał człowiek odziany w fioletową szatę i mitrę. Alea w lot pojęła, że to biskup Aeditus.

- Wejdźcie, panienko! - zachęcił ją Al'Roeg, wstając, a jego głos rozbrzmiał w całej komnacie. - Wejdźcie, proszę.

Alea nie spodziewała się takiego przyjęcia. Słudzy prześcigali się w życzeniach miłego pobytu oraz w chęci pokazania jej zamku. Komnaty były już przygotowane, czekały w nich kosze z owocami, napoje oraz ciepła kąpiel. Dziewczyna domyślała się, że ta uprzejmość sług jest wynikiem wyraźnych poleceń i znakiem intencji hrabiego. Zatem nie zamierzał jej wyeliminować, raczej przeciągnąć na swoją stronę. Bez wątplenia miał nadzieję, że Alea będzie mogła mu pomóc pokonać druidów. Nie było innego wytłumaczenia.

- Dziękuję - powiedziała, siadając na krześle, które podsunął jej hrabia.

Al'Roeg wrócił na swoje miejsce za biurkiem. Biskup w dalszym ciągu nie odezwał się ani słowem, zadowolony się uprzejmym skinieniem głowy i wciąż stał po prawicy hrabiego.

- Wiele się o was mówi, Aleo... Nawet nie znam waszego nazwiska...

- Ja również - odparła dziewczyna z uśmiechem.

Hrabia wydawał się zakłopotany.

- W takim razie będę się do was zwracał Alea. Zatem...

- Wolałabym, byście nazywali mnie Kailiana.

Al'Roeg zmarszczył brwi. Ta arogancka dziewczyna coraz mniej mu się podobała.

- Jeżeli taka jest wasza wola - ustąpił. - Jak już wspomniałem, wiele się tutaj o was mówi. Ale nikt nie wie dokładnie, kim jesteście ani czego chcecie...

- Jestem Kailiana, Córka Ziemi. W moich żyłach płynie krew Galacji i Sidu.

Biskup drgnął, a ten gest zdradził jego zaskoczenie.

- A to, czego chcę - ciągnęła Alea z uśmiechem - to by ta Ziemia, której jestem córką, odnalazła spokój, jaki jej obiecano, zanim pojawili się ludzie tacy jak wy, którzy ją zdradzili. To raczej dość proste.

Al'Roeg przygryzł wargę. Nie, to nie było takie proste. Ale wiedział, że dziewczyna jest ważna. Choć taka impertynencka, lepiej było mieć ją w swoim obozie, niż pozwolić, by znalazła się po stronie przeciwnika.

- Mogę odczytać wasze myśli, AFRoegu - powiedziała Alea sucho. - Nie wstąpię do waszego obozu. Ani do obozu waszego przeciwnika.

Hrabia otworzył usta ze zdumienia.

- Wasze myśli także mogę odczytać - ciągnęła dziewczyna, zwracając się do biskupa.

- Wiecie zatem, że jestem szczerym człowiekiem - odparł Aeditus, który najwyraźniej na to czekał.

- Przede wszystkim wiem, że bierzecie mnie za nieco szalone dziecko, za zabawkę w rękach waszego Boga... Ale nie jestem niczyją zabawką, Aeditusie, ani druidów, ani waszego Boga, ani nawet Mojry. Jestem Córką Ziemi i tylko w tym charakterze przybywam tu, by was prosić o poniesienie jakichkolwiek kroków przeciwko Tuathannom, druidom czy Galacji.

- Tylko w tym charakterze? - przerwał zniecierpliwiony AFRoeg. - Nie utrzymujecie zatem, że jesteście Samildana-chem?

- Druidzi mnie tak nazywają... Wiecie, co oznacza to słowo?

Hrabia wzruszył ramionami.

- „Ten, kto posiada wszelką moc”. Dokładnym tłumaczeniem byłoby słowo *poly-technia*. Jestem dumnym dzieckiem, ale wiem, że daleko mi do posiadania wszelkiej mocy. Jednego jestem pewna: potrafię wzbudzić strach w ludziach waszego pokroju. I jestem gotowa się tą mocą posłużyć!

- Sądzicie, że budzicie we mnie strach? - zapytał hrabia z uśmiechem.

- Wreszcie gracie ze mną W otwarte karty, Al'Roegu. Chcecie sprawiać wrażenie miłego, uprzejmego, by mnie zmiękczyć, nieprawdaż? Ale proszę, wystarczy, że urażę waszą dumę, a maska opada!

- Nie przybieram żadnej maski, dziewczyno! Jestem po prostu uprzejmym rozmówcą i w przeciwieństwie do większości moich poddanych, chciałbym dać ci szansę. Przywilej wątpliwości. Nie lubię oceniać ludzi, których nie poznałem osobiście!

- A lubicie osądzać innych?

- O co ci chodzi? - wtrącił się Aeditus. - Skoro przybyłaś tu, by prosić nas o przysługę, bo bez wątplenia chodzi o przysługę, nie sądzisz, że powinnaś być bardziej uprzejma w stosunku do hrabiego? Można by pomyśleć, że chcesz osiągnąć jeden cel: rozgniewać go!

- Nie mam zwyczaju posługiwać się sztuczną uprzejmością, l>y osiągnąć cel. Mówię to, co myślę, i przedstawiam rzeczy takimi, jakie są. Oczekuję od ludzi podobnej szczerości. Chcieliście grać sympatycznych, by spróbować mnie ugłaskać, to był duży błąd.

- Chcesz, bym był szczerzy? - rzekł hrabia, który już dawno stracił cierpliwość. - Mam lepsze rzeczy do roboty, niż wdawać się z tobą w potyczki słowne! Oto szczerść! Jesteś tylko małą, wywyższającą się osobą, z którą nie powinienem był rozmawiać... Mam na głowie wojnę, a jeżeli ty nie masz mi nic innego do powiedzenia oprócz tych przechwałek, to uważam naszą rozmowę za zakończoną!

Alea się uśmiechnęła. Osiągnęła to, co zamierzała. Wiedziała teraz, jakiego rodzaju człowieka ma przed sobą, i mogła nawet rozgryźć Aeditusa. Nie potrzebowała już nic więcej. Pokój osiągnie bez nich, teraz była tego pewna.

Patrzyła, jak hrabia wstaje zza biurka i wzywa strażę.

- Zabierzcie tę idiotkę do lochów! I niech dwoje jej przyjaciół również się tam znajdzie! Zamknijcie ich i niech tam czekają, aż zdecyduję o ich losie! Mam dziś wiele innych spraw do załatwienia!

Alea nie zareagowała i pozwoliła, by dwóch rycerzy odprowadziło ją do drzwi.

Kilka minut później wraz z Mjollnem i Faith znajdowała się w obskurnej i ciemnej celi.

*

Odhran przybył do Filiden w środku nocy. Siedział teraz w koszarach, które służyły za główną siedzibę klanu Mahatangor. Zastanawiał się, czy potrafi przekonać Tuathannów, tak jak przekonał króla. Nie czekał długo. Zaledwie skończył pić podany mu napój, gdy do obszernej sali przybyli wszyscy przywódcy klanów i zasiedli na ziemi wokół dużego niskiego stołu.

- Dowiedziałem się o śmierci Sarkana - zaczął Odhran poważnym tonem. - Niech Ziemia przyjmie go na zawsze!

Tuathannowie pokiwali głowami. Druid przemówił tak, jak nakazywał zwyczaj.

- Nasz lud od dawna zna cenę wojny - powiedział człowiek siedzący po prawicy Wielkiego Druida.

- To dlatego nie możemy dłużej jej prowadzić - wtrącił najmłodszy spośród nich.

Odhran podniósł wzrok na tego, który to powiedział. Było to zdanie nieoczekiwane w ustach Tuathanna. Mieszkańcy Sidu byli wojownikami, nie pacyfistami.

- Mój ojciec powinien być ostatnim Tuathannem, który umarł za Eriu.

Zatem to jest syn Sarkana! Odhran zrozumiał, że napotka niespodziewany opór.

- Przybyłem tu, by oznajmić wam, że podejmujemy wojnę przeciwko Harcourt. Król również zaangażował swe wojska. Ale ta wojna dotyczy także was, gdyż prowadzimy ją przeciwko wspólnym wrogom. Potrzebujemy was.

- Nie chcemy więcej wojen! - przerwał mu Tagor gniewnie.

Wielki Druid aż podskoczył.

- Tagor przemawia w swoim imieniu - powiedział inny przywódca klanu. - Jeszcze nie przedyskutowaliśmy tej sprawy. Nie mieliśmy nawet czasu, by wybrać nowego przywódcę plemienia.

- Ja dziedziczę to stanowisko po ojcu, zgodnie z tradycją! - rzekł Tagor.

- Jesteś zbyt młody i sam mówisz, że nie chcesz wojny - odparł Tuathann. - Przywódca wszystkich klanów zawsze był wojnikiem.

- To prawda, ale nie musi już tak być! Nasz lud powinien się zmienić. Wojna jest u bram, czy tego chcecie, czy nie - powiedział Odhran, spoglądając na syna Sarkana. - Rada tak jak wy chce pokoju, ale by go osiągnąć, musimy najpierw wyeliminować tych, ktorzy mu zagrażają. Harcourt.

Niech tak będzie. Wojna skończy się dopiero wówczas, gdy I i III osiągnie ostateczny kształt - rzekł Haishan, przywódca klanu siedzący po prawicy druida. - Zaatakujemy Harcourt u waszego liolui, jeżeli oddacie nam część terytorium w momencie podziału. Północ Ziemi Brunatnej nam nie wystarcza.

- To wydaje mi się sprawiedliwe - odparł Odhran.

- Haishan nie może decydować za wszystkie klany! - zaprotestował Tagor. - Ten przywilej należy do przywódcy całego plemienia. Mój ojciec nie żyje, a zatem ja go zastępuję, przynajmniej tymczasowo...

- Nikt nie chce przywódcy, który odmawia wojny - oświadczył Haishan.

- Kobiety będą chciały. I ludzie w moim wieku, którzy są już zmęczeni waszymi nieustannymi walkami. Starsi też... może.

- Jeśli nam nie pomożecie - przerwał mu Odhran - ryzykujemy przegranie tej wojny. Wówczas Harcourt pomaszeruje prosto na was, a my nie będziemy mogli wam już pomóc.

- Podejmę to ryzyko. Sądzę, że możemy się ułożyć z pięcioma hrabiami z wyspy, nie uciekając się do wojny. Wszyscy już wiedzą, że jesteśmy doskonałymi wojownikami. Po ostatniej bitwie możemy występować z pozycji zwycięzcy. Możemy to wykorzystać, by zawrzeć pokój i dokonać nowego podziału terytorialnego.

- To nam nie wystarczy! - zaprotestował inny przywódca klanu.

- Sądzę - rzekł Odhran - że nie znajdziemy rozwiązania, dopóki nie wybierze nowego przywódcy.

Słowo „wybierzecie” druid wymówił z naciskiem. Wiedział, że jeżeli przywódca zostanie wybrany w drodze głosowania, Tagor nie będzie miał szans. Młody człowiek mógł zostać przywódcą tylko na zasadzie prawa dziedziczenia.

- Sytuacja jest poważna - ciągnął druid. - Konflikty się mnożą. Musicie jak najszybciej dokonać wyboru nowego przywódcy, który będzie mógł pomóc wam wyjść z tej sytuacji obronną ręką.

- Nasza żałoba po Sarkanie jeszcze trwa - rzekł Haishan. - Był wielkim wojownikiem.

- Jednak musimy wybrać nowego przywódcę - powiedział inny Tuathann.

- Nie uznaję tego wyboru - przerwał Tagor, uderzając pięścią w stół. - Jestem synem Sarkana Młodszego, domagam się należnego mi miejsca i jeżeli nie zostanie mi ono oddane, opuszczę klany, a ci, którzy zechcą, pójdą razem ze mną.

- Jedność Sidu nie powinna być naruszona! - uniósł się Haishan. - Musimy wspólnie dokonać wyboru.

- Odmawiam toczenia nowej wojny, a jeżeli to wasz wybór, będę zmuszony odejść.

Przy stole zapanowała długa cisza. Tuathannowie nie byli przyzwyczajeni do konfliktów we własnych szeregach. Lecz wszyscy przywódcy klanów byli zgodni. Sarkan powiedział: „Eriu zostanie okupione krwią. Obejmujemy tę ziemię za cenę życia wielu naszych braci”. Jednak wiedzieli, że Tagor nie był jedyny, który chciał, by wojna się skończyła. Trzeba było za wszelką cenę powstrzymać go przed buntowaniem innych wojowników. Tagor nie powinien obejmować sukcesji po swym ojcu.

- Jutro klan Mahatangor w tajnym głosowaniu wybierze nowego przywódcę - ogłosił Haishan. - A ten, który zostanie wybrany, zostanie też przywódcą klanów.

Pozostali skinęli głowami na znak zgody. Tagor, który zrozumiał, że przegrał tę bitwę, wstał i bez słowa opuścił izbę.

Nazajutrz Malden stanął na czele klanu Mahatangor i tym samym zajął miejsce przywódcy całego plemienia. Obiecał druidowi, że Tuathannowie wezmą udział w wojnie z Harcourt.

Wieczorem Tagor oznajmił, że opuszcza klany, i zachęcił wszystkich, którzy chcieli, by wojna się skończyła, aby dołączyli do niego w górach Gor-Draaka. Jedynie piętnastu Tuathannów wstało, by z nim pójść, ale dla Tagora był to dopiero początek.

Świat Djar jest ciemniejszy niż zwykle. Czy to dlatego, że siedzę zamknięta w celi? Czy też z jego powodu? Kim on jest? Myślę, że obserwuje mnie od dawna. Jego cień przypomina mi cień Maolmórdhy, a jednak to nie on.

Muszę podejść bliżej. Daje mi znak, bym się zbliżyła. Powinnam się bać, ale muszę wiedzieć. Jaki człowiek może rzucać aż taką ciemność na Djar? Może powinnam przywołać Kiarana. Mógłby mi towarzyszyć...

- Witaj, Aleo.

To druid. Wielki Druid, a jednak nigdy nie widziałam go w Radzie.

- Jestem Samael.

Drugi renegat. Rozumiem.

- *Wiesz, że w tej chwili przebywam w pałacu w Rii, tak jak ty? Och, nie mogłabyś mnie poznać, mam tam inną tożsamość... A nasze drogi jeszcze się nie skrzyżowały.*

- *Czego chcecie?*

- *Dowiedzieć się, czy chcesz, bym otworzył drzwi do celi, abyśmy mogli porozmawiać.*

- *Sama mogę otworzyć te drzwi, a porozmawiać możemy równie dobrze tutaj.*

- *Dobrze. Jesteś nieufna. Masz rację. Czy znasz moją historię?*

- *Nie.*

- *Jest prawie taka jak twoja czy Felima. Zostałem wygnany przez Radę Druidów...*

- *A zatem nasze historie nie mają z sobą nic wspólnego. Nie zostałam wygnana i nigdy nie byłam członkiem Rady!*

- *Dobrze wiesz, co chcę powiedzieć, Aleo! Nie bawmy się w słowne gierki! Powiedzmy, że wszyscy troje zostaliśmy odrzuceni przez Radę.*

- *On nie został skazany na banicję. Odszedł z własnej nieprzymuszonej woli, jeśli mogę tak powiedzieć. Podczas gdy mnie i Felima odrzucono z powodów filozoficznych i politycznych jednocześnie.*

- *Co zrobiliście?*

- *Między innymi zanegowałem istnienie Mojry.*

- *Rozumiem... To rzeczywiście musiało im się nie spodobać!*

- *A jednak, Aleo, wiesz równie dobrze jak ja, że Mojra nie istnieje, że to czysty wymysł druidów, prawda?*

- *Tego nie powiedziałam.*

- *Ach! Sądziłem, że jesteś bardziej zaawansowana na ścieżkach Wiedzy. Ale rozumiem, że masz wątpliwości...*

- *Kto ich nie ma!*

- *Ja. Nie mam już żadnych wątpliwości. Mojra jest kłamstwem, Aleo. I ty jesteś tego dowodem. Jednym z dowodów. Stąd wynika zakłopotanie Rady.*

Wiesz, o co chodzi Radzie, Aleo?

- *Nie.*

- *O wyeliminowanie dowodów! Ty i ja przeszkadzamy Radzie. Ja, ponieważ wiem, że Mojra nie istnieje, a ty, ponieważ jesteś dziewczyną i ponieważ posiadasz tyle samo mocy co ci głupcy, jeśli nie więcej!*

- *Do czego zmierzacie?*

- Chcę, by prawda została ogłoszona!
- Jaka prawda?
- Mojra jest jedynie wymysłem druidów! To oczywiste!
- Czy nie istniała w legendach Gaelii o wiele wcześniej, niż druidzi pojawili się na wyspie?
- Tak... Naturalnie! Było to prymitywne wierzenie, które zostało przejęte przez druidów, by nie zrażać sobie mieszkańców Gaelii. Przyjęli je jako swoje własne, a dziś powołują się na nie. Jestem przekonany, że niektórzy z nich wierzą w to bardzo mocno! Ale pierwsi druidzi dobrze wiedzieli, że jest to jedynie wymysł, by pozbawić lud wolnej woli...
- A zatem?
- Wydaje mi się, że było was więcej w historii Sai-Miny! Był też Maolmórdha, nieprawdaż?
- A zatem trzeba na wieki położyć kres tej mistyfikacji.
- W jaki sposób?
- Zabijając wszystkich druidów i niszcząc Sai-Minę!
- Chcecie zabić wszystkich druidów?
- Z twoją pomocą, Aleo, to już nie będzie marzenie. A ja mam w zanadru coś, o czym oni nie wiedzą.
- Samaelu, nienawiść zaślepią wasz umysł.
- Wcale nie! Wprost przeciwnie, widzę teraz o wiele jaśniej niż przedtem! A bez druidów ty i ja będziemy mogli pokierować tym krajem, tak jak będziemy chcieli!
- Nie mam zamiaru zabijać druidów ani chęci, by rządzić tym krajem, ani chęci, by przyłączyć się do was, Samaelu. Straciliście rozum. Wnioski, jakie wyciągnęliście ze swych religijnych dedukcji, nie są dobre. Niewiara w Mojre nie powinna was popychać do zabijania wszystkich, którzy głoszą jej istnienie!
- Jeżeli mają całą władzę, to tak!
- Powinniście przekonać ludzi do tego, w co wierzycie, za pomocą argumentów słownych, a nie siłowych!
- Zamilkł. Jakby był rozczarowany. Czy naprawdę sądził, że się do niego przyłączę? Nie rozumiem. Znowu mój obraz mi umyka. Ludzie wyobrażają sobie mnie taką, jakiej by sobie życzyli, a nie taką, jaka jestem. Jeśli chcę pewnego dnia być zrozumiana, być przydatna, powinnam wysłać jasny przekaz. Muszę się objawić.
- Samaelu, nie interesują mnie wasze zabiegi. I sądzę, że powinniście jeszcze się nad tym zastanowić. Coś w głębi duszy mówi mi, że jesteście racjonalnym człowiekiem. Z pewnością nie jesteście takim potworem, jakim przedstawia was Rada. Ale mylicie się, niestety.
- Mylę się? A ty, ty masz rację, tak? Już to gdzieś słyszałem! Nie jesteś lepsza niż druidzi! Tym gorzej dla ciebie! Mogłem ci pomóc wydostać się z tej dziury, wyjść z tego jałowego życia, byś w końcu służyła światu, byś działała, ale ty nie chcesz, zatem będziesz musiała się ukorzyć, tak jak reszta świata. Do zobaczenia, Aleo. Następnym razem, gdy się zobaczymy, jedno z nas będzie musiało umrzeć.
- Poczekajcie!
- Zatrzymuje się. Odwraca.
- Nie wierzycie w Mojre, Samaelu, ani w Boga chrześcijan... A jednak używacie Saimana.

- Nie ma w tym sprzeczności.
 - Może nie, ale w jaki sposób wytłumaczycie tę moc?
 - Selekcja, Aleo, selekcja. Sądzę, że na świecie istnieją różne gatunki roślin, różne gatunki zwierząt, różne rodzaje ludzi. Niektórzy są silniejsi niż inni. Ja, tak jak ty, należę do gatunku nadludzi. Nie ma w tym nic boskiego... Czy wierzysz, że to Mojra dała ci twą siłę, Aleo?
 - Nie wiem, Samaelu, nie wiem.
 - Kiedy już się dowiesz, mam nadzieję, że jeszcze nie będzie za późno i że się do mnie przyłączysz...
 Zniknął. Nie będę za nim szła. Nie czuję się dobrze w jego towarzystwie. To jest mieszanina szaleństwa i niejasnych prawd. Czy będzie moim następnym wrogiem? W Drzewie Życia widziałam go razem z Maolmórdhą, zjednoczonych przeciwko mnie. Jednak nie jest taki jak Maolmórdha. On mógłby zostać ocalony...

*

Ernan bezwiednie kontynuował tradycję poprzedniego Arcydruida, Ailina. Każdego wieczoru od początku kryzysu dyskutował przez wiele godzin z archiwistą. I tak jak Ailin, Ernan często wygłaszał długie monologi. Chciał, by ktoś go wysłuchał, gdy zagłębiał się w rozmyślaniach. Potrzebował szczerzej rozmowy z archiwistą, by skonfrontować swoje myśli z rzeczywistością. Shehan patrzył na niego cierpliwie i wtrącał się z rzadka, by nie przerywać rozważań Arcydruida.

- Tym razem naprawdę nie potrafię ogarnąć przyszłości, mój bracie - lamentował Ernan, patrząc na swe odbicie w owalnym lustrze. - Śmierć Eoghana wstrząsnęła moimi planami. Moje myśli się płaczą. Ona go zabiła? Zabiła go, by się nam przeciwstawić? Czy to możliwe, by ta kobieta nienawidziła nas do tego stopnia, że zabiła męża, by nas urazić, Shehanie? Nie rozumiem. I co zamierza teraz zrobić? Tak, źle pokierowaliśmy tymi sprawami. Od zamierzonych czasów Rada dbała o to, by na tronie zasiadał człowiek jej posłuszny. Eoghan był nam wierny. A my nie zauważyliśmy nadciągającej katastrofy. Powinniśmy byli przeciwstawić się temu małżeństwu. Jak Ailin mógł dopuścić do czegoś takiego?

- Może zrobił to nieumyślnie... - powiedział Shehan.

- Nieumyślnie? Ale to niesie z sobą ryzyko zguby Rady! - wykrzyknął Arcydruid.

- Ponieważ po raz pierwszy jesteśmy sami, bez Galacji? Czy rzeczywiście potrzebujemy króla lub królowej? Czy są dziś najlepszymi sprzymierzeńcami, jakich można sobie życzyć?

Ernan odwrócił się i spojrzał na archiwistę.

- Myślicie o Tuathannach, Shehanie? Sądzicie, że Ailin miał nadzieję, iż Tuathannowie przybędą zająć miejsce Galacji w równowadze sił? To niegłupie. Może macie rację. Są o wiele bliżej Mojry niż jakikolwiek mieszkańiec tej wyspy. A skoro potrzebujemy armii, to armia Tuathannów może być lepsza niż galatyjska, rzeczywiście. Może być, gdyż teraz nie jest zbyt liczna. A w jaki sposób dać jej szansę rozwoju? Na Ziemi Brunatnej są łatwym celem Harcourt oraz Merianda Mora, który nie chce odstąpić swych ziem. Tam nigdy nie

zaznają wystarczającego spokoju, by wzmocnić siły. Wojna przeciwko Harcourt naprawdę jest koniecznością. Musimy pozbyć się chrześcijan i będziemy mogli osadzić Tuathannów w Rii. Ale Harcourt ma teraz Miecz Nuadu...

- A Amina oczywiście przeszkodzi armii galatyjskiej w przyjściu nam z pomocą - dorzucił Shehan.

- Oczywiście. Równowaga nie jest już ta sama. Bez Galacji nasze szanse na zmiżdżenie Harcourt są znacznie mniejsze. Odhran przekazał mi dobre wiadomości o Tuathannach. Wybrali nowego przywódcę, Maldena, który zgodził się stanąć do walki u naszego boku.

- Ale słyszałem również, że syn Sarkana spowodował rozłam w plemienu...

- To za dużo powiedziane. Zaledwie piętnastu ludzi. Ale macie rację. Trzeba nad tym czuwać. Nie możemy dopuścić, by ten rozłam się powiększał. Musimy zdusić to w zarodku, zanim nie stanie się przeszkodą. Nie możemy sobie pozwolić na stratę również Tuathannów. A jeżeli pewnego dnia będziemy chcieli odzyskać Galację, trzeba zrobić coś z tą przeklętą Aminą!

- Możemy udowodnić, że to ona zabiła męża, i po prostu ją osadzić.

- To chyba będziemy mogli zrobić. Wydaje mi się, że lud Galacji nie darzy jej taką miłością, jaką darzył króla. Rzeczywiście, będziemy musieli ich przekonać, że to ona za tym stoi. Ale na to trzeba czasu, a tego nam brakuje. W każdym razie nie możemy liczyć na Galację w tej wojnie.

- Upewnijmy się przynajmniej, że Amina nie będzie próbowała w tym czasie przedsięwziąć czegoś przeciw nam - poradził Shehan.

Arcydruid pokiwał głową. Wojna miała okazać się bardziej skomplikowana, niż to przewidywał, gdyż pojawiało się wiele nowych frontów. Alea, bunt Tagora, Amina, Ziemia Brunatna i Harcourt. Nie wspominając o gorgunach, które, jak wieść niosła, ciągnęły całą armię w stronę północy.

- Nie mogę już dłużej czekać, Shehanie! Musimy uderzyć, i to natychmiast! Powiedzcie braciom, że wyruszamy na Harcourt jutro!

- Tak szybko? Nie będziemy mieli dość czasu na przygotowanie się. To szaleństwo! - zaprotestował archiwista, wstając.

- Nie ma innego wyjścia. Róbcie, co kazałem.

- Kto ma wyruszyć?

- Wszyscy magistele, sześciu Wielkich Druidów oraz dwie trzecie pozostałych druidów.

- Jak wybrać sześciu członków Rady, którzy mają wyruszyć?

- Wy i ja zostajemy tutaj. Finghin przepadł bez wieści. Kiaran z pewnością nie jest zdolny do bitwy. Chciałbym, by Aengus również tu pozostał. Zatem wyruszyć muszą Otelian, Kalan, Lorcan, Tiernan, Henon i oczywiście Odhran, który dołączy do nich w połowie drogi. Potem pokieruje działaniami wojennymi.

Archiwista przytaknął w milczeniu. Wstał i wyszedł z gabinetu Arcydruida z poważną miną. Rada już nie będzie mogła się wycofać.

I NIECH NASTANĄ CIEMNOŚCI

- Wasza Wysokość, musimy jak najszybciej przygotować uroczystości pogrzebowe króla i ogłosić żałobę w całym kraju...

Królowa siedziała za biurkiem zmarłego władcy i nie ruszyła się stamtąd od rana. Jeden po drugim stawali przed nią posłańcy, przekazując kondolencje od barona Bizanii, hrabiego Sarre, nawet z Sai-Miny. Szlachcice przybywali osobiście, by ujrzeć ciało Eoghana, spoczywające na ogromnym udekorowanym łożu.

Amina ustanowiła swoją władzę następnego dnia po śmierci męża, wydając rozkazy w całym pałacu. Z przerażającym chłodem zajęła miejsce Eoghana i dała do zrozumienia całemu dworowi, że nie ma zamiaru pozostawać bierna.

Bely, jeden z doradców króla, był jedynym, z którym Aminie udało się dojść do porozumienia. Chciał pomóc królowej w zaradzeniu kryzysowi, który musiał nadejść po tym dramatycznym wydarzeniu. Okazał troskę i zainteresowanie bynajmniej nie dlatego, że wierzył w niewinność swej suwerenki - pragnął władzy i dlatego schlebiał władczyni i obiecał jej posłuszeństwo. Miał nadzieję, że królowa z czasem powierzy mu coraz więcej zadań. Tylko to go interesowało.

- Powierzam wam tę sprawę, Bely. Ale chcę, by najpierw lud Gaelii dowiedział się, że król został zamordowany przez druidów, gdyż nie pozwolił, by nim dłużej manipulowali. Chcę, by Gaelia, a przede wszystkim Galacja, wsparła mnie w oporze przeciwko Sai-Minie.

- Chcecie zaatakować druidów? - zapytał Bely, zaniepokojony

- Niezupełnie. Chciałabym zreformować ich zakon. Mam konkretne plany dotyczące przyszłości tej wyspy, mój drogi, i mam zamiar je zrealizować. Po raz pierwszy Gaelia będzie miała monarchę zdolnego sprzeciwić się druidom. Ujarczmię ich i zmuszę, by osiedli w Providence. A król Gaelii z urzędu zostanie mianowany Arcydruidem. To jest moją ambicją, a ja zazwyczaj dostaję to, czego chcę.

- Chcecie kierować Radą? - wykrztusił Bely, coraz bardziej zdumiony.

- Ujarczmię ją, a potem stanąć na jej czele, tak.

- Druidzi nigdy wam na to nie pozwolą...

- Kiedy już będą osłabieni, nie będą mieli innego wyboru - ucięła Amina, wstając.

Podeszła wolno do Bely ego, patrząc mu prosto w oczy, i ujęła w dłoń jego twarz, jakby nie chciała, by się poruszył.

- Posłuchaj mnie dobrze, Bely. Galacja nie weźmie udziału w wojnie przeciwko Harcourt. Druidzi połamią sobie na niej zęby. A ja zasieję niezgodę w łonie Rady i doprowadzę do upadku autorytetu Ernana. Potem narzucę im swą wolę, a kiedy wreszcie się przede mną ugną, zjednoczę Gaelię pod sztandarem Galacji. Zmiażdżę Harcourt, Ziemię Brunatną oraz Tuathannów. W stosownym czasie. Niech zaczną się bić między sobą, to ułatwi mi sprawę!

Puściła głowę doradcy i uśmiechnęła się szeroko.

- Będę cię potrzebowała, by to osiągnąć, a wiem, że twoja ambicja nie zna granic, mój mały Bely...

- Wasz plan jest bardzo dopracowany...

- Potrzebuję człowieka takiego jak ty, by wcielić ów plan w życie. Przede wszystkim spraw, by cały lud galatyjski był przekonany o winie druidów i ich udziale w śmierci króla. To najpilniejsza kwestia. Jednocześnie chcę, byś pomógł mi skompletować moją świtę. Chcę wiedzieć, na których szlachciców mogę liczyć, którzy złorzeczą na mnie za moimi plecami, a którzy będą mogli pomóc mi przywrócić Galacji świetność, jakiej nigdy jeszcze nie miała.

Bely skinął głową.

- Uczynię cię pierwszym na dworze, mój dzielny Bely, jeżeli mnie nie rozczarujesz.

- Jak powinniśmy się zachowywać w stosunku do druidów?

- Zabroń im wjazdu na teren Galacji, dopóki nie ukorzą się przede mną. I znajdź mi człowieka zdolnego zasiał niepokój w szeregach Rady.

- A co z armią? Wojsko było wierne Eoghanowi...

- Powiedz wojskowym, że zwiększę im żołd o połowę, to powinno wystarczyć, by zaskarbić sobie ich sympatię. Żołnierze mają w głowach tylko dwie rzeczy: kobiety i pieniądze. Zaproś na pogrzeb barona Bizanii, hrabiego Sarre, nawet Mora, mojego nieszczęsnego szwagra, oraz tego oświeconego Al'Roega, ale jeżeli druidzi zapytają, dlaczego nie zostali zaproszeni, powtarzaj im to samo: nie, dopóki nie ukorzą się przede mną.

- Dobrze, Wasza Wysokość.

Bely skłonił się i opuścił gabinet króla, który stał się odtąd gabinetem królowej.

*

Wjechali do Rii po zmroku. Już nie tylko Finghin był przebrany za aktora - Galiad i Erwan również przywdziali ubrania wędrowców, a ich konie biegły zaprzężone do wozu. Sprawiali wrażenie dużej rodziny aktorskiej. Galiad miał tylko nadzieję, że Mel, który wyglądał na takiego, co lubi się bawić, nie będzie od niego

wymagał udziału w jakiejś sztuce, by sprawdzić jego nową tożsamość...

Światła w oknach na piętrach gasły jedno po drugim. Jedynie gospody pozostawały oświetlone, tak jak koszary oraz zamek w centrum miasta, w dolinie rzeki Paderne.

Zatrzymali się przed gwarną oberżą, zostawili konie w stajni, a wóz obok boksów. W oberży panował tłok, co było im na rękę: łatwiej mogli pozostać niezauważeni. Musieli trochę poczekać, aż jakiś stół się zwolni, potem mogli wreszcie usiąść i zamówić posiłek. Już od dawna nie jedli normalnej kolacji i na ich twarzach malowało się pragnienie, by dobrze zjeść. Zamówili jagnię w sosie śliwkowym, z zielonym groszkiem, pieczarkami i gotowanymi ziemniakami.

Jedząc, usiłowali wychwycić z dolatującego gwaru strzępki informacji, które mogłyby pomóc w poszukiwaniach. Imię Alei nie padło, ale usłyszeli nowinę, która ich ogromnie zaskoczyła: Wielki Król Gaelii nie żył, został otruty.

Goście komentowali to wydarzenie z pewną obojętnością, a nawet lekką ironią. Galacja była daleko i żaden mieszkaniec Harcourt już od dawna nie czuł

się związany z królem. Tutaj słuchało się hrabiego i Kościoła, to wystarczało. Rana odniesiona w wojnie o Harcourt jeszcze się nie zabiła, a obecny kryzys ożywiały złe wspomnienia.

Towarzysze czuli się coraz bardziej nieswojo, gdy nagle do oberży wszedł bard. Był już stary, chudy, nosił niebieską szatę charakterystyczną dla swej kasty, a pod pachą miał lirę. Kiedy spostrzegł wędrowców, zbliżył się do ich stołu. Bardowie raczej rzadko zjawiali się w Harcourt, bo nie byli tu zbyt mile widziani, a ten z pewnością pomyślał, że zostanie lepiej przyjęty przez aktorów niż przez inne osoby, które piły i jadły w tej oberży. Wędrowcy i bardowie często dobrze się znali, gdyż wiedli dość podobny tryb życia.

- Witajcie, dzieci, jestem Akhano, bard - powiedział grzecznie. - Mógłbym się do was dołączyć?

- Oczywiście - odpowiedział Mel, robiąc mu miejsce na ławie. - Jesteś mile widziany.

Bard usiadł, zamówił zupę i wydał długie westchnienie ulgi.

- Cóż za droga! Jestem naprawdę zadowolony, że tu dotarłem! Ale widzę, że wy również przebyliście daleką drogę. Wasze ubrania także są pokryte kurzem.

- Rzeczywiście - powiedziała Kaitlin, otrzepując rękawy.

Finghin, Erwan i Galiad nie ośmielili się odezwać z obawy przed zdemaskowaniem. Bard bez trudu mógłby się zorientować, że nie są prawdziwymi wędrowcami, gdyby tylko otworzyli usta. Zadowolili się więc skinieniem głową i nieśmiałoymi uśmiechami.

- Nieczęsto spotyka się tu wędrowców - zauważył bard, któremu właśnie podano zupę.

- Tak jak i bardów - odbił piłeczkę Mel.

- To prawda. Powiedzmy, że Harcourt nie sprzyja ludziom należącym do mej kasty - wyjaśnił, zniżając głos. - Nie jesteśmy tak źle widziani jak druidzi, ale mieszkańcy wiedzą, że należymy do tej samej rodziny...

- Zatem dlaczego tu przyjechałeś?

- Urodziłem się tutaj. Wtedy sytuacja była całkiem inna niż teraz. Nie słyszeliśmy wówczas o chrześcijanach, a Harcourt było hrabstwem jak inne. Mam tu wielu przyjaciół i mimo wszystko przybywam tu co rok, by ich odwiedzić. Ale z każdym rokiem coraz trudniej przychodzi im zaakceptowanie tego, kim jestem. Mógłbym się co prawda przebrać... - urwał i spojrzał na Finghina. - To nieźle działa u niektórych... - dorzucił z uśmiechem.

Druid zmarszczył brwi. Został zdemaskowany o wiele szybciej, niż się spodziewał.

- Nie obawiajcie się - uspokoił go bard. - Ja czuję się równie nieswojo co wy w tym kraju, mimo że tu się urodziłem.

Finghin zacisnął pięści pod stołem. Miał nadzieję, że bard ich nie zdradzi. Przecież musiał pobierać nauki u druidów, by stać się bardem, i z pewnością można mu było zaufać.

- Czy sieć bardów rozciąga się również tutaj? - zapytał Galiad, wiedząc już, że zbyteczne jest ukrywanie swej tożsamości przed bardem.

- Mniej więcej - odparł Akhano, przetykając łyżką zupy

Galiad spojrzał na Finghina. Zastanawiał się, czy bezpiecznie jest wypytywać barda. Wokoło było mnóstwo ludzi, a oni nie chcieli zbyt rzucić

się w oczy. Przybycie Akhano już zwróciło uwagę niektórych gości i musieli zachować ostrożność.

Finghin zrozumiał, czego od niego oczekuje Galiad. Trzeba było porozmawiać z bardem w jakiś sekretny, zaszyfrowany sposób. Magistel wiedział, że druid może to zrobić. Bez wątpienia widział, jak robi to Felim.

Młody druid dyskretnie skinął głową i zwrócił się do barda.

- To musi być trudne, znaleźć przyjaciół w tak wielkim mieście - powiedział.

Bard uniósł brew. Zobaczył ogoloną głowę Finghina i w lot pojął grę.

- Nie wtedy, gdy ma się pewność, że tu są - odparł. - Urodziłem się tutaj, znam miasto jak własną kieszeń i doskonale wiem, gdzie są moi przyjaciele. Którękolwiek szukam, zawsze znajduję.

- Macie zatem szczęście - powiedział Finghin. - Ja mam z tym wiele trudności. Chcę powiedzieć, że my, wędrowcy, wiele podróżujemy.

Wyobraźcie sobie, że nie widziałem mojej siostry od lat...

- Waszej siostry, mówicie? - zdziwił się bard.

- Tak, mojej siostry. Mam tylko jedną. I bardzo, bardzo mi na niej zależy.

- Rozumiem. I szukacie jej tutaj?

- Nie jestem całkowicie pewien, czy tu jest, ale istnieje taka możliwość.

- Mógłbym może się tego dla was dowiedzieć...

- Byłbym zobowiązany - rzekł Finghin, zadowolony, że bard zrozumiał, co mu chciał powiedzieć.

- Jak tylko czegoś się dowiem, zaraz wam przekażę. A teraz z chęcią się czegoś napiję.

Rozmawiali tak z bardem przez cały wieczór i stwierdzili, że jest sympatyczny i niezwykły. Potem zdecydowali się wreszcie udać na spoczynek. Poprosili o dwa pokoje i poszli na piętro. Mel i Kaitlin zajęli jeden, Galiad, Erwan i Finghin drugi.

- Dobranoc! - szepnęła Kaitlin do towarzyszy, ale patrzyła na Finghina.

Rozdzielili się i weszli do swoich pokoi.

- Sądysz, że naprawdę zrozumiał twoją wiadomość? - zapytał Erwan Finghina, który stał przy oknie.

- Przed chwilą wyszedł z oberży, a przecież widziałem, jak zamawiał pokój. Myślę, że poszedł zasięgnąć języka.

- Mam nadzieję, że nie wyszedł, by nas zadenuncjować - szepnął Galiad poważnym tonem.

- To bard, Galiadzie. Jest po naszej stronie!

- Bard z Harcourt...

- Owszem, ale zawsze bard. Gdyby sprzyjał hrabstwu Harcourt, już dawno zdjąłby swoją niebieską szatę. Przyjście tutaj w tym stroju jest aktem brawury, który wskazuje na wierność Mojrze, nie sądzisz?

- Mam taką nadzieję - odpowiedział Galiad, wyciągając się na łóżku i splatając dłonie na karku.

Finghin w dalszym ciągu wyglądał na ulicę. Księżyc rzucał zakrzywione cienie na jego twarz. Erwan patrzył na przyjaciela. Nie widzieli się niespełna miesiąc, a jemu się wydawało, że upłynęła cała wieczność.

- Zmieniłeś się, Finghinie - powiedział magistel, uśmiechając się. - Jesteś taki... wolny. Nie wiem, jak to powiedzieć...

Finghin się odwrócił.

- Podczas waszej nieobecności wydarzyło się tyle rzeczy, które zmusiły mnie do zadania sobie pytań, jakich nigdy się nie spodziewałem. Moja wiara w Sai-

Minę została wystawiona na ciężką próbę. Opuściłem Radę, kierując się wściekłością i frustracją.

Z tych samych powodów co Felim? - zapytał Galiad.

- Mniej więcej, tak przypuszczam. Nie za bardzo pojmuję, czego naprawdę chce Ernan. Zastanawiam się, czy on sam to wie. Mam wrażenie, że chciał posłać mnie wam na pomoc, na pomoc Alei, a jednocześnie sprawiał wrażenie, jakby chciał się jej pozbyć.

- Nie sądzisz, że po prostu się boi? - zasugerował Galiad.

- Nie jest to uczucie, którego bym się spodziewał jako motoru działań Arcydruida.

- Ja również - odparł Galiad. - Ale to raczej normalne: odczuwać strach przed Aleą. Nawet Felim był bardzo zaniepokojony.

- To mu nie przeszkadzało ją chronić...

- Rzeczywiście - przyznał Galiad - w tym właśnie jesteście do siebie bardzo podobni. Sądzę, że Gaelia powinna się zmienić. Wypracowana równowaga stała się zgubna, naprawdę potrzeba zmiany. A zmianę tę przyniesie Alea. Jak każda zmiana, również i ta będzie bolesna. Pozostaje pytanie, jaki świat wyłoni się po tym przewrocie. Czy Alei uda się zmienić wyspę na jej modłę, a jeżeli tak, to jakie życie nam to przyniesie? Oto pytanie, które napawa Radę przerażeniem. Przerażające pytanie dla zakonu, który sprawuje kontrolę nad wyspą od tylu lat i który nigdy nie dopuszczał do siebie myśli, że kiedykolwiek może być inaczej.

- Jednakże Rada powinna zdawać sobie sprawę, że to, co się liczy, to nie przetrwanie zakonu, lecz całej wyspy! - wykrzyknął Finghin, jakby chciał, by usłyszano go w Sai-Minie.

- Ty to rozumiesz, tak jak Felim. Być może Ernan również to pojął, ale jego stanowisko jako Arcydruida nie pozwala mu tego zaakceptować. Jest tam po to, by kierować Radą.

Finghin westchnął.

- Felim z pewnością wiedziałby, co należy zrobić - powiedział z rozpaczą w głosie.

Erwan wstał i podszedł do młodego druida.

- Ale ty również bardzo dobrze sobie radzisz, jak mi się wydaje. I trzeba było nie lada odwagi, by powziąć decyzję o opuszczeniu Rady!

Finghin odwrócił się i posłał przyjacielowi uśmiech pełen wdzięczności.

- A ty? Okazałeś męstwo godne naśladowania...

- Tak. Ale to nie wystarczyło. Mój ojciec i ja nie wiemy dokładnie, co się stało. Felim zmarł, a my obydwaj znaleźliśmy się w jakimś śnie na jawie...

- Świat Djar - wyszeptał Finghin.

- Alea nas do niego wprowadziła.

- Musi umieć nad nim panować, tak jak Kiaran. Pewnego dnia podczas obrad Rady powiedział nam, że widzi ją każdego wieczoru w świecie Djar.

- Kazała nam uciekać, a potem walczyła z księciem Herilimów. Nie wiedzieliśmy, jak się zakończył ten pojedynek. Potem znów ją ujrzałem w tym dziwnym świecie i wtedy zrozumiałem, że pokonała wroga.

- A teraz wydaje się, że chce dotrzeć do Mont-Tombe, jak mówicie. Zastanawiam się, co chce tam robić...

- Teraz najważniejsze jest jej odnalezienie - przerwał mu Galiad. - Jeżeli rzeczywiście została pojmana przez hrabiego Al'Roega, jej odbicie będzie bardzo trudne.

Wszyscy trzej umilkli na długą chwilę. Teraz Finghin położył się na łóżku, ale żaden nie zamknął oczu. Była to jedna z tych nocy, podczas których czuje się, jak życie gna naprzód, a bijące mocno serce odgania sen.

- A ty - podjął w końcu Erwan. - Mam wrażenie, że...

- Że co? - zapytał Finghin, unosząc się na łokciu.

Erwan parsknął śmiechem. Druid się zniecierpliwił.

- O co ci chodzi?

- Powiedzmy, że jesteś bardzo szarmancki w stosunku do tej Kaitlin...

- I kto to mówi? - wykrzyknął oburzony Finghin. - Ten, który opuścił Sai-Minę dla pięknych oczu pewnej brunetki!

Erwan wybuchnął śmiechem, a wkrótce przyjaciel mu zawtórował. Galiad westchnął.

- Po raz pierwszy widzę druida i magistela tak godnych politowania! - powiedział ironicznie, przykrywając głowę poduszką i sprawiając wrażenie, jakby nie miał zamiaru ich słuchać.

Rozległo się pukanie. Galiad jednym skokiem był na nogach. Ujął miecz i ostrożnie uchylił drzwi.

W progu stał Akhano.

- Myślę, że wiem, gdzie przebywa wasza siostra - oznajmił, wchodząc do pokoju.

Galiad odsunął się, by zrobić mu miejsce, rzucił okiem na korytarz i zamknął za sobą drzwi.

- Alea została uwięziona przez hrabiego AFRoega - powiedział Akhano. - A wraz z nią jej towarzysze: kobieta bard oraz krasnolud dudziarz.

- A zatem to prawda - westchnął Finghin.

- Są zamknięci w lochach zamku w Rii. Nie wiem, na jak długo, ale hrabia nie ma czasu, by się w tej chwili nimi zajmować. Wojna z druidami i Tuathannami została wypowiedziana. Wojsko jest w trakcie przygotowań.

Galiad spojrzał na Finghina, potem na syna, a następnie podszedł do barda.

- Dziękuję, Akhano. Dziękuję. Czy sądzicie, że mamy jakieś szanse na jej uwolnienie?

Bard wytrzeszczył oczy.

- Uwolnić ją z zamku w Rii? - wykrzyknął. - Ależ to jest forteca pełna wojowników, i to nie byle jakich. Mniemam, że znacie reputację Rycerzy Płomienia...

- Ale jednak - nie rezygnował magistel - jeśli będziemy chcieli ją uwolnić, jak waszym zdaniem powinniśmy działać? Dobrze znacie miasto.

- Naprawdę nie sądzę, by to było możliwe, moi przyjaciele. Przykro mi... Chyba że rycerze będą tak zajęci przygotowaniami do wojny, że zaniedbają pilnowanie zamku. Być może mielibyście więcej szans tego wieczoru niż jakiegokolwiek innego, ale to i tak olbrzymie ryzyko!

Galiad skinął głową. Patrzył bardowi prosto w oczy, ale jego spojrzenie wydawało się nieobecne, jakby w myśli już układał plan.

- Istnieje wiele wejść do zamku, prawda? - podjął magistel.

- Oczywiście, ale nie znam wszystkich!

- Akhano, gdybyście byli na naszym miejscu, jak byście to rozegrali?

- Nigdy nie zebrałbym się na tyle odwagi, by zakraść się do zamku hrabiego Al'Roega!

Galiad westchnął. Finghin i Erwan stanęli za nim. Teraz już wiedzieli, że Alea tam była, zamknięta niedaleko od oberży, i chcieli działać bez zwłoki.

- Poczekajcie! - powiedział nagle Akhano. - Nie mogę wam pomóc, ale znam kogoś, kto mógłby się wam przydać...

- Kogo? - zapytał Galiad.

- Jeden z moich przyjaciół jest mistrzem murarskim w tym mieście. Wiele razy kierował naprawami zamku i z pewnością zna go bardzo dobrze. Kłopot polega na tym, że nie jestem pewien, czy zgodzi się wam pomóc. Nie ma nic przeciwko hrabiemu...

- Moja w tym głowa, by go przekonać - wtrącił Finghin. - Chodźmy natychmiast się z nim spotkać!

- O tej porze? - wykrzyknął Akhano.

- Sam powiedziałeś, że ten wieczór byłby najlepszy - zauważył Galiad. Bard wzruszył ramionami.

- To prawda. Ale to może mu się nie spodobać. Musicie być naprawdę przekonujący!

- Pójdę po Mela i Kaitlin - oznajmił Finghin, spiesząc do drzwi.

- Jesteś pewien? - zatrzymał go Galiad.

Druid pokiwał głową.

- Są o wiele zręczniejszymi wojownikami, niż mógłbyś przypuszczać.

*

Kobieta bard kłęczała przed Dermodem Cahlem. Jej twarz była nabrzmiąta i ociekała krwią.

Za czarną sylwetką żywego trupa było widać płonące miasteczko. Na uliczkach roilo się od gorgunów. Okrutne potwory goniły ostatnich żywych mieszkańców, by ich dorżnąć, burzyły domy, których ogień nie strawił do końca, oraz rabowały wszystko, co się dało. Krzyki kobiet mieszały się z trzaskiem płonących krokwi. Ogień sięgał już pobliskich łąk oraz spichrzów, pełnych po zbiorach.

- Jestem pewien, że wiesz, gdzie przebywa ta dziewczyna - powtórzył Dermod Cahl grobowym głosem.

Kobieta miała wrażenie, że spod kaptura oprawcy wydobywa się smużka czarnego dymu. Dziwnego dymu, który pojawiał się nie wiadomo skąd. Gruby czarny kaptur nie pozwalał dostrzec ani twarzy, ani oczu żywego trupa.

- Wieści szybko się rozchodzą...

Uniósł rękę nad głowę dziewczyny i opuścił odzianą w rękawicę dłoń. Wymierzył kobiecie bard siarczasty policzek, tak że ponownie upadła na ziemię, łamiąc nos.

Krew na jej twarzy mieszała się ze łzami, które wciąż płynęły jej z oczu.

Caedlyn przybyła wczoraj do tego niewielkiego miasteczka leżącego nad brzegiem rzeki Sinain, na południu Galacji. Była to piękna kobieta, która niedawno zakończyła nauki i przemierzała kraj, śpiewając pieśni i opowiadając legendy. A teraz to miało się skończyć. W jednej chwili. Bo znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. Zastanawiała się, dlaczego Moj rają tu przywiodła. Co takiego zrobiła? A przede wszystkim kim była ta przerażająca kreatura, która ją teraz maltretowała?

- Mała wywłoko, dlaczego nie chcesz mówić? Myślisz, że ją ochronisz? Jeżeli nie ty, to ktoś inny zmięknie, kiedy cię zabiję... Zatem mów. Gdzie ona jest?

Ale kobieta nie mogła odpowiedzieć. Nie rozumiała dlaczego. Jaka nieznana siła, jaka racja zmuszała ją do zachowania milczenia? Niezachwiana pewność, że niezależnie od wszystkiego umrze? Dlaczego miałaby zdradzić dziecko, którego nie znała, skoro on i tak ją zabije?

Caedlyn płakała. Opłakiwała godziny u wezglowia umierającej matki. Opłakiwała lata w szkole druidów. Miesiące, które spędziła na opowieściach. Wspaniałe historie, nowe oraz zapomniane pieśni. Uśmiech tkwiącej w oknie oberży dziewczuszki, która słuchała jej nieprawdopodobnych opowieści. Opłakiwała przyszłość, której nie pozna. Miasta, o których marzyła. Spotkania, których oczekiwała. Uczniów, których miałaby pewnego dnia.

Płakała, a ten płacz pomagał jej zachowywać milczenie. Pomagał jej w oczekiwaniu nadchodzącej ciemności.

Dermod Cahll czekał cierpliwie, słuchając zduszonych łkań młodej kobiety, a potem podszedł bliżej i pochylił się nad jej poranionym ciałem. Położył dłoń na czole kobiety barda.

- Zatem zmuszasz mnie, bym odczytał twoje myśli - powiedział z westchnieniem. - Nie znoszę tego.

Caedlyn się wzdrygnęła. Z całych sił próbowała strząsnąć dłoń z czoła, ale Dermod Cahll miał nadludzką siłę, a jego palce ścisnęły czaszkę Caedlyn niczym obręcz i wkrótce kobieta nie była w stanie się poruszyć. Nagle poczuła obecność Saimana. Dziwną moc w umyśle. Moc druidów. Była tego pewna. Nie miała prawa jej dotykać, ale ją znała. Nie było wątpliwości.

Bezsilna czuła energię, która kradła jej wspomnienia, przetrząsała zakamarki jej pamięci. Przenikała ją na wskroś.

- Ria. Jest w Rii, prawda? - zaczął Dermod Cahll z głową uniesioną ku niebu, jakby chciał usłyszeć dobiegający z oddali szmer. - Uwięził ją Al'Roeg. Jest w zamku w Harcourt.

Puścił głowę kobiety i odepchnął ją gwałtownie. Caedlyn upadła na wznak i nawet nie próbowała się podnieść. Była u kresu sił.

Widzisz, o wiele prościej byłoby mi to powiedzieć od razu, droga kuzynko.

Dermond Cahll odwrócił się i podszedł do swego konia, pozostawiając na piasku zmaltretowaną kobietę. Dosiadł swego czarnego wierzchowca i odjechał na północ. Gorguny, gdy go ujrzały, zaczęły formować szyk. Przywódca nie musiał wydawać rozkazów. Po prostu podążały za nim, dokądkolwiek się udawał.

Dwanaście armii gorgunów podjęło marsz, wychodząc tysiącami z płonącego miasteczka. Gdy przechodziły obok Caedlyn, kilka z nich rzuciło się na nią i wkrótce uniósł się nad nią obłok kurzu, okrywając ciemną zasłoną ostatnie chwile jej życia.

*

- Dlaczego miałbym wam pomóc? - zapytał murarz, gdy J'inghin wyłuszczył mu, o co chodzi.

Przyszli do domu rzemieślnika w środku nocy. Teraz Finghin i Akhano siedzieli przy stole w kuchni. Za nimi stali Mel, Kaitlin, Erwan i Galiad. W drzwiach pojawiła się żona murarza, która nieśmiało przysłuchiwała się rozmowie.

- Alea jest poszukiwana przez Radę, Galację, Maolmórdhę i jego armię gorgunów, Harcourt... Wszyscy mający władzę w tym kraju chcą ją schwytać. Waszym zdaniem, w jakim celu? Bo ta dziewczyna może wpłynąć na zmianę biegu rzeczy, a politycy boją się tych zmian! A wy nie chcecie, by ten kraj uczynił krok naprzód? Jeżeli nikt jej nie pomoże, jaką będziemy mieli szansę na zmiany?

Murarz nie wyglądał na przekonanego. Finghin wiedział, że się waha, ale ryzyko, które miałby podjąć, było dla niego zbyt duże.

- Anselu, kimkolwiek jest to dziecko, czy nie sądzisz, że lochy nie są dla niego odpowiednim miejscem? - dorzucił Akhano.

Erwan podszedł bliżej.

Panie, przemierzyłem całą wyspę, by pomóc Alei. Jest dla mnie wszystkim. Nie prosimy was, byście ją uwolnili ani byście publicznie opowiedzieli się po naszej stronie. Prosimy jedynie, byście nas zaprowadzili do zamku, żebyśmy przynajmniej mieli szansę przyjść jej z pomocą. Wy nie musicie brać w tym udziału. Jeśli uznacie nasze przedsięwzięcie za zbyt niebezpieczne, będziecie mogli zawrócić. Żadne z nas nie będzie wam miało tego za złe.

Murarz westchnął. Wiedział, że ryzyko jest zbyt duże, ale trudno mu było odmówić tym ludziom. Odwrócił się, by poszukać wsparcia w spojrzeniu żony. Ku zaskoczeniu wszystkich kobieta powiedziała cicho:

- Skoro jesteście druidem, panie, i skoro opuściliście Sai-Minę, by uratować tę dziewczynkę, podczas gdy poszukuje jej Rada, ona musi być kimś naprawdę wyjątkowym. - Potem popatrzyła na męża. - Ci ludzie chyba bardzo ją kochają. Musi być nadzwyczajną dziewczyną, Anselu. Sądzę, że powinieneś im pomóc...

- Ale to czyste szaleństwo! - wykrzyknął murarz, znów zwracając się w stronę przybyłych. - Czy wiecie, ilu jest rycerzy za murami zamku?

- Nie mamy zamiaru wkroczyć do zamku z fanfarami i budzić wszystkich. Jeśli pomożesz nam znaleźć inną drogę, będziemy mogli ją uwolnić tak, że nikt nas nie usłyszy, i oddalić się, zanim ktokolwiek zdąży wszcząć alarm.

Murarz położył dłonie na stole i podniósł oczy ku powale. Finghin nie wiedział, czy był to wyraz rozpacz, czy może rzemieślnik szukał jakiegoś rozwiązania. Druid spojrział na kobietę ukrytą w cieniu drzwi, ale niczego nie mógł wyczytać z jej twarzy.

- Moglibyśmy przejść kanałami odprowadzającymi wodę i ścieki, ale teraz mogą być zapchane, no i smród będzie nieznośny. Nie. Naszą szansą jest najbardziej szalona droga. Trzeba nadzwyczajnej odwagi i tupetu, by ośmielić się nią przejść, ale właśnie dlatego jest to jedyna droga, która nie jest strzeżona przez rycerzy.

- Jaka to droga? - zapytał Finghin.

- Tajemne podziemia hrabiego. To zaprojektowany przez architektów sekretny korytarz, którym hrabia mógłby się wymknąć obleganej twierdzy. Trudność polega na tym, że wchodzi on bezpośrednio do gabinetu hrabiego Al'Roega. Szanse na to, by przebywał w nim w środku nocy, są raczej niewielkie, jednak...

To nie jest takie pewne - wtrącił Akhano. - W tej chwili przygotowuje się do wojny. Być może nie zmrzy oka przez całą noc.

- Być może, ale skoro przygotowuje się do wojny, to z pewnością nie w swoim gabinecie - odparł Ansel. - Powinien być ze wszystkimi generałami, a jego gabinet jest na to za mały. Myślę, że będzie raczej piętro wyżej, w sali

archiwów. To tam odbywa się większość spotkań organizowanych przez hrabiego.

- Tak czy inaczej musimy zaryzykować. Ale kiedy już będziemy w gabinecie hrabiego, jak odnajdziemy drogę do lochów?

- Trzeba zejść południowymi schodami. Mogę wam narysować plan. Ale możecie natknąć się na strażę. A przede wszystkim lochy są na końcu korytarza, do którego wejście jest pilnie strzeżone. Wprawdzie sekretne przejście hrabiego biegnie tuż obok lochów, ale mury są tak grube, że trzeba by wielu dni, by się do nich dostać.

- Może nie - żywo odparł Finghin. - Mógłbym spróbować inaczej.

Murarz podniósł wzrok na druida.

- Tak sądzicie? Zburzyć tak gruby mur?

- Nie jestem pewien, ale gdyby to miało oszczędzić nam przechodzenia przez te wszystkie komnaty zamkowe, warto spróbować, nieprawdaż?

- W takim razie to bardzo proste. Mógłbym wam dokładnie pokazać, w którym miejscu będziecie przechodzić obok cel.

- Panie, jesteście naszym wybawcą. Nie ma czasu do stracenia. Trzeba wyruszyć natychmiast.

Murarz odwrócił się, by spojrzeć na żonę. Zastanawiał się, czy nie popełnił właśnie wielkiego błędu. Nigdy w całym swoim życiu tak nie ryzykował. Był gotowy zdradzić hrabiego Al'Roega, którego darzył przecież pewnym szacunkiem. Ale żona uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Wydawało się, że jest z niego dumna, a to dodało mu odwagi.

- Zatem chodźmy. Wejście do tajemnego przejścia jest poza miastem.

*

Już od dłuższej chwili szli podziemnym korytarzem, w którym panowały całkowite ciemności. Na szczęście Ansel dał im wystarczająco dużo pochodni, by mogli oświetlać sobie drogę.

Murarz i bard pożegnali się z nimi przy wejściu do tunelu. Piątka towarzyszy dziękowała im nadzwyczaj wylewnie. Życzliwość tych mieszkańców Harcourt dawała nadzieję na to, że Gaelia nie jest całkowicie podzielona.

Finghin uważnie słuchał wskazówek Ansel. Miał nadzieję, że nie pomylił miejsca. Druid posłał przed sobą fale Saimana, by sprawdzić, co się kryje w ciemnościach korytarza, ale mimo wszystko napięcie go nie opuszczało. W przeciwieństwie do Galiada i Erwana, a może nawet do Mela i Kaitlin, nie był przyzwyczajony do awanturczego życia. Finghin był więc szczególnie zaniepokojony, ale niczego nie żałował. Wreszcie miał wrażenie, że służy Mojrze, że służy Gaelii. Młody człowiek, mimo że przebywał z dala od Rady, nigdy wcześniej nie czuł się bardziej druidem niż w tej chwili. Jakby odzyskał kontakt z głębokimi korzeniami swej kasty. Posługiwał się swą wiedzą, by służyć innym.

Mury korytarza były zimne i wilgotne. Robiło się coraz chłodniej, aż trudno było uwierzyć, że na zewnątrz panuje upalne lato. Podłoże stawało się coraz bardziej błotniste. Odgłosy ich kroków niosły się wzdłuż kamiennych ścian. Niewielki przeciąg wprawiał w drżenie płomienie pochodni.

Szli gęsiego, w milczeniu. Finghin kroczył na czele, Galiad zaś zamykał pochód. Nikt nie odważył się odezwać się choćby słowem. Byli jeszcze daleko od zamku, ale już się bali, żeby nie zostali odkryci.

Nagle usłyszeli pod stropem suchy trzask. Kaitlin krzyknęła przeraźliwie. Nad ich głowami przemknął wystraszony nietoperz. I hi[^]hin wydał westchnienie ulgi. Ruszyli dalej.

druid, który stracił kontakt z Saimanem, znowu ożywił energię w swym umyśle. Wysłał ciepłe fale przed siebie. Tak jakby wyciągał ręce w ciemności. Saiman odbijał się od ścian i powracał do niego, rysując w jego umyśle kształty rzeczy. Finghin widział dzięki niemu. Słyszał każdy hałas. Echo kroków. Szmer oddechów. Czuł zapachy. Wilgoć panującą w podziemnym korytarzu. Pot swych towarzyszy Wilgoć kamieni. Saiman wyostrzał jego zmysły, podkreślał znaki świata wokół niego. Druid zanurzał się w otaczających go szczegółach. Kamień na drodze. Skała. Nietoperz, lym razem nieruchomy. Trzask płomieni. I nagle dziwne wrażenie.

Druid znieruchomiał, prostując się. Erwan, zaskoczony, wpadł na niego.

- Co się dzieje? - zaniepokoił się młody magistel.

- Ciii! - Finghin uniósł dłoń.

Tam. Po prawej. Poczuł coś dziwnego. Nie był to kamień ani nietoperz, nic z tych rzeczy. Źródło ciepła. Jakby tańcząca fala. Poszukał ponownie. Wysłał Saimana wokół siebie. Energia przenikała skały, podłóżę... I znowu poczuł tę inną energię. Jakby innego Saimana...

- Alea?

Zamknął oczy. Musiał wysłać wiadomość. Myślą. Przekazać słowa za pomocą Saimana.

- Alea?

- Druid?

Był to głos młodej dziewczyny. Nie było co do tego żadnych wątpliwości.

- *To ja, Finghin. William. Jestem przyjacielem Erwana! Przypominasz mnie sobie?*

- *Oczywiście! Zatem otrzymałeś moją wiadomość? Ale prosiłam, byś przybył do Mont-Tombe.*

- *Dowiedzieliśmy się, że jesteś tutaj.*

- *My?*

- *Tak. Jestem razem z Erwanem i Galiadem. I z dwójką innych przyjaciół, Melem oraz Kaitlin, wędrowcami.*

- *Erwan jest tutaj? I Galiad również! Tak. Czuję ich obecność. Dziękuję, Finghinie! Dziękuję!*

- *Czy Faith i Mjolln są razem z tobą?*

- *Tak. Teraz śpią.*

- *Co się dzieje? - zniecierpliwił się Erwan.*

Druid potrząsnął głową.

- *Cisza! - nakazał. - Alea jest dokładnie tam. Po drugiej stronie!*

- *Jesteś pewien? - zapytał Erwan, chwytając przyjaciela za rękę.*

- *Ciii... - powtórzył Finghin i ponownie dał się ponieść energii Saimana.*

- *Całkiem dobrze panujesz nad Saimanem jak na dziewczynę, która się tego nie uczyła!*

- *Z pewnością będziesz musiał nauczyć mnie wielu rzeczy. To dlatego wysłałam ci wiadomość. Między innymi.*

- Teraz musimy się stąd wydostać. Mam wrażenie, że Erwan niecierpliwi się, by cię zobaczyć!

- Ja również.

- Ale jak to zrobić? Sądziysz, że razem damy radę zburzyć ten mur?

- Oczywiście! Ale nie możemy robić hałasu. Trzeba będzie spróbować wyjmować kamienie jeden po drugim. Właśnie się do tego zabierałam, gdy przyszliście! Odkryłam, że za ścianą jest wolna przestrzeń. Gdzie jesteście?

- To długi podziemny korytarz, który prowadzi za miasto.

- Doskonale. Obudzę Mjollna i Faith.

Finghin odwrócił się powoli.

Alea jest tam, razem z Mjollnem i Faith. Cofnijcie się trochę, spróbujemy zburzyć tę ścianę.

Czy z nią wszystko w porządku? - pytał zaniepokojony Erwan, cofając się.

Tak. No dalej, odsuńcie się.

druid stanął naprzeciwko ściany i wszedł w kontakt z Saimanem. Spróbował schwycić kamień. Energia otoczyła szeroki kamienny blok. Najpierw trzeba było zająć się spoiną. Saiman przekształcił się w tysiące niewielkich ryłców, które ryły wokół kamienia. Spoina ustępowała wolno, spadając wzdłuż ściany t icnką strużką. Stopniowo kamień został całkowicie odsłonięty, Finghin usiłował go przemieścić mocą Saimana. Nie udało mu się go podtrzymać. Ruchy powinny być precyzyjne. Spróbował ponownie. Trzeba było podnosić i ciągnąć jednocześnie. Finghin zaczął się zastanawiać, czy nie prościej byłoby zrobić to ręcznie, ale kamień z pewnością był za ciężki. Nagle poczuł, że głaz zaczyna się ruszać. Zrozumiał, co powodowało ten ruch. Zwiększył nacisk Saimana ze wszystkich stron. Tak, teraz na pewno się uda. Znow podjął wysiłek i kamień nagle spadł z ogłuszającym łoskotem.

Pozostała czwórka podskoczyła i jeszcze bardziej się cofnęła.

- To nie było zbyt dyskretne! - zauważył Galiad.

- Przykro mi - tłumaczył się druid. - Będę musiał podtrzymywać kamień. To nie takie proste!

- Nie przejmuj się, wyjmuj następny! - zachęcał go Erwan z niecierpliwością.

Druid ponownie się skoncentrował. Usłyszał ruchy kamieni dobiegające zza ściany. Alea działała szybciej niż on. Usunął drugi kamień, potem trzeci. Za każdym razem starał się to robić jak najciszej, ale hałas upadających bloków i tak niósł się wzdłuż korytarza. Finghin miał nadzieję, że nie można usłyszeć tego z zamku. Lepiej było się pospieszyć.

Wkrótce dostrzegł ruszający się kamień, nad którym nie pracował. Ostatni, który dzielił ich od więźniów. Podwoił wysiłki i usunął następny kamienny blok. reszcie ujrzał światło na wysokości pasa, a zza zasłony pyłu wyłoniły się twarze Mjollna, Alei i Faith. Druid wydał okrzyk radości.

Erwan i Galiad pospieszyli w jego stronę.

- Alea! - krzyknął Erwan.

Dziewczyna wyciągnęła rękę przez otwór w ścianie. Młody magistel schwycił ją obiema dłońmi.

- Jakże się cieszę, że was widzę! - zawołała dziewczyna.

- Tadam! Mój nauczyciel szermierki! Co za niespodzianka! He, he, a oto i Galiad! Hem, o tak, ja też się cieszę!

- Pospieszmy się! - poganiała ich Faith, również szeroko uśmiechnięta. - Zdaje się, że za drzwiami ktoś jest.

Wszyscy usłyszeli zduszone głosy strażników dochodzące spoza celi.

- Na Mojre! - zawołał Mjolln. - Widocznie narobiliśmy za dużo hałasu.

- Odsuńcie się! - nakazał Finghin, który chciał usunąć jeszcze kilka kamiennych bloków, by więźniowie mogli się wydostać.

Erwan i Galiad posłusznie cofnęli się w głąb korytarza.

- Aleo, pomóż mu, a my spróbujemy zablokować drzwi! - wykrzyknęła Faith. - Mjollnie, chodź tu!

Z całych sił oparli się o drzwi. Strażnicy właśnie przekreślali klucz w zamku.

Finghin i Alea przyspieszyli ruchy Saimana. Druid nie zważał już na czyniony hałas. Zaczynało mu brakować energii Saimana i pomału tracił równowagę. Oparł się o ścianę za plecami i wysłał całą moc, jaka mu pozostała, by usunąć ostatnie kamienie.

Widząc, że praca nie posuwa się zbyt szybko, Galiad doskoczył do druida i spróbował mu pomóc. Pchał bloki rękami, wrzeszcząc z wściekłości, która dodawała mu sił.

Chodźcie! - krzyknął do trójki więźniów. - Teraz jest dość miejsca, żeby się precisnąć!

Alea odwróciła się. Ujrzała, że Mjolln i Faith nie wytrzymują |u/ nacisku strażników, napierających na drzwi. Zamknęła oczy i Moczyła ich Saimanem.

Odsuńcie się! - krzyknęła.

Widząc, że w dziwny sposób wyciąga ręce w ich kierunku, Faith i Mjolln natychmiast posłuchali.

Drzwi gwałtownie zatrzasnęły się z powrotem, łamiąc palce siłownikowi, któremu udało się wetknąć dłoń do środka. Strażnik /awył z bólu.

- Chodźcie! - ponagliła ich Alea.

Mjolln popchnął kobietę przed sobą. Przekroczyła leżące przed nią kamienie, pochyliła się i prześlizgnęła przez otwór w ścianie. (Galiad chwycił ją w ramiona i mocno przytulił.

- Brakowało mi ciebie - wyszeptała mu do ucha, a potem przesunęła się, by zrobić przejście dla Mjollna.

Krasnolud popatrzył na Aleę. Zawahał się przez chwilę, a potem zamiast przekroczyć bloki, tak jak to zrobiła Faith, wskoczył na pierwszy i wpadł w otwór niczym szczupak. Kaitlin pomogła mu się podnieść.

- Dzień dobry pani! - powiedział, otrzepując sobie rękawy.

Alea nie przestawała naciskać na drzwi siłą umysłu. Kiedy ujrzała, że dwójka przyjaciół zniknęła po drugiej stronie otworu, zaczęła się wolno wycofywać, nie tracąc kontaktu z Saimanem.

- Biegnijcie ile sił w nogach, starajcie się uciec jak najdalej, ja zatrzasnę drzwi i ruszę za wami! - krzyknęła.

Galiad podał Faith pochodnię i popchnął ją lekko do przodu.

- Pospieszcie się!

Magistel poganiał towarzyszy, jednego po drugim, by ruszali w drogę. Mjolln rzucił Alei ostatnie spojrzenie.

- Uważaj, moja miotaczko kamieni! - krzyknął, zanim rzucił się do ucieczki.

Przed otworem w murze został jedynie Galiad, gotowy iść Alei z pomocą.

- Uciekaj! - krzyknęła dziewczyna. - Zaraz do was dołączę!

- Nie, Aleo, to ja będę zamykał pochód. Nie odejdę bez ciebie. Straciłem Felima, ciebie nie chcę stracić.

Alea wolno odwróciła głowę, mierząc wzrokiem stertę kamieni. Musiała się spieszyć. Jak tylko zwolni nacisk na drzwi, strażnicy znajdą się tuż za nimi.

- Uważaj, Galiadzie... - wołała go uprzedzić.

Magistel włożył ręce w otwór w ścianie i chwycił Aleę za ramiona.

- Wyciągnę cię! Jesteś gotowa?

- Eee... Tak - odpowiedziała z wahaniem.

Magistel wziął głęboki oddech. Zacisnął dłonie na ramionach dziewczyny i gwałtownie pociągnął ją z całej siły w swoją stronę. Dziewczyna krzyknęła, a w tej samej chwili drzwi od celi ustąpiły i z impetem trzasnęły o ścianę.

- Biegnij! - wrzasnął Galiad, pchając Aleę przed sobą.

Nie czekała już ani chwili, tylko popędziła ciemnym korytarzem.

Galiad biegł tuż za nią. Ledwie zdążył rzucić okiem na strażników wpadających do celi. Było ich trzech, może czterech, i z pewnością zdążyli wszcząć alarm.

Galiad dostrzegł ponad ramionami Alei światła pochodni ich towarzyszy, które chwiały się w oddali. Popychał dziewczynę, by biegła szybciej, prawie ją niósł. Alea wiele razy o mało nie straciła równowagi, ale za każdym razem Galiad ją podtrzymywał.

Tupot strażników było słychać coraz wyraźniej. Pogoń się zbliżała.

- Zatrzymać się! - krzyknął jeden z nich, zadyszany.

Alea usiłowała przyspieszyć. Chciała odnaleźć Saimana, by dodał jej sił, ale nie była w stanie go kontrolować. Był tam, pośrodku jej czoła, ale bieg, panika i zmęczenie sprawiły, że stał się nieosiągalny.

Nagle poczuła, że Galiad już za nią nie biegnie. Odwróciła się i zobaczyła, że magistel zatrzymał się, by stawić czoło przeciwni kom. Alea spróbowała uspokoić oddech, wsparła się o ścianę korytarza i poszukała w sobie Saimana.

Galiad dobył Banthrala. Uniósł miecz nad głowę i wydał bitewny okrzyk krasnoluda:

- *Alragan!*

Magistel opuścił miecz na pierwszego rycerza. Ostrze błysnęło i uderzyło przeciwnika w ramię. Ten stracił równowagę i upadł. Następny przeskoczył nad ciałem towarzysza i rzucił w Galiada toporem. Magistel odskoczył i zamachnął się mieczem. Zagłębił ostrze w brzuchu napastnika.

Pierwszy rycerz podniósł się i zamierzał wyrzucić magistela w kark, gdy nagle coś jakby błyskawica uderzyło go prosto w twarz, ogłuszając i rzucając go o ścianę, doszczętnie paląc mu skórę.

Galiad odskoczył do tyłu, rzucił za siebie spojrzenie i ujrzał wyciągnięte dłonie Alei. Skinął głową, uniósł Banthrala ponad ramię i natarł na ostatniego rycerza, który oślepiony błyskawicą zatrzymał się pośrodku korytarza. Magistel odciął mu głowę.

Galiad nie czekał, aż zdekapitowane ciało upadnie na ziemię, i odwrócił się w stronę Alei.

- Chodźmy! - powiedział, kładąc dłoń na ramieniu dziewczyny.

Pędem ruszyli w stronę wyjścia.

Wkrótce dostrzegli nikłe światło księżyca. Wyjście było już całkiem blisko, ale Galiad ujrzał tam jakiś ruch.

- Co się dzieje? - wydyszał ciężko.

- Pewnie przy wyjściu czekali już rycerze! - krzyknęła Alea, widząc walczących towarzyszy

Galiad przyspieszył i ominął dziewczynę. Słyszał krzyki i szcęk broni. Zaczął krzyczeć, wznosząc Banthrala nad głowę, i gdy tylko wypadł z tunelu, natarł na pierwszego rycerza, jakiego zobaczył.

Było ich jeszcze około dziesięciu, nie licząc trzech, których ciała już leżały na ziemi. Bez wątpienia zostali zaalarmowani przez jednego ze strażników i przyjechali tu konno. Galiad widział, że nadciągają następni.

Była noc. Zamieszanie stawało się coraz większe. Galiad szybko pozbył się pierwszego rycerza, rozplatawszy mu gardło, a potem pobiegł w kierunku następnego, usiłując dostrzec jego kompanów. Mjolln, który nie miał już Kadhela, walczył mieczem Finghina, o wiele dla niego za długim. Lecz wydawało się, że krasnolud dobrze sobie radzi, wykorzystując niski wzrost i zaskakując przeciwnika. Finghin właśnie obalił jednego z napastników, a teraz biegł w stronę nadciągających rycerzy. Faith podniosła z ziemi lancę jednego ze strażników i z trudem odpierała atak. Erwan walczył z dwoma przeciwnikami jednocześnie. Mel i Kaitlin, uzbrojeni w kije, tańczyli wokół wrogów, to chybiając celu, to trafiając, i często doskakiwali na pomoc Faith, która była u kresu sił.

Galiad sparował cios przeciwnika, rzucił się na ziemię, przeturlał obok niego i wymierzył mieczem potężny cios w biodro. Widząc, że tamten pada na ziemię, magistel wstał i odszukał wzrokiem Aleę.

Dołączyła do Finghina i obydwójce połączyli siły, by odeprzeć atak jeźdźców, wysyłając w ich stronę błękitne błyskawice.

Magistel usłyszał krzyk, odwrócił się i ujrzał, jak Mel upada na kolana z mieczem w brzuchu.

Galiad rzucił się w stronę wędrowca, by go podtrzymać, jednocześnie atakując rycerza, który zranił aktora. Pozbawiony broni napastnik nie miał najmniejszych szans. Miecz Galiada rozplatał mu gardło jednym pociągnięciem.

Magistel odwrócił się, by wyjąć miecz z ciała Mela, ale natychmiast zrozumiał, że to na nic. Mel leżał na ziemi bez życia.

Galiad wstał, krzycząc, i rzucił się na Rycerza Płomienia, który kilka metrów dalej nacierał na Faith. Tamten usłyszał go i odwrócił się, unosząc dłoń zbrojną w topór.

Galiad zaatakował z prawej, ale rycerz sparował cios i wykreślił ostrze miecza Galiada, kierując je w dół. Magistel cofnął się, uwalniając broń spod topora nieprzyjaciela, i znowu natarł na rycerza. Ten uniknął ciosu, odskakując w bok, ale nagle oczy wyszły mu z orbit, gdy lanca Faith przeszła jego tułów. Opuścił wzrok i / przerażeniem ujrzał zakrwawione ostrze wystające mu z brzu- i ha. Wypuścił z ręki topór i chciał złapać lancę, ale Faith z całej siły pociągnęła ją do siebie. Na jej czubku tkwiły strzępy wnętrzości rycerza, który runął na Galiada.

Magistel spojrział na Faith, a potem odwrócił się, by sprawdzić, czy ktoś nie potrzebuje pomocy. Ale wszyscy rycerze leżeli już pokotem na ziemi. Kaitlin rzuciła się na ciało brata, rozpaczliwie oplakując jego śmierć. Erwan chciał ją podnieść, ale aktorka nie mogła utrzymać się na nogach i znów upadła. Jej twarz była mokra od łez.

Galiad skinął na Faith i Mjollna, by do niego podeszli.

- Chodźmy poszukać koni, musimy jak najszybciej stąd odjechać! - powiedział do nich. - Zabierzcie też broń. Mjollnie, zanim odzyskasz Kadhela, weź jakiś sztylet lub najkrótszy miecz, jaki znajdziesz.

Po drugiej stronie Finghin i Alea przestali atakować, widząc, że ostatni rycerze pierzchają w popłochu, i odwrócili się, by spojrzeć na scenę rozgrywającą się za ich plecami. Kaitlin podtrzymywana przez Erwana płakała nad ciałem poległego brata. Druid pospieszył w ich stronę i odsunął Erwana. Wziął dziewczynę w ramiona i zaczął gładzić jej włosy. Nie wiedział, co powiedzieć. Nie umiał znaleźć odpowiednich słów. Ale zdawał sobie sprawę, że nic, co by teraz powiedział, nie ukołoby bólu aktorki. Kiedy reszta powróciła, wiodąc konie, pocałował Kaitlin w policzek i poprowadził ją w stronę wierzchowca.

Wszyscy przygotowywali się do odjazdu. Mjolln wskoczył na konia, sadowiąc się za plecami Faith.

Kaitlin wstrząsnął spazm i błagalnym głosem wyszlochała:

- Nie możemy go tak zostawić!

Galiad zsiadł z konia, podniósł ciało Mela i przerzucił je przez siodło. On i Finghin pomogli dziewczynie dosiąść konia, a potem wszyscy pogalopowali na wschód, za wdzięcznie poruszającą się sylwetką Alei.

Rycerz wszedł bez pukania do wielkiego archiwum. Al'Roeg, Aeditus, Natalien i generałowie, którzy siedzieli pochyleni nad masywnym stołem z rozłożoną mapą Gaelii, natychmiast podnieśli wzrok.

Ich twarze oświetlał płomień niewielkiej lampy stojącej na brzegu stołu. Płomień drżał i po sali tańczyły cienie zgromadzonych mężczyzn.

- Panie hrabio - wydyszał młody rycerz resztką sił - dziewczyna uciekła!

- Co takiego!? - krzyknął Al'Roeg, wstając.

- Druidzi weszli waszym sekretnym przejściem i pomogli jej wydostać się z celi. Jej towarzyszom także.

- Druidzi? - zdziwił się Aeditus. - Jesteście tego pewni?

- Całkowicie, Wasza Miłość. Użyli magii, by uciec oraz by pokonać strażników, którzy ruszyli za nimi w pościg! Widziałem na własne oczy wielkie błyskawice tryskające z ich palców, panie hrabio! Moi bracia zginęli spaleni... Nigdy czegoś takiego nie widziałem!

Hrabia uderzył pięścią w stół.

- Tego jeszcze brakowało! Na rany Chrystusa! Czy wysłaliście ludzi w pościg? - zapytał, zwracając się do rycerza.

- Tak, ale straciliśmy ich ślad. Ich ogniowy atak nas powstrzymał, panie hrabio, a oni ukradli nasze konie. Wiemy, że odjechali na wschód, ale noc nie pozwala nam podążyć ich tropem.

- Druidzi - powiedział hrabia, zaciskając pięści. - Zatem są już tutaj?

- Nie sądzę, by tu przybyli wszyscy, panie hrabio - powiedział rycerz nieśmiało. - Było ich dwóch, nie więcej. Ale właśnie dostaliśmy raport, według którego druidzi są właśnie w drodze do Filiden, gdzie mają dołączyć do Tuathannów, by nas zaatakować. To drugi powód, dla którego przeszkodziłem...

Dobrze wam mówiłem! - wtrącił Natalien. - Nie ma chwili iln stracenia. Musimy zaatakować pierwsi, jeżeli nie chcemy dopuścić do oblężenia!

- Oczywiście! - odparł zdenerwowany hrabia. - Jak myślicie, nad czym tu dziś obradujemy? Zaatakujemy jutro!

- A dziewczyna? - zapytał Aeditus.
 - Co możemy zrobić? - odwarknął hrabia. - Kiedyś trzeba będzie ją odnaleźć, ale teraz powinniśmy się zająć jedynie wojną.
 - A jeśli przejdzie na stronę druidów? - zapytał biskup.
 - Niemożliwe! Wiem, że ich nienawidzi! - krzyknął hrabia.
 - To prawda, ale jeżeli pozwolicie, powtarzam, że koniecznie I rzeba ją odnaleźć. Myślę, że naprawdę jest ważna, a jeżeli pewnego dnia będziemy chcieli dźwignąć władzę, ta dziewczyna nie może wymknąć się nam spod kontroli. Byłoby niebezpiecznie pozwolić jej odejść wolno. Jest zdolna podburzyć lud przeciwko nam. Widzieliście ją, ma ogromną charyzmę i niezłomny charakter!
 - Wiem o tym, Aeditusie! Ale co chcecie, żebym zrobił w tej chwili?
 - Może powinniśmy skoncentrować nasze wysiłki nie tylko na wojnie, ale również na tej sprawie...
 - To śmieszne! - przerwał Natalien, którego interesował jedynie bój przeciwko druidom i odzyskanie trzech Manithówbędących w ich posiadaniu. - Prawdziwym zagrożeniem są druidzi, a nie ta zuchwała panna!
 - Nie pozwólcie, by wasza nienawiść do druidów wypaczyła wasz osąd - rzekł Aeditus surowo.
 - Nie o to chodzi! - zawołał Natalien. - Ten rycerz przybył, by nam powiedzieć, że druidzi zaraz nas zaatakują. Ta dziewczyna właśnie ucieka. Nie trzeba być mędrce, by wiedzieć, z której strony grozi nam niebezpieczeństwo!
 - Uciekła z więzienia, ale wciąż jest w Harcourt i...
 - Dość! - przerwał im hrabia, wzburzony do granic.
 Al'Roeg przeszedł kilka kroków wokół stołu. Wrzał z gniewu, a zmęczenie nie wpływało na poprawę jego nastroju.
 - Zmiażdżę tych druidów niczym armię mrówek! - krzyknął. - Zaatakujemy jutro. A kto wie, być może ta dziewczyna jest razem z nimi. Jeżeli nie, będziemy mieli dość czasu, by się nią zająć, a wtedy nie dam jej żadnych szans!
 Natalien skinął głową. Rzucił zadowolone spojrzenie Aeditusowi. Druidzi wreszcie byli w zasięgu jego ręki...

*

Ciemną nocą galopowali na wschód. Gdy Galiad zapewnił, że nikt nie ruszył za nimi w pogoń, zdecydowali się wreszcie zatrzymać. Byli wyczerpani.

Siedmioro towarzyszy zsiadło z koni i przygotowało prowizoryczny obóz. Kaitlin wciąż jeszcze płakała i Finghin usiadł obok niej, by ją pocieszyć.

Galiad odszedł na stronę z ciałem Mela. Zaczął kopać dół, najpierw mieczem, potem rękami. Był wyczerpany, ale powiedział sobie, że trzeba jak najszybciej pochować aktora, bo to być może w jakimś stopniu ukoji ból biednej Kaitlin.

Mjolln i Faith przygotowali skromny posiłek z produktów, które znalazł Erwan, przeszukując sakwy. Nie było tego wiele, a późna pora nie pozwalała na polowanie, jednak wystarczyło, by mogli zaspokoić głód i odzyskać siły.

Alea usiadła przed Finghinem i Kaitlin. Patrzyła na płaczącą aktorkę, wykręcając dłonie.

Po raz kolejny ktoś z jej powodu stracił życie! Była taka szczęśliwa, widząc Erwana i Galiada, a teraz jej przeznaczenie znów ją dopadło, by jej przypomnieć, że w jej życiu nie ma miejsca na odpoczynek. Jak położyć temu kres? Kiedy zakończy się wreszcie ta mordercza spirala? Czuła, że przytłacza ją ciężar odpowiedzialności. Była Samildanachem i wydarzenia układały się tak, jakby wszystkie nieszczęścia tego świata zdarzały się z jej powodu.

Dziękuję, panienko - wyszeptała, zbliżając się do Kaitlin.

Aktorka nie odpowiedziała. Płakała bezgłośnie, z głową wspartą na ramieniu Finghina.

- Nie wiem, gdzie wy i wasz brat znaleźliście odwagę i chęć przyjścia z pomocą ludziom, których nie znaliście. Nigdy tego nie zapomnę. Wiem, że to wam nie zwróci brata, Kaitlin, ale mimo że widziałam go tak krótko, jego twarz pozostanie na zawsze w mojej pamięci. A wy zostanieecie na zawsze moją przyjaciółką.

Płacz aktorki przybrał na sile. Alea podeszła jeszcze bliżej i wzięła jej dłonie w swoje. Przycisnęła je do serca. Czuła, że aktorka jest jej bardzo bliska. Jakby знаła ją od zawsze. Pozwoliła Saimanowi krążyć w swym ciele, dotrzeć do czubków palców. Energia wolno ogarnęła palce aktorki, przesunęła się ku ramionom. Alea włożyła w to całą słodycz, jaka została w jej sercu. Wszystkie najczulsze wspomnienia, jak te o oberzystce, która przygarnęła ją w Saratei. Wspomniała Tagora, swego brata, jakby za pomocą Saimana chciała przekazać Kaitlin czyste braterskie uczucie. Chciała być dla aktorki niczym siostra, dać jej trochę swej krwi.

Zbliżyła twarz do ucha aktorki i wyszeptała:

- Dziękuję, starsza siostrze.

Wstała i zostawiła Kaitlin w objęciach druida. Usiadła na ogromnym zwalonym pniu przy ognisku, obok Mjollna, Erwana i Faith, a kiedy ponownie się obejrzała, aktorka już prawie nie płakała.

Potem dołączył do nich Galiad. Jego ręce ubrudzone były ziemią. Wskazał dłonią rozłożysty dąb.

- Pochowałem Mela - powiedział. - Zanim się położymy, poprosimy Mojre, by go przyjęła... Prawda, Finghinie?

Druid przytaknął.

Zaczęli jeść. Trudno im było przerwać ciszę.

- W najbliższych dniach pewnie wybuchnie wojna - powiedział w końcu Galiad.

- Harcourt zaatakuje jutro - potwierdziła Alea, nie podnosząc głowy. - Nie wiem, na jaki opór natrafią. Dążą do starcia z druidami i Tuathannami, ale dlaczego z Galacją?

- Eoghan został zamordowany - wtrącił Finghin.

Dziewczyna wytrzeszczyła oczy.

- Zamordowany? Kto teraz rządzi królestwem? - zapytała.

- Jego żona - odparł Galiad.

- Amina?

- Tak - potwierdził. - I wydaje się, że jest szczególnie konfliktową osobą... Słyszeliśmy w Rii, że królowa sprzeciwiła się Radzie, że wzmocniła kontrolę żołnierzy nad całym królestwem i że z pewnością nie zamierza bronić druidów ani Tuathannów. Ale to pewnie tylko plotki.

Alea rzuciła spojrzenie w stronę Faith. Przypomniała sobie słowa kobiety, kiedy rozmawiały na temat jej przyjaciółki z dzieciństwa. „Zdarza się, że czas zmienia ludzi. Nie mogę liczyć na przyjaciół z dzieciństwa, których tak kochałam, a którzy dziś są mi zupełnie obcy”, mówiła wtedy kobieta bard.

- Sądysz, że Harcourt może mieć przewagę, jeśli Galacja nie będzie brała udziału w działaniach wojennych? - zapytała Alea magistela.

Galiad wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

- Nie możemy dopuścić do tego, by Rada została pokonana przez Harcourt! - wtrącił Finghin.

- Jak to? - odparł Mjolln. - Hem! Chyba nie pospieszymy im z pomocą?

- Przypominam wam, że jestem druidem - rzucił Finghin surowo - że Erwan jest moim magistrem oraz że mimo iż opuściłem Sai-Minę, wciąż wierzę w nasz zakon! Bez względu na to, jakie błędy popełnią niektórzy z moich współbraci, zawsze będę wierny swojej kaście!

- Ja martwię się przede wszystkim o Tuathannów - powiedziała Alea spokojnie.

Po tych słowach zapadła cisza. Wszyscy patrzyli na dziewczynę, czekając na wyjaśnienia.

Nie wszyscy druidzi staną do walki, jestem tego pewna, a jeżeli nawet zostaną tu pokonani, jeżeli wszyscy bracia wysłani w bój polegą w Sai-Minie pozostanie ich jeszcze wystarczająco wielu, by Rada mogła się utrzymać. Ale Tuathannowie staną do wal- k l wszyscy. Jeżeli zginą, ich cywilizacja również. Tuathannowie są moimi przodkami i nie zamierzam do tego dopuścić.

-Twoimi przodkami? - zdziwił się Galiad.

Wszyscy patrzyli na nią, zaskoczeni.

-Moja matka wywodziła się z Sidu, a ja mam brata wśród Tuathannów.

Galiad obrócił się w stronę kobiety barda. Chciał sprawdzić, czy Faith o tym wiedziała, ale ta wyglądała na równie zaskoczoną.

- Cokolwiek się zdarzy - podjęła Alea, nie zostawiając im czasu na przetrwanie nowiny - musimy pospieszyć im z pomocą. Chciałabym, by walki ustały, ale tym razem będziemy zmuszeni interweniować.

Cała szóstka popatrzyła po sobie z przerażeniem.

- Ale to nie będzie takie proste - powiedziała Kaitlin, która już nie płakała, choć w jej głosie wciąż pobrzmiwał ból. - Słyszeliśmy, że ogromna armia gorgunów ciągnie na północ.

- Tak - odparła Alea. - Ale to mnie szukają i jeszcze tu nie dotarli. Zajmiemy się tym później...

Mjolln westchnął i chwycił się za głowę.

- Jednakże - ciągnęła Alea ostrym tonem - nie możemy wszyscy ruszyć na pomoc Tuathannom. Czas nagli, a ja muszę udać się do Mont-Tombe, zanim nie będzie za późno. Zatem jutro będziemy musieli się rozstać.

Patrzyła kolejno na swych towarzyszy. Nie zwracała się już do nich jak do przyjaciół, teraz po prostu wydawała im rozkazy.

Galiadzie, Erwanie, Finghinie, wy pojedziecie do Filiden, by pomóc Tuathannom. Po drodze zgromadzicie wszystkich ludzi dobrej woli pod moim sztandarem. Być może uda się wam znaleźć ledwie dziesięciu, być może podążą z wami tysiące, ale ważne jest jedno: musicie dotrzeć do Filiden i

pomóc Tuathannom. Jest tam chłopak, który ma na imię Tagor. Jedno z jego oczu jest niebieskie, drugie czarne. Jeżeli stanie mu się coś złego, nigdy wam tego nie wybaczę. Faith, Mjollnie i Kaitlin, wy pojedźcie ze mną do Mont-Tombe.

Faith westchnęła głęboko. Alea wyczytała z jej oczu, że nie jest zachwycona ponownym rozstaniem z Galiadem, ale nie śmie jej tego powiedzieć. Dziewczyna widziała także, że Finghin i Kaitlin również nie chcą się rozdzielać, ale była pewna, że w głębi duszy wszyscy rozumieli, iż tak musi być. Przynajmniej na razie.

Alea też wolałaby zostać z Erwanem. Nie było jednak chwili do stracenia.

- Dołączymy do was w Filiden najszybciej, jak się da - obiecała w końcu.

- Chcesz, byśmy uformowali armię pod twoim sztandarem? - zapytał z zakłopotaniem Galiad.

- Moje imię zaczyna być znane w całej Gaelii - wyjaśniła Alea.

Jej głos brzmiał pewnie, ale ci, którzy ją dobrze znali, wiedzieli, że nie lubi o tym mówić.

- Jestem Samildanachem, wielu jest gotowych bić się dla mnie.

Alea odwróciła się w stronę Kaitlin.

- Jestem pewna, że twoje palce są bardzo zręczne. Czy mogłabyś jeszcze dziś wyhaftować mój znak na kilku kawałkach tkaniny, by Galiad i Erwan nieśli je naszym sztandar?

- Twój znak? - zdziwiła się Kaitlin.

Alea zdjęła pierścień z palca i uniosła go, trzymając między kciukiem a palcem wskazującym. Złoty pierścień zamigotał w mrokach nocy. Finghin wytrzeszczył oczy.

- Ten znak. Dwie dłonie, które osłaniają serce i koronę.

- To znak Samildanacha - potwierdził Finghin.

- Będzie znakiem mojej armii - oświadczyła Alea, wkładając pierścień z powrotem na palec.

Kaitlin skinęła głową.

Spróbuję. Powinam zdążyć.

Postaraj się znaleźć biały materiał - poprosiła Alea. - Chcę, aby mój znak był wyhaftowany czerwoną nicią na białym tle.

Uśmiechnęła się do aktorki, a potem o wiele ciszej zapytała magistela:

- Galiadzie... Wilczyca was odnalazła, prawda?

Galiad Al'Daman potwierdził.

- A wiesz, gdzie jest teraz?

- Nie. Opuściła nas, gdy spotkaliśmy Finghina. Zmieniliśmy kierunek, udaliśmy się do Rii i straciliśmy ją z oczu.

- Rozumiem... Jestem szczęśliwa, że za nią poszliście. Dziękuję. I dziękuję wam wszystkim - powiedziała Alea, po czym westchnęła. - Cóż, wolałabym spędzić z wami czas, nie martwiąc się tym wszystkim, ale skoro tu jesteście, to znaczy, że postanowiliście mi towarzyszyć do końca... A teraz nie ma w moim życiu miejsca na odpoczynek, na który wszyscy zasługujemy. Przykro mi. Bardzo wam wszystkim dziękuję, że tu jesteście. Ale jutro będziemy musieli się rozdzielić.

- To przyjemność móc służyć komuś takiemu jak ty - oświadczył Finghin, którego już dawno ujęła charyzma Alei.

Dotychczas zastanawiał się, co powodowało Felimem, Galiadem i Erwanem. W jaki sposób ta dziewczynka mogła wzbudzić ich zainteresowanie, a nawet namiętność. Lecz dziś już rozumiał. Mógł zobaczyć szczerą ich wiary. Alea była Samildanachem. Taka była prawda. A on mógł dla niej umrzeć.

*

Kiaran jest tutaj. Jest dyskretny. Respektuje moje życzenie, które wyraziłam ostatnim razem. Mogę mu ufać.

- Kiaran?

- Witaj, Aleo.

- Potrzebuję was.

- Rozumiem.

- Jestem w Harcourt.

- Mówiono mi, że zostałaś uwięziona przez hrabiego Al'Roega.

- Tak, ale to nieważne. Zostałam uwolniona.

- Przez kogo ?

- Przez Galiada, Erwana i Finghina... Nie jesteście jedynym, na którego mogę liczyć w Sai-Minie!

- Zatem Finghinowi udało się odnaleźć ciebie i twoich towarzyszy! Dobrze! To wyjątkowy druid.

- Tak. Spotkał po drodze dwoje wędrowców, którzy się do niego przyłączyli...

- Dwoje wędrowców? Jak się nazywają?

- Kaitlin i Mel.

Wydaje się zaskoczony. Zna ich.

- Czy ich imiona coś wam mówią?

- To mój siostrzeniec i siostrzenica, Aleo! Cóż za zbieg okoliczności!

Przypominam sobie. Jego ubiór wędrowca. Był w nim, gdy spotkałam go tutaj po raz pierwszy. Czy naprawdę jest ich wujem? Dlaczego miałby kłamać? Na Mojre! Czy powinnam przekazać mu tę smutną wieść? Czy mogę to zrobić tutaj? Muszę! Jestem mu winna szczerą.

- Co się dzieje?

Nie mogę go okłamać.

- Mel poległ w walce z rycerzami, którzy nas ścigali.

Teraz widzę, jak płacze. Kiaran jest tak czystym człowiekiem. Nie potrafi ukryć swych uczuć. Płacze jak dziecko. Tak jak wszyscy powinniśmy.

- Przykro mi, Kiaranie. Wszędzie wokół mnie jest śmierć...

Podnosi głowę. Stara się uśmiechnąć.

- Nie przejmuj się, Aleo. Wkrótce wprowadzisz życie. Tak ma być.

Co chciał przez to powiedzieć? Jest jak zwykle enigmatyczny.

Mel był nadzwyczajnym człowiekiem. Cieszę się, że wasze iliogi się skrzyżowały.

Żyłby, gdyby...

Nie mów głupstw! Gdyby nie chciał zaryzykować własnego życia, nie pojechałby cię uwolnić. Musiał szanować ścieżkę Mojry, i to jest dobre.

Już nie płacze.

- Kaitlin jest wstrząśnięta...

- Oczywiście! Ale nie przejmuj się tym, Aleo. Będzie ci wierna, jestem tego pewien.

- Tak bardzo tego żałuję!

- Nie wyrzucaj sobie tego. Niech żałują ci, którzy go zabili!

- No tak.

Tak bardzo chciałabym zobaczyć Kiarana poza Djar! Jest coś szczerego w jego głosie, w jego spojrzeniu. Jest tak różny od starych druidów z Rady. Żadnych manipulacji, żadnych niedopowiedzeń...

- Kiaranie, powiedzcie mi, co zadecydowała Rada w sprawie Harcourt?

- Sześciu naszych braci ma wyruszyć ze swymi magistelami i dwoma trzecimi druidów z Sai-Miny. Otelian, Kalan, Lorcan, Tiernan, Henon i Odhran zostali wyznaczeni do tego zadania. Ale Henon i Kalan zniknęli. Ernan sądzi, że chcą się do was przyłączyć, tak jak Finghin, aleja tak nie myślę...

- Dlaczego?

- Zniknęło również dziesięciu młodych druidów. Sądzę, że udali się do Galacji.

- Do Galacji?

Myślę, że królowa chce podzielić Sai-Minę, i wygląda na to, że się jej udało. Słyszałem, że ma zamiar dokonać reformy naszego zakonu, tak by kobiety również mogły być przyjmowane w nasze szeregi, a przede wszystkim, by została Arcydruidem w pałacu w Providence! Najwyraźniej już udało jej się przekonać niektórych z nas.

Amina zrobiłaby coś takiego? Ależ to niemożliwe! To nie Amina, którą znałam.

- I sądzicie, że to ona zamordowała swego męża?

- Jestem o tym całkowicie przekonany.

- To, co mówicie, jest okropne.

- Ale to nic w porównaniu z czekającą nas wojną. Czterech Wielkich Druidów wraz z magistelami i innymi druidami już wyruszyło do Filiden. To będzie rzeź. Trzeba ich powstrzymać!

- Niczego już nie możemy powstrzymać, Kiaranie!

- Nie wiem, co robić...

W jego głosie jest tyle rozpaczy. Chciałabym powstrzymać tę wojnę, ale to już niemożliwe. A jednak czy nie powinnam tego zrobić? Lecz przybywam zbyt późno i nie jestem jeszcze na tyle silna. Sądzę, że jestem zaledwie w połowie drogi, jaką muszę przebyć, by zrozumieć, co mam robić...

- Kiaranie, zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Teraz muszę was zostawić. Muszę spotkać się z kimś innym...

- Tak, wiem... Ze swoim bratem.

- Wiecie?

Odwraca się.

- Kiaranie! Skąd wiedzieliście? Druidzie! Poczekaj!

Odszedł. Nie mogę go zatrzymać. Skąd wie? Czyżby mnie szpiegował? Nie. Obiecał mi i jestem pewna, że dotrzymał obietnicy. Co więcej, czułabym jego obecność. Teraz umiem to zrobić. Zatem skąd? Czyżby znał moją przeszłość? Skoro wie, że mam brata, może wie także o innych sprawach! Dlaczego odszedł? Nie chciał mi odpowiedzieć. Jaki skrywa sekret?

Muszę zobaczyć się z Tagorem. Może on będzie wiedział.

Nie może być daleko. Muszę tylko o nim pomyśleć. O jego oczach. Tak głębokich, tak dziwnych. Jednym niebieskim, a drugim czarnym. Tagor...

- Jesteś tu?

- Witaj, siostrzyczko.

- Nie wiem, czy udało ci się cokolwiek zdziałać, ale sądzę, że nic możemy uniknąć tej wojny. Harcourt zmierza w stronę Filiden. Idą, by się z wami zmierzyć. Druidzi również nadciągają, staną po waszej stronie. Ale nie wiem, czy będzie ich wystarczająco dużo, by obronić twój lud.

- Już nie jestem wśród swoich, Aleo. Nie udało się, woląłem odejść. Miałem nadzieję, że moi bracia dadzą się przekonać, ale jedynie kilku z nich podążyło za mną. Jesteśmy w górach Gor-Draka. Uraz tego żałuję. Jesteśmy tchórzami, prawda?

Zatem tam również doszło do zachwiania równowagi. Wszędzie porządek zostaje zniszczony. Sai-Mina, Galacja, Ziemia Brunatna, a teraz wojownicy z Sidu.

- Nie, Tagorze. Dobrze zrobiłeś. Skoro jest was zaledwie dziesięciu, wasza nieobecność nie uczyni większej różnicy. I to raczej dobra wiadomość. Musicie zostać w górach. Nie wiem, co się wydarzy, ale być może pod koniec tej wojny będę was potrzebowała!

- Moi bracia zostaną zniszczeni.

- Zrobię wszystko, co w mej mocy, by ich obronić. Druidzi są w drodze, a ja również wysłałam innych ludzi.

- Jak mogę tu zostać i siedzieć beczynnie, gdy moi bracia zostaną zmasakrowani w Filiden? Nie, muszę tam wrócić!

- Tagorze! Chcę, byś stał z boku! Będziesz miał własną rolę do odegrania później, obiecuję ci. A jeżeli twoi bracia przegrają tę bitwę, dam ci okazję, by ich pomścić. Wybrali wojnę, nie powinieneś sobie niczego wyrzucać.

- Gdyby to było takie proste!

- Tagorze, musisz pozostać w górach Gor-Draka. Wkrótce do ciebie dołączę. Czekać na mnie.

- Dobrze, siostrzyczko. Będę czekał.

Wiem, że tak robi. Mam nadzieję, że się nie mylę. Ale przynajmniej tam jest bezpiecznie. Nie chcę teraz stracić brata. A wkrótce go zobaczę.

- Tagorze, czy znasz druida Kiarana?

- Nie, kim on jest?

- Jest członkiem Rady. Wiedział, że mam brata. Wydaje się, że wie o mnie wiele rzeczy, a ja nie wiem skąd... Zastanawiałam się, czy go znasz lub czy o nim słyszałeś.

- Nie, Aleo, przykro mi.

- Nic nie szkodzi. Teraz muszę już iść. Potrzebuję snu. Zostań w górach, bracie, i czekaj na mnie!

ROZDZIAŁ 8

NA WZGÓRZU SABLON

Rankiem następnego dnia Erwan, Galiad i Finghin pożegnali się z przyjaciółmi. Wszystkim było ciężko, popłynęły łzy. Mjolln był w złym humorze i skracał czas pożegnań.

Kiedy Erwan podszedł, by pożegnać się z Aleą, dziewczyna ujęła dłoń młodego magistela w swoje i popatrzyła na współtowarzyszy. Wszyscy odwrócili głowy. Zbliżyła twarz do jego twarzy i złożyła na jego ustach delikatny i czuły pocałunek. Erwan zamknął ją w uścisku swych ramion.

- Bądź ostrożny! - wyszeptała mu do ucha.

- Skoro wiem, że o mnie myślisz, nic mi się nie stanie - zapewnił ją z uśmiechem.

Cofnęła się o krok i spróbowała powstrzymać łzy napływające jej do oczu.

- Ty również uważaj! - dorzucił magistel, po czym się odwrócił.

Erwan dosiadł wierzchowca. Galiad i Finghin byli już gotowi do drogi.

- Ci, którzy jako pierwsi wypełnią misję, niech wyruszą na spotkanie pozostałych - powiedziała Alea. - Jeśli uwiniemy się w Mont-Tombe, zanim w Filiden skończą się walki, pojedziemy wam na pomoc. A jeżeli wy skończycie przed nami, czekajcie na nas pod Mont-Tombe. Nie wjeżdżajcie do miasta, ryzykowałibyście, że zostanieie pojmani. Jeżeli zakończymy nasze zadania w tym samym czasie, nasze drogi z pewnością się skrzyżują. Przejście między górami a morzem jest wąskie. Wyczuję waszą obecność, a Finghin będzie musiał odnaleźć i wyczuć naszą.

Druid skinął głową.

Galiad spojrzał po raz ostatni na Faith, a potem się odwrócił. Ruszyli galopem, nie chcąc przedłużać trudnej chwili rozstania.

Mjolln westchnął.

- No cóż! - powiedział. - Musiałem dotychczas znosić towarzystwo dwóch kobiet, a teraz będę miał na karku jeszcze jedną! Hem!

Kaitlin spojrzała na niego zaskoczona. Jeszcze nie była przyzwyczajona do osobliwego sposobu bycia krasnoluda.

- No, no, mój drogi Mjollnie - odparła Alea - jeśli wolisz jechać do Filiden, masz jeszcze czas, by dogonić naszych przyjaciół.

Krasnolud pokazał jej język.

- Jeżeli nie będziesz w stosunku do nas trochę bardziej uprzejmy, to naprawdę nie wiem, która weźmie cię na siodło!

- Skoro tak mówisz, mogę tu na was poczekać, he, he!

Alea zbliżyła się do krasnoluda i chwyciła go za ramiona.

- Och, nie! Bardzo by nam brakowało twej legendarnej grzeczności!

Kobiety dosiadły koni, trochę weselsze, a Faith wyciągnęła rękę do krasnoluda, który wskoczył na siodło tuż za nią.

- Muszę jeszcze nauczyć cię kilku rzeczy, jeśli oczywiście dalej chcesz zostać bardem przed świętem Beltaine...

Mjolln uniósł się w siodle, przełożył dudy przez biodro i zaczął grać wesołą melodię. Konie ruszyły na wschód.

W oddali, na południu, można było dojrzeć morze, niebieskie niczym niebo i spokojne jak ogromne jezioro. Słońce stało już wysoko, a lekki wietrzyk wiejący od strony wybrzeża był bardzo przyjemny. Kobiety jechały w milczeniu, słuchając z przyjemnością melodii wygrywanych przez krasnoluda.

Konie jechały poprzez pola. Alea nie chciała napotkać nikogo na swej drodze, a nizinne krajobrazy Harcourt były nad wyraz urokliwe. Jechali tak przez większą część poranka. Alea zwróciła się do towarzyszy:

- Powinniśmy teraz przyspieszyć. Jeżeli pojedziemy szybciej, możemy dotrzeć do Mont-Tombe już jutro.

Krasnolud westchnął i przełożył dudy na plecy, by mocniej objąć Faith w pasie.

- No to w drogę! - zagrział.

Alea nachyliła się nad koniem, pogłaskała go po szyi i wyszeptwała do niego kilka uspokajających słów. Potem ruszyła galopem, a za nią natychmiast pognały Faith i Kaitlin.

Zatrzymali się dopiero wczesnym popołudniem, by zjeść skromny posiłek w cieniu zagajnika, a potem pojechali w stronę Mont-Tombe, którego sylwetka w kształcie piramidy wkrótce miała się ukazać na horyzoncie.

Przez całe popołudnie się nie zatrzymali, a gdy słońce zaczęło wreszcie chować się za linią widnokregu, dostrzegli skałę pośrodku zatoki. Mont-Tombe zdawało się unosić ponad oceanem chmur. Ufortyfikowane miasto rozciągało się w refleksach słonecznych, a ogromne opactwo, ze strzelistą dzwonnica skierowaną ku niebu niczym pióro kopisty, górowało nad dachami szarych domów.

Zachwycona Alea długo patrzyła na Mont-Tombe. Budowla przypominała Sai-Minę, ale było w niej coś niezwykłego. Ta samotna skała tkwiąca na piaszczystym wybrzeżu wydawała się nierealna. Niewielkie kamienne domki zbudowane wzdłuż skał nad morzem zdawały się bronić budowli. I z trudem można było rozróżnić, co jest niebem, co ziemią, a co morzem.

- Zanocujemy tutaj - zdecydowała Alea.

Mjolln klasnął w ręce z uciechy. Całodzienna podróż w siodle nie należała do przyjemności, więc z radością zeskoczył na ziemię, by poczuć piasek pod stopami.

Przygotowali wieczerzę, podczas której Kaitlin miała okazję, by opowiedzieć o sobie. Żal po bracie wciąż był odczuwalny w każdym z jej słów, ale znalazła trochę pociechy w życzliwym przyjęciu przez nowych przyjaciół.

Zjedli, a potem szybko położyli się spać, wiedząc, że jutrzejszy dzień będzie bez wątpienia ciężki.

*

Imała! Gdzie jesteś, moja wilczyco? Czy wyruszyłaś do Mont- -Tombe? Czy pomyślałaś, że Erwan i Galiad cię opuścili?

Nie mogę jej odnaleźć. Nie ma jej w świecie Djar. Szukałam jej nawet przy drzwiach światów. Gdyby tam była, mogłabym wyczuć jej obecność. Czy uciekła ode mnie? Czy po prostu nie umiała tu wrócić? Mam nadzieję, że nic się jej nie stało. Nie jej. Nie Imali.

Muszę poprosić Kiarana, by ją odnalazł. Jest w świecie Djar o wiele częściej. Zna go lepiej niż ja. Może nawet ją widział... Ale czy będzie chciał mi odpowiedzieć? Ostatnio uciekł, gdy wspomniałam o swoim bracie. Powiedział po prostu, że o nim wiedział, a potem odszedł. Nie chce poruszać tego tematu. A jednak chciałabym wiedzieć... Ale jeżeli go zapytam, ryzykuję jego ponowne odejście. Muszę być ostrożna. Najpierw porozmawiam z nim o Imali.

Jest tutaj. Wystarczy, że go zawołam.

- Kiaran?

Otóż i on. Tak jak za pierwszym razem nie ma na sobie stroju druida. Znowu jest ubrany jak wędrowiec.

- Przywdzialiście wasze dawne ubranie?

- Tak. Brakowało mi go. Zastanawiam się, czy dobrze zrobiłem, opuszczając bliskich.

- Czasami życie zmusza nas do odtworzenia więzów rodzinnych...

- Rozumiem, co chcesz powiedzieć, Aleo.

- Kiaranie, potrzebuję was...

Zatem słucham.

Dużo czasu spędzacie tutaj. Już widzieliście moją wilczycę, prawda?

- Tę o białej sierści?

- Tak! Czy widzieliście ją ostatnio?

- Już od dłuższego czasu nie.

- Szukam jej. Muszę ją odnaleźć. Czy moglibyście mi pomóc?

- Mogę spróbować.

- Byłabym wam bardzo wdzięczna! Jestem trochę zaniepokojona. Jeśli ją zobaczycie, spróbujcie dać jej do zrozumienia, że jej szukam. Spróbujcie jej powiedzieć, żeby na mnie czekała...

- Zrobię wszystko co w mojej mocy.

- Dziękuję, Kiaranie.

Teraz mogę spróbować.

- Dlaczego ostatnim razem uciekliście?

- Nie lubię rozmawiać o sprawach, których nie rozumiem, Aleo. Nie chcę działać przeciw zamysłom Mojry...

- Wiecie o sprawach, które mnie interesują. Które mnie dotyczą. O których muszę wiedzieć!

- Nie wiem nic konkretnego, Aleo. Nic, czego nie mogłabyś dowiedzieć się sama. Trzeba, byś zrozumiała, że nauka jest o wiele ważniejsza niż wiedza.

- Co chcecie przez to powiedzieć?

Znowu milczy. Uśmiecha się do mnie. Wiem, że odejdzie. Lubi te małe tajemnice. Nie mam mu tego za złe. Kiaran jest sprawiedliwy, szlachetny. Może pewnego dnia zrozumie. A jednak... tak bardzo chciałabym wiedzieć!

*

Galiad, Erwan i Finghin zatrzymali się już w drugim miasteczku za granicą Harcourt i Galacji. Finghin przywdział na powrót swą białą druidzką szatę, a dwóch magistei nosiło na piersi białą materię, na której Kaitlin wyhaftowała w pośpiechu znak Alei.

Cała trójka robiła wielkie wrażenie i przyciągała zaciekawione spojrzenia wszystkich mieszkańców.

W pierwszym miasteczku zwerbowali trzech ludzi, których oczy rozbłysły na wieść, że Galiad formuje armię Samildanacha. Wszyscy patrzyli na druida i dwóch magisteli z uwielbieniem. Napięcie w kontaktach z Harcourt sprawiło, że okoliczni mieszkańcy byli o wiele bardziej bojowo nastawieni niż osadnicy na wschodzie Galacji, a imię Alei było już legendą, w której z radością chcieli uczestniczyć. Było tak, jakby obecność tych trzech ludzi, którzy się z nią zetknęli, stanowiła wielki honor dla całego miasteczka. Lecz zarazem zapowiedź ogromnego przewrotu.

Dwóch zwerbowanych mieszkańców miasteczka miało około czterdziestu lat. Walczyli dla Galacji w wojnie z Harcourt i zachowali broń oraz zbroje, które z dumą zaprezentowali. Trzeci był młodym synem kamieniarza. Miał na imię Talin i był zachwycony możliwością opuszczenia nudnej, sennej miejscowości, by zasmakować przygody. Erwan, który musiał sprawdzić, czy ci ludzie są zdolni do walki, od razu spostrzegł, że młodzieniec nie zna żadnej techniki wojennej, ale był krępy, zwinny i pełen entuzjazmu, tak że z pewnością bez trudu opanuje sztukę walki mieczem.

W drugim miasteczku, o wiele większym, nie tylko znaleźli pięciu nowych rekrutów, ale spotkali barda, którego Finghin poprosił o rozniesienie nowiny. Miał po całym kraju rozgłaszać, że Galiad Al'Daman, pogromca smoków, zmierza w stronę Filiden i każdy, kto chce służyć Samildanachowi, może dołączyć do jego armii. Imię magistela było już legendą. Każdy wiedział o jego chwalebnych dokonaniach wojennych oraz o zwycięstwie nad smokiem, któremu odebrał Banthrala, swój straszny miecz. Przekonanie Galatyjczyków, by podążyli za tym słynnym wojownikiem, było więc rzeczą łatwą, a imię Alei jeszcze zwiększyło entuzjazm. Jednakże Finghin nie kładł zbytniego nacisku na wiadomość, że idą z pomocą Tuathannom, lecz raczej skupił się na ataku na Harcourt i pomocy druidom. Trzeba było mieć wzgląd im wrażliwość Galatyjczyków, którzy wciąż nie mieli zbyt dobrego zdania o wojownikach z Sidu.

Z upływem czasu coraz więcej osób zbierało się pod sztandarami, które Erwan i jego ojciec dzierżyli z dumą. Stróże prawa, byli żołnierze, kowale, farmerzy, wszyscy chcieli podążać za znakiem Samildanacha, a im więcej wstępowało w szeregi armii, tym więcej chętnych znajdowało się w kolejnych miastach.

Gdy nadszedł wieczór i Galiad wydał rozkaz, by się zatrzymać, mieli już przeszło dwustu rekrutów, konnych bądź pieszych, z których oczu biła duma, czego Galiad się nie spodziewał.

Oczywiście była to zbieranina nieznająca dyscypliny typowej dla prawdziwej armii. W szeregach panował gwar i chaos, jednak wśród mężczyzn czuło się entuzjazm.

Gdy tylko rozbili obóz, Galiad poprosił Erwana i Finghina na stronę.

- Jeżeli już dziś nie wyjaśnimy pewnych spraw, z każdym dniem będzie gorzej - powiedział, wskazując na panujący wokoło bałagan.

Erwan przytaknął.

- Trzeba wyznaczyć jakąś hierarchię, jak w prawdziwym regimencie - ciągnął magistel. - Rozdzielić role, wyłonić tych, którzy mają najwięcej doświadczenia, tych, którzy mogą dowodzić, tych, którzy mają konie, tych,

którzy umieją się posługiwać łukiem, mieczem... Wszystko to musimy zrobić już tego wieczoru.

- Tak, ojcze.

- Erwanie, zgromadź wszystkich, którzy mają doświadczenie żołnierskie, i przyprowadź ich do mnie. Sprawdzę, czy będę mógł ustanowić jakąś hierarchię między nimi. W tym czasie ty zajmiesz się pozostałymi, a tym, którzy nie umieją walczyć, wyjaśnisz podstawy. Mamy niewiele czasu i nawet kilka godzin treningu może mieć ogromne znaczenie... Finghinie, nie wiem, czy to potrafisz, ale widziałem kiedyś, jak Felim przygotowywał armię do boju, lecząc niewielkie skaleczenia, codzienne dolegliwości, które mogą osłabiać ludzi. Mógłbyś spróbować?

- Oczywiście - przytaknął Finghin.

- Zatem pospieszmy się - powiedział magistel.

Ton głosu Galiada uległ zmianie. To nie był już magistel, ale prawdziwy dowódca wojskowy. Erwan nigdy nie widział ojca takiego jak teraz. Z pewnością Galiad dawno nie dowodził armią. Stał w służbie Felima niedługo po narodzinach Erwana i jego życie stało się wówczas bardziej życiem samotnika. Ale wydawało się, że nie zapomniał o swej wojowniczej przeszłości.

Erwan cały dzień podróżował w towarzystwie Talina i bardzo go polubił. Poprosił go zatem o pomoc w zorganizowaniu rodzącej się armii.

Wśród przeszło dwustu ludzi jedynie sześćdziesięciu miało doświadczenie wojskowe. Erwan z pomocą Talina oddzielił ich od reszty i poprosił, by dołączyli do Galiada. Następnie zgromadził pozostałych i dosiadł konia, by być lepiej widocznym dla wszystkich.

- Galatyjczycy! Zechcieliście wstąpić w szeregi armii Samil- danacha, za co jesteśmy wam wdzięczni!

Wokoło rozległy się entuzjastyczne okrzyki.

- Cisza! Nie mamy czasu do stracenia! Skoro zdecydowaliście się do nas dołączyć, to znaczy, że jesteście gotowi umrzeć za Samildanacha. Jeżeli pośród was są tacy, którzy nie chcą się poświęcić dla jego sprawy, niech opuszczą nasze szeregi teraz, bo potem będzie za późno.

Erwan przerwał i potoczył wzrokiem po zgromadzonych przed nim ludziach, wśród których zapanowała cisza. Widział, że udało mu się przykuć ich uwagę.

- Jestem Erwan AFDaman, syn Galiada AFDamana, pogromcy smoków. Jestem magistrem Finghina, Wielkiego Druida z Rady Sai-Miny. Od tej chwili pozostajecie pod moimi rozkazami, pod rozkazami mojego ojca oraz Wielkiego Druida. Jeżeli któryś z was nie zechce uznać naszego autorytetu, niech natychmiast opuści nasze szeregi, gdyż potem będzie za późno!

Nikt nawet nie drgnął.

Dobrze. Ludzie, których widzicie tam, zgromadzonych wokół Al'Damana, już służyli w wojsku. Mają wojskowe doświadczenie i umieją się bić. Ale wy, tutaj, nie jesteście wojownikami...

- A jednak potrafimy się bić! - krzyknął ktoś z tłumu.

- Kto to powiedział?

Tłum się rozstał i Erwan ujrzał człowieka o szerokich ramionach. Ten, zawstydzony, pochylił głowę.

- To ja - powiedział, podnosząc wzrok na Erwana.

- Czym się zajmujesz? - zapytał młody magistel.

- Ramię drzewo i buduję nasze domy - odpowiedział z dumą.

- I potrafisz się bić?

- Oczywiście! To, że nie jestem rycerzem, nie znaczy, że nie potrafię tego robić!

- To prawda - potwierdził Erwan. - Dwa dni temu spotkałem dwoje wędrowców, którzy bili się lepiej niż niejeden wojownik. A jaką bronią władasz?

- Moimi pięściami! - krzyknął, wzbudzając salwy śmiechu.

- Myślisz, że pokonasz wielu Rycerzy Płomienia jedynie za pomocą gołych pięści? - zapytał Erwan z ironią.

Człowiek wzruszył ramionami.

- Obawiam się - ciągnął Erwan - że twoje pięści nie wystarczą. I coś mi mówi, że gdybym zsiadł z konia, by się z tobą zmierzyć na gołe pięści, niedługo dotrzymałbyś mi kroku. Chcesz spróbować?

- Eee... Nie. Wierzę wam, panie Erwan!

Tłum wybuchnął śmiechem.

I dobrze robisz. Ale cieszę się, że potrafisz się bić. To lepsze niż nic! A skoro powalasz drzewa, to znaczy, że nieźle radzisz sobie z toporem, prawda? To jeszcze lepiej. Jednakże nie powinieneś zapominać, że ludzie, z którymi mamy się zmierzyć, są doskonale wyszkoleni. Armia Harcourt jest silniejsza niż armia Gaelii, a naszą jedyną szansą jest zdobycie pola przy pomocy druidów. Zatem nie bądźcie zbyt w sobie zadufani, nawet jeśli jesteście znani w miasteczku jako świetny pięściarz. Walka z Rycerzami Płomienia sprawdzi wasze umiejętności. Zostało nam niewiele czasu. Zbyt mało, by uczynić z was rycerzy. Jednak spróbujemy wpoić wam niezbędne minimum. Czy są wśród was tacy, którzy już mieli w ręku łuk?

Kilka dłoni uniosło się w górę.

- Bardzo dobrze. Przejdźcie na prawą stronę. Wszyscy, którzy mieli w ręku topór, nawet jeżeli tylko ścinali nim drzewa, niech przejdą na lewo. Czy któryś z was umie posługiwać się mieczem?

Mniej niż dziesięciu ludzi podniosło ręce.

- Rozumiem... Stańcie pośrodku. Pozostali niech także staną pośrodku.

Dobrze. A teraz, czy są wśród was kowale i stolarze?

Czterech ludzi podniosło dłonie.

- Wy - wskazał ich Erwan - zajmiecie się naszą bronią. Naprawicie tę, która jest uszkodzona, i proszę was, byście przygotowali tyle nowej, ile zdołacie. Wiem, że nie będziecie mieli wystarczająco dużo czasu, by zrobić piękne miecze, ale na pewno potraficie zrobić kilka łuków i wiele strzał. A zatem do roboty! Zaczynamy od teraz.

Kowale i stolarze skierowali się w stronę obozowiska.

- Dobrze, pozostali niech tu chwilę poczekają i nie rozchodzą się! - rozkazał Erwan.

Młody magistel zwrócił się do Talina:

- Zgromadź całą broń z obozu i posortuj ją. Zaraz wrócę.

Erwan odwrócił się i podjechał stępą w stronę ojca i żołnierzy.

Galiad, który był w trakcie przepytywania ludzi, przerwał, by wysłuchać syna.

- Potrzebuję sześciu ludzi, w tym dwóch łuczników - wyjaśnił Erwan.

Galiad pokiwał głową. Wybrał sześciu ludzi i rozkazał im iść z młodym magistrem.

Rozpoczęło się przygotowanie pierwszych ochotników zgromadzonych pod sztandarami Samildanacha. Erwan czuwał nad szkoleniem aż do zapadnięcia zmroku, próbował wyszukać najzręczniejszych i dawał rady debutantom. Galiad mianował trzech kapitanów oraz dwunastu poruczników i wytłumaczył im, że będą musieli poprowadzić pozostałych, czuwać nad nimi i wpoić im zasady wojskowe.

Co do Finghina, znalazł on wielu ludzi, których wyleczył ze starych kontuzji i przewlekłych dolegliwości, tym zaś, którzy byli w gorszej formie, przekazał trochę witalności.

Kiedy było już naprawdę późno i gdy zmęczenie dało się wszystkim we znaki, Galiad ogłosił koniec ćwiczeń.

Ludzie posilili się i natychmiast udali na spoczynek. Większość z nich była wyczerpana, ale wszyscy byli zadowoleni.

*

Alea obudziła towarzyszy zanim jeszcze słońce ukazało się na niebie.

- Musimy ruszać natychmiast - wyjaśniła. - Ta wyprawa do Mont-Tombe oddzieliła nas od Finghina i reszty i nie podoba mi się to. Oni potrzebują naszej pomocy. Chcę to jak najszybciej skończyć.

Mjolln grymasił przy śniadaniu i był nie w humorze, ale Kaitlin i Faith go rozśmieszały, a kobieta bard znowu wzięła go na siodło.

Natychmiast pogalopowali wybrzeżem na zachód od Rii, w pierwszych promieniach słońca. Wybrzeże opadało na północny zachód, a potem zaczęło się wznosić w stronę południową, w miarę jak zbliżali się do zatoki Mont-Tombe.

- Pospieszmy się - powiedziała Faith, wpatrując się w horyzont. - Poziom wody jest jeszcze niski, powinniśmy móc przejechać. Ale trzeba to zrobić bardzo szybko, przyływ może nastąpić w każdej chwili, a my musimy unikać ruchomych piasków! Zatoka jest szczególnie niebezpieczna...

Znowu spięli konie do galopu i nie tracąc czasu, pognali w stronę brzegu.

Dotarli nad zatokę w południe. Morze było jeszcze daleko, ale jego poziom zaczął się podnosić.

- Nie mamy czasu, by dotrzeć do głównej grobli - wyjaśniła Faith, która знаła te strony. - To z pewnością najbezpieczniejsza droga, ale jeśli chcielibyśmy przejechać tamtędy, stracilibyśmy zbyt dużo czasu...

- Hem! Ale jeżeli pojedziemy w poprzek zatoki, ryzykujemy spotkanie z ruchomymi piaskami. O tak, to z pewnością o wiele bardziej niebezpieczne! I przypominam pani, Faith, że pewien krasnolud nie umie pływać.

- Nie mamy wyboru, Mjollnie - powiedziała zakłopotana Alea. - Musimy przejechać teraz albo poczekać na następny odpływ. No, jesteśmy konno, nic nam nie grozi!

Mjolln wznosił oczy ku niebu, potrząsając głową.

- Tralala! Dyskusja z tobą, moja miotaczko kamieni, jest bezcelowa. Ty się niczym nie przejmujesz!

- Jedziemy! - krzyknęła zniecierpliwiona Alea.

Konie pocwałowały po białym piasku, w którym miejscami pojawiały się żółta trawa. Mont-Tombe stawało się coraz lepiej widoczne: ich oczom

ukazały się dachy, okna, okienka strzelnicze, kamienne ściany, wieżyczki, drzewa wypełniające przestrzeń pomiędzy domami a olbrzymim budynkiem...

Alea podziwiała sylwetkę opactwa, gdy nagle poczuła, że kopyta jej konia zagłębiają się w piasku. Natychmiast roztoczyła wokół siebie Saimana. Podmuch energii wślizgnął się pomiędzy drobinki piasku i ścisnął je, by utwardzić podłoże. Koń pędził i Alea miała trudności z opanowaniem kierunku Saimana. Chciała, by był przed nią i daleko za nią, tak by dwa pozostałe konie również się nie zapadły. To wymagało od niej niewiarygodnej energii. Saiman tańczył jej przed oczyma. Zaczynało się jej kręcić w głowie. Wzrok się zamazywał. Lecz piasek był coraz miększy. Nie mogła się zatrzymać. Alea wpiła palce w końską grzywę, by nie spaść. Zaczynała tracić równowagę. Fale Saimana stawały się coraz bardziej nikle. Musiała zebrać się w sobie. Płomień. Kontrolować płomień.

Pomyślała o radach Erwana. Odetchnęła głęboko i skoncen- I rowała się na punkcie pośrodku czoła. Było tak, jakby zaczynała od nowa. Wydawało się, że Saiman się jej wymknął, ale ona trwa- I i w koncentracji. Tak długo, aż zaczęła ją boleć głowa. A kiedy kopyta konia natrafiły wreszcie na twarde podłoże, ześlizgnęła się z wierzchowca i upadła na ziemię.

Koń biegł jeszcze jakiś czas, w końcu się zatrzymał i obrócił leb w jej stronę.

- Alea! - krzyknął Mjolln, który ujrzał, jak dziewczyna spada z konia.

Krasnolud bez zastanowienia zeskoczył z konia Faith i potoczył się kilka metrów po mokrym piachu. Wstał, potrząsając głową, a potem pobiegł w stronę dziewczyny.

Alea leżała bez ruchu, z twarzą w piasku.

Krasnolud padł na kolana obok niej i odwrócił ją na plecy. Potrząsnął nią, poklepywał ją po twarzy, a potem odgarnął jej włosy z czoła.

Alea powoli otworzyła oczy. Mjolln wydał głośnie westchnienie ulgi.

- Jak się czujesz? - zapytał, gładząc ją po policzku.

- Dobrze, dobrze, zemdlałam tylko... Dziękuję, Mjollnie.

- Jesteś zbyt zmęczona, Aleo! - wykrzyknął krasnolud, którego serce waliło jeszcze jak młotem. - Nie powinniśmy dalej jechać w takim tempie, co to, to nie! Hem! To szaleństwo, moje dziecko!

Alea głęboko odetchnęła i spróbowała wstać. Była jeszcze trochę oszołomiona, ale wsparta na ramieniu krasnoluda zachowała równowagę.

- Nie, Mjollnie, to nie to... zapewniam cię...

- Alea użyła zbyt wiele energii Saimana - wtrąciła Faith, która również zsiadła z konia. - Nie zdajesz sobie z tego sprawy, dudziarzu, ale ona właśnie ocaliła nam życie.

Krasnolud zmarszczył brwi.

- O czym wy, u licha, mówicie?

Alea się uśmiechnęła. Powoli dochodziła do siebie. Płomień Saimana, który zgasł podczas upadku, znowu migotał w jej umyśle.

- Już mi lepiej - zapewniła. - Czuję się dobrze. Morze przybiera, musimy natychmiast ruszać w dalszą drogę. Nie martw się, Mjollnie, naprawdę wszystko w porządku.

Krasnolud się skrzywił. Patrzył, jak Alea dosiada wierzchowca, i wzruszył ramionami. Faith pomogła mu usiąść za sobą i pojechali. Mont-Tombe było już blisko.

*

- Rycerze Płomienia byli tutaj jeszcze wczoraj rano, panie druidzie!

Finghin rzucił Galiadowi niespokojne spojrzenie. Oberżysta wyglądał na śmiertelnie przerażonego. Armia Harcourt miała zatem dzień przewagi nad nimi i jeżeli wierzyć relacjom, była bardzo liczna.

- Widziałem jedynie nikłą jej część, nie wszyscy tędy przechodzili. Ale słyszałem ich rozmowy. Musiałem ich nakarmić, a oni mi nawet nie zapłacili! Łotry!

Druid podziękował i wyszedł z oberży wraz z Galiadem.

Na zewnątrz wojownicy Samildanacha, jak sami się nazwali, stali w sile pięciuset ludzi, ale Galiad zdawał sobie sprawę, że w stosunku do Rycerzy Płomienia ich liczba jest śmiesznie mała. Czy naprawdę będą mogli pomóc Tuathannom? Czy przybędą na czas? Trzeba będzie jeszcze bardziej przyspieszyć, a to pozbawi ich szansy, by udzielić tym ludziom choć kilku lekcji, kilku wskazówek przed wojną, do której tak naprawdę nie są stworzeni.

- Erwanie, powiedz kapitanom, by skrócili postój. Musimy wyruszyć jak najszybciej.

Młody człowiek natychmiast wykonał rozkaz.

Grupy były coraz lepiej zorganizowane. Hierarchia została przyjęta i wszyscy bez protestów słuchali dowódców. Dla więk szości z nich marsz u boku druida i dwóch magisteli był przywilejem wystarczająco dużym, by nie ośmielali się narzekać na tempo pochodu i brak snu.

Filiden było jeszcze daleko i Galiad się domyślał, że Rycerze Płomienia poruszali się o wiele szybciej i zyskają jeszcze większą przewagę. Miał nadzieję, że będzie mógł znaleźć jakiś sposób na to, by obrócić to opóźnienie na swoją korzyść. Jeżeli Rycerze Płomienia nie zostaliby uprzedzeni, że pod sztandarem Samildanacha zebrała się armia, mogłaby ona z zaskoczenia zatakować tyły. Lecz sieć bardów już rozgłosiła nowinę i nie było /był wielu szans na to, by Harcourtczycy jej nie słyszeli.

Kiedy skończył się czas posiłku, wojownicy Samildanacha wyruszyli w dalszą drogę. W kolejnych miasteczkach ta niewielka armia zyskiwała nie tylko nowych rekrutów, ale również wiele darów. Jedzenie, broń, zbroje, ubrania w kolorach sztandaru, białe i czerwone, konie... Wieść o ich pochodzie ich wyprzedzała i mieszkańcy wiosek i miasteczek czekali na wojowników i przyjmowali ich z honorami.

Zdziwiony tym nieoczekiwanym entuzjazmem Galiad przepyla jednego z kapitanów. Był to dawny żołnierz, który po wojnie z Harcourt został stolarzem, ale cieszył się znacznym autorytetem.

- Imię Samildanacha było już na ustach wszystkich, zanim narodziła się ta armia, Al'Damanie. Już od dłuższego czasu mieszkańcy Galacji czekali na to wydarzenie. Na zmianę i na okazję, by zemścić się na Harcourt.

- Sądysz, że cała Galacja myśli w ten sposób? - zapytał Galiad.

- Nie. Myślę, że to dotyczy szczególnie regionów zachodnich, tych, które mają bezpośredni kontakt z chrześcijanami. Ale to nie wszystko.

-Tak?

Amina. Pierwszy raz od naprawdę długiego czasu lud Galacji nie szanuje swego suwerena. Nikt tu nie kocha królowej, a gdy znalazła, że nie pomoże druidom w odparciu ataku Harcourt, jeszcze pogorszyło to sprawę. To dlatego rycerze, których napotkaliśmy w ostatnim miasteczku, przymknęli oko... Sądzę, że w głębi duszy woleliby stanąć po naszej stronie. Służyć Samildanachowi, a nie tej, która zamordowała naszego króla.

- Może po prostu się nas bali. W końcu było nas dziesięć razy więcej. Może teraz przygotowują szczegółowy raport dla królowej.

- Może, ale nie sędzę.

- Dziękuję wam, kapitanie. Możecie odejść.

Żołnierz zasalutował i wrócił do swoich ludzi.

Magistel patrzył, jak odchodzi, a potem spiął konia, by stanąć na czele armii. Ludzie szli coraz szybciej. Byli gotowi na wszystko. Gotowi na śmierć. Za Galację, za Samildanacha, a tak naprawdę nie do końca wiedzieli za co.

Galiad westchnął. Zastanawiał się, czy Alea pomyślała o tym, jak to wszystko może się skończyć. Z pewnością setki ludzi poniosą śmierć. Setki ludzi, których nawet nie znała, umrą dla niej. A jednak, czy miała wybór? Czy można było pozwolić, by Harcourt narzucało im swoją zwierzchność, religię? Co się stanie, jeżeli chrześcijanie zwyciężą? Galiad wolał o tym nie myśleć i dołączył do Finghina.

*

Późnym popołudniem dotarli przed wrota u stóp Mont- -Tombe. Za ogromną kamienną bramą stacjonował w kordegardzie oddział Rycerzy Płomienia, którzy nie zwracali uwagi na wchodzących. Mont-Tombe było przyzwyczajone do gości, a dolne miasto nie było zbyt pilnie strzeżone. Za to do opactwa właściwie nie sposób było się dostać.

Alea, Faith, Kaitlin i Mjolln przeszli przez bramę i dotarli na trójkątny dziedziniec, na którym kłębiły się wozy przyjezdnych oraz tłumy przechodniów. Musieli zostawić swe wierzchowce w obszernych stajniach Mont-Tombe. Jedynie rycerzom oraz kupcom wolino było wprowadzać zwierzęta za mury opactwa. Pozostali, łącznie z studentami, musieli zostawiać je w stajniach na małym dziedzińcu. Był to rodzaj przejścia pomiędzy bramą Avancee a zamykaną na noc Bramą Bulwaru. Przechodziło się wzdłuż szerokiej ściany i wchodziło do ufortyfikowanego miasta.

Towarzysze wolno torowali sobie drogę wśród tłumu, starając się nie rzucać zbyt w oczy, ale nie mogli się powstrzymać od rozglądania się i podziwiania wielkości otaczających ich budynków.

Przeszli przez drugą bramę i dotarli do szerokiej arterii, która ciągnęła się wzdłuż murów. Z każdej strony w górę pięły się wysokie i wąskie domy. Ponad dachami można było dostrzec szczyty fortyfikacji oraz strzeliste wieże.

Ulica była bardzo ruchliwa. Przechodzący nią ludzie byli bardzo młodzi, a Alea natychmiast rozpoznała szaty studentów. Było tam również wielu handlarzy oraz kilku podróżnych, którzy wstąpili tu przejazdem, by podziwiać wspaniałości Mont-Tombe.

Ulica lekko pięła się w górę, a przybysze szli w milczeniu wzdłuż bulwaru. Na końcu ulica skręcała, by przejść w następną, która obejmowała kolejne piętro. W ten sposób dotarli do murów ogromnego opactwa.

- To tutaj - wyjaśniła Faith, chwytając Aleę za ramię. - Uniwersytet jest właśnie tu.

- W opactwie? - zdziwiła się Alea.

- Oczywiście! To przecież mnisi prowadzą wykłady. Opactwo dzieli się na dwie części. Centralny budynek ma kształt krzyża, niczym kościół, a jego północna flanką kończy się ogromną budowlą zwaną Merveille. To właśnie tam

mnisi spotykają się z uczniami. Tam również znajduje się skryptorium oraz biblioteka.

- Krótko mówiąc, to właśnie tam musimy się dostać - powiedziała Alea.

- Tak - pokiwała głową Faith. - Ale to wcale nie będzie łatwe!

- Którędy się wchodzi?

- Strażnicy wpuszczają jedynie mnichów oraz studentów. Wchodzą przez Furte, o tam, w tym niewielkim budynku u stóp opactwa. Stamtąd idzie się do Wielkich Stopni, które prowadzą do trzech pięter budynku. Są tam również drzwi do Duszpasterstwa, gdzie mnisi przyjmują ubogich... Ale w Mont-Tombe nie ma zbyt wielu ubogich.

- Sądzisz, że uda nam się tam wejść?

- Z trudem, bo z trudem, ale moglibyśmy spróbować przebrać się za mnichów lub studentów - powiedziała Faith, krzywiąc się.

- Zatem jak to zrobić?

Kobieta bard popatrzyła w górę, na mury opactwa.

- Zewnętrzne Wielkie Stopnie prowadzą również do wąskiego korytarza powyżej murów, o tam. - Faith wskazała mur ciągnący się wzdłuż ulicy. - Korytarz dochodzi aż do tej wieży po prawej. Jeżeli znajdziemy sposób, by dostać się do tej wieży, i jeżeli jakoś przemkniemy niezauważeni tym korytarzem aż do schodów, będziemy mogli dojść do wnętrza opactwa. Ale to dopiero początek!

- I to wszystko po to, by odnaleźć jakieś księgi! - wykrzyknął Mjolln. - Przecież ty nawet nie umiesz czytać!

- Faith umie - odparła Alea, wyraźnie zdenerwowana. - A ja zaczynam się uczyć... Kaitlin?

Aktorka pokiwała głową.

- Tak, dawno temu uczyłam się czytać. Nie gwarantuję, że jestem dość biegła, ale chyba będę mogła ci pomóc, Aleo.

- Tak czy siak, nigdy nie dostaniemy się do środka, o nie! - rzucił Mjolln.

Alea westchnęła.

- Posłuchaj! Lepiej byś zrobił, gdybyś znalazł sposób na dostanie się do tej wieży, zamiast cały czas marudzić!

Mjolln spuścił głowę, rozglądając się dookoła.

Ciii! Nie tak głośno, bo nas zdemaskujesz! - wyszeptał, podnosząc wzrok na Aleę.

- Dokładnie naprzeciw wieży jest tawerna - wtrąciła Faith. - Możemy tam coś zjeść, a potem dyskretnie rozejrzeć się po okolicy.

Zeszli ulicą w dół, rzucając kilka niespokojnych spojrzeń w stronę opactwa.

- Hem! I w dodatku znowu ja będę musiał płacić! - poskarżył się Mjolln, wkładając ręce do kieszeni.

Alea nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

- Dobrze, Mjollnie! Jeśli dziś wieczorem pomożesz mi w tym opactwie, obiecuję, że wrócę z tobą do Borcelii, by pomóc ci zabrać skarb, który odkryłeś i który będziesz mógł zachować tylko dla siebie. To wynagrodzi ci po stokroć wszystkie wieczery, które mi zafundowałeś!

Krasnolud zagryzł wargi, jego twarz przybrała zadowolony wyraz.

- Naprawdę? - zapytał, zatrzymując się.

Alea odwróciła się do niego.

- Ten skarb czy jakiś inny! Ale obiecuję ci mnóstwo złota, mnóstwo pieniędzy, zgoda?

- Tylko szalenciec by się nie zgodził. He, he, he! Teraz mogę zdobyć każdą wieżę, moja miotaczko kamieni!

Alea ujęła go pod ramię i skierowali się w stronę tawerny.

Rozglądali się wokół, rozkoszowali się jedzeniem i słuchali, o czym rozmawiano. Panowała jowialna atmosfera, nic nie wskazywało na to, że wojna wpływa na zmianę obyczajów licznie przychodzących do tawerny studentów. W Mont-Tombe żyło się trochę na uboczu, z dala od wszystkiego, nawet wojen.

Wraz z zapadnięciem nocy podróżni opuścili tawernę i skierowali się w stronę domu u stóp wieży. Jednak na ulicy było jeszcze wielu ludzi, a księżyc w pełni zalewał całe miasto swym blaskiem.

- Nigdy nie uda nam się przejść niezauważenie! - wyszeptała Kaitlin, zbliżając się do Alei.

Dziewczyna zagryzła wargi.

- Może trzeba będzie znaleźć inny sposób - zasugerowała Faith.

- Nie! - odparła Alea. - Poczekajcie, z pewnością ta wieża ma schody i może po prostu znajduje się do niej jakieś wejście.

- To by mnie zdziwiło - powiedziała Faith. - A poza tym pewnie jest zamknięte na głucho.

Alea się uśmiechnęła.

- A to już biorę na siebie! Poczekajcie tu na mnie.

Dziewczyna przemknęła między dwoma domami i zniknęła w ciemności.

Mjolln podniósł wzrok na Faith.

- Taak. Będziemy się okropnie nudzić, gdy to wszystko już się skończy, nieprawdaż? - powiedział z uśmiechem.

- Jeżeli zostaniemy z Aleą, to raczej nie narazimy się na nudę.

- Całe życie? O nie! Przypominam, że chcę zostać bardem!

- Nie wytrzymasz bez niej nawet miesiąca! - zaśmiała się kobieta.

Mjolln podrapał się w brodę, wykrzywiając twarz w śmiesznym grymasie.

- Nie. Nawet tygodnia. Hem. Przeklęte dziewczynisko!

Kaitlin podeszła do nich bliżej.

- Czy ona zawsze jest taka? - zapytała z uśmiechem.

Faith i Mjolln spojrzeli po sobie, a potem odwrócili się w stronę aktorki i pokiwali głowami.

Kilka chwil później z mroku wyłoniła się sylwetka Alei.

- Psst! - zawołała cicho. - Chodźcie!

Rzucili okiem na ulicę, by się upewnić, że nikt na nich nie patrzy, i pospiechali w stronę dziewczyny.

- Otwarte! - powiedziała Alea z dumą.

Potem przeszła na drugą stronę ulicy i dała znak, by poszli za nią.

Rzeczywiście u stóp wieży ujrzeli niewielkie drzwi. Zamek był sforsowany.

Alea wślizgnęła się do środka. Mjolln zawahał się chwilę, po- p. ilrzył w górę, a potem poszedł w ślady dziewczyny. Za nim podążyły Faith i Kaitlin.

Kręte schody były bardzo strome. Prowadziły prosto na szczyt wieży. Alea wiele razy zatrzymywała się, by złapać oddech, ale odda- lila się znacznie od krasnoluda, dla którego wysokie stopnie stanowiły nie lada wyzwanie. Schody

wiły się w górę w ciemności, oświetlane od czasu do czasu promieniami księżyca wpadającymi przez 11 niewielkie otwory strzelnicze. Stopnie były wytarte i śliskie. Często traciли równowagę i musieli chwycić się ścian, by nie upaść.

Wreszcie Alea dotarła na szczyt, ciężko dysząc. Przed nią były drzwi, identyczne jak te na dole. Słyszała kroki Mjollna za plecami. Robił tyle hałasu, że ryzykowali, iż zostaną odkryci. Nie mogła jednak do niego krzyknąć. To było jeszcze bardziej ryzykowne.

Odwróciła się i przytknęła ucho do drzwi, nasłuchując, czy po drugiej stronie ktoś jest. Z pewnością na wieży byli robiący obchód strażnicy, pozostawało mieć nadzieję, że nie czynili tego właśnie teraz.

Odnalazła w umyśle Saimana. Ciepły powiew ogarnął jej ciało. Wolno wyszedł z niej i prześlizgnął się przez dziurkę od klucza. Alea wciąż wysyłała kolejne jego fale na drugą stronę drzwi. Ślizgał się po kamiennej posadzce, potem unosił się, wypełniając i badając przestrzeń. Był na murach. W tej chwili nikogo tam nie było. Alea posłała Saimana jeszcze dalej. Przemierzał korytarz niby niekształtny obłok. Wciąż nic. Droga była wolna.

Wkrótce dołączył do niej Mjolln, a potem Faith i Kaitlin. Krasnolud usiadł na ostatnim stopniu, kompletnie wyczerpany.

Alea położyła palec na ustach, dając im znać, by byli cicho. Odszukała w kieszeni niewielki wytrych, którego użyła, by sforsować zamek na dole, a następnie otworzyła kolejne drzwi. Zamek ustąpił z cichym kliknięciem.

Alea wyprostowała się, uśmiechając się z satysfakcją, a potem schowała kawałek żelaza do kieszeni, mrugając do Mjollna, który powoli odzyskiwał normalny oddech.

Gestem kazała przyjaciółom ukryć się za sobą i ostrożnie popchnęła drewniane drzwi. Zeszła ze schodów i stanęła w korytarzu, a potem zaczęła wolno posuwać się naprzód. Za nią podążali jej towarzysze.

Dolatywały tu echa ostatnich nocnych hałasów. Szczęk zatraskiwanych okiennic, rozmowy gości opuszczających tawerny, chlup wody wylewanej z wiader przez otwarte okna.

Cztery pochylone sylwetki posuwały się wzdłuż murów. Uważny obserwator mógłby je dostrzec, jednak takowy się nie pojawił i postacie przemknęły niepostrzeżenie.

Wkrótce dotarli do północno-zachodniego skrzydła, tam gdzie korytarz skręcał pod kątem prostym, by opaść na południe, w stronę Wielkich Stopni. Alea zatrzymała się i dała znak, by pozostali poszli w jej ślady. Dostrzegła światło przy wejściu na schody. Z pewnością były to pochodnie przytwierdzone do ścian. To nie musiało oznaczać, że ktoś jest po drugiej stronie, jednak nie można było tego wykluczyć. Zamykając oczy, kolejny raz wysłała przed siebie Saimana, który wypełnił całą komnatę, kończącą się powyżej schodów.

Nagle podskoczyła. Poczowała kształt człowieka. A potem następny. Strażnicy. W tej sali byli dwaj strażnicy. Alea się skrzywiła. Przestała się zajmować Saimanem i odwróciła się do przyjaciół.

- Pierwsza trudność - powiedziała cicho.
- Aha! A schody to niby była przyjemność? - zapytał Mjolln z ironią.
- Ciii! - wyszeptwała Faith tuż za nim.
- Na szczycie schodów jest dwóch strażników - wyjaśniła Alea. - Może robią obchód korytarza, a wówczas ryzykujemy, że prędzej czy później się na nich natkniemy!

- Obejdziemy ich? - zapytał Mjolln.

Nie! - Alea potrząsnęła głową. - Musimy jakoś dotrzeć do drzwi. Jeśli się pojawią, nie będziemy mieli innego wyjścia, jak ich ogłuszyć i związać. Jeżeli odejdą, po prostu tam wejdziemy.

- Ach tak! - skrzywił się Mjolln. - Zaczynają się działania wojenne.

Alea zaczęła się wspinać, tym razem o wiele szybciej. Nie mogła dopuścić, by strażnicy ją zaskoczyli. Musieli dotrzeć do drzwi, zanim się zjawią.

Kiedy dotarła do schodów, przytknęła ucho do ściany obok drzwi i dała znak Mjollnowi, by się pospieszył.

Krasnolud dobiegł do niej i schował się za jej plecami. W chwili gdy Kaitlin uniosła się, by do nich dołączyć, drzwi otworzyły się dokładnie obok Alei i Mjollna.

Kaitlin znieruchomiała, szukając miejsca, w którym mogłaby się ukryć, ale było już za późno.

- Co... - zaczął strażnik, widząc Kaitlin i Faith pośrodku korytarza.

Dobył miecza i ruszył w stronę kobiet, za nim pospieszył drugi strażnik. Ale zanim zdążyli zaatakować, Alea ukryta za drzwiami posłała w ich ślad kulę Saimana, która uderzyła ich prosto w karki.

Strażnicy padli na ziemię bez zmysłów. Faith i Kaitlin dostrzegły wyciągnięte w przód dłonie Alei i zrozumiały, komu zawdzięczają ocalenie. Przeskoczyły nad leżącymi na ziemi strażnikami i dołączyły do Mjollna i dziewczyny.

- Nie możemy ich tak zostawić - wyszeptała Alea. - Zaraz się obudzą i mogą wszcząć alarm.

Kaitlin się odwróciła. Popatrzyła na nieprzytomnych mężczyzn, zawahała się chwilę, a potem uklękła obok nich. Oderwała długie pasy materiału z ich tunik i zakneblowała ich.

- Potrzebuję czegoś, by związać im ręce! - powiedziała do towarzyszy.

Alea rozejrzała się po komnacie, ale nie dostrzegła niczego, co mogłoby okazać się przydatne. Uniosła wzrok i zobaczyła dwa świeczniki zwisające na sznurze.

- Trzymaj! - powiedziała do Kaitlin. - i wiąż mocno! Nie mogą się uwolnić.

- Nie martw się - odparła Kaitlin z uśmiechem. - Umiem wiązać takie węzły, że sama nie potrafię ich rozwiązać!

Kiedy obaj strażnicy byli już zakneblowani i związani, Kaitlin zaciągnęła ich aż do zakrętu w korytarzu, mając nadzieję, że nikt ich tam nie znajdzie. Faith jej pomogła, a potem pobiegły w stronę drzwi i weszły na Wielkie Stopnie.

*

Znajdowali się tylko o dzień drogi od Filiden i było ich już ponad tysiąc. Erwan i Talin naliczyli tysiąc dwustu ludzi. Było to o wiele więcej, niż spodziewał się Galiad, ale z pewnością za mało. Jednak było w tej armii coś wzruszającego. Wszyscy kierowali się tą samą nadzieją: by zmienić świat. Zmienić świat z Samildanachem.

Patrząc na tłum żołnierzy maszerujących zdecydowanym krokiem w stronę Filiden, Galiad zrozumiał w jednej chwili, że zatrzymaliby się dopiero wówczas, gdyby Alea tego zażądała. Wciąż przybywało nowych wojowników

Samildanacha. Były ich w całym kraju z pewnością jeszcze tysiące. Już nie można było się cofnąć. Zmiany właśnie się dokonywały. A najniezwyklejsze było to, że motorem ich działania była kilkunastoletnia dziewczyna.

Galiad zastanawiał się, czy ci ludzie wiedzą, o jakiej Gaelii tak naprawdę marzą. Jakich zmian chcieli? Jakiego lepszego świata? Z całą pewnością większość nie miała pojęcia. Czy on sam był pewien zamiarów Alei? To nie dla idei nowego świata maszerowali ci ludzie, lecz dla idei samej zmiany Zmiany w nich samych.

W południe, kiedy słońce stało w zenicie, zwiadowca pogalopował w stronę Galiada. Erwan i Finghin również go zobaczyli i podjechali bliżej, chcąc poznać wiadomości.

- Generale Al'Daman! - zaczął żołnierz, zwracając się do Galiada. - Bitwa rozpoczęła się na wzgórzu Sablon, na północ od Filiden.

Galiad pokiwał głową. Rzucił okiem na druida i na syna, stojących obok niego. Nie byli jeszcze gotowi. Ale czy kiedykolwiek będą?

Czy mogliście oszacować liczbę zgromadzonych wojsk? -zapytał.

- Tuathannowie są na razie sami. Druidzi jeszcze nie dotarli. A nia Harcourt jest o wiele liczniejsza. Trzy lub cztery razy liczniejsza. Jest ich, tak myślę, około dwudziestu tysięcy. Ale Tuathannowie mają lepszą pozycję: są na wzgórzu i wydaje się, że je wcześniej przygotowali. Pośrodku jest obozowisko, kopie tkwią w zboczu, by uniemożliwić przejazd konnym. Zgromadzili też na szczycie ogromne głazy, które będą staczać wprost na Rycerzy Płomienia.

- Dobrze. Kto dowodzi armią Harcourt? Czy przybył sam Al'Roeg?

- Nie widziałem go. Ale rozpoznałem generała Dancray. Myślę, że to on pokieruje atakiem.

- Czy Harcourtczycy są sami? Nikogo z Ziemi Brunatnej?

- Nie widziałem sztandaru Merianda, generale.

- Dziękuję wam, żołnierzu. Natychmiast uprzedźcie ośmiu kapitanów i przekażcie im, że musimy jeszcze bardziej przyspieszyć. Zamierzam zaskoczyć armię Al'Roega od tyłu.

Zwiadowca ruszył galopem w stronę armii. Słońce grzało mocno jak nigdy. Rozgrzewało zbroje i hełmy. W takim upale walka zapowiadała się na wyjątkowo ciężką. Galiad miał nadzieję, że to nie przeszkodzi Tuathannom. Mieszkańcy Sidu, z nagimi torsami, byli przyzwyczajeni do walk w gorszych upałach.

Magistel odwrócił się w stronę Erwana i Finghina.

- Chcę, byście trzymali się razem podczas walki. Erwanie, nie zapominaj, że jesteś magistrem Finghina. Jeżeli coś mu się stanie, będzie to twoja wina. Przed bitwą taką jak ta, która nas czeka, mogę udzielić wam tylko jednej rady: nie przestawajcie się bić. Nie ustawajcie w boju. Bijcie się ciągle. Nawet jeżeli będziecie zbyt zmęczeni. Dopóki będziecie walczyć, dopóty będziecie żywi.

Finghin pokiwał głową, ale w jego oczach czał się strach.

ROZDZIAŁ 9

CZARNY DRUID

Szeregi Tuathannów rozciągały się na szczycie wysokiego wzgórza. Malden nakazał wojownikom wszystkich klanów, by jak najdłużej pozostawali na szczycie Sablon, ponad zastępami wroga.

Przywódca plemienia osobiście ozdobił torsy pozostałych sześciu przywódców klanów barwami wojennymi. Spali w jednym namiocie i spędzili wiele czasu na rozmowach dotyczących strategii. Wszyscy wojownicy z Sidu byli na wzgórzu. Brakowało jedynie syna Sarkana i tych, którzy poszli za nim. Tuathannowie wiedzieli, że ta bitwa będzie najważniejsza ze wszystkich i z pewnością najbardziej krwawa. Będzie im brakowało miecza Tagora. Tak jak brakowało im Sarkana. Całą noc przywoływali Mojrę, a teraz, widząc przed sobą szerokie kolumny wroga, mieli nadzieję, że ich modły zostały wysłuchane.

Bagna obok wzgórza opóźniały przejazd konnicy, ale armia Harcourt zmierzała ku nim nieubłaganie, w milczeniu. Długa kolumna mająca kształt trójkąta teraz rozpraszała się wokół wzgórza, by zaatakować z każdej strony. Pierwszą linię stanowili łucznicy, odziani jedynie w tuniki i lekkie hełmy, którzy wkrótce byli gotowi do ataku. Mieli za adanie zmusić Tuathannów do opuszczenia stanowisk, do zejścia w stronę wroga, a więc do porzucenia pozycji obronnej.

Drugą linię stanowiła piechota. W jej szeregach było najwięcej rycerzy. Nosili gęste kolczugi, ochraniacze na przedramionach, nagolenniki, ciężkie buty i rękawice. Ich miecze spoczywały jeszcze w pochwach, gdyż generał Dancray rozkazał na początku bitwy użyć długich pik, skuteczniejszych w ataku na wyżej stojącego wroga.

Wreszcie w trzeciej linii czekali rycerze. Ich twarze zasłaniały druciane siatki spływające wprost na ciężkie metalowe zbroje. Uzbrojeni w lance i miecze wstrzymywali na razie swe wierzchowce, również chronione pancerzami.

Wczesnym popołudniem wszystkie oddziały z Harcourt się zatrzymały. Pierwsza linia łuczników osiągnęła już wysokość dwóch trzecich wzgórza. Byli zaledwie pięćdziesiąt metrów od szczytu, gdy uklękli na jedno kolano i napięli cięciwy łuków, kierując strzały w górę.

Łucznicy tuathanneńscy również się przygotowali. Stojąc na szczycie, mieli lepszą pozycję do ataku. Szereg łuków wzniósł się przed klanami.

Wydawało się, że czas się zatrzymał. Hałas kroków, szczęk zbroi ustały. Nad wzgórzem Sablon zapadła ciężka cisza.

Były to długie minuty poprzedzające bitwę. Te, w których przychodził czas na żal. Te, podczas których tysiące serc biły tym samym rytmem. Podczas których wnętrzości ścisnęła strach. Gdy żołądek stawał się tak ciężki, że myślało się tylko o rzuceniu się w wir walki. Trzeba było wyzwolić się spod tego dusznego ciśnienia. Jedna za drugą mijały długie minuty, podczas których pamięć przywodziła na myśl minione lata. Czułe wspomnienia. Gdy usiłowano odgadnąć, czy ten stojący po przeciwnej stronie odczuwa taki sam niepokój. Zastanawia się, czy to wszystko jest warte, by umrzeć. Gdy oczekuje się pierwszej strzały, pierwszego ciosu miecza.

Te głuche minuty, gdy słycać jedynie krew pulsującą w żyłach. Jakby pulsowała po raz ostatni.

Dancray pierwszy dał rozkaz łucznikom.

Wszystkie cięciwy szczękły jednocześnie, wypuszczając w niebo setki strzał, które poszybowały w stronę nieprzyjaciela niczym ciemne stado ptaków. Tuathannowie natychmiast odpowiedzieli tym samym.

W górę poszły tarcze, jednak strzały dosięgły wielu ludzi zarówno po jednej, jak i po drugiej stronie. Łucznicy byli doskonale zgrani i wszystkie strzały wystrzeliły w tym samym momencie, ale wkrótce strzelający ponownie napięli łuki i tym razem strzały trafiały wroga jedna po drugiej nieprzerwanie niczym deszcz, który zmuszał piechotę i konnych do nieustannej ochrony

Nagle Dancray wydał pierwszym liniom rozkaz, by ruszyły naprzód. Chciał wykorzystać zamieszanie wywołane atakiem łuczników, by zbliżyć się do wroga i złamać jego szeregi. Natychmiast w dół poszybował grad pocisków. Tuathannowie wykorzystali ten moment, zerwali się z okrzykiem wojennym, by posłać w dół zbrocza kamienie, odłamki skał oraz topory, które załamały doskonały szyk piechoty Harcourtczyków.

Morderczy grad pocisków spowodował odwrót piechoty. Ludzie rozproszyli się w panice, a wielu z nich zostało zmiażdżonych. Tuathannowie z pierwszego szeregu wypadli przed linię obrony, by ciosami toporów dobić tych, którym udało się przeżyć.

Piechota Rycerzy Płomienia ustąpiła na chwilę, usiłując się przegrupować i ruszyć do ponownego ataku.

Wbrew rozkazom Maldena niektórzy Tuathannowie rzucili się w pogoń za uciekinierami. Był to oczywiście olbrzymi błąd, do którego Sarkan nigdy by nie dopuścił. Malden był jeszcze niedoświadczonym dowódcą i nie potrafił utrzymać w ryzach wojowników, którzy chcieli jak najszybciej zdziesiątkować zastępy wroga. Oddział konnicy zmiotł ich w mgnieniu oka.

Dancray zrozumiał, że musi jak najszybciej skorzystać z wyłomu w szeregach nieprzyjaciela, zanim ten zdoła go zapełnić. Dał rozkaz piechocie, by zaatakowała z zachodniej flanki, tam gdzie Tuathannowie zostawili przejście. Piechurzy rzucili się w tamtą stronę, a tuż za nimi podążała konnica.

Stojący na szczycie wzgórza Malden spostrzegł, że armia I larcourt może wdrzeć się w szeregi jego wojska. Krzyknął na swoich ludzi i na ich czele rzucił się w kierunku wyłomu, ale przybyli za późno, gdy tuż przed szczytem rozgorzała już bitwa. W miejsce, gdzie rozpoczęły się pojedynki twarzą w twarz, przestały spadać strzały. Rycerze Płomienia byli zaskoczeni zręcznością, z jaką Tuathannowie posługiwali się mieczem czy toporem, i wielu z nich straciło życie, ale armia Dancraya napływała wciąż nowymi falami, a szeregi Tuathannów topniały.

Licniejsi Harcourtczycy szybko przełamali opór Tuathannów, powiększając wyłom w ich szeregu. Mieszkańcy Sidu nie mogli już w pełni wykorzystać przewagi pozycji.

I wtedy rozpoczęła się rzeź.

*

Zeszli wolno kamiennymi Wielkimi Stopniami i dotarli do klasztoru. Księżyc oświetlał rozległy ogród otoczony galerią arkad pokrytych drewnianym zadaszeniem. W półmroku można było dostrzec podwójne kolumny.

Alea pierwsza zbliżyła się do arkad z wapienia i zobaczyła rzeźby stojące między kolumnami. Światło księżyca kreśliło dziwaczne kształty wzdłuż całej galerii, tak że dziewczyna miała wrażenie, iż za każdym słupem czają się strażnicy. Dała znak towarzyszom, by do niej dołączyli.

Widok zapierał dech w piersiach. Szeroka zatoka na zachodzie sprawiała, że ogród wyglądał, jakby unosił się między niebem a ziemią.

- W którą stronę powinniśmy się udać? - wyszeptała Alea, odwracając się w stronę Faith.

- Wydaje mi się, że refektarz, który znajduje się na końcu tej galerii, jest poniżej skryptorium... Jednak nie jestem pewna!

Alea pokiwała głową. Starając się kryć w cieniu kolumn, posuwała się naprzód wzdłuż galerii, rzucając ostrożne spojrzenia w stronę ogrodu. W końcu dotarła przed drzwi, o których wspomniała kobieta.

Refektarz także był zamknięty. Alea szybko uporowała się z zamkiem, przepuściła Faith, Mjollna i Kaitlin, a następnie cicho zamknęła za sobą drzwi.

Sala, w której się znajdowali, była ogromna, miała kształt prostokąta i kolebkowe sklepienie. Błada księżycowa poświata wpadała do środka przez wąskie okna wykute w ścianie północnej i wschodniej. Każdy z tych niewielkich otworów okalał łuk wsparty na dwóch małych kolumnkach. Środkiem biegły dwa rzędy drewnianych stołów, obok których stały niezbyt wygodne ławy. Studenci i mnisi jadal tu posiłki. Alea pomyślała, że jeżeli będą chcieli wyjść tą samą drogą, muszą zdążyć, zanim mieszkańcy opactwa zjedzą na śniadanie.

Faith wskazała na zachodnie drzwi. Dziewczyna skinęła głową na znak zrozumienia i przeszli przez wielkie pomieszczenie, starając się robić jak najmniej hałasu. Każde potknięcie rozbrzmiewało echem w zimnej sali.

Alea popchnęła drzwi. Nie były zamknięte. Zobaczyła schody zmierzające na zachód i weszła na nie jako pierwsza. Dotarli na drugie piętro Merveille i stanęli przed dwuskrzydłowymi drewnianymi drzwiami. Tym razem sforsowanie zamka zajęło Alei nieco więcej czasu, gdyż mechanizm był bardziej skomplikowany. Nie zapomniała jednak wyuczonych ruchów, tak przydatnych w ciągu tych lat spędzonych w Saratei, i w końcu otworzyła drzwi do skryptorium.

Rozległa sala przedzielona była trzema rzędami kolumn. Nikłe światło przenikało do wnętrza przez dwie wysoko położone rozety. Kolorowe arrasy zawieszane pomiędzy kolumnami dzieliły przestrzeń skryptorium na niewielkie salki, w których mnisi i studenci mogli nie tylko zgłębiać wiedzę, ale przede wszystkim przepisywać i ozdabiać manuskrypty.

Alea zeszła po czterech stopniach i podniosła wzrok na regały biegnące wzdłuż wszystkich ścian. Było tu jeszcze więcej ksiąg /ok niż w klasztorze, w którym zostali pojmani. O wiele więcej, liczne drabiny stojące obok regałów pozwalały na swobodny dostęp do najwyższych półek. Manuskrypty leżały wszędzie, w całej sali. Była to największa biblioteka w całej Gaelii. Taka jak w opowiadaniach bardów. Biblioteka Mont-Tombe. Cała wiedza tego świata.

Faith stanęła za plecami dziewczyny i westchnęła z podziwu.

- To nazwyczajne, prawda?

Alea nawet nie odpowiedziała. Z otwartymi ustami rozglądała się wokoło, patrząc na niezliczone półki pełne książek.

Mjolln i Kaitlin byli trochę mniej zachwyceni.

- Hem. W jaki sposób chcesz znaleźć to, czego szukasz, pośród tysięcy tych wszystkich woluminów? - zapytał zrozpaczony Mjolln, podchodząc do Alei. - I czego właściwie szukamy, he?

- Encyklopedii Analego - szepnęła Alea.

Podeszła do pulpitu, wzięła pióro, umoczyła je w atramencie i niezręcznie nakreśliła pięć liter na skrawku pergaminu. „ANALI”. Kiedy mnich pokazywał jej w klasztorze poszczególne litery, starała się zapamiętać właśnie te. Nie zapomniała ich kształtu. Wzięła z pulpitu zapisany skrawek i z dumą pokazała go Mjollnowi.

- Anali - powtórzyła. - Myślę, że tak się to pisze, prawda, Faith?

Kobieta przytaknęła.

- Zatem pośpieszmy się! - rzuciła Alea, odkładając pergamin z powrotem na pulpit.

- Może jest tu jakiś katalog? - podsunęła Faith.

Podeszła do regału, ale stwierdziła, że na księgach nie ma żadnej numeracji.

- Niestety! - westchnęła. - Mam nieodparte wrażenie, że ciężko nam będzie znaleźć tę encyklopedię! Ale są trzy miejsca, w których może być, jeżeli biblioteka jest porządnie prowadzona. Albo wśród książek historycznych, albo w encyklopediach albo wśród książek traktujących o Mojrze i druidach... Kaitlin, spróbujmy znaleźć te rodzaje książek. W ten sposób będziemy mogli zawęzić krąg poszukiwań.

Obie kobiety zabrały się do pracy.

*

Malden dostrzegł niezwykley wybuch na północnej flance, tam gdzie armia Harcourt przerwała szyk. Siła uderzenia sprawiła, że dziesiątki ciał wystrzeliły w powietrze i opadały niczym szmaciane kukły, a Malden po zbrojach rozpoznał, że byli to Harcourtczyzy.

Zgiełk i płomień wzbudziły panikę w oddziałach Dancraya. Malden wskoczył na konia i pogalopował w tamtą stronę.

Nadjeżdżając, ujrzał grupę druidów odzianych w swe białe szaty. Na jej czele stał oddział magisteli, którzy już odepchnęli znaczną część wroga.

Tuathannowie odzyskali zapał, widząc nadciągających sprzymierzeńców z Sai-Miny. Przez chwilę stali, patrząc z niedowierzaniem, jak ogniste kule dziesiątkują oddziały nieprzyjaciela, a potem zaatakowali Rycerzy Płomienia.

W oddali, za trzecią linią, Dancray piecił się z wściekłości. Jego żołnierze zostali całkowicie zaskoczeni tym niespodziewanym atakiem i nie potrafili walczyć z ognistymi kulami spadającymi prosto z nieba na ich głowy. Konie ogarnęła panika i zrzucały jeźdźców, którzy natychmiast ginęli od ciosów.

Rozkazał łucznikom, by przegrupowali się w dwie kolumny poniżej szczytu. W tym czasie ludzie hrabiego Al'Roega padali jak muchy, ginąc w męczarniach: paleni żywcem, miażdżeni, z rozplatanymi brzuchami.

Łucznicy Harcourt wypuścili pierwszą serię. Tysiące strzał spadło na nowo przybyłych. Kilku magisteli i paru druidów straciło życie, ale żaden z czterech przedstawicieli Rady, którzy przezornie pozostali w tyle, nie ucierpiało.

Druga seria poszybowała w górę, ale tym razem została powstrzymana przez jakąś niewidzialną siłę. Zupełnie jakby nad głowami druidów i ich poddanych wyrósł przezroczysty mur. Magistele atakowali ze zdwojoną siłą.

Dancray zobaczył, że jego oddziały zaczynają się wycofywać. Krzyknął z wściekłości. Harcourtscy mieli przecież przewagę liczebną. To niemożliwe!

Tuathannowie wciąż parli naprzód, a ich miecze i topory wirowały w powietrzu. Przedarli się przez linię piechoty i zaczęli zagrażać kawalerii. Walka stawała się coraz bardziej nieskładna, coraz bardziej krwawa.

I kiedy Dancrayowi wydawało się, że zaraz zostanie pokonany, dostrzegł na południu nowe oddziały zbrojne. W tej samej chwili nadjechał jeden z jego ludzi.

- Meriand Mor z Ziemi Brunatnej nadciąga z ośmioma tysiącami ludzi, generale! Jesteśmy uratowani!

Dancray się uśmiechnął.

- Doskonale. Przekaż mu, by zaatakował od wschodniej flanki. Jeżeli zdołają pozbyć się magisteli, odzyskamy przewagę nad Tuathannami.

- Dobrze, generale! A co z druidami?

- Druidzi? - powiedział Dancray, zgrzytając zębami. - Nie możemy się nimi zająć, dopóki linia obrony magisteli nie upadnie. W tej chwili możemy się jedynie bronić. Ale jeżeli dojdzie do bezpośredniej konfrontacji, nie będą już mogli robić użytku ze swych ognistych kul. Ryzykowaliby, że pozabijają swych sojuszników.

Rycerz skinął głową i pogalopował wykonać rozkaz.

Na zboczu wzgórza Sablon trwała hekatomba.

Łucznicy porzucili oręż, który był już bezużyteczny, i dobyli mieczy, by rzucić się na armię barbarzyńców z imieniem Chrystusa na ustach. Jeźdźcy krążyli wokół linii wroga, usiłując się przedrzeć w głąb, ale Tuathannowie, uderzając w końskie zady, powalali ich na ziemię, gdzie ginęli w krwi zmieszanej z błotem.

Dancray usłyszał okrzyk „W imię Chrystusa!” i zobaczył, jak jego ludzie biegną wprost na wroga. Jednak wiele tysięcy już leżało martwych i generał zastanawiał się, czy wytrzymają do przybycia Brunatyjczyków.

W tej samej chwili usłyszał krzyki dobiegające od strony północnej. Odwrócił się i ujrzał dużą grupę galopujących jeźdźców. Przybywali od strony obozowiska. W ich oczach czaił się strach.

Dancray wyjechał im na spotkanie.

- Co się dzieje? - zapytał z furją. - Dlaczego opuściliście obóz?

Jeźdźcy zatrzymali się, gdy rozpoznali generała.

- Od północy nadciąga armia! - wykrztusił jeden z nich, zeskakując z konia.

- Armia? Z północy? Czyżby królowa zdecydowała się jednak wysłać wojsko? - zdziwił się Dancray

- Nie, generale - rzekł jeździec. - Nie idą pod sztandarem Galacji.

- To pod jakim? Chyba to nie Sarreńcy?

- Nie znamy tej armii, generale. To muszą być jacyś obcy.
Dancray zmarszczył brwi. Nic z tego nie rozumiał.

- Ilu ich jest?

- Około dwóch tysięcy, jak sędzę.

Generał wyprostował się w siodle i przywołał kapitana.

- Wyślijcie zwiadowców! Chcę wiedzieć, czy ta armia jest do nas wrogo nastawiona. Z pewnością tak jest, ale muszę mieć pewność. Trzeba będzie ją powstrzymać, by nie zaatakowała nas od tyłu. Jeżeli rzeczywiście ta armia liczy dwa tysiące ludzi, będziemy mogli ich powstrzymać, ale to jeszcze bardziej osłabi czoło naszej armii. Musimy wytrzymać! Gdy tylko wojsko Merianda wzmocni nasze oddziały, pojedziecie rozprawić się z tym nowym intruzem!

Kapitan zaszalutował i oddalił się, by wydać rozkazy.

Słońce stało jeszcze wysoko na niebie. Armia Merianda, składająca się z Brunatyjczyków i z kondotierów, dotarła wreszcie na obojętne bitwy. Magistele musieli natychmiast przerwać ofensywę, by stawić im czoło. Rycerze Dancraya wykorzystali to, by znowu posunąć się naprzód, w górę wzgórze, a licząca trzy tysiące ludzi formacja ruszyła ku północnej stronie pola walki.

Tuathannowie zaczęli tracić siły. Zalała ich fala Harcourtczyków, którzy przystąpili do kontrataku, korzystając z tego, że magistele byli zajęci odpieraniem natarcia wojsk Merianda. Klany walczyły, wycofując się na szczyt wzgórze.

Nagle na północy wzgórze Sablon pojawił się nowy sztandar. I larcourtscy, Brunatyjczycy i Tuathannowie zastanawiali się, kim są żołnierze odziani w biel i czerwień. Ale druidzi natychmiast rozpoznali znak wyhaftowany na proporcach. Był to znak Samildanacha.

*

Po długich godzinach poszukiwań zaczęli się niecierpliwić. Ogarniała ich panika na myśl, że mogą zostać przyłapani. Alea zastanawiała się, czy encyklopedia w ogóle znajduje się w skrytorium.

- Może ją przeoczyliśmy? - jęknęła wyczerpana Kaitlin.

- A może jest gdzie indziej? - rzekła Alea.

- Ejże! - wtrąciła Faith, stojąc na wysokiej drabinie. - Nie sprawdziliśmy jeszcze wszystkich ksiąg. Nie możemy przecież teraz zrezygnować!

Krasnolud już dawno stracił nadzieję. Siedział na stercie manuskryptów z twarzą ukrytą w dłoniach. Czas upływał mu na westchnieniach przeplatanych ziewaniem, oczy kleiły mu się ze zmęczenia.

Kaitlin i Alea wróciły do pracy. Odcyfrowywanie tytułów na grzbietach ksiąg szło im o wiele trudniej niż Faith, zaś nikłe światło w pomieszczeniu nie ułatwiało zadania.

Znalazły mnóstwo rozmaitych dzieł. Niektóre z nich były wspaniale ozdobione, inne nieukończone, karty jeszcze innych łączył jedynie cienki sznurek. Lecz żadne z nich nie było tym, którego szukały.

Często trzeba było zdmuchiwać grubą warstwę kurzu, by dojrzeć tytuł wytłoczony na skórzanej oprawie, czasami nie było na niej niczego, trzeba było zajrzeć do środka i szukać na pierwszych stronach.

- A może - powiedział Mjolln, tłumiąc ziewanie - wasza przeklęta księga spoczywa na jednym z tych pulpitów? Ha! Ha!

Alea odwróciła się w jego stronę.

- To niegłupi pomysł! Musisz tylko poszukać.

Krasnolud chrząknął.

- Trzeba było ugryźć się w język!

Wstał i powłócząc nogami, podszedł do pierwszego z brzegu pulpitu. Alea popatrzyła, jak znika w ciemności, i uśmiechając się, wróciła do pracy.

Wspięła się po drabinie na wysokość jednego z okien. Wyrzała na zewnątrz. Morze było prawie czarne. Odwróciła głowę, by popatrzeć przez drugie okno i dostrzegła ruchomy płomień pochodni w galerii otaczającej klasztor.

Znowu spojrzała na morze i zobaczyła, że pierwsze promienie słońca zaczynają ukazywać się na horyzoncie.

- Ranek już blisko! - wyszeptała. - Zaraz wstaną mnisi!

W tej samej chwili w drugim końcu sali rozległ się hałas. Alea o mało nie straciła równowagi. Chwyciła się boków drabiny i spuściła głowę, by zobaczyć, co się stało.

Mjolln rzucił pokazną księgę z pulpitu.

- Aleo! - powiedział z zakłopotaniem, podnosząc wzrok na dziewczynę. - Myślę, że znalazłem twoją księgę!

Alea ześlizgnęła się z drabiny, prawie nie dotykając stopami szczebli. W jednej chwili była na dole i biegła w stronę krasnoluda.

Kaitlin i Faith również.

U stóp Mjollna leżała Encyklopedia Analego.

Faith schyliła się i pogłaskała skórzany grzbiet księgi.

To naprawdę ona - wyszeptała, a w tej samej chwili drzwi do skryptorium otwarły się gwałtownie.

Natychmiast przykucnęli. Na suficie i wzdłuż arrasów zajaśniał blask pochodni.

- Przed chwilą usłyszałem tu hałas, ojczy, zapewniam was.

Głos rozbrzmiewał pod wysokim kamiennym sklepieniem.

Alea podniosła ciężką encyklopedię. Kaitlin otworzyła swą sakwę i wyciągnęła w stronę dziewczyny, która włożyła do niej opasy wolumin.

Zaczęli wolno posuwać się w stronę drzwi, którymi weszli do skryptorium. Za plecami słyszeli odgłos kroków dwóch ludzi przeszukujących pomieszczenie.

Alea otworzyła drzwi i dała znak przyjaciołom, by wyszli. W tej samej chwili jeden z ludzi krzyknął:

- Tam! Ktoś otworzył drzwi do refektarza!

Dziewczyna skoczyła na drugą stronę i zatrzasnęła za sobą drzwi.

- Szybko! - krzyknęła, popychając przed sobą Mjollna. - Nadchodzą!

Biegli schodami prowadzącymi do refektarza, przeskakując po cztery stopnie naraz. Drzwi, którymi wyszli, otworzyły się w chwili, gdy dotarli do przestronnej sali.

Kaitlin doskoczyła do jednej z ław i zabarykadowała drzwi. Jednym skokiem pokonała schody. Miała jeszcze tyle czasu, by ujrzeć, jak ława trafia w pierś młodego studenta, który otworzył drzwi.

- Na zewnątrz! - krzyknęła Alea, ciągnąc za sobą Kaitlin.

Biegli, nie oglądając się za siebie, w stronę galerii. Przecięli ogród i skierowali się wprost ku Wielkim Stopniom.

Krzyki dwóch ludzi niosły się echem po refektarzu i w oknach na dwóch ostatnich piętrach Merveille zapłonęło kilka pochodni. Znajdowali się teraz w niewielkiej sali strażników, której okna wychodziły na mury. Oprócz nich nikogo tu nie było. Alea przeszła pierwsza i pobiegła wzdłuż korytarza. Na rogu zobaczyła, że dwaj strażnicy wciąż tam leżą, jednak już odzyskali przytomność.

Nie wahając się ani minuty, ponownie wymierzyła im ciosy w głowę i skinęła na przyjaciół. Potem pobiegła dalej w stronę wieży. Zanim otworzyła drzwi, rzuciła okiem w dół i z przerażeniem zobaczyła czterech strażników, którzy odkryli sforsowany zamek. Popatrzyła w stronę wejścia do opactwa i ujrzała kolejnych wybiegających stamtąd strażników. Miasto zostało już zaalarmowane. Mnisi nie zasypiali gruszek w popiele!

- Nie możemy tędy zejść! - krzyknęła do nadbiegających towarzyszy.

- Ale nie ma innego wyjścia! - Mjolln był bliski paniki.

- A strażnicy nadejdą od strony Wielkich Stopni - dorzuciła Faith.

- Wiem! - odparła Alea. - Inni właśnie wchodzą do wnętrza wieży.

Dziewczyna rozejrzała się wokoło. Nie było żadnej drogi ucieczki. Żadnej klapy w podłodze korytarza, żadnej innej wieży.

Wychyliła głowę ponad mury Fortyfikacja wychodziła wprost na skałę powyżej zatoki.

Odwróciła się w stronę towarzyszy. Splotła dłonie i odetchnęła głęboko.

- Dobrze - powiedziała. - Czy macie do mnie zaufanie?

Mjolln zmarszczył brwi.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał z niepokojem.

Alea się zawahała. Znowu wyjrzała poza mury.

Faith chwyciła ją za ramię.

- Nie mów mi, że chcesz zeskoczyć! - wykrzyknęła z niedowierzaniem.

Alea się skrzywiła.

- Myślę, że to nasza jedyna szansa.

Krasnolud wybuchnął śmiechem.

- Oczywiście! Tralala! Mamy po prostu pofrunąć niczym mali- ptaszki!

Alea potarła policzki.

Posłuchajcie, jestem pewna, że mogę powstrzymać upadek, leżeli zeskoczymy jednocześnie, jestem pewna, że...

- Ale to się nie uda! - krzyknął przerażony Mjolln.

W tej samej chwili drzwi od sali strażników otworzyły się i sta- nęli w nich rycerze.

Alea nie wahała się ani chwili dłużej. Wspięła się na mur i wyciągnęła dłoń w stronę przyjaciół.

- Wchodźcie! Jeśli we mnie wierzycie, wchodźcie!

Faith posłuchała natychmiast. Mjolln popatrzył na nią z przerażeniem.

- Jesteś szalona!

Kaitlin się wahała. Odwróciła się, zobaczyła biegnących korytarzem rycerzy i zdecydowała się w jednej chwili. Ujęła krasnoluda pod pachy i postawiła na skraju muru, a potem sama wspięła się na mur.

- Nie! - krzyknął Mjolln. - Nie skoczę!

Faith chwyciła go za ramię i obróciła do siebie.

- Panie Abbac, jeśli to przeżyjemy, przyrzekam, że zrobię z ciebie barda!

- Mam to gdzieś! - wykrzyknął krasnolud, trzęsąc się jak osika.

- Teraz! - wrzasnęła Alea i pierwsza rzuciła się w przepaść, ciągnąc za sobą Faith, która trzymała krasnoluda za rękę.

Kobieta skoczyła, nie puszczając dudziarza, a Kaitlin poszła w ich ślady, zamykając oczy.

Otchłań wciągnęła ich w jednej chwili. Był to moment absolutnej ciszy, niczym brutalne przebudzenie się w trakcie koszmaru. Spadanie trwało bardzo krótko i Alea miała niewiele czasu, by otoczyć siebie i towarzyszy energią Saimana. Ziemia zbliżała się w zastraszającym tempie i dziewczyna była niemal pewna, że zaraz się roztrzaskają. Wrzasnęła i nagle Saiman ukazał się pod ich stopami. Rozciągnął się wokół nich niczym poduszka powietrzna, zwalniając tempo spadania, by w końcu zatrzymać ich całkowicie. Alea, początkowo zdezorientowana szybkością, odzyskała kontrolę nad Saimanem.

Ich stopy wolno dotknęły ziemi.

Alea wybuchnęła śmiechem. Ujrzała towarzyszy z wykrzywionymi twarzami, z zacisniętymi powiekami. Bładzi jak ściana, stali na czubkach palców i nawet sobie z tego nie zdawali sprawy.

Słyszac nerwowy śmiech dziewczyny, nieśmiało otworzyli oczy.

- Żyjemy? - zapytał Mjolln, z oczami pełnymi łez.

Poczuł, jak dłoń Faith zaciska się na jego dłoni, i zrozumiał, że są cali i zdrowi.

Odwrócił głowę w stronę Alei i spiorunował ją wzrokiem. Dziewczyna wzruszyła ramionami. Mjolln długo patrzył na nią ze złością, a potem nagle wybuchnął śmiechem.

Alea westchnęła z ulgą. Teraz śmiali się wszyscy czworo, jakby upili się tym skokiem niczym baryłką piwa.

- I co teraz? - zapytała w końcu Kaitlin, spoglądając na zatokę, która rozpościerała się po horyzont.

*

Galiad dał rozkaz do ataku, gdy tylko zobaczył, że część oddziałów Harcourt szykuje się do natarcia.

- Nie możemy dać im czasu na zajęcie pozycji! - krzyknął.

Uniósł Banthrala nad głowę i wrzasnął ile sił w płucach:

- *Aragan! Za Samildanacha!*

Tysiąc dwustu łuczników i piechurów zaczęło biec w stronę nieprzyjaciela z imieniem Alei na ustach. Wkrótce ruszyli za nimi konni.

Przebiegli długą równinę, oddzielającą ich od Harcourtczyków, nie przestając krzyżeć. Wyglądali niczym ogromna ludzka fala, której nic nie może zatrzymać.

Kiedy byli już w należytej odległości, Erwan dał łucznikom znak, by zajęli pozycje. Łucznicy stanęli w szeregu, wznosząc swą broń w stronę letniego nieba.

Strzały poszybowały w powietrze i osiągnęły cel - pierwszą linię Harcourtczyków. Setki ludzi padały w biegu, trafione strzałami.

Chwilę później piechota Samildanacha starła się z wrogiem. Było to gwałtowne zderzenie. Żołnierze Al'Damana rzucili się w wir walki. Mieli mniejsze doświadczenie, ale więcej odwagi niż przeciwnicy.

Po jednej i po drugiej stronie przybywało trupów.

Finghin, który trzymał się na uboczu, raz po raz wysyłał niebieskawe płomienie w stronę żołnierzy z Harcourt. Żywe języki ognia tańczyły wokół zbroi i przypiekały ciała do żywego. Jeźdźcy padali na ziemię, spaleni żywcem.

Erwan trwał obok druida, chroniąc go przed licznymi atakami Harcourtczyków, którzy chcieli wyeliminować źródło morderczych błyskawic. Młody magistel w asyście Talina odpierał Rycerzy Płomienia, jednego po drugim, wymierzając ciosy mieczem.

Dalej, na pierwszej linii, Galiad siał zamęt w szeregach wroga, nacierając Banthralem. Za każdym razem, gdy opuszczał miecz, dziesiątkował żołnierzy. Miecz zagłębiał się w wnętrzościach, w bokach, rozcinał gardła, roztrzaskiwał czaszki.

Dancray rozpoznał go z daleka.

- APDaman! - wykrzyknął z furją.

Odwrócił się w stronę najbliższego kapitana i rozkazał mu zaatakować magistela.

Kapitan Gallover był już starszym człowiekiem, lecz również jednym z najdzielniejszych rycerzy w Harcourt. Jako młodzieniec brał udział w kilku bitwach u boku hrabiego Al'Roega w wojnie przeciwko Galacji i niewiele mogło mu dorównać w walce na miecze. Upierał się, by pozostać kapitanem, by mieć pewność, że wyższa ranga nie przeszkodzi mu brać udziału w walkach. Był to prawdziwy wojownik, a walka była nie tylko tym, co robił najlepiej - była dla niego jedynym sensem życia.

Zasalutował generałowi i pogalopował w stronę Galiada, by zmierzyć się z żywą legendą, godnym przeciwnikiem. Jego wierzchowiec z trudem przebijal się przez oddziały piechoty. O mało nie stratował jednego ze swych ludzi, ale nie zważał na to. Jego oczy utkwione były w człowieka, którego zamierzał pokonać.

Galiad ponownie wbił miecz w ciało rycerza, który najwyraźniej szykował się do ataku. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył kapitana, który zmierzał wprost na niego. Z trudem uniknął lancy Gallovera i stracił równowagę, zbytnio się uchylając.

Magistel spadł z konia pod wpływem ciężaru zbroi. Wylądował między zakrwawionymi ciałami wrogów i własnych żołnierzy.

Poczuł, że z czoła spływa mu ciepła ciecz. Upadając, musiał uderzyć się w głowę. Płynąca krew zalewała mu prawe oko, przesłaniając pole widzenia. Pochylił głowę, ale teraz widział jeszcze mniej: tylko krzyżującą się nad głową broń, cienie, które przychodziły i odchodziły, oslepiający błysk na ostrzu miecza... Galiad usiłował wstać, ale ciężar zbroi przygwoździł go do ziemi. Podjął kolejną próbę, ale udało mu się jedynie przewrócić na plecy.

Uniósł głowę i ujrzał nad sobą twarz Gallovera. Kapitan miał właśnie opuścić miecz. Galiad zacisnął zęby i wykonał gwałtowny ruch biodrem, by się odturlać na bok. Jednocześnie wysunął lewą stopę, by podciąć nogi rycerzowi.

Magistel z całej siły oparł się na ramionach i w końcu udało mu się wstać. Krew ciekła mu z czoła. Odwrócił się i zobaczył, że Gallover upadł, ale się podnosi.

Galiad zrobił kilka kroków i dostrzegł Banthrała leżącego tuż przed nim. Nie spuszczać wzroku z kapitana, wolno zbliżył się w stronę miecza. Był gotowy na unik, gdyby Gallover nie dał mu czasu na odzyskanie broni.

Galiad pochylił się. Krew zalała mu prawą połowę twarzy, a hełm uniemożliwiał jej otarcie. Z trudem mógł dostrzec swój miecz.

W tej samej chwili Gallover rzucił się na magistela. Galiad zobaczył go kątem oka. Pozostał w przykłęku, chcąc prześlizgnąć się pod wrogiem. Prawą dłonią schwycił Banthrala i zamortyzował upadek. Kapitan nie miał czasu na unik. Zaskoczony manewrem przeciwnika, nadział się na miecz Galiada, a jego twarz wykrzywiła się w grymasie bólu i niedowierzania.

Magistel wstał, wyjął broń z ciała kapitana i odwrócił się w poszukiwaniu wierzchowca. Pobiegł w jego stronę, zatrzymał jednego z walczących i poprosił, by pomógł mu dosiąść konia.

Siedząc w siodle, zdjął hełm oraz rękawicę, by zetrzeć z oka już zakrzepłą krew. Wreszcie widział normalnie. Walka trwała. Wokół piętrzyły się ciała poległych, ale Rycerze Płomienia nie byli w stanie odeprzeć ataków armii Samildanacha. Jednak Galiad wiedział, że ta sytuacja nie potrwa długo.

Tymczasem na południowym stoku o wiele liczniejsi Brunatyj- czycy odparli atak magisteli i teraz przystąpili do walki z Tuathan- nami na szczycie wzgórza.

Na północnym zachodzie Rycerze Płomienia odzyskali przewagę i stopniowo przełamywali opór osłabionych mieszkańców Sidu.

Lecz najdziwniejsze było to, co działo się na wschodzie. W szeregach druidów zapanowało dziwne zamieszanie, a oni sami zaczęli się rozpraszać. Galiad spał konia i skierował się na wschód. Przegalopował przez środek pola, na którym jego ludzie walczyli z Rycerzami Płomienia, a jego koń biegł tak szybko, że nic nie mogło go zatrzymać. Kiedy wyrwał się z głównego wiru bitwy, uniósł się w siodle i zobaczył coś zupełnie nieprawdopodobnego.

Jeden człowiek, odziany w habit, walczył przeciwko druidom. W rękę trzymał miecz.

Galiad pogalopował w tamtą stronę. Kiedy był już dostatecznie blisko, rozpoznał twarz Samaela. Dawny druid dzierżył Miecz Nuadu.

Udało mu się przedrzeć przez armię z Sai-Miny i teraz atakował całkowicie zdezorientowanych Wielkich Druidów. Dwóch z nich leżało już na ziemi, dwóch innych wyglądało na wyczerpanych. Od wielu godzin walczyli z ludźmi z Harcourt i z pewnością byli u kresu sił. Widząc ich przestraszone twarze, Galiad zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie opuścił ich Saiman. Patrzył na nich przez chwilę, usiłując ich rozpoznać. Byli to Tiernan oraz Otelian.

Magistel zsiadł z konia i pobiegł w stronę renegata, wykrzykując jego imię.
- Samael!

Dawny druid się odwrócił. Zobaczył biegnącego Galiada i uśmiechnął się szeroko.

- AFDaman! Najznakomitszy spośród magisteli!

Galiad zacisnął dłonie na rękojeści miecza. Odetchnął głęboko i rzucił się na Samaela. Jego serce biło coraz szybciej, ale się nie wahał.

Przed oczami stanął mu moment śmierci Felima. Księżę Herilimów pokonał go na jego oczach, a on nie mógł nic zrobić. Było to najgorsze wspomnienie w całym jego życiu. Widzieć umierającego druida, którego ślubował chronić za cenę własnego życia. A teraz inni Wielcy Druidzi umierali na tym samym polu walki.

Opuścił Sai-Minę na zawsze, ale wciąż tkwiło w nim poczucie obowiązku. A ten nakazywał mu stanąć w obronie członków Rady. Nawet za cenę życia.

Nie pozwoli, by jeszcze jeden Wielki Druid zginął na jego oczach. Jakikolwiek będzie koniec tego pojedynku, będzie walczył. Miał okazję pomścić śmierć Felima. Teraz. Tutaj.

Podniósł wzrok na Samaela i ujrzał, jak ten otwiera usta. Z pewnością chciał coś powiedzieć. Galiad nie dał mu na to czasu.

Rzucił się niczym lew na zdrajcę, wznosząc Banthrala nad głową. Miecz rozblysnął w promieniach letniego słońca.

Samael w ostatniej chwili zrobił unik i uderzył z boku. Miecz Nuadu zapłonął i nabrał szybkości. Galiad ujrzał zbliżające się ostrze i rzucił się na ziemię. Miecz świsnął nad jego głową, nie dotykając go, ale niewidzi Galiad wstał ogłuszony i ruszył na wroga. Miecz Nuailu był straszną bronią i mimo że Samael nie był tak zręczny i silny jak Galiad, Manith czynił z niego niebezpiecznego przeciwnika.

Wyczerpany magistel napiął mięśnie ramion i mocniej ujął Banthrala. W głębi duszy zaczęły targać nim wątpliwości. Ale tak musiało być. Jeśli miał umrzeć, był na to gotowy.

Nagle podskoczył. Poczul coś za plecami. Jakby ciepły wiatr, który wiał tuż za nim. Rozejrzał się i zobaczył Oteliana i Tiernana, którzy stali tuż za nim z zamkniętymi oczami. Dwóch Wielkich Druidów otaczał Saiman. Chronili go.

Galiad wciągnął powietrze. Miał szansę. Wyciągnął ramię, zamierzając się Banthralem na Samaela, i poczul, jak energia druidów otacza jego ciało niczym pancerz. Pomyślał o Alei. Nie może umrzeć. Ona wciąż go potrzebuje. Jest Samildanachem, a on jej magistalem.

Atak zakończył się w mgnieniu oka, ale wydawało się, że trwał całą wieczność. Czas stanął w miejscu.

Samael. Miecz Nuadu. Druid renegat rzucił się na Galiada. Miecz rozblysnął tysiącami iskier, zdawało się, że ciągnie Samaela za sobą. Galiad się wyprostował. Jego umysł nigdy nie był tak jasny jak w tej chwili. Powinien był już dawno zrobić unik, ale stał nieruchomo przed ostrzem, które zbliżało się w jego stronę. Widział je dokładnie. Było teraz płonąca błyskawicą. A kiedy znajdowało się już tak blisko, że płomienie dosięgały magistela, Galiad skoczył w górę niesiony przez Saimana, ugiął nogi i zdecydowanym ruchem opuścił swój miecz na stojącego pod nim Samaela.

Banthral świsnął, tnąc powietrze niczym gilotyna, i odciął głowę byłego druida, wzbijając fontannę krwi.

Galiad upadł na nogi nieco dalej, odwrócił się i ujrzał za sobą zdekapitowane ciało Samaela. Renegat nie żył. Galiad westchnął głęboko.

W tej samej chwili Otelian podbiegł do trupa i podniósł Miecz Nuadu. Wstał, rzucił Galiadowi krótkie spojrzenie, zawahał się, a potem pobiegł do swego konia i odjechał na północ. Wystraszony Tiernan skłonił się przed magistalem i również odjechał, opuszczając pole walki, z pewnością by powrócić do pałacu w Sai-Minie. Galiad odwrócił się i podszedł w stronę swego wierzchowca. Dosiadł go i spojrzał na pole bitwy.

Tym razem nie miał żadnych wątpliwości: Harcourt zwyciężało. Armia Dancraya dołączyła do Brunatyjczyków, masakrując pozostałych przy życiu Tuathannów.

Śmierć Samaela niczego nie zmieniła. Bitwa była przegrana.

Galiad natychmiast pogalopował na północ, w stronę walczących jeszcze żołnierzy Samildanacha. Szukał twarzy syna, ale widział jedynie swych wyczerpanych ludzi, którzy upadali, ostatnim wysiłkiem unosili broń, a potem umierali.

Gdy objeżdżał pole bitwy od północnej strony, ujrzał wreszcie Finghina. Druid pochylał się nad nieruchomym ciałem leżącym na ziemi.

Serce Galiada stanęło. Długo nie mógł złapać oddechu. Czy coś stało się Erwanowi?

Magistel spał konia do galopu i zeskoczył z siodła, gdy tylko zobaczył przed sobą plecy Finghina.

Erwan leżał na ziemi. Galiad zadrżał. Ale dostrzegł, że syn ma otwarte oczy i że oddycha, choć z trudem. Erwan żył.

Finghin dojrzał Galiada.

- Twój syn jest ranny! - krzyknął druid, który również wyglądała na wyczerpanego. - Ale zajmę się nim. Wróć do walki!

- Walka jest przegrana - wychrypiał magistel, podchodząc bliżej. - Weź mojego syna na konia i jedźcie stąd. Wydam ludziom rozkaz, by uciekali lub by się poddali. Spotkamy się wieczorem w miejscu naszego wczorajszego postoju.

Finghin podniósł wzrok na magistela.

- Jesteś pewien? - zapytał.

Galiad pokiwał głową. Rzucił ostatnie spojrzenie w stronę Erwana i dosiadł konia, by spróbować uratować życie ostatnich wojowników Samildanacha. Lecz zdecydowana większość już nie żyła. Między innymi Talin, syn kamieniarza.

- Grobla jest po drugiej stronie skały, a tam / . pcwutiAi t<| |tii czekają strażnicy. Woda jest za głęboka, by przez nią pr/cjAt', a Mjolln nie umie pływać... Nie mam pojęcia, co zrobić! - powiedziała Faith, schodząc jako pierwsza w stronę zatoki.

- Możemy zostać tutaj i poczekać na odpływ - zasugerowała Kaitlin.

- To zbyt ryzykowne - odparł Alea. - Rycerze z Mont-Tombe z pewnością ruszą za nami w pościg.

- Można by zrobić tratwę - zaproponowała Faith.

Mjolln wydał długie westchnienie.

- Dlaczego zawsze, o tak, zawsze, musimy uciekać drogą morską, Aleo? - powiedział, wznosząc wzrok ku niebu.

Alea uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

- Myślę, że tratwa jest rzeczywiście najlepszym rozwiązaniem - rzekła. - A ja powinnam sobie z nią poradzić i sprawić, by płynęła dość szybko, prawda, Mjollnie?

- Tak, tak - odparł krasnolud. - O tak, w tej sprawie możecie na nią liczyć. Hem!

Wyruszyli na poszukiwanie kłód. Morze wyrzuciło na brzeg kilka bali. Kaitlin odcięła troki swej sakwy, by połączyć poszczególne kawałki drewna, ale to nie wystarczyło i musieli poświęcić rękawy koszul. Byli zmęczeni, czas jednak naglił i działali tak szybko, jak tylko się dało. Mjolln, który oddalił się, by poszukać innych bali, znalazł kawał sznura, którym połączył pozostałe części tratwy. Faith miała nadzieję, że platforma okaże się na tyle szeroka, by mogli się na niej pomieścić wszyscy.

- Mam nadzieję, że się nie potopimy - powiedziała cicho, by Mjolln nie usłyszał.

- Przekonamy się - odparła Alea. - W drogę!

Mjolln oczywiście wszedł na pokład ostatni. Zamknął oczy i usiadł pośrodku tratwy, wtulając głowę między kolana.

Alea trzymała się z tyłu. Szukała kontaktu z Saimanem. Niewielki płomień wciąż błyszczał pośrodku jej czoła. Owładnęła nią ta energia. Poczekala, az Saiman stanie się większy, a potem sprawila, ze otoczył tratwę.

Nagle tratwa zaczęła płynąć. Faith, która stała, straciła równowagę i wylądowała na Kaitlin. Obydwie teraz przykucnęły.

Tratwa zdawała się unosić nad wodą. Morze było spokojne i Alea nie miała żadnych trudności z utrzymaniem platformy w pozycji horyzontalnej. Krople morskiej wody opryskiwały przyjaciół za każdym razem, gdy tratwa natrafiała na falę. W miarę jak słońce unosiło się coraz wyżej nad linią horyzontu, morze nabierało kolorów. Noc powoli odchodziła w zapomnienie.

Mjolln mruczał przez cały czas, siedząc pośrodku tratwy, ale bardzo szybko dotarli na drugi koniec zatoki.

Krasnolud zeskoczył na plażę, szczęśliwy, że rejs już dobiegł końca, i padł na plecy.

- Mjollnie! - zawołała Alea, idąc w jego stronę. - Nie możemy tu zostać! Chodź, pospiesz się! Idziemy!

Krasnolud podniósł się, zrzędząc, i ruszył na wschód za Aleą.

Nagle Faith zatrzymała się ze wzrokiem skierowanym w stronę Mont-Tombe.

- Rycerze nadciągają od strony grobli! - wykrzyknęła, pokazując palcem galopujących brzegiem jeźdźców.

Wszyscy stanęli, by zobaczyć nadjeżdżających jeźdźców.

- Szybko! Musimy się ukryć! - krzyknął Mjolln.

- Ej, panie Abbac! Trochę więcej odwagi! - odparła Faith.

Alea dobyła sztyletu, Kaitlin chwyciła swój kij. Faith i Mjolln trzymali już w dłoniach miecze. Alea ruszyła w stronę grobli. Należało zaskoczyć rycerzy i nie pozwolić im na rozwinięcie szyku na plaży. Pozostała trójka ruszyła w ślad za dziewczyną.

Alea stanęła pośrodku grobli. Sześciu jeźdźców zmierzało wprost na nią. Wyciągnęła sztylet przed siebie, poczekała, aż Saiman pojawi się w czubkach palców, a rycerze podjadą bliżej, i z całej siły rzuciła sztyletem. Broń ze świstem rozcięła powietrze i utkwiała pośrodku czoła pierwszego jeźdźcy, który runął na ziemię.

Dziewczyna natychmiast zgromadziła w dłoniach pokłady energii, a potem posłała w stronę rycerzy niebieskie błyskawice. Przypominała sobie gesty Finghina, gdy pomagała mu odpierać atak przy wyjściu z podziemi Rii.

Błyskawice strzelały w powietrze i kładły rycerzy, jednego po drugim, na ziemi w kłębach dymu. Udało jej się pokonać trzech i zostało już tylko dwóch, gdy opuściła ramiona, by odskoczyć w bok. Konie przebiegły tak blisko niej, że straciła równowagę i wpadła do wody.

Jeźdźcy nie zatrzymali się i popędzili w stronę trójki towarzyszy. Mjolln cisnął mieczem w stronę pierwszego z nich, który jednak był zbyt wysoko, by krasnolud mógł go zaatakować z ziemi. Miecz odbił się rykoszetem od zbroi i opadł na ziemię, nawet nie drasnąwszy rycerza.

Drugi z jeźdźców zamachnął się na Kaitlin. Aktorka odskoczyła w bok i wymierzyła mu cios kijem, pozbawiając go równowagi. Rycerz spadł z konia. Kaitlin podniosła miecz Mjollna i z całych sił cięła rycerza w nogę. Ostrze przeszło gładko przez nagolennik i odcięło kończynę. Rycerz zawył z bólu.

Obok Faith odpierała ataki ostatniego rycerza, który krążył wokół niej.

Alea wyszła z wody i posłała w jego stronę ostatnią błyskawicę. Rycerz padł bez życia na ziemię. Dziewczyna podbiegła do jednego z koni, schwyciła wodze i zatrzymała go. Kaitlin oraz Faith poszły w jej ślady.

Chwilę później trzy konie galopowały na wschód. Mjolln, siedzący za plecami Faith, spojrział na plażę. Pośród broczących krwią ciał Rycerzy Płomienia stały nieruchomo pozostałe wierzchowce.

Jechali tak cały dzień, walcząc ze zmęczeniem i sennością. Alea, jadąca na czele, wiodła ich z dala od głównych dróg. Rycerze z Harcourt z pewnością będą ich szukać. Nie zatrzymali się nawet na posiłek, ale późnym popołudniem, kiedy konie robiły już bokami, zdecydowali się na krótki popas.

Krasnolud osunął się na ziemię i padł pod najbliższym drzewem, natychmiast zasypiając.

*

Hrabia Al'Roeg dotarł do Filiden dzień po bitwie na wzgórzu Sablon, eskortowany przez elitę Rycerzy Płomienia.

Najpierw przejechał przez pole walki, zniszczoną równinę, nad którą krążyły stada sępów. Odziani na czarno ludzie szli przez równinę, nad którą unosił się trupi odór, i układali na drewnianych wozach tysiące ciał, by następnie pochować je w zbiorowym grobie, z wyjątkiem kilku szlachciców, którzy mieli być pochowani w Rii. Ciała pokryte zakrzepłą czarną krwią wypełniały wóz niczym szmaciane lalki. Gdy zatrzymywali się, by położyć na wozie kolejne ciała, ludzie ciągnący wóz musieli odganiać sępy, które już zaczęły swą ucztę.

Ciało Samaela przyniesiono jako pierwsze. Miał zostać pochowany nazajutrz w Filiden, w miejscu, na którym hrabia rozkazał wzniesć pomnik na pamiątkę bitwy i dla uczczenia biskupa Nataliena.

W mieście nie pozostał ani jeden Tuathann. Kobiety i dzieci zostały wygnane. Mówiono, że znaleźli schronienie w górach.

Harcourt i Ziemia Brunatna wygrały wojnę. Wieść ta obieżyła już cały kraj.

Wieczorem wydano ucztę w koszarach. W miejscu, w którym Tuathannowie utworzyli swoją kwaterę główną. Był to wymowny symbol i Harcourtczycy pękali z dumy.

Al'Roeg, Meriand i Aeditus zasiedli przy wspólnym stole w otoczeniu wysokich stopniem oficerów, takich jak Dancray, oraz w towarzystwie szlachty z Harcourt i Ziemi Brunatnej.

- Kuzynie - zaczął Meriand Mor tak głośno, by wszyscy mogli go usłyszeć - zawdzięczam ci wszystko. Nigdy nie zapomnę tej chwili! Zwróciłeś Ziemię Brunatną jej mieszkańcom, zatem na znak wdzięczności ślubuję ci posłuszeństwo!

Uczujący zaczęli bić brawo.

- Jestem równie szczęśliwy jak ty, drogi kuzynie - odparł Al'Roeg, wznosząc kielich. - Spieszno mi, by znów ujrzeć cię na tronie w Mericourt. Ale nie zapominaj o obietnicy: musisz przyjąć Kościół na swych ziemiach, tak jak ja przyjąłem go u siebie.

Meriand skinął głową.

- Aeditusie - ciągnął hrabia Harcourt, zwracając się do biskupa - chcę, byście wysłali księży, mnichów oraz jednego z biskupów do Mericourt. Mój kuzyn

wzniesie tam pierwszy kościół na Ziemi Brunatnej, a oni będą mogli zacząć nawracać Brunatyjczyków.

- Nasze serca już przepelnia wiara! - wtrącił jeden z przedstawicieli szlachty z Ziemi Brunatnej, siedzący po prawicy Merianda.

Jeden ze służących podszedł do stołu, by napełnić kielichy. Wino lało się strumieniami.

- Chcę - podjął Al'Roeg - by jutro wszyscy wzięli udział w ceremonii pogrzebowej biskupa Nataliena. Zginął godnie na polu walki, tam, gdzie człowiek Kościoła nie powinien był się znaleźć. Zginął w obronie swego kraju.

W głębi duszy Al'Roeg cieszył się, że Natalien nie żyje. Biskup był bardzo dziwny, a jego nienawiść do druidów, jakkolwiek mile widziana, kryła jakiś sekret, od którego hrabia z radością się uwolnił. Wiedział, że Aeditus myśli podobnie.

Lecz wojna miała też inne następstwa.

- Teraz, gdy nasze hrabstwa się połączyły - podjął, kładąc dłonie na stole - zmieni się sytuacja polityczna w kraju! Przepędziliśmy druidów! Ich autorytet upadł w Gaelii i jestem pewien, że Sai- -Mina straci wiarygodność w oczach mieszkańców wyspy. Począwszy od dzisiaj, ogłaszamy, że druidzi są niepożądani na naszych ziemiach. Wejście do Harcourt i Ziemi Brunatnej jest im zakazane.

Meriand Mor skinął głową na znak zgody. Nie mógł postąpić inaczej. Al'Roeg był jego wybawcą. Bez niego, a przede wszystkim bez biskupa Nataliena, z pewnością poniósłby śmierć podczas bitwy w lesie Tenian, zgładzony bez litości przez barbarzyńców z Sidu. Lecz w tej chwili Tuathannowie byli jedynie złym wspomnieniem. Ci, którzy osiedlili się bezkarnie na Ziemi Brunatnej, już zostali z niej wygnani...

- Ale to zaledwie początek, drogi kuzynie. Owszem, nie należy się spieszyć, ale nie możemy się zatrzymać w połowie drogi. Chcę się spotkać z królową Galacji. Zobaczyć, co chowa w zanadrzu. Choć osobiście uważam, że jest niespełna rozumu. Głupio zrobiła, nie biorąc udziału w wojnie. To była jedyna okazja, by nas pokonać. Teraz, kiedy druidzi są osłabieni, jest bezbronna jak nigdy. Najpierw podbijemy hrabstwo Sarre, a gdy będziemy już posiadać trzy piąte terytorium wyspy, będziemy mogli narzucić nasze prawa.

W sali zapanowała cisza. Hrabia mówił coraz głośniejszym głosem, niesiony ambicją.

- Al'Roeg - wtrącił Aeditus - wkrótce możemy ogłosić was królem w miejsce królowej! Supremacja Galacji nie ma już racji bytu. Bóg wybrał Harcourt i Harcourt zapanuje!

Zgromadzeni unieśli kielichy.

- Za przyszłego króla! - wznosił toast Aeditus.

- Za króla! - wykrzyknęli wszyscy.

Na zewnątrz ludzie z Harcourt wciąż ładowali ciała na wozy...

*

Przez dwa następne dni Alea i jej towarzysze galopowali na południe. Przekroczyli łańcuch Gor-Draaka, wciąż trzymając się z dala od głównych szlaków i miasteczek, by nie zostać schwytani. Alea regularnie wysyłała Saimana przed siebie. Szukała śladów Galiada, Finghina i Erwana. Może wojna już się skończyła... Wtedy z pewnością ich drogi się skrzyżują.

Byli odcięci od najświeższych nowin dotyczących wojny i ich niepokój wzrastał z każdym dniem. Czy Galiadowi udało się uformować armię? Czy przyszli z pomocą druidom i Tuathannom?

Nie mogli tego wiedzieć, dlatego spieszyli ku granicy Galacji, by dotrzeć do jakiejś oberży i zdobyć wiadomości.

Drugiego dnia wieczorem wpadli w zasadzkę.

Słońce chowało się powoli za górami. Nad Gaelią zapadała noc, okrywając wyspę ciemnością niczym całunem. Jechali środkiem łąki otoczonej skałami i drzewami. Konie nagle stanęły i zaczęły drobić w miejscu. Alea uniosła się w strzemionach i rozejrzała dookoła. Delikatny wietrzyk muskał trawy i drzewa. Opierając się na lęku, spróbowała podnieść się wyżej. I w końcu je ujrzała.

Setki... tysiące, które schodziły od strony lasu, z południa i ze wschodu. Cała armia, która wolno szła naprzód, wychodziła z cienia.

- Gorguny - wyszeptał Mjolln drżącym głosem.

Alea opadła na siodło.

Rzeczywiście były to tysiące gorgunów. Rozpoznała ich brązową i zieloną skórę, ich małe czerwone oczy, ich kościste sylwetki i niezborny chód.

- Nas jest czworo, ich tysiące. - Mjolln zastanawiał się, czy nie śni mu się jakiś koszmar.

Ale naprawdę tam były. Po drugiej stronie łąki. I parły naprzód, dierząc przed sobą broń i idąc w stronę Alei niczym głupie stado baranów.

- Jesteśmy zgubieni - rzekł Mjolln, opuszczając ręce.

- Aleo, nie wiem, czy możesz coś zrobić, ale jeśli tak, to zrób coś, i to szybko! - wyszeptała Faith, z oczami utkwionymi w horyzont.

W jej głosie słychać było przerażenie.

- Przeciwno dwudziestu czy trzydziestu mogłabym spróbować, ale przeciw tysiącu? - krzyknęła Alea.

- Może powinniśmy po prostu spróbować ucieczki? - zaproponowała Kaitlin. Gorguny parły do przodu.

- Nie widzę innego wyjścia! - krzyknęła Faith.

Jedźmy! - wrzasnęła Alea, spinając konia.

dwrócili się i pogalopowali na północ. Konie gnały jak wiatr, z pewnością szczęśliwe, że mogą oddalić się z tego miejsca, ale niedługo znów stanęły.

Alea spojrzała przed siebie. Czyżby gorguny ich otoczyły? Serce waliło jej jak młotem, strach kłębił się w trzewiach i zastanawiała się, czyjej towarzysze odczuwają to samo. Tym razem nic nie mogło ich wyrwać z tej matni.

Nagle ujrzała nadciągające od północy cienie. Zrozumiała, co zatrzymało konie. Uniosła się w strzemionach, by się upewnić. Zobaczyła tysiące błyszczących oczu, ale tym razem nie były one czerwone.

Alea wyciągnęła głowę i zmrużyła oczy, by lepiej widzieć. Nie. To nie był sen. Z tej strony łąki nadciągała nowa armia, ale nie była to armia gorgunów.

Była to armia wilków.

Alea się odwróciła. Za jej plecami gorguny nie zaprzestały marszu, a nawet przyspieszyły kroku.

- Co to jest, do diabła? - zaklęła Faith, widząc świecące w zapadającym zmroku błyski.

- To wilki, Faith - odpowiedziała Alea spokojnie. - Wilki.

Kobieta wytrzeszczyła oczy.

- Myślisz, że...
- Imala - potwierdziła dziewczyna, opadając na siodło. - To musi być Imala. Przynajmniej taką mam nadzieję!
Wilki wychodziły z lasu. Były równie liczne jak gorguny, może nawet liczniejsze. Konie były przerażone. Alea z trudnością panowała nad swoim.
- Musimy się stąd oddalić jak najszybciej! - powiedziała, wyciągając palec w kierunku zachodnim. - Nie możemy tu zostać! Konie zaraz oszaleją!
Nie czekając na odpowiedź przyjaciół, pocwałowała naprzód z pochyłą głową. Dwa pozostałe konie natychmiast zerwały się do galopu.

Dwie armie zaciskały się wokół nich od południa i od północy.
„Imala, mam nadzieję, że to ty!”
Gorguny zaczęły biec. W przeciwieństwie do wilków, które wciąż zdążyły na środek łąki, skręciły na zachód, goniąc Aleę i jej przyjaciół.
Nagle wilki przeszły do ataku. Zgiełk, jaki mu towarzyszył, był bardziej ogłuszający niż krzyk szarżującego wojska. Przerażona Alea i jej towarzysze zeskoczyli na ziemię i pobiegli w stronę pobliskiego lasu, zostawiając przestraszone konie.
Alea odwróciła głowę. To, co zobaczyła, stanowiło najdziwniejszy widok w jej życiu. Wilki, które przemierzyły łąkę, rzuciły się na gorguny niczym psy posokowce.
Potwory broniły się mniej lub bardziej zręcznie, wymachując mieczami i toporami i usiłując odeprzeć niszczycielską watahę. Ale wilki były szybsze i zaciskały zęby na zielonawych gardłach gorgunów.
Alea spojrzała na północ. Wilki wciąż nadciągały. Gigantyczne stado odcinało teraz gorgunom drogę ucieczki. Potwory mogły jedynie wycofywać się na wschód i uciekać przed dzikimi bestiami.
Alea i jej towarzysze stali w lesie i z rozdziawionymi ustami oglądali te niewiarygodne sceny rozgrywające się na ich oczach. Wycie wilków ledwo zagłuszało krzyki gorgunów. Krew zwierząt mieszała się z posoką nieludzkich stworów, ciała padały jedno po drugim, śmierć szalała po jednej i po drugiej stronie.
Alea zagryzła wargi. Wilki umierały dla niej. Usiłowała dostrzec Imalę w tym potwornym zamieszaniu, ale w chaosie i mroku nie mogła rozróżnić żadnego zwierzęcia.

- Musimy coś zrobić! - krzyknęła nagle, nie mogąc znieść tego widoku.
Ale jej towarzysze stali niczym rażeni gromem. Pobiegła w stronę wilków, ścigana ogłupiałym spojrzeniem pozostałych.
Wilki rozstępowały się przed nią, a potem utworzyły wokół krąg, jakby chciały ją ochronić.
Alea biegła na wschód, wydając wycie podobne do tego, jakie wydawały otaczające ją wilki. Hałas ją ogłuszał, noc dusiła, prędkość upajała. Czuła się wilczycą. Zwierzęciem.

Gdy dobiegła do środka łąki, upadła na kolana. Wolno wyciągnęła ramiona ku niebu i wypełniła ją gorąca fala energii Saimana.
Energia ta zaczęła kipieć w jej wnętrzu. Jej ciało było niczym gotowy do eksplozji wulkan. Pozwoliła energii krążyć po ciele jeszcze przez chwilę, a potem nagle rozchyliła dłonie, wypuszczając w górę słup ognia. Czerwone

płomienie poszybowały w niebo, oświetlając całą łąkę, potem przybrały kształt ogromnych kul, które zaczęły opadać na wschodnią stronę zielonej przestrzeni, spadając na armię gorgunów niczym deszcz meteorytów.

Ziemia zaczęła drżeć pod wpływem kolejnych eksplozji pojawiających się między potworami. Dziesiątki ciał wystrzeliły w powietrze w ognistych podmuchach i tumanach kurzu. Gorguny umierały setkami pod gradem ognistych pocisków. Zmiażdżone, rozczłonkowane, spalone żywcem. Miotają się bezładnie we wszystkie strony z płonącymi kończynami. A potem padały martwe, uduszone i zwęglone.

Wilki kontynuowały atak, gryząc kostki uciekinierów, wyszarpując kawałki ciała, kiedy nagle pomiędzy gorgunami uformowała się szpara.

Alea wyczerpana atakiem podniosła się wolno. Wokół niej nie było już wilków, gdyż spychały nieprzyjaciela w stronę lasu. Dostrzegła natomiast przestrzeń, jaka utworzyła się pośrodku pola bitwy.

Zarówno gorguny, jak i wilki zaczęły się rozstępować, jakby omijały niewidzialny mur. W centrum dostrzegła ciemną wysmukłą sylwetkę.

Postać była otulona czarną peleryną, a jej głowę okrywał szeroki kaptur. Nie można było dostrzec najmniejszego skrawka jej skóry.

Alea ujrzała czerwone, ledwo dostrzegalne obłoki wokół tej postaci.

Saiman. Ten człowiek posługiwał się Saimanaem. Druid ten nie nosił białej szaty, a jego chód nie przypominał kroków czło wieka z Sai-Miny. Czy mógł to być jeden z dwóch renegatów? Nie był to Samael. I, była tego pewna, nie był to również Maolmórdha. To nie mógł być on. Jeszcze nie. Wyczułaby jego obecność. Tak jak w świecie Djar. Nie. Zatem kto?

Człowiek, który zbliżał się w jej stronę, wydawał się nie mieć żadnej cielesności. Żadnej duszy. Usiłowała wyczuć jego umysł, dosłyszeć bicie jego serca, ale nie znalazła nic, był tylko ów cień, ów ciemny kształt, który zbliżał się do niej.

Jakby już nie żył.

Alea zadrzała.

Walka między wilkami a gorgunami trwała nadal, ale zwierzęta i ich przeciwnicy sprawiali wrażenie, że ich nie widzą. Jakby te dwa światy się rozdzieliły.

Nagle Alea usłyszała za plecami jakieś krzyki. Jednak nie chciała się odwracać. Postać cały czas szła naprzód i była już coraz bliżej. Dziewczyna skoncentrowała się, by usłyszeć, co dzieje się za nią, ale wciąż nie spuszczała dziwnego druida z oczu. Rozpoznała głosy Galiada i Finghina. Mojra przywiodła ich aż tutaj. Pomiedzy morze i góry. Tak jak na to liczyła. Ale nie słyszała głosu Erwana. Zaciśnęła zęby, a jej twarz wykrzywił grymas.

Postać była już zaledwie kilka metrów od niej. Alea chciałaby się obejrzeć, ale nie mogła odwrócić się plecami do tego groźnego przeciwnika.

W tej samej chwili usłyszała kroki. Wolno zaczęła się cofać. Stojąca przed nią postać znieruchomiała. Cofała się coraz szybciej, ryzykując utratę równowagi. I wreszcie ujrzała Galiada, a obok niego Finghina, Kaitlin oraz Faith.

- Gdzie jest Erwan? - zapytała głosem pełnym rozpacz.

- Jest tutaj - zapewnił ją natychmiast Galiad. - Został w lesie z Mjollnem. Jest ranny, ale to nic poważnego.

Alea westchnęła z ulgą. Wciąż nie spuszczała oczu z postaci okrytej czarną peleryną.

- Kto to jest? - zapytała Kaitlin, mając nadzieję, że uzyska odpowiedź.

Ale nikt nie wiedział.

- Ma Saimana - powiedziała tylko Alea.

Galiad dobył Banthrała. Finghin podszedł do dziewczyny.

Wilki zdołały całkowicie odeprzeć gorguny. Niektóre zaczęły rozpraszać się po lesie. Nad łąką zapanowała cisza. Na ziemi leżały setki trupów.

Czarna postać podjęła marsz, podchodząc do nich majestatycznym krokiem.

- Kim jesteś? - zapytał Galiad, robiąc krok naprzód.

Postać się zatrzymała. Wyglądała, jakby się wahała. Jej długa czarna peleryna drżała na nocnym wietrze.

- Obecnie zwań mnie Dermod Cahl.

Galiad zobaczył na jego szyi pieczęć Aldisa. Zatem to on przyprowadził tu gorguny.

- Czego chcesz? - spytał Galiad, marszcząc brwi.

Wydawało mu się, że zna ten głos. Było w nim coś dziwnego, obcego, jakby stał się bardziej chrapliwy, ale był pewien, że już go gdzieś słyszał.

- Przybyłem odnaleźć Aleę.

Wszyscy zrozumieli znaczenie, jakie nadał słowu „odnaleźć”.

„Kim on jest? - zastanawiała się Alea. - Co to za wróg?”

Powoli wydobył spod szaty długi kij z czarnego dębu. Galiad stanął w pozycji obronnej. Faith i Kaitlin również dobyły broni.

„Jego ruchy są ruchami druida, ale krok nie jest krokiem żywego człowieka”.

Magistel odszedł wolno na prawo i ruchem dłoni dał do zrozumienia pozostałym, by utworzyli półkole wokół Dermoda Cahla.

„Saiman płonie wokół niego coraz silniej”.

Żywy trup uniósł dłoń i wolno zsunął kaptur.

Piątka towarzyszy z obrzydzeniem ujrzała zdeformowaną twarz. Ze spalonej czaszki Dermoda Cahla zwisało kilka płatów czerwonego mięsa. Jego oczodoły wyglądały na puste. Wypełniała je absolutna, nienaturalna czerń.

„Saiman nie może być tak silny. To musi być coś innego”.

Nagle Galiad doskoczył do żywego trupa. Kaitlin i Faith poszły w jego ślady.

„Ahriman. Poznaję tę drugą energię. To energia Herilimów. Ma ją, ale nie jest jednym z nich”.

Dermod Cahl pochylił się, odczekał jeszcze chwilę, a potem zrobił krok do tyłu, by uniknąć uderzenia Galiada. Wymierzył magistelowi potężny cios w żołądek swym dębowym kijem, a potem wykonał pełny obrót, prostując prawą nogę i cofając ramię, by szerokim łukiem skosić obie kobiety, które nie były w stanie uniknąć ciosu. Kaitlin i Faith upadły obok siebie.

„Bije się lepiej niż druid. Muszę coś zrobić. Ale jak go pokonać?”

Alea zareagowała natychmiast, posyłając w stronę żywego trupa błyskawicę, ale ognisty wąż zatrzymał się tuż przed Dermodem Cahlem, którego chroniła tarcza Saimana.

„Nie mogę go pobić. Nie w ten sposób”.

Galiad, Faith i Kaitlin podnieśli się z ziemi. Dyszeli ciężko.

„Oni też nic nie poradzą. Muszę im to powiedzieć”.

Finghin zrobił kilka kroków w bok, usiłując przemknąć za plecy wroga, ale ten cofnął się, nie dając się otoczyć.

Galiad spróbował znowu zaatakować. Banthral opadł tuż obok żywego trupa. „Galiadzie, nie możesz go pokonać! Nie!”

Dermod Cahl, który odchylił się do tyłu, by uniknąć ciosu, wyciągnął ramię w stronę magistela. Galiad dostał błyskawicą w twarz i upadł na plecy, krzycząc z bólu.

Przeżrana Faith skoczyła naprzód. Uniosła miecz nad głową i rzuciła się na żywego trupa. Dermod Cahl nawet się nie odwrócił. Strzeliła biała błyskawica. Oślepiająca. Widoczna przez jedną krótką chwilę. Jeden ruch. Wyciągnął kij za siebie i nagle kij przeobraził się w długie metalowe ostrze. Faith nie miała czasu, by się uchylić. Wydała okropny okrzyk, widząc, że nadchodzi śmierć, i gwałtownym ruchem nadziała się na błyszczące ostrze.

Alea krzyknęła przeraźliwie.

Jej krzyk przeciął powietrze. Zatrzymał czas.

Potem ciało Faith zsunęło się miękko wzdłuż ostrza, znacząc je szkarłatem. Z wykrzywioną twarzą, z bezwładnymi ramionami upadła na ziemię. Wolno. Ciężko. Wokół jej nieruchomego ciała wykwitła plama krwi.

Jej nieruchomego ciała.

Galiad, odzyskując zmysły, wstał, zataczając się, i z przerażeniem ujrzał ciało Faith spoczywające u stóp jej zabójcy, niedające żadnych oznak życia.

Magistel również zaczął krzyczeć. Jego oczy napełniły się łzami, zaczął drżeć na całym ciele. Mięśnie się napięły, żyły nabrzmiały krwią i bez namysłu rzucił się na żywego trupa, wznosząc Banthrala nad głową.

Alea podbiegła, by go powstrzymać. Widziała umykające sekundy. Czas rozciągnął się i zmierzał nieuchronnie ku strasznej przyszłości, której nie mogła zapobiec.

Po raz kolejny Dermod Cahl był szybszy. Jego ruchy nie miały w sobie nic naturalnego. Niosła go magia. Jego ramiona zdawały się płynąć. Przeszywać powietrze. Na oczach Alei ostrze żywego trupa rozplątało gardło magistela. Stał gładko weszła w skórę, rozcinając szyję i docierając aż do karku w niekończącym się ruchu. Magistel upadł na ziemię. Jego głowa potoczyła się tuż za nim, na policzkach wciąż jeszcze widać było ślady łez.

Alea upadła na kolana obok Galiada. Nie mogła uwierzyć w to, co widziała. Cała ta krew. Faith. A teraz ciało magistela. Tak dobrego człowieka. Galiada. Obrazy powracały jeden po drugim.

Dziedziniec Sai-Miny. „Felim prosił mnie, bym nauczył cię posługiwać się mieczem...” Ten głos. Podziemia Kii. „Nlr odejdę bez ciebie. Straciłem Felima, ciebie nie chcę stracić”. Ten głos zniknął na zawsze.

Alea płakała. Ręce jej drżały, włosy przykleiły się ilo mokrych od łez policzków. Podniosła wzrok na stojącego nienu homo opodał Dermoda Cahla. Przeszywał ją spojrzeniem.

To jej chciał.

Finghin i Kaitlin stali jak rażeni gromem. Żadn z nich nie ośmieliło się poruszyć. Patrzyli na Aleę, szukając w jej twarzy wytchnienia, azylu, schronienia przed szaleństwem, które ogarniało ich przerażone dusze.

Alea podniosła się powoli. Stała twarzą w twarz z żywym trupem.

To mnie chcesz.
Dermod Cahl zrobił krok do tyłu, trzymając kij wzdłuż ciała.
Jeżeli chcesz mojego życia, zabierz je, ale nie odejdę bez ciebie.
Dziewczyna zamknęła oczy i pozwoliła Saimanowi, by opuścił jej ciało.
Błękitna energia uniosła się przed nią i zmieszała z energią żywego trupa.
Słyszysz mnie, prawda? Ale nie chcesz ze mną rozmawiać. Mój głos napawa cię lękiem?
Dermod Cahl wolno uniósł kij do góry.
Pozwól mi przejść. Zobacz. Jestem bez broni. Jeśli chcesz, możesz mnie zabrać. Po prostu.
Kij zaczął błyszczeć, jakby zmieniał się materiał, z którego został zrobiony.
Teraz widzę. Widzę twoją duszę, druidzie.
Drewno stało się stałą.
Widzę twoją duszę. Ale ona jest martwa. Druidzie. Ty jesteś martwy. To nie ty tu stoisz. To twój trup.
Ostrze Zobacz, co z tobą zrobił Maolmórdha. Spójrz na siebie, tak jak ja patrzę. Zobacz, kim jesteś... Widzę nad tobą jego wzrok. Uczynił cię swoim niewolnikiem. Zabijeś dla niego.
Ostrze wolno opadało w stronę Alei.
Spójrz na człowieka, który leży u twoich stóp. Człowieka, którego właśnie zabijeś.
Przyspieszyło.
Spójrz na Galiada. Galiada Al'Damana.
Zaświstało w powietrzu nad Aleą.
Na twojego magistela.
Zagłębiło się.
Felimie.
W powietrzu rozległ się trzask. Potem pojawił się oszalamiający cień.
Alea upadła na ziemię.
Ostrze złamało jej ramię. Rozcięło skórę.
Upadając, podniosła wzrok na Dermoda Cahla. Jego głowa eksplodowała.
Zdeformowane ciało żywego trupa zachwiało się i upadło na ziemię.
Alea poślizgnęła się na trawie. Zamazywał jej się wzrok.
Ostatnią rzeczą, jaką ujrzała, były wyciągnięte w jej stronę ramiona Finghina. Jego przerażony wzrok. I Saiman, który wciąż tryskał z jej drżących palców.

*

Kiedy Alea odzyskała przytomność, ujrzała nad sobą twarze Finghina, Kaitlin i Mjollna. Odwróciła głowę i zobaczyła Erwana. Leżał na łóżku obok niej. Uśmiechał się.
- Gdzie jesteśmy? - wyszeptwała, pokonując suchość w ustach.
- Ciii - odparł Finghin, kładąc dłoń na jej czole. - Musisz jeszcze odpoczywać. Jesteśmy w niewielkiej oberży w Galacji. Z dala od wojny. Śpij.
Wtedy przypomniała sobie wszystko i łzy napłynęły jej do oczu. Galiad i Faith nie żyli. Zabił ich Dermod Cahl. A Dermod Cahl...

Nie mogła nadążyć za galopującymi myślami. Te wspomnienia były zbyt bolesne. Chciałaby móc powiedzieć sobie, że to niemożliwe.

Że to nie był Felim.

I nie był to Felim. Już nie Felim. Musiała o tym pamiętać. Był jedynie trupem, którym manipulował Maolmórdha. To mógłby być obojętne jaki trup.

Obojętne jaki trup.

- Encyklopedia? - wyszeptała nagle, usiłując wstać.

Finghin położył jej palec na ustach.

- Uspokój się, Aleo! Encyklopedia jest tutaj. Zobaczysz ją, jak tylko poczujesz się lepiej.

Dziewczyna walczyła. Oczy same się zamykały. Ale chciała się dowiedzieć.

- Ale... Finghinie... Proroctwa... Są tam odpowiedzi?

Druid musnął jej skronie i uśmiechnął się.

- Tak, Aleo. Są tam odpowiedzi. Zobaczysz.

Znowu straciła przytomność.

*

Jestem w świecie Djar. Czuję pustkę wokół siebie. Stwarzam tę pustkę. Nie chcę nic więcej widzieć. Nie chcę niczego czuć. Chcę umrzeć.

Nie. Nie mogę. Erwan. Jest tam. Muszę zostać dla niego.

Felim. Co ja zrobiłam? Co ja zrobiłam, mój dobry druidzie.

Och, przybądź tu. Przybądź tu, błagam cię! Pokaż mi, choć przez chwilę, twoją twarz. Twoje oczy, tak pełne życia.

Nie przyjdzie.

Maolmórdho, idę do ciebie. Tym razem nie będzie między nami nikogo. Żadnej tarczy. Tylko ty i ja. Słyszysz mnie, Maolmórdho? Idę do ciebie!

Ta cisza. Ta uporczywa cisza. Jakby świat Djar się zatrzymał. Albo jakby nie było tu nikogo innego poza mną. A jednak...

Czuję twoją obecność. Czuję cię obok. Muszę iść naprzód. Odczynić pustkę wokół siebie. Jeżeli zgubię się w Djar, zgubię się wszędzie indziej. Muszę walczyć. Dla Erwana. I dla ciebie. Imalo.